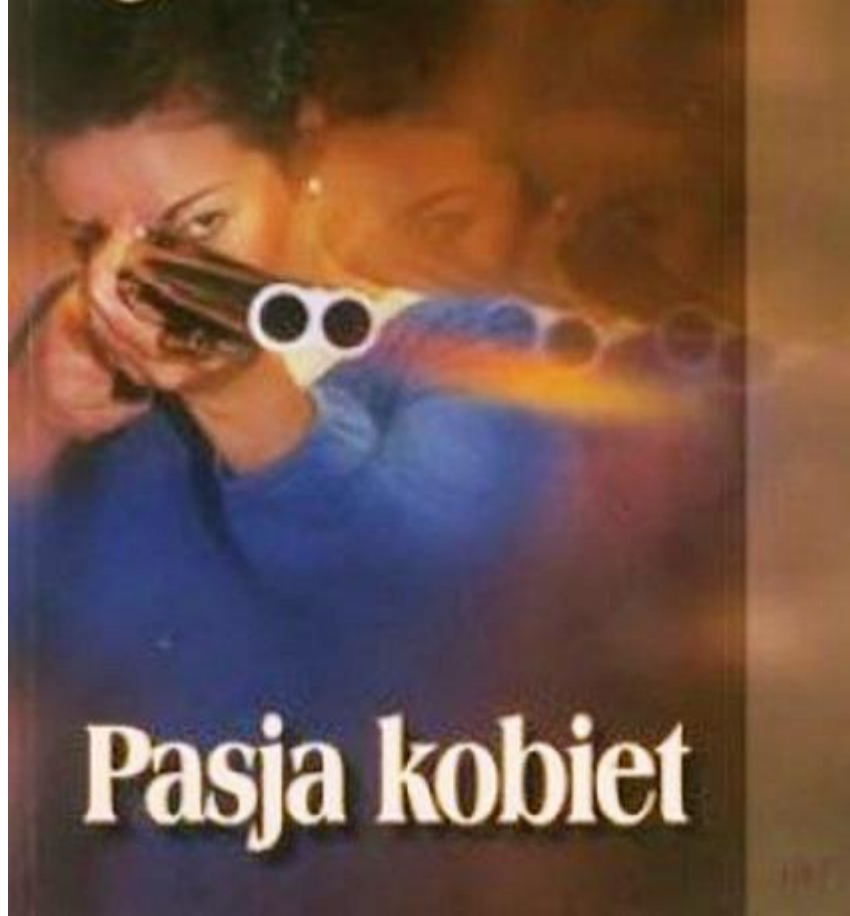


Sébastien
JAPRISOT



Pasja kobiet

Sébastien
JAPRISOT

PASJA KOBIET

Przełożyła KRYSTYNA SZEŻYŃSKA-MACÓKOWIAK



SREBRNA
SERIA

Tytuł oryginału
LA PASSION DES FEMMES

Autor ilustracji KLAUDIUSZ MAJKOWSKI

Opracowanie graficzne Studio Graficzne „Fototype”

Redaktor HANNA MACHLEJD-MOŚCICKA

Redaktor techniczny ANNA WARDZAŁA

Copyright © by Editions Denoël, 1986

For the Polish edition Copyright © 1994 by Wydawnictwo Amber Sp, z o.o.

ISBN 83-7082-265-7

Wydawnictwo Amber Sp, z o.o.
Warszawa 1994. Wydanie I
Skład: „Kolonel” w Łomiankach
Druk: Łódzka Drukarnia Dzielowa

– Jak sądzisz, gdzie byś była, gdyby przestał o tobie śnić?

– Oczywiście tu, gdzie teraz jestem – odrzekła Alicja.

– Wcale nie! – odpowiedział Tweedledee z przekorą. – Nie byłoby cię nigdzie, bo jesteś tylko przedmiotem w jego marzeniu.

LEWIS CARROLL

Godzina dwudziesta piętnaście

Nagle ten młody, uparty człowiek powiedział sobie, że pójdzie dalej, i poszedł.

Dźwignął się z piasku i raz jeszcze wstał, przyciskając prawą dłoń do paskudztwa, które plamiło jego białą koszulkę polo.

Spływający z czoła pot – a któż to wie, może łzy zmęczenia – zalewał mu oczy; jak daleko jednak sięgnął wzrokiem, plaża i ocean były puste.

Nadeszła właśnie ta godzina u schyłku dnia, gdy słońce staje się czerwoną, świecącą tuż nad horyzontem kulą, gdy na piasku poniewiera się tylko zapomniana piłka dziecka, też czerwona – jak plama na białej polo – godzina, gdy jadalnie hotelowe rozbrzmiewają już pierwszymi szeptami, skrzypieniem przesuwanych krzeseł, a w obcych pokojach roztrzepane dzieci domagają się zgubionej zabawki, rozżalone, że muszą iść spać; chwila gdy, z dala od ludzi, na bezkresnej, opustoszałej plaży rozlega się tylko krzyk mew i szum fal.

Ów uparty młody człowiek – sam się tak określa, gdy o sobie mówi – zataczając się idzie wzdłuż wybrzeża oceanu, zgięty z bólu, jaki sprawia mu rana, i nie wie ani skąd przybywa, ani dokąd zmierza.

Wie tylko, że musi iść krok po kroku, póki nogi nie odmówią mu posłuszeństwa, póki znów nie zwali się na ziemię.

Ileż razy już padał i podnosił się? Pamięta, że na samym początku leżał na brzuchu w piasku i że trwało to całą wieczność niczym koszmarny sen. Słońce stało wyżej i paliło. Stracił przytomność; nie ruszając się z miejsca, uciekł w świat życia płodu, ale czuł promienie słońca palące jego plecy i to lekkie świństwo na piersiach. I nagle, właśnie gdy zamierzał otworzyć

oczy, nasunął mu się obraz czegoś rzeńskiego i dobroczynnego. Chciał zatrzymać tę wizję, ale uleciała.

Teraz, idąc krok po kroku, całym ciężarem przygięty ku ziemi, uświadomił sobie, że pochyłość terenu wiedzie go wprost ku spienionym falom i że musi oddalić się od nich, bo w przeciwnym razie przy następnym upadku zaleje go woda i to już będzie koniec.

Uparty młody człowiek myśli sobie, że i tak umrze. Już trawia go piekielne ognie. Nie może dalej biec. Nie może dalej iść. Gdyby przystanął choć na chwilę – ale nie wolno mu tego zrobić – gdyby był w stanie rozejrzeć się wokół siebie oczyma przesłoniętymi potem i piaskiem, wiedziałby, że znikąd już nie ma nadziei na pomoc, że donikąd nie dotrze, że jest tu sam, z pierśią rozdartą przez pocisk karabinowy, że przez tę ranę od zbyt dawna już uchodzi z niego życie i że najlepiej, a właściwie najrozsądniej, byłoby zawrócić, żeby nie skonać tu topiąc się.

Ale nie zawraca, tylko resztką sił przemierza plażę, wspinając się po zboczach, zataczając jak pijany, i znów pada.

Najpierw na kolana, spłoszony, bez tchu. Podpiera się łokciami i dłońmi, chce pokonać jeszcze parę metrów piachu. Ale potem wie już, że nie pójdzie dalej, chwieje się i z otwartymi oczyma pada na wznak.

Nawet niebo jest puste.

Za godzinę czy dwie, myśli sobie ten młody człowiek o niezwyklej wyobraźni – bo tak właśnie określa samego siebie – księżyc wzniesie się dokładnie do tego punktu, z którego odbijać się będzie, rozdwojony, w mych zagasłych źrenicach.

A może jednak nie – myśli. Za godzinę lub dwie uzależniona od fazy księżycy fala przyływu już mnie zaleje i uniesie na pełne morze.

Nikt nigdy mnie nie odnajdzie, chyba jakiś rybak, Bóg wie gdzie – gdzieś między tą plażą a Ameryką – i Bóg raczy wiedzieć kiedy, wyłowi w sieć pełną makreli me na pół pożarte przez ryby ciało.

Przymyka oczy.

Próbuje przywołać przyjemną wizję, której uległ przed chwilą, gdy odzyskał przytomność, tuż przedtem, nim uniósł rękę do piersi i odkrył tę ohydę. Ale nie potrafi.

Jeśli porwą mnie fale, myśli, będą mnie szukali, będą wypytywali znajomych. Przez wiele miesięcy, a może lat, dopóki nie pogodzą się z faktem, że nie żyję, pozostaną tym młodym awanturnikiem, którego wspomina się ściszym głosem, a który zniknął pewnego letniego wieczoru na przygodnej plaży, pozostawiając po sobie tylko wzburzone fale czasu.

Z wysiłkiem unosi się na łokciu, by zerknąć na ślady swych stóp, ocenić, jak długą przebył drogę. Przesypujący się nieustannie piach jest nieodgadniony. Mężczyzna dokładnie pamięta, że kiedy przed chwilą dźwignął się, by iść dalej, tuż obok poniewierała się dziecięca piłka, ale przecież ta piłka mogła istnieć tylko w jego umyśle, albo znajduje się poza polem jego widzenia, w dołku, równie dobrze o rzut kamieniem, jak na końcu świata.

Znów zamyka oczy. Leży na plecach, ostrożnie oddychając. Nie czuje bólu. I tak naprawdę nie boi się. Zastanawia się, jak długo jeszcze będzie pod ręką bicia serca. I czy będzie miał dość szczęścia, by raz jeszcze, nim wszystko się zatrzyma – jego serce, zachód słońca i krążenie galaktyk – ujrzeć ten obraz, który go zachwycił i którego nie może przywołać. I komu będą zadawać pytania, kiedy już te cholerne makrele wygrzążą mu mózg. I zastanawia się nad prawdą, nad zafalszowaniami i kłamstwami, które nieco bardziej zaciemnią wystukiwaną zużytymi czcionkami biurowej maszyny żalowaną historię jego końca.

A potem, właśnie wtedy gdy wybiega w przyszłość, by wypróbować swą groźną wyobraźnię, młody awanturnik czuje woń oleandrów i słyszy śmiech i nagle znów pojawia się nieuchwytna wizja, świetlista jak za pierwszym razem, i tak kojąca, tak realna, że musi uwierzyć, iż to znak niebios.

Młoda jasnowłosa dziewczyna, spowita w biały muślin, leci wprost ku niemu, siedząc na huśtawce. Ramiona i nogi obnażone, oblicze promienne, rozświetlone szczęściem. A kiedy sięga do szczytowego punktu lotu i odpycha się, by opaść, pojawia się druga, piękna jak letni poranek, zmysłowa jak Cyganka, czarnooka i czuła, przesuwa się i znika, by ustąpić miejsca trzeciej, wdzięcznie wygiętej, o bezczelnym buziaku, wzbijającej się w górę wśród szelestu spódnic i miodowej woni oleandrów.

A on, którego serce bije z coraz większym trudem, widzi ich cztery, pięć, podnieca się rozchyloną na smagłej piersi bluzeczką albo blaskiem ciała nad jedwabną pończoszką. Mógłby ujrzeć ich sześć, siedem i dziesięć, wznoszących się i opadających na huśtawce, i żadna nie musiałaby zniknąć, ale wciąż pamiętałby tę pierwszą, jej łabędzią szyję, wzruszającą gibkość talii i złoty blask spojżenia.

Jeśli koniecznie muszę odejść, lepiej zrobić to z tą wizją przed oczyma, myśli leżący bezwładnie na piachu młodzieniec, nad którym czuwała gwiazda.

Bo właśnie tak najczęściej określał samego siebie, gdy o sobie mówił.

Emma

Skończyłam dwadzieścia lat.

Pracowałam jako rysownicza w agencji reklamowej – wówczas nazywano je biurami – której okna wychodziły na port Saint-Julien de l'Océan. Nie miałam większego doświadczenia, ale wszyscy uważali, że jestem uprzejma, mam dobry charakter, okazuję posłuszeństwo zwierzchnikom i przykładam się do pracy.

Poślubiłam szefa personelu.

Na podróż poślubną mieliśmy dziesięć dni sierpnia i zamierzaliśmy pojechać samochodem do Hiszpanii. Mój narzeczony, pan Seweryn, kupił i przystosował stary furgon, który podczas wojny służył za ambulans. Mówię oczywiście o I wojnie światowej. Za przednim siedzeniem znajdowały się dwie leżanki z pościelą. Skrzynie tych leżanek pełniły rolę szafy, umywalki z małą cysterną wody i szafki kuchennej. Mój narzeczony przemalował zewnętrzne ścianki pojazdu na brudnożółty kolor, który pompatycznie zwał „żółcią artystyczną”, ponieważ jednak jego ręce nie były zdolne zrobić niczego, co miałoby najmniejszy związek z artystem, po obu stronach furgonu widać było wyraźnie duże, czerwone krzyże.

Przyjęcie weselne odbyło się w „Hôtel des Bains”, przy dźwiękach orkiestry jazzowej. Rozrywki dostarczały gościom gry, w których nagrodą był pocałunek. Wydaje mi się, iż cieszyło mnie to wszystko – prócz faktu, że mój narzeczony, a właściwie mój mąż, chodził z kieliszkiem od stolika do stolika i jak zawsze głośno mówił, ja zaś bałam się, bo mieliśmy wyjechać o zmroku, a on nie zniósłby, gdybym to ja siadła za kierownicą.

Około siódmej czy ósmej coraz więcej gości wygłupiając się biegło do kuchni i brało się znów do jedzenia. Skorzystaliśmy z zamieszania i wymknęliśmy się. Ucałowałam rodziców, którzy odwracali wzrok, starając się ukryć wzruszenie. Po raz pierwszy rozstawali się ze mną. Mój mąż nie miał żadnej rodziny poza starszym bratem, którego przed laty ugryzł w ucho przy okazji kłótni o konia i z którym nie utrzymywał kontaktu. Jeśli mnie pamięć nie myli, koń zdechł na długo przed naszym ślubem.

Przez cały dzień uważałam, by nie zniszczyć pięknej białej sukni, w której brały ślub moja babka i matka. Pewna słynąca z talentu krawcowa z Ré przerobiła ją wedle dzisiejszej mody. Zachowałam fotografię zrobioną na schodach kościoła po ceremonii i załączam ją, by mogła Pani wyobrazić sobie, w jakie cudo byłam ubrana, mimo skromnej sytuacji mojej rodziny, a także – jak Pani odgaduje – by pokazać, jak wyglądałam w wieku dwudziestu lat, zaledwie na parę godzin przed zajściem wydarzeń, które złamały mi życie. Proszę nie zwracać mi tej fotografii. Nie byłam w stanie rzucić jej do ognia, ponieważ obok mnie są na niej moi rodzice, nie mogę jednak powstrzymać się od płaczu, gdy na nią spoglądam.

Emma z czarno-białej fotografii jest młodą, dość wysoką blondynką, szczupłą, zgrabną, prawdopodobnie niebieskooką, o uśmiechniętej, melancholijnej twarzy. Jej suknia z satyny i koronek jest rzeczywiście piękna. Bujne, wysoko zaczesane włosy podtrzymuje wianek z kwiatów pomarańczy, a czoło zakrywają starannie ułożone loki. Jej mąż, Se-weryn, ubrany w szary frak, jest krótkonogim czterdziestolatkiem o ostrych rysach twarzy i wyglądał na pyszałka.
(Notatka Marie-Martine Lepage, adwokata)

Nikt chyba nie zauważył, że wymknęliśmy się i ruszyliśmy w drogę. Wreszcie odetchnęłam z ulgą, przez całą uroczystość bowiem obawiałam się żartów i aluzji, jakie posypałyby się z pewnością w chwili pożegnania. Wtedy jeszcze łatwo się peszyłam.

Mój mąż, bardzo zmęczony, dawno ściągnął marynarkę i rozwiązał mu-chę. Rzucił je na leżankę z tyłu furgonu i usiadł za kierownicą. Ja rozpuściłam tylko włosy i położyłam wianek na kolanach. Poza tym wyglądałam tam samo jak rano.

Saint-Julien de l'Océan jest miejscowością kąpieliskową na krańcu długiego półwyspu zwanego Cyplem Amerykańskim. Dziś jego sława przy-blaźła, wyparta przez Fouras czy Marennes, wówczas jednak miasteczko

liczyło tysiąc dusz zimą, latem zaś co najmniej pięć tysięcy. Wzdłuż głównej drogi, łączącej półwysep z lądem, ciągną się hodowle ostryg i otoczone rozlewiskami pastwiska. Pamiętam, że towarzyszyło nam duże, czerwone słońce, które rozświetlało wieczorną mgłę i odbijało się tysiącem blasków w spokojnej tafli wody.

Opuściliśmy półwysep z nastaniem nocy. Mój oszołomiony winem mąż nie zasnął jeszcze tylko dlatego, że wóz bardzo trząsał na wyboistej drodze. Nie śmiałam nic powiedzieć, bo należał do ludzi, których najdrobniejsza uwaga wprawia w gniew, a także dlatego, że trudno mi było wyzbyć się nawyków podwładnej. Wreszcie to on z determinacją właściciela położył rękę na moim kolanie i krzyknął (musieliśmy podnosić głos, żeby się słyszeć): „Spędzimy noc poślubną tutaj, bo za chwilę nie będę się już do niczego nadawał!”

Zatrzymał furgon na uboczu, pod sosnowym lasem. Wysiedliśmy, by przenieść się na tył, czyli, jak mówił mój mąż, do „miłosnego gniazdką”. Księżyc, prawie w pełni, był już wysoko, a niebo skrzyło się gwiazdami. Przystanąłam na chwilę, by nacieszyć się chłodem i wsłuchać w śpiew nocnych ptaków.

Nim wsiadłam do wozu, Seweryn zdążył zapalić lampkę spirytusową i włożyć specjalnie zakupioną na tę okazję piżamę – błękitną w żółte i czarne paski, z inicjałami wyhaftowanymi na górnej kieszeni. Chełpiąc się swą przezornością, powiedział: „Pomyślałem o wszystkim”. Otworzył szafkę pod jednym z łózek i wyjął butelkę szampana i dwa metalowe kubeczki. Nie miałam ochoty pić, ale nie chciałam odmawiać, bojąc się kłótni. Potem, ponieważ siedziałam na materacu bez słowa, ze spuszczonej oczyma, westchnął: „Dobrze, rozumiem”. Zapalił papierosa i wyszedł z furgonu, żebym mogła się rozebrać. Przyciągając skrzydła drzwi, które zostawił otwarte, zobaczyłam, że przysiadł nie opodal na pieńku drzewa.

Rozpięłam suknię i zaczęłam ostrożnie ściągać ją przez głowę. Prawdopodobnie szelest ocierającego mi się o uszy materiału sprawił, że nie usłyszałam hałasu. Nagle poczułam, że ktoś chwyta mnie w pól i brutalnie zatyka dłońią usta. Nie zdążyłam nawet pomyśleć, że to idiotyczny żart mego męża, gdy głuchy nerwowy głos, który na pewno nie był głosem Seweryna, nakazał mi: „Milcz! Nie ruszaj się!” Wydawało mi się, że serce wyskoczy mi z piersi.

Krępujące mnie ramiona szarpnęły mną do tyłu i niemal uniosły w górę. W świetle lampy ujrzałam młodego, wysokiego mężczyznę, którego twarz okalała broda. Miał podgolony kark; był w grubej, płóciennej koszuli bez

kołnierzyka i cuchnął bagnem. Przyciśnięta do niego, odgadłam po hałasie, że zamyka drzwi furgonu.

Potem wyszeptał gorączkowo: „Jeżeli zrobisz, co ci każę, nic ci się nie sianie”. Pochylał się nade mną, patrząc mi prosto w oczy. Nie wiedziałam, jak dać mu do zrozumienia, że mnie dusi, musiał jednak wyczytać z mych oczu, iż jestem zbyt przerażona, żeby się bronić, bo odsunął rękę, którą knebłował mi usta. Nie dając mi dojść do siebie, pociągnął mnie półnągą i zadyszana na przód ambulansu, mówiąc wciąż tak samo głuchym i urywanym głosem: „Siądź za kierownicą i ruszaj”. Idąc zdmuchnął lampę. Chciałam odpowiedzieć zgodnie z prawdą, że ledwie umiem prowadzić, ale uciął: „Rób, co mówię, albo cię zabiję!”

Przeskoczyłam przez oparcie siedzenia. Stał za mną, zaciskając dłoń na mej szyi. Z tego wszystkiego zapomniałam, jak uruchomić wóz. Namacałam rozrusznik. Kiedy wjeżdżałam w ciemność, mężczyzna wyciągnął rękę ponad moim ramieniem i włączył światła.

Skręcając ze wszystkich sił kierownicę, by wrócić na drogę, usłyszałam brzęk spadającej na podłogę butelki i kubeczków. Moje przerażone oczy spoczęły na sylwetce mego męża. Na dźwięk silnika stanął bosymi stopami na ziemi, tam gdzie przed chwilą usiadł, i choć nie widziałam jego twarzy, z potwornego bezruchu, w jakim zastygł, domyśliłam się, że osłupiał ze zdumienia. Wyglądał, odpuść mi, Panie Boże, niczym nieszczęsny głupiec porzucony w szczyrim polu, w samej pizamie, we własną noc poślubną.

Jechaliśmy w stronę lądu. Mężczyzna dawał wyraz zniecierpliwieniu, wrzeszcząc mi w uszy. Jechałam jak tylko mogłam najszybciej, ale nasz wehikuł, wyposażony w silnik „jak nowy”, nie był w stanie przekroczyć sześćdziesiątki.

Na granicy półwyspu most długości trzydziestu metrów wznosił się nad piaszczystą cieśniną morską, którą w czasie przyływu zalewa woda. Ale mężczyzna o wiele wcześniej polecił mi zatrzymać się i wyłączyć światła. Odwróciłam się, by na niego spojrzeć. Usiadł na leżance, na której zostawiłam suknię. Rozwiązał sznurowadła i ściągnął buciory. Jego koszula i spodnie z identycznego siermiężnego płótna powalane były błotem.

Związał sznurowadła, robiąc z nich jedno długie, a potem ze zwinnością kota skoczył na równe nogi i zerwał łańcuszek, który miałam na szyi. Na okrzyk, którego nie zdołałam powstrzymać, choć szarpnięcie nie sprawiło

mi większego bólu, groźnie podniósł na mnie łapę i warknął: „Zamknij się!”

Później, dotykając głową sufitu kamionetki, zsunął złoty medalik, zawieszony na łańcuszku, i nawłókł go na sznurowadło. Ten medalik, pamiątka chrztu, był pierwszym klejnotem, jaki otrzymałam. Płaskorzeźba przedstawiała Najświętszą Pannę z Dzieciątkiem Jezus. Pracujący w mroku mężczyzna miał najwyraźniej bardzo zręczne palce. „O, tak będzie lepiej” – powiedział.

Kazał mi odgarnąć włosy. Otoczył sznurowadłem moją szyję w ten sposób, by medalik znalazł się z przodu, a potem poczułam, że wiąże pętlę. Zaciągnął ją, żeby pokazać mi, jak działa. Jego twardy zarost kłuł mnie w policzek, musiałam więc trzymać głowę wysuniętą do przodu. Wtedy niemal przyjaznym szeptem, przerażającym bardziej niż najpotworniejszy krzyk, powiedział: „Wkrótce natkniemy się na ludzi. Spróbuj stanąć na wysokości zadania. Jeśli popełnisz gafę, skręcę ci kark. Obiecuję!”

Ruszyliśmy. Nie potrafię znaleźć słów, by wyrazić, w jakim byłam stanie. Marzyłam, by ocknąć się ze snu. Przesuwający się za oknem krajobraz, który znałam od dzieciństwa, wydał mi się tak obcy, jak pejzaże ukazujące się w nocnych koszmarach. To trzęsłam się z zimna, to znów paliła mnie gorączka.

Most wyraźnie rysował się na tle nieba. Przy wyjeździe poruszały się sylwetki ludzi z lampkami. Zablasyły światła reflektorów. Zwolniłam. Poczulałam, że leżący za mną na podłodze mężczyzna przywarł do ławki. Sznurowadło naprężyło się pod osłoną moich włosów. Zapytał: „Ilu ich jest?” Jego ostry głos nie zdrzął, tak jak nie drżała dłoń trzymająca mnie na uwięzi. Zbliżając się naliczyłam siedmiu ludzi. Powiedziałam mu o tym.

W blasku reflektorów furgonu i lamp rozpoznałam niebieskie mundury żołnierzy, hełmy i karabiny. Zobaczyłam, że zablokowali drogę podwójną linią zasieków. Tego, który nimi dowodził i teraz szedł w moją stronę unosząc dłoń, by zatrzymać wóz, widywałam w mieście. Ten krzepki chłopak o prostackiej twarzy, czarnych włosach, spłaszczonym nosie boksera nazywał się Malignaud i był adiutantem.

On też rozpoznał pojazd mego męża. Podeszedł do drzwi i zapytał: „To pani jest Emmą?” W rażącym świetle reflektorów blokady, rozprasającym najgłębsze ciemności, on również wydał mi się nierzeczywisty.

Powiedział: „Z cytadeli uciekł więzień. Czy nie zauważyła pani po drodze czegoś podejrzanego?” Sznurowadło zacisnęło się na mojej szyi, więc lekko odchyliłam głowę do tyłu, to jednak mogło wydać się gestem

zdziwienia. Zaprzeczyłam, a głos nie drgnął mi nawet wówczas, gdy dodałam: „Na nikogo się nie natknęliśmy”.

Siedziałam za kierownicą ubrana tylko w przykrótką halkę i białe pończochy. Nie widziałam wyrazu jego twarzy, którą przysłaniał hełm, czułam tylko, że przygląda mi się z pewnym zdziwieniem. Zapytał: „Gdzie jest pani mąż?” Odpowiedziałam: „Z tyłu, śpi”. Spuściłam oczy. Słyszałam bicie własnego serca. Sama nie wiem, czy w tamtej chwili chciałam, żeby schwytał ukrytego za moim siedzeniem mężczyznę, czy raczej, żeby odsunął się i pozwolił nam odjechać. Wyczułam, że zwraca wzrok ku wnętrzu furgonu, ale tylko przelotnie, znów zatrzymując spojrzenie na mych obnażonych ramionach i udach. Wreszcie, podążając niezrozumiałym dla mnie tokiem myślenia, wyszeptał: „No tak, przecież to wasza noc poślubna”. I odszedł.

Stanąwszy znów w blasku światła, dał żołnierzom znak, by usunęli zaporę. Starając się nadać głosowi surowe brzmienie, które pokryłoby zmieszanie, powiedział: „Niech pani będzie ostrożna, Emmo. Człowiek, którego szukamy, to istna bestia”. Po chwili wahania dodał ostro: „Gwałt i zabójstwo”.

Uchyliłam usta, być może po to, by poprosić go o pomoc, ale mężczyzna ukryty z tyłu przejrzał mnie i silniej niż za pierwszym razem szarpnął sznurowadłem, a ja tylko zacisnęłam powieki i odrzuciłam głowę do tyłu. Teraz wiem, że adiutant Malignaud wziął to za reakcję wstrząśniętej pierwszą nocą młodej mężatki i wyrzucał sobie, że bez potrzeby mnie wystraszył.

Nie wiem, jak zdołałam uruchomić wóz. Przejechałam wąskim pasem drogi pomiędzy krytą plandeką ciężarówką a zaporą, mijając żołnierzy. Dwóch czy trzech uniosło lampy, by mi się przyjrzeć, a któryś, spostrzegając zdołającą furgon wstęgę z białego tiulu, zakrzyknął: „Wiwat panna młoda!”

Na moście dodałam gazu.

W chwilę później nieznajomy wstał i poczułam prześlizgujące mi się po szyi sznurowadło. Uwalniając mnie powiedział: „Jesteś dobrą dziewczyną, Emmo. Zachowuj się tak dalej, a wkrótce będziesz wolna”.

Usłyszałam, jak szpera po szafkach pod materacami, i już po chwili przeskoczył oparcie siedzenia i pojawił się obok mnie, trzymając słoik przygotowanych przez mamę konserw. Zabrał się do jedzenia, najpierw palcami, potem wychylając zawartość słoika wprost do ust. Nie widziałam, co to było, nie czułam nawet zapachu, tak bardzo nieznajomy cuchnął bagnem. Zuł bez słowa, wpatrzony w drogę, spokojny niczym notariusz.

Prowadząc spoglądałam na niego mimo woli i kiedy to zauważył, przyłożył brudny palec do mego policzka, zmuszając mnie do odwrócenia głowy.

Kiedy opróżnił słoik, opuścił szybę i wyrzucił go na drogę. Powiedział: „Od wczoraj rana nie miałem w ustach nic poza paroma ostrygami, które udało mi się ukraść. Musiałem je rozłupać kamieniami”. Ciągnął tym samym tonem: „Niedaleko stąd jest skrzyżowanie. Skręcisz w prawo, w kierunku Angoulême”.

Teraz, gdy minęliśmy blokadę, szok i wewnętrzna pustka, jakich doznałam, ustąpiły miejsca uczuciu tchórzowskiej ulgi. Długo dobierałam słowa, nim odważyłam się przemówić. Wiedziałam, że gdy wydobędę z siebie głos, popłyną łzy, które tak usilnie starałam się powstrzymać, i mój napastnik przekona się, jak jestem słaba, głupia i zdana na jego łaskę.

Wbijając dla niepoznaki wzrok w głębokie ciemności daleko przed nami, zapytałam: „Czemu właściwie nie zostawi mnie pan tutaj i nie pojedzie dalej sam? Byłoby szybciej, gdyby sam pan prowadził”.

Nie udało mi się powściągnąć błagalnego tonu i łez, które nagle załyły mi oczy. Odpowiedział nawet na mnie nie patrząc: „Na próżno się wysiłasz. Nie wiem”.

Wjechaliśmy do Charente, które musiał dobrze znać. Może zresztą przeglądał przed ucieczką dokładną mapę. Nie odezwałam się już więcej, a on trwał w mylącym półśnie, udzielając mi czasem tylko wskazówek co do dalszej drogi, nie mówiąc jednak, dokąd zmierzamy. Po pewnym czasie zrozumiałam, że jedziemy donikąd. Wydawało się, że chodzi mu wyłącznie o to, by wtargnąć do kolejnej uśpionej wioski i zakłócić jej spokój. O tej porze roku nocą ruch był tu niewielki, szczególnie na bocznych drogach, którymi jechaliśmy. Minęliśmy tylko dwa samochody, ale za każdym razem na ich widok nieznajomy wyciągał rękę ku kierownicy i jak szalenciec naciskał klakson. Potem z uczuciem ulgi znów wtulał się w fotel.

Podobnie jak ja nie miał zegarka, ale znacznie lepiej oceniał upływ czasu, bowiem co pewien czas wychylał się z samochodu i odczytywał godzinę na wieży widniejącego w dali kościoła. W pewnej chwili przyjrzał mi się uważnie i powiedział dziwnie łagodnym głosem: „No, jeszcze pół godziny i zatrzymamy się, żebyś mogła się przespać”.

Ale stało się inaczej. W parę minut później, na leśnej drodze, silnik zaczął się dławić i umilkł. Zabrakło benzyny. Znaleźliśmy się na lekkim wzniesieniu i nieznajomy krzyknął, bym jechała dalej. Niżej kazał mi nagle skręcić w ścieżkę biegnącą w głąb lasu. Patrząc przed siebie, w oświetlony

reflektorami samochodu krąg, i widząc wyłaniające się z mroku drzewa, byłam pewna, że zaraz się zabijemy.

Kiedy furgon, podskakujący na wybojach tak, że nie mogłam utrzymać się na siedzeniu, wreszcie się zatrzymał, mężczyzna był wściekły. Chyba miał do mnie pretensję, że nie uprzedziłam go, gdy bak zaczął się opróżniać. Właściwie miałabym mu sporo do powiedzenia, po pierwsze, że nie miałam o tym pojęcia, ale byłam tak wyczerpana, że nie słyszałam nawet, co do mnie mówi. Starczyło mi sił tylko na to, by wtulić głowę w ramiona, oprzeć ją o kierownicę i usnąć.

Wydawało mi się, że nieznajomy natychmiast zaczął mnie szarpać, ale kiedy otworzyłam oczy, był już dzień. Mężczyzna stał przy drzwiach, bacznie przypatrując mi się czarnymi oczyma. Miał kilkudniowy zarost, ogoloną czaszkę i ubrany był w pochłapany błotem więziński strój.

A więc koszmar trwał nadal.

Powiedział, że spałam trzy godziny, tak jak on. Odwróciłam głowę ku „miłośnemu gniazdku”. Wszystko poniewierało się rzucone byle jak na podłogę – zapasy jedzenia, ubrania, moje rondelki, wszystko. Popatrzyłam na niego przez łyżki wściekłości, ale nie zrozumiał. Oznajmił, jakby było to całkiem naturalne: „Potrzebowałam pieniędzy na benzynę”. Krzyknęłam: „I nie mógł mnie pan poprosić?” Uśmiechnął się. Zaskoczył mnie widok jego białych zębów, zupełnie do niego nie pasujących. Dodał: „Szukałem jeszcze paru innych rzeczy, ale nie znalazłem ich. Poza tym jednym”. I nagle podsunął mi pod nos brzytwę mego męża z otwartym ostrzem. Mimo woli odskoczyłam w bok. Bardzo wolno złożył brzytwę i powiedział: „No, wysiadaj”.

Poranne słońce migotało wśród drzew. Zadrżałam z zimna, ubrana tylko w skąpą bieliznę. Zgrabiła poszłam za nim do tylnych drzwiczek furgonetki. Tu zapytał mnie, czy chce mi się jeść, pić, zrobić siusiu. Powiedziałam, że chciałabym się ubrać. Odrzekł beznamiętnym głosem: „To niemożliwe”. Nie próbowałam z nim dyskutować. Tłumiąc wściekłość powiedziałam, że muszę na parę minut zostać sama. Palcem wskazał zagajnik: „Tam! I pamiętaj, że biegam szybciej niż ty!”

Potem, kiedy wróciłam, podał mi kubek chłodnej kawy i dwa kawałki czekolady. Stał przede mną i nie spuszczał ze mnie oczu, ja jednak wbiłam wzrok w ziemię. Zerkałam na jego buty bez sznurowadeł. Zastanawiałam się, jak długo zamierza mnie więzić, jak długo zdoła kluczyć, nim zostanie schwytany.

Ledwie przelknęłam resztkę kawy, gdy pociągnął mnie pod drzewa.

Nie przeszło mi nawet przez myśl, że chce mnie zabić – nie traciłby przecież czasu, żeby poić mnie kawą – mimo to jednak byłam coraz bardziej niespokojna.

Zatrzymał się pod dębem, skąd widziałam jeszcze nasz wehikuł. Na ziemi leżał zwinięty w kłębek kawał materiału. Podniósł go i wtedy zrozumiałam, że podarł moje ubrania, żeby zrobić linę. A po cóż miałby ją robić, jeśli nie – żeby mnie związać?

Odskoczyłam w tył, krzyknęłam. Po raz pierwszy chciałam uciec. Obcasy moich pantofli grzęzły w miękkiej ziemi i nim zrobiłam trzy kroki, powalił mnie i obrócił niczym naleśnik. Wgniatając kolano w mój brzuch spojrział złym wzrokiem i powiedział: „Nie próbuj więcej tego robić! Nigdy!” Potem powłókł mnie brutalnie pod dąb, posadził i zaczął przywiązywać do pnia z rękami wykręconymi do tyłu, a ja płakałam przez cały czas, gdy to robił. Zgubiłam jeden pantofel, a on ściągnął drugi i odrzucił daleko. W końcu zakneblował mnie strzępem prześcieradła i to najbardziej mnie przeraziło.

Ale to był dopiero początek horroru.

Wstając napastnik odetchnął głęboko i przez kilka sekund przyglądał mi się w milczeniu. Potem uśmiechnął się dziwnie i tak jak stał, wzniosł ręce do uszu i jednym ruchem, bez cienia grymasu na twarzy, zerwał – tak, zerwał – skórę z czaszki!

Wrzeszczałam mimo knebla i zacisnęłam powieki.

Kiedy odważyłam się wreszcie otworzyć oczy, stał nadal w tym samym miejscu, trzymając w rękach gumowy czepek, który rozciągał. Wyglądało to na rozcięty pęcherz piłki i zresztą było połową takiego pęcherza. Mężczyzna miał włosy zaczesane do tyłu i pozlepiane klejem.

Powiedział: „Jestem sprytny jak małpa, przekonasz się”.

I zostawił mnie.

Patrzyłam, jak wsiada do furgonetki. Był tam przez dłuższy czas, ale z tej odległości nie słyszałam, co robi. W miarę sił próbowałam uwolnić się z więzów, ale nie miałam szans na ucieczkę, chyba że wyrwałabym drzewo i poniosła je ze sobą

Wreszcie nieznajomy pojawił się znowu i zbliżył o parę kroków. Może zresztą nabierał mnie i był to zupełnie kto inny. Ogolił się, umył, a jego lśniące, jasne włosy opadały na czoło. Miał na sobie białą koszulkę polo, letnie spodnie, które przedłużył odwijając mankiety nogawek, mokasyny – wszystko ukradzione mojemu mężowi. W rękę trzymał starą blaszankę, taką, jakie zostawia się w lesie i używa do karmienia bażantów. Wyglądał na zwyczajnego automobiliste, któremu zabrakło benzyny. Nienawidziłam go.

Powiedział: „Niedaleko stąd jest miasteczko. Wkrótce wrócę”.

Przeszło mi przez myśl, że jest niedziela i że nie będzie mu tak łatwo dostać benzynę. Patrzyłam, jak oddala się i znika. Nie płakałam.

Zbierałam siły, by wyrwać dąb.

Długo tkwiłam przywiązana do drzewa.

Promienie słońca przedzierały się przez listowie i było mi gorąco.

Ptaki świergotały jak opętane. Żłocisty bażant przemknął przez polanę, na której siedziałam. Ledwie rzucił na mnie okiem i ruszył w dalszą drogę, zajęty własnymi problemami. Staralam się nie myśleć o węzach, krwiożerczych mrówkach i innych, nie istniejących w rzeczywistości stworzeniach, które niegdyś zrodziły się w mej dziecięcej wyobraźni i stały się przyczyną moich lęków.

Do tej pory – była ósma, może wpół do dziewiątej – mój mąż, nawet boso i w piżamie, dawno już zdążył podnieść alarm. Taki furgon jak nasz, pomalowany na artystyczną żółć, ozdobiony girlandami niczym tort weselny, rzucał się w oczy. Byłam pewna, że już zdołano ustalić z dokładnością paru kilometrów miejsce, gdzie się znajdowaliśmy. Wszyscy okoliczni żandarmi ruszyli do akcji. Kto wie, może właśnie przetrząsają pobliski las, może pojawią się lada chwila? Pozostało mi wdychać świeże powietrze i spokojnie czekać.

A jednak nurtowała mnie jedna jedyna wątpliwość i nie potrafiłam się od niej uwolnić. Mój mąż nie zauważył mężczyzny, który zakradł się do „miłosnego gniazdka”. Był tylko świadkiem niespodziewanego, niepojętego odjazdu furgonetki, którą ja prowadziłam. Jakie wnioski wysnuł ten ograniczony, niewiarygodnie głupi człowiek? Znałam go dość dobrze, by odpowiedzieć na to pytanie: pomyślał, że po prostu uciekłam, bo go nie kochałam – a znał mnie na tyle, żeby o tym wiedzieć – i dlatego, że perspektywa spędzenia z nim nocy poślubnej budziła we mnie wstręt. W tej sytuacji potrafiłam przewidzieć, co zrobi, jakbym przy tym była. Zbyt zadufany w sobie i dumny z pozycji podrzędnego szefa, by spojrzeć w oczy ludziom i opowiedzieć o nieszczęściu, jakie go spotkało, boso wędrował skrajem drogi podskakując na ostrych kamieniach, aż dotarł do Saint-Julien de l'Océan i ukradkiem, zmordowany i wściekły, przedostał się o trzeciej nad ranem do domu i położył do łóżka, rozmyślając nad zemstą, jaką zgotuje mi, gdy wrócę, nie wątpił bowiem, że jestem zbyt tchórzliwa, żeby ruszyć w nieznaną i że w najgorszym razie ukryję się na dzień czy dwa u ciotki, i zasnę, a w tej chwili chrapał w najlepsze, podobnie jak żandarmi.

Znów ogarnęła mnie desperacja, gdy nagle w pobliżu rozległ się trzask suchej gałęzi. Dobiegły mnie też inne dźwięki, zaczęłam więc nasłuchiwać wstrzymując oddech. Ktoś szedł przez zagajnik. Mogłam tylko jęczeć przez knebel, ale jestem przekonana, że nikt dotąd nie wkładał w to tyle serca. Tylko nogi miałam nie skrępowane, więc wierzgałam nimi jak opętana. Łzy wycieńczenia i nadziei napłynęły mi do oczu.

W chwilę później na polance pojawił się łowczy, prawdziwy łowczy – wąsaty, w kepi, wysokich butach, z dubeltówką. Na mój widok stanął z rozdziawionymi ustami. Potem powoli podszedł do mnie, a pod jego stopami trzeszczały suche gałęzie. Powiedział, jakby nie wierząc własnym oczom: „Nieszczęsna kobieta!” Zawzięcie jęczałam, dając mu do zrozumienia, że powinien czym prędzej mnie rozwiązać.

Oparł strzelbę o pień i wyciągnął dużą, kraciatą chustkę do nosa, żeby otrzeć pot z czoła. Nałożył kepi i dopiero wtedy pochylił się nade mną. Zastanawiał się, od czego zacząć usuwanie krępujących mnie więzów. Wówczas – jak to wyrazić? – ujrzał mnie taką, jaką byłam – na pół nagą dwudziestolletnią dziewczyną, potarganą, nie mającą możliwości krzyczeć ani się bronić, błagalnie w niego wpatrzoną.

Zauważyłam zmianę, jaka zaszła w nim, choć jeszcze nie zmienił tonu i powtarzał obłudnie: „Biedna kobieta!” I nagle wsunął tłustą łapę pomiędzy me uda, jeszcze bardziej obnażone po szamotaninie, którą usiłowałam ściągnąć uwagę przechodnia. Gładząc me piersi zawołał z obleśnym zachwytem: „Mięciutkie, jak przepióreczka!...”

Próbowałam ze wszystkich sił bronić się, kopałam go, aż kepi spadło mu z głowy, ale gwizdał na kepi, na moją szamotaninę i zduszone krzyki. Łajdak wodził brutalnymi łapami po moim ciele, zsuwał ze mnie bieliznę, podniecał się każdym moim drgnięciem, aż wycieńczona, bez tchu, zaprzestałam wzbraniać mu tego, czego pragnął. Bliska omdlenia patrzyłam, jak spokojnie rozpina pasek. Zrozumiałam, że jestem zgubiona. Zamknęłam oczy.

W tej samej chwili usłyszałam głuchy odgłos, poczułam, że zsuwa się ze mnie przytłaczający ciężar obleśnego cielska.

Zbieg z cytadeli stał obok, trzymając strzelbę łowczego za lufę, a łowczy leżał skulony na ziemi, jęcząc i obejmując obiema rękami głowę.

Reszta trwała niespełna minutę.

Zbieg kopnął łowczego w żebra mówiąc: „Wstań, łajdaku!” Tamten zdźwignął się na kolana, wciąż trzymając się za głowę i jęcząc. Miał zamknięte oczy i zdawał się bardzo cierpieć. Zdołał wstać, był jednak trupio blady, a widząc, jak podpira brodę, pomyślałam, że ma skręcony kark, a może nawet stało mu się coś gorszego.

Zbieg trzymał go na muszce. Powiedział bezlitośnie: „Teraz liczę do trzech. Jeżeli zdążę powiedzieć «trzy», zabiję cię!” I od razu zaczął: „Raz!” Przerazony łowczy zataczając się, jęcząc z bólu i trzymając się za głowę, uciekł do zagajnika. Gdy już zniknął nam z oczu, zbieg kopnął poniewierające się po ziemi kepi, posyłając je do diabła.

Uspokojone ptaki znów zaczęły śpiewać. Mężczyzna odłożył strzelbę i nachylił się nade mną. Po raz pierwszy, odkąd się wystroił, widziałam go z bliska i wydałby mi się bardzo przystojny, gdyby nie okoliczności, w jakich go poznałam, i przeżycia, na które mnie naraził. Zdjął mi knebel. Powiedziałam zupełnie szczerze: „Dziękuję panu”.

Zapomniałam – prawie zapomniałam – w jak żalonym stanie jest moja bielizna, zapomniałam, że jestem teraz jeszcze bardziej obnażona. Powiedziały mi o tym jego oczy. Zamiast mnie uwolnić, przypatrywał mi się tak, że przestraszyłam się. Poczulałam, że widzi mnie taką, jaką jestem – dwudziestoletnią dziewczyną, itd., itd., i zapytałam bezbarwnym głosem: „Proszę pana, co panu chodzi po głowie?”

Zamiast odpowiedzieć, nasunął mi knebel na usta.

Wolno, bardzo wolno gładził pierś, którą obnażył łowczy. Powiedział: „To prawda, że jest mięciutka jak przepióreczka”. Nie wyglądał na kogoś, kto żartuje. Był jakby zafascynowany. Zrozumiałam, że jestem zgubiona. Zamknęłam oczy.

Nie posunął się dalej. Rozwiązał mnie w milczeniu, zasępiiony. Potem powiedział: „Nie posiadam kobiety od długich sześciu lat, ale nie należę do tych, którzy biorą je siłą”.

Uwolnił mnie i pomógł wstać. Potwornie obolała, myślałam tylko o tym, jak osłonić się koszulką, której ramiączko było zerwane. Nie śmiałam na niego spojrzeć. Podniósł moje buty i podał mi je.

Potulnie szłam za nim do furgonetki. W prawej ręce niósł strzelbę łowczego, pod lewą sporządzony własnoręcznie sznur. Napęczniony benzyną baniak zostawił przy wozie. Z pewnością powrócił na samym początku szamotaniny, bo słyszał odrażające słowa napastnika, nim zainterweniował, bezszelstnie zbliżając się do strzelby. A gdyby nadszedł nieco później, czy ujawniłby się od razu ryzykując, że zostanie schwytany, czy też myśląc o tym, jak zdobyć broń, spokojnie przyglądałby się, jak łowczy mnie gwałci? Przypomniały mi się słowa adiutanta Malignaud: ten człowiek zgwałcił i zamordował.

Przelewając benzynę do baku powiedział: „Idź się ubrać. Odjeżdżamy”.

Weszłam do zdewastowanego „miłosnego gniazdka”. Znalazłam czyste majtki, poza tym jednak do włożenia nadawała się tylko suknia ślubna,

jedyna, którą oszczędził robiąc sznur. Łzy znów napłynęły mi do oczu, ale się opanowałam. Zbyt wiele przeszłam, żeby nadal zachowywać się jak lękliwe jagnię, chciałam być zimna i wyrachowana. Wkrótce znajdę jakiś sposób, by odwrócić sytuację, a wtedy zapłaci mi za wszystko.

Odświeżyłam się myjką zwilżoną wodą kolońską. W zbiorniku nie było wody – tam właśnie, w małym słoiczku, mój przezorny mąż, lękający się hiszpańskich złodziei bardziej niż wszystkich innych poza może włoskimi, ukrył pieniądze na podróż.

Zapinałam właśnie suknię, kiedy do furgonetki wsiadł zbieg. Zamaszystymi kopniakami wyrzucił na dwór wszystko, co wałało się po podłodze. Potem zgarnął rzeczy z łóżka. Krzyknęłam, mimo złożonej samej sobie przysięgi, że niczemu już nie będę się dziwić: „Co pan wyrabia! Szukają pana, natrafią na to!” Odpowiedział: „Mam nadzieję”. Potem zamknął drzwi furgonetki. Znów musiałam przechodzić przez oparcie przedniego siedzenia.

Zatankowaliśmy na wiejskiej stacyjce benzynowej, obsługiwanej przez co najmniej stuletnią staruszkę. Nie pytana, wyliczyła nam wszystkich miejscowych, których podejrzewała o przynależność do V kolumny, dodając przy każdym nazwisku: „No, ale tego mam na oku”. Kiedy odjeżdżaliśmy, szepnęła do mnie: „Trzeba się nacieszyć mężem, póki młody, bo potem wyślą go do okopów i koniec pieśni”.

Później uciekinier zabrał się do jedzenia ocalałych konserw mojej matki, tym razem łyżką, i pokrajanej brzytwą połowy pęta kiełbasy. Drugą połowę podał mnie. Nie mieliśmy nic do picia, ale nieco dalej zatrzymaliśmy się przy źródółku, na skraju miasteczka, z którego zapamiętałam tylko dźwięk dzwonu kościelnego. Wybiło właśnie południe. Kiedy już napiliśmy się do syta i napełniliśmy zbiornik, przez cały czas nie widząc żywego ducha, zerwaliśmy z furgonetki tiulowe ozdoby i nieznajomy kazał mi zawrócić. Wyjaśnił to krótkim stwierdzeniem: „Dość daleko już odjechaliśmy”.

Jadąc drogą powrotną nie starałam się nawet zrozumieć jego postępowania. Nagle, na pierwszym skrzyżowaniu, mężczyzna kazał mi skrócić w prawo, w stronę oceanu, od którego dotąd uciekaliśmy. Rozparł się na siedzeniu i powiedział: „Mam na imię Vincent. Kiedy dotrzemy na półwysep, wypuszczę cię”. Sądziłam, że się przesłyszałam albo że to on oszalał. Zapytałam: „Na półwysep? Chce pan wrócić na półwysep?” Odrzekł: „To jedyne miejsce, gdzie mnie już nie szukają”.

Muszę powiedzieć, że od tej chwili, pomimo niewiarygodnie skomplikowanej trasy, jaką wybierał – „Urodziłem się lipcu – powtarzał – chodzę jak rak”, i pomimo tego, co stało się później, cały czas zbliżaliśmy się do Atlantyku.

Prowadziłam w rażącym blasku słońca, którego żar zmusił nas do otwarcia okien. Raz po raz odgarniałam włosy z czoła. Nie odzywaliśmy się do siebie. Czasami zerkałam na niego, mając nadzieję, że usnął. Nie bałam się go już tak bardzo. A on przestał cuchnąć. Siedział z wyciągniętymi nogami, wsparty łokciami o drzwiczki i spokojnie, niczym człowiek udający się na wakacje, spoglądał na drogę.

W pewnej chwili zapytał: „Słyszałaś kiedyś o cytadeli?”

Jest taka mała wyspa bez nazwy, niedaleko od Saint-Julien, zajęta w całości przez fortyfikacje wzniesione za Richelieugo. Była oblegana w czasie wojen religijnych, a w informatorach turystycznych, które ilustrowałam, pisano, że przebywał na niej prawdziwy d'Artagnan i że podczas stoczonych tu bitwy stracił rękę. Długo brałam to za dobrą monetę, kiedy jednak zaliczyłam wszystkie, wymienione w przewodnikach po Brouage, La Rochelle i Ré, członki nieszczęśnika, ostateczny efekt okazał się tak przerażający, że na widok bohatera bezdomne psy musiałyby uciekać z wyciem.

W bardziej realistycznie traktowanych czasach cytadela stała się morskim więzieniem, a podczas wojny więzieniem wojskowym. Kiedy byłam mała i mówiono o tym przy mnie, bo moja obecność znaczyła tak niewiele, że całkiem o niej zapominano, nazywano je „Dożywotnim”, a często także „Pułapką na szczury”, bo nawet szczur nie zdołałby się stamtąd wymknąć. Ale nikt nie myślał o rakach...

Odpowiedziałam zbiegowi: „Agencja, w której pracuję, mieści się przy porcie Saint-Julien. Często widywałam statki dostarczające więźniom żywność”. Długo milczał, potem zaś powiedział: „Najlepsze w cytadeli było kino, raz w miesiącu, a na Boże Narodzenie dwa razy”.

Tuż po południu postanowił zrobić postój. Zatrzymaliśmy się w szczerym polu, gdzie jak okiem sięgnąć nie było żadnych domostw. Nie wyłączyłam silnika, gdy wysiadał, a serce zaczęło mi bić szybciej. Powiedział: „Skorzystaj i ty z okazji”. Odrzekłam, że nie mam ochoty. Sięgnął po strzelbę. Po prostu skierował jej lufę w moją stronę. Wysiadałam.

Potem, kiedy jechaliśmy już pod słońce, zapytał, jakby czytał w moich myślach: „Po co miałabyś uciekać? Poczekamy do zmroku i wrócimy na półwysep tak, żeby nikt nas nie zauważył. Zostawię cię tam, skąd cię zabrałem”.

Patrząc mu w oczy odpowiedziałam szczerze: „Obiecuję, że nie będę próbowała uciec. Ale wie pan przecież, że będą mi zadawali pytania. Skąd mogę mieć pewność, że mnie pan nie zabije?”

Wzruszył ramionami: „Gwiżdżę na ich pytania”. I zamilkł.

W godzinę później, wśród porośniętych winoroślą pagórków Charente, wypadłam z zakrętu. Specjalnie.

Widzę, jak uciekam pośród wysokich winorośli, przez których liście przebijają się promienie czerwonego słońca. Jestem zagubiona, bosa, w sukni ślubnej, która płącze się między nogami i którą musiałam podwinąć, żeby biec.

Przeskakiwałam ze szpaleru w szpaler, odgarniałam oblepiające twarz włosy, nasłuchiwałam, ale nie słyszałam nic poza własnym oddechem, potem zagłębiałam się coraz bardziej w labirynt zieleni, przekonując samą siebie, że mężczyzna leży nieprzytomny i przysypany odłamkami potłuczonego szkła, między powgniatanymi blachami karoserii i że nie doścignie mnie tu nagły wystrzał, który zabiłby mnie, zanim usłyszałabym detonację.

Nie wiem, jak długo tak biegłam.

Potem zabrakło mi sił, zataczałam się niemal ośleplą, czułam żar w piersiach i uderzenia tysiąca młoteczków w głowie i doznałam niemal ulgi, gdy schwytna za kostkę runęłam na ziemię. Przygniatał mnie, unieruchamiał, wściekły, zadyszany i patrzył na mnie pełnymi nienawiści oczyma, ale było mi to obojętne, mógłby mnie bić, a nawet zabić, nieważne, czułam, że jestem u kresu sił.

Powiedział nerwowym, gniewnym głosem: „Nic nie rozumiesz! Nic!”

Długo leżeliśmy, starając się odzyskać oddech i z konieczności łącząc się tymczasem bez słowa, samym spojrzeniem.

Kiedy wróciliśmy do ambulansu, rozumiałam, że nie możemy jechać dalej. Leżał w poprzek rowu, wbity w ziemię winnicy, a lewe tylne koło wisiało w powietrzu. Drzwi po stronie pasażera były pogięte i wyłamane, szyby potłuczone, siedzenie wyrzucone na zewnątrz.

Z „wypadku” nie pamiętam nic prócz hałasu. Wiem, że ze wszystkich sił zapałam się o kierownicę przed skrętem. Zupełnie nie mam pojęcia, jak wyszłam z kabiny.

Mężczyzna, Vincent, miał rozcięte czoło, ja – obolały palec i powalaną ziemią białą suknię. To były jedyne skutki mego wyczynu. Udało mi się nawet odnaleźć pantofle – jeden pod kierownicą, drugi na drodze. On zauważył leżącą w rowie nie uszkodzoną strzelbę.

Do nocy ukrywaliśmy się wśród winorośli, na wypadek gdyby pojawili się jacyś ciekawscy. Wkrótce drogą przejechał skulony człowiek na warczącym motocyklu, ale albo nie był wścibski, albo miał słaby wzrok, bo minął furgonetkę nie zatrzymując się.

Była pełnia. Ostrożnie weszliśmy do ambulansu, potrząsnąwszy nim przedtem, żeby upewnić się, czy stoi stabilnie. Wewnątrz wszystko pospadało na podłogę, ale nie było większych strat, z trudem jednak utrzymywaliśmy równowagę.

Ułożyliśmy materace, potem Vincent usiadł po jednej stronie, ja po drugiej. Złość dawno mu już minęła, ale nie chciał, żebym to zauważyła. Powiedział cierpko: „Jutro poszukamy kogoś, kto doprowadzi ten wrak do porządku”. Odkąd mnie złapał, nie odezwałam się ani słowem, ale teraz potrzebowałam z kimś porozmawiać, bo czułam się kompletnie zagubiona. Nie wiedziałam, jak zacząć i nie chciałam, żeby znowu mnie ofuknął. Tylko jedno przyszło mi do głowy: „Wolę pana z włosami”.

Wbrew wszelkim oczekiwaniom roześmiał się krótkim, ale pełnym zadowolenia śmiechem. Wytłumaczył mi, że w cytadeli, dzięki pomocy więźnia – fryzjera, od dwóch miesięcy nosił „perukę”, żeby zmylić pościg, kiedy ucieknie. Zapytałam, w jaki sposób uciekł. Zasepił się i powiedział tylko: „Nie powinna pani tego wiedzieć, Emmo. Może jeszcze kiedyś mój sposób przyda się któremuś z kumpli”.

Przetrząsnęłam szafki w poszukiwaniu czegoś do jedzenia i znalazłam kawałek chleba, ser i czekoladę. Kiedy jedliśmy, zapytałam, czy mogę zadać mu osobiste pytanie, może niedyskretne. „Spróbuj, zobaczmy”. Rano powiedział mi, że od sześciu lat nie miał kobiety. Ale czy przedtem, gdy był na wolności, jakaś kobieta pojawiła się w jego życiu?

Wstał, aby napić się wody z kranu zbiornika. Żeby utrzymać równowagę, oparł się o umywalkę i pomyślałam, że nie chce mi odpowiedzieć. Jednak gdy usiadł w mlecznej poświacie księżycy, wpadającej przez otwarte drzwiczki, i zapatrzył się w dal nieobecny wzrokiem, w jego głosie brzmiała łagodna nostalgia. Zrzucił maskę, zaufał mi.

Kobietą, którą kochałem najbardziej, tą prawdziwą, pierwszą – mówił młodzieniec o wiernym sercu – była moja babka.

Była drobna i ruchliwa, biedna jak mysz kościelna, niezłomna jak migocące w jej oczach ogniki i zawsze ubrana na czarno, bo aż do śmierci nosiła żałobę po moim dziadku. Ani latem, ani zimą nie wychodziła bez parasolki,

oczywiście czarnej, której hebanowa rączka była inkrustowana masą perłową.

Ona właśnie, kiedy uczyłem się czytać i pisać, przychodziła po mnie wieczorami i czekała pod szkołą gminną Belle-de-Mai w Marsylii, niedaleko od bulwaru National, gdzie przyszedłem na świat.

Na początku nie było niemal dnia, by w polekcyjnym zamieszaniu starsi chłopcy nie otoczyli mnie na chodniku, aby podrzeć moje książki i dać mi kuksańca, ale zaczynałem już być twardy i stawiałem im czoło, zaciskając pięści, głuchy na inwektywy: „Makaroniarz! Gównojad! Wracaj do siebie, włoska świnió!”

Zdarzało się, że ulegałem, atakowany przez całą bandę, obezwładniony przez wiele rąk, ale zawsze wtedy z drugiej strony ulicy nadchodziła babka i w blasku słońca stawała przed nami niczym anioł sprawiedliwości, a w jej oczach lśniła radość, że pojawiła się w porę, by ukarać zło. Przepędzała ich szybko, okładając parasolką po nogach, goniąc najbardziej zajadłych lub sparaliżowanych strachem i wołała za nimi: „Faszystowskie nasienie! Następnym razem łby wam porozwalam, że nawet rodzona matka nie pozna!”

Potem brała mnie za rękę i prowadziła, obrzucając pogardliwym spojrzeniem kobiety, które stały przed szkołą i powstrzymywały się od interwencji. Powtarzała: „Coś takiego!” I oboje ruszaliśmy zalaną słońcem ulicą. Kroczyliśmy dumnie, jak przystało na dzieci świętego Apolinarego, z prowincji Frosinone. Byłem dumny z babki i jej parasola, i – możesz mi wierzyć – nim nastął listopad, zyskałem szacunek kolegów.

Zbieg zamilkł. Siedział z łokciami wspartymi na kolanach, zapatrzony w przeszłość, a ja nie śmiałam przerwać ciszy. Bałam się zdradzić wzruszenie.

W poświęcie księżycy widziałam go prawie jak w biały dzień. Ubiegłej nocy dawałam mu trzydzieści lat, ale był z pewnością młodszy. Podobały mi się jego dłonie i głos, a nawet – czemuż miałabym to dzisiaj taić? – te chwile w moim życiu, które spędziliśmy razem, w tkwiącym w rowie ambulansie, tak daleko od mego domu, że jakby na innej planecie.

Pochyliłam się do przodu i szepnęłam szczerze: „Ktoś, kto tak kocha swoją babkę, nie może gwałcić i mordować”. Zasepiony zwiesił głowę, ale nadal milczał.

Długo stał w drzwiach ambulansu, wpatrując się w noc, a potem sięgnął

po sznur, który sam skrzył, i przepaszającym tonem powiedział, że jeśli ma się przespać, musi mnie związać. Odrzekłam, że to rozumiem. Leżąc na plecach pozwoliłam skrępować sobie ręce i nogi w kostkach. Mężczyzna zamknął drzwi ambulansu. Słyszałam, jak układa się na materacu. Wreszcie, pośród ciemności, powiedział mi – a czekałam, czekałam, żeby to powiedział: „Zostałem skazany niewinnie”.

Dopiero później dowiedziałam się, jak bardzo zaskoczył go rankiem widok mego pustego posłania i rzuconego na podłogę sznura. Poderwał się tak gwałtownie, że stracił równowagę i zjechał po pochyłej podłodze. Myślał: „Zdrajczyń!” Był przekonany, że go wydam.

Wyskoczył na zewnątrz i podbiegł do kabiny kierowcy. Stał jak wryty. Włosy miał rozczochrane. Zobaczył mnie, ubraną w brudną suknię ślubną, gdy rozmawiałam z wąsatym wieśniakiem, który trzymał za uzdę potężnego konia pociągowego.

Powiedziałam do mego rozmówcy: „To mój mąż. Jesteśmy w podróży poślubnej”.

Chłop nie powiedział ani słowa, gdy poszłam po niego do obejścia. Słuchał mnie, kręcił głową, mruczał niezadowolony, ale w końcu poszedł za przęgnąć konia. Całym swym wyglądem – od spodni z grubego weluru, które związał w talii szerokim pasem flaneli, po podwinięte niedbale rękawy koszuli bez kołnierzyka – dawał wyraz pretensji do świata i ludzi.

Zmierzył Vincenta spojrzeniem, jakim obrzuca się nic niewarte drzewo, obdarzył go takim samym groźnym pomrukiem. Potem podszedł do furgonetki i zerknął na nią kątem oka. Zapytałam nieśmiało: „Myśli pan, że da się to naprawić?”, ale nie otrzymałam odpowiedzi.

Koń ze zwieszonym łbem ciągnął ambulans na fermę. Vincent pomógł chłopu przy wciągarnce. Wspólnie ustawili ją na klockach. Zdemonstrowali jedną z osi wozu. Siedziałam z boku na kamiennej ławce i obserwowałam ich.

Słońce stało już wysoko i mocno grzało, gdy dziewczyna mniej więcej w moim wieku, o czarnych i jeszcze dłuższych i bujniejszych niż moje włosach stanęła na progu domu. Była bosa i miała na sobie niechlujnie, a może wyzywająco rozpiętą podomkę. Najwyraźniej dopiero wstała z łóżka. W pierwszej chwili wzięłam ją za córkę gospodarza, ale ziewając powiedziała: „Wejdźcie. Mąż sam sobie poradzi. Nie lubi, jak ktoś patrzy mu na ręce przy robocie”.

*Zwraca uwagę zwrot: „niechlujnie, a może wyzywająco rozpięta”.
Od tej chwili zeznania Emmy odbiegają znacznie od udzielonych przez*

nią żandarmom zaraz po zejściu, a pod koniec nawet wprost im przeczą. Wyraźnie z upływem lat, nie lękając się już wyjawić dwuznaczności swego zachowania, staje się bardziej szczerą niż w poprzedniej części relacji.

(Notatka Marie-Martine Lepage)

W południe małowówny mężczyzna wymontował wszystkie pocięte części samochodu i prostował je ciężkim młotem nad rozpalonym w podwórku ogniskiem. Ubranie Vincenta, moja suknia ślubna i bielizna suszyły się w słońcu na sznurze o kilka kroków dalej.

Mój niby-mąż i ja umyliśmy się kolejno w izbie, a młoda wieśniaczka, Eliza, dała nam prześcieradła, byśmy mogli się okryć. Siedliśmy po przeciwnych stronach dużego, dębowego stołu, ona zaś upiekła dla nas kurę, którą nieco wcześniej zabiła. Nie pytając nas o zdanie, nastawiła stary, dwudziestoletni patefon z miedzianą tubą i korbką, z którego popłynęły dźwięki modnego bolera *Po cóż próbować, to przecież jest możliwe* i od tej chwili rozlegały się bez końca, jakby Eliza miała tylko tę jedną płytę. Wpatrywała się w Vincenta, a on z nawiązką odwzajemniał jej zainteresowanie. Na krótko przedtem z wręcz żalną troskliwością przemyła wodą utlenioną skaleczenie na jego czole i zmarnowała rolkę plastra, by zrobić trzycentymetrowy opatrunek.

Muszę przyznać, że śliczna z niej była roślinka, śliczna, ale trująca. Zwrócona do nas plecami, Eliza kołysała się, przyprowadzając niemal o zawrót głowy. Kiedy stała przodem do nas, była czystą prowokacją. Od naszego przyjazdu robiła, co mogła, by błysnąć gołym udem.

Podając kurczaka obsłużyła najpierw Vincenta, którego nazywała „przystojnym panem”. Ocierała się o niego tak nachalnie, że w końcu nie mogłam już powstrzymać się i powiedziałam: „Jak pani nie wstyd robić takie rzeczy za plecami męża!” Zwróciła na mnie pełne hipokryzji spojrzenie i tonem świętej niewinności odrzekła: „Nie robię nic złego. Widać, że pani nie kocha męża. A ja mojego kocham. No i co?”

I zaraz, nie zwracając już na mnie uwagi, zaczęła tańczyć bolero, wybijając rytm bosymi stopami i wznosząc ręce nad głowę. Jej wilgotne wargi lśniły, a czarne, cygańskie oczy wpijały się w oczy Vincenta. Powiedziała do niego: „Czy wie pan, kim chciałabym być...? Tą dziewczyną, wie pan, tą, która tańczy dla króla. W lochu siedzi więzień, ona go kocha, a on jej nie chce...” Vincent patrzył na nią i słuchał rozanielony niczym postać z

jasełek. Prawie zamarł z kurzym udkiem w garści.

„I tańczyłabym tak, tańczyła – szeptała Eliza – aż przyniesliby mi jego głowę na srebrnej tacy...”

Sama nie wiem, może nawet zaczął bić jej brawo. Kiedy Vincent najadł się do syta i napił do woli wina, które wedle słów farmera pochodziło z jego własnej winnicy, namówił mnie, bym skorzystała z propozycji Elizy i odpoczęła w jedynym poza izbą dzienną pomieszczeniu – sypialni gospodarzy, ponieważ z dochodzącego z zewnątrz uporczywego stuku można było wnioskować, że naprawa zajmie jeszcze sporo czasu. Zorientowałam się naturalnie, że chce się mnie pozbyć, ale nie powiedziałam ani słowa, bo co zresztą miałabym powiedzieć? Że od rana kłamię, że trzeba zawiadomić żandarmerię? A poza tym byłam naprawdę zmęczona i miałam dość telefonu i mizdrzenia się tej dziewczuchy. Dziś mogę już otwarcie nazwać zażdrością to gorzkie uczucie, które mnie wówczas trawiło.

Kiedy zamknęłam za sobą drzwi i zostałam sama, usiadłam na łóżku tak wysokim, że nogami nie sięgałam ziemi. Tym bardziej czułam się mała i zagubiona. Tłumaczyłam sobie, że trzeba wybaczyć mężczyźnie, który „przez sześć długich lat” nie tknął kobiety, gdy ulegnie czarowi pierwszej chcącej się mu oddać, że mogę nienawidzić go z wielu przyczyn, ale na pewno nie za to, i że gdybym tylko chciała, to tej nocy w furgonetce, a nawet przedtem, w lesie, mogłam z łatwością usidlić go tak jak ona – jedno spojrzenie i byłby mój. Ale żadne perswazje nie pomagały, słyszałam ich szepty za drzwiami i czułam się okrutnie zdradzona.

A potem już ich nie słyszałam, i to było najgorsze. Tak szybko biegłam, by zajrzeć do izby, że prześcieradło, w które byłam owinięta, prawie opało. Nie było ich już. Cóż miałam robić? Zamknęłam drzwi i zasępiona zbliżałam się do łóżka, by znów na nim usiąść, gdy z zewnątrz dobiegł mych uszu zduszony krzyk. Rzuciłam się ku oknu. Przez szpary zamkniętych okiennic zobaczyłam, że tył domu wychodzi na rozległą winnicę. Vincent spowity w biel niczym rzymski imperator kroczył w ślad za Lizą. Ich śmiechy dochodziły mnie na przemian z uderzeniami młota niezmordowanego wieśniaka.

Zanim Vincent zdążył zrównać się z nią, rozpięta już wszystkie guziki czerwonej sukienki. Zwyczajnie zsunęła ją z ramion. On postąpił tak samo z prześcieradłem. Nadzy przyglądali się sobie przez parę sekund, a potem rzucili na siebie i padli przytuleni na miękką ziemię, śmiejąc się w głos.

Straciłam ich z oczu. Przysunęłam do okna krzesło i weszłam na nie. Wydawało mi się, że walczą, że nacierają się winogronami jak rozbrykane dzieciaki. Chwilami w szparach okiennic pojawiała się noga lub głowa wysuwająca się spośród liści. To, co ujrzałam i czego się domyśliłam, gdy umilkły już śmiechy, było dla mnie torturą i – trudno, jeśli uzna mnie Pani za zepsutą – podniecią zarazem. Słyszałam przede wszystkim bezwstydne jęki Elizy, jakby odmierzane dobiegającym z podwórza waleniem młota, którego rytm zdawały się przybierać. Mówi się, że kobiety nie są wrażliwe na tego rodzaju widowiska. Ale Pani wie równie dobrze jak ja, że tę opinię mógł wydać tylko mężczyzna.

Mimo wszystko znalazłam w sobie dość sił, by oderwać się od okna, by opuścić pokój. Owinięta w prześcieradło, już we własnych pantoflach, poszłam na podwórze po odzież, która zdążyła wyschnąć. Zajęty kuciem wieśniak nawet na mnie nie spojrział. Uderzał i uderzał, a pot spływał mu z czoła i skrzył się na twarzy, on zaś od czasu do czasu, jakby odpowiadając na jakieś nurtujące go pytanie, wydawał ten dziwaczny, pogardliwy pomruk.

Przed wieczorem furgonetka, bez przedniej szyby i wyrwanych drzwiczek, była gotowa.

Vincent zapłacił wieśniakowi pieniędzmi mego męża. Jak przystało na głowę rodziny, zajął miejsce za kierownicą i wtedy zrozumiałam, że wziął mnie ze sobą nie jako szofera, ale jako zakładniczkę. Fakt ten nie mógł już wzmoczyć mego przygnębienia. Nawet gdyby mi teraz wyznał, że jego babka wcale nie istniała, nie odezwałabym się słowem.

Przez drogę na półwysep mówił niewiele, chyba tylko, żebym przysunęła się do niego, ponieważ po mojej stronie nie było drzwi i bał się, że wypadnę na zakręcie. Nie drgnęłam. Podmuchy chłodnego wiatru targały mi włosy i ogłuszały mnie. Miałam uczucie, że wszystko ze mnie splukują.

Zatrzymaliśmy się w pełnym słońcu przed mostem. Blokadę już chyba zdjęto. Mimo to Vincent wskoczył na tył furgonetki i wyciągnął strzelbę, którą ukrył w jednej z szaf. Musiałam znów sięść za kierownicą. Powiedziała: „Doskonale wiem, co cię tak irytuje, Emmo. Byle tylko nie pchnęło cię to do zrobienia jakiegoś głupstwa”. Brzmiało to jak modlitwa.

Przejechaliśmy przez cieśninę nie natykając się na nikogo. Wkrótce potem kazał mi zjechać z drogi głównej, którą przyjechaliśmy wczoraj, w wiodącą wzdłuż wybrzeża oceanu. Plażowicze wracali do domów na

rowerach. Grupa oszołomionych świeżym powietrzem dzieci z kolonii letnich szła w ciszy poboczem.

Zatrzymaliśmy się przy wydmach, przed wyludnioną plażą. Wysiedliśmy na piasek. Vincent ściągnął mokasyny, a mnie poprosił, żebym poczeekała, aż się rozejrzy po okolicy. Patrzyłam, jak ubrany w białą polo i wyprasowane przez wieśniaczkę spodnie oddała się i znikła wśród żółtawych skał, pomiędzy którymi bawiłam się często w dzieciństwie. Nie wiem, czemu zwano je Koroną Morza. A może kazał mi czekać tylko po to, by odwlec chwilę, gdy zgłoszę się na żandarmerię? Być może, przeciwnie, dawał mi ostatnią szansę powiedzenia wszystkim, że mu uciekłam. Nie chciałam się nad tym zastanawiać. Czekałam na niego.

Gdy siedząc w ślubnej sukni na wydmie zobaczyłam, że wraca, słońce niczym czerwona kula opadało coraz niżej, kryjąc się za linią horyzontu, a panująca wokół cisza rodziła przeświadczenie, że w całym wszechświecie słychać jedynie krzyk mew i szum fal. Vincent osunął się na piasek obok mnie. Jego oczy błyszczały z podniecenia, gdy zakładając mokasyny powiedział: „W zatoce za skałami stoi zakotwiczony duży, biały jacht. Jeżeli uda mi się dostać na pokład, popłynę nim choćby na kraj świata. Nigdy mnie nie znajdą”.

Dostrzegł łzę na mym policzku. Zbity z tropu szepnął: „Co cię napazło?” Odpowiedziałam nie patrząc na niego, nie ruszając się: „Zabierz mnie ze sobą”.

Podskoczył jak pajacyk na sprężynce, kiedy otwiera się pudełko. Krzyknął: „Co takiego?!” Brakło mu słów, by wyrazić to, co myślał: że oszalałam. Zdołał tylko zaoponować: „A twój mąż?” Tym razem patrząc mu w oczy, powtórzyłam łagodnie: „Zabierz mnie ze sobą”.

Zdezorientowany kręcił głową, ale widziałam, że chce w ten sposób ukryć wzruszenie. Patrząc w zalane purpurą niebo powiedział: „Masz tylko dwadzieścia lat, Emmo”. Zupełnie jakbym o tym nie wiedziała! A potem podszedł do zaparkowanego nieco dalej ambulansu. Otwierając tylne drzwi rzucił: „Jak myślisz, czemu cię uszanowałem? Za nic na świecie nie śmiałybym wykorzystać twej niewinności!” I zniknął w „miłosnym gniazdku”, być może po to, by zabrać strzelbę, która była mu bardziej potrzebna niż ja.

Wstałam, zacisnęłam pięści i ruszyłam w kierunku ambulansu, oparłam się plecami o karoserię, by nie widzieć, jak zareaguje na to, co mu powiem, by nie okazać miotającego mną gniewu, od którego załamywał mi się głos. I wyznałam mu prawdę.

Pomówmy więc o mej niewinności.

Prócz świadectwa ukończenia szkoły średniej i dyplomu szkoły rysunku w Royan, tylko ją miałam, gdy przed rokiem zgłosiłam się do agencji, a pan Seweryn, szef personelu, zatrudnił mnie. Miał spiczasty nos, chodził z dumnie uniesioną głową, a żeby wyglądać na wyższego, wspinał się na palce. Widziałam go kilkakrotnie w Saint-Julien, ale nie zwróciłam na niego większej uwagi, niż na to zasługiwał, czyli żadnej.

Już od pierwszego tygodnia wynajdywał najrozmaitsze preteksty, by zatrzymać mnie wieczorem po wyjściu innych. Raz trzeba było poprawić makietę, kiedy indziej ilustrację czy cokolwiek innego, co wpadło mu w ręce. Najpierw ograniczał się do komplementów, chwalił me stroje, kolor oczu, co już wprawiało mnie w zażenowanie, zwykł bowiem wznosić mój podbródek, by się im przyjrzeć, ale bardzo szybko ośmielił się i zaczął klepać mnie po pośladkach, gładzić me piersi, utrzymując, że nie ma żadnych złych myśli, że jest przecież dwakroć starszy ode mnie.

Nie śmiałam się sprzeciwić, ale narastający z każdym dniem lęk towarzyszył mi, gdy zbliżała się godzina zamknięcia biura, a nocą obsesyjne myśli nie dawały mi zmrzyć oka. Nie miałam się komu zwierzyć. Byłam zbyt nieśmiała, by mieć przyjaciół, a rodzice i tak nie potrafiliby mnie zrozumieć. Uważali pana Seweryna za człowieka szacownego, czuli się zaszczytzeni mogąc przywitać się z nim na ulicy i byli przekonani, że winniśmy mu wdzięczność, ponieważ dał mi pracę.

Pewnego listopadowego wieczoru, gdy o szyby uderzały krople deszczu, chwycił mnie w pasie i chciał pocałować. Tym razem próbowałam się bronić, mój opór wzmagął jednak rozjuszenie napastnika, który w końcu zaczął rwać na mnie ubranie. Odpłaciłam mu drapiąc go po twarzy.

Udało mi się uwolnić i schronić za stołem kreślarskim. Stała na nim jedyna paląca się jeszcze lampa w pokoju. Pan Seweryn dyszał głośno, twarz miał wykrzywioną z bólu. Doprowadzając do porządku ubranie, spoglądałam z przerażeniem na cztery krwawiące pręgi, ślady moich paznokci.

Gdy zdołał wreszcie wydobyć z siebie głos, szepnął gniewnie: „Ty mała dziwko! Wiesz, że jeśli zechcę, wyleję cię stąd, zanim się obejrzysz!” Wziął ze stołu projekt ogłoszenia, który dopiero co skończyłam. Nawet nie rzuciwszy nań okiem, podarł go na kawałki i cisnął na podłogę. Uśmiechając się zjadliwie, powiedział: „Do niczego!”

Scena ta powtórzyła się nazajutrz i w następnych dniach. Oschle polecał mi w obecności innych po godzinach dokończyć pracę. A kiedy zostawaliśmy

sami, zaczynał mnie dręczyć. Nie baczył na me błagania i obejmował mnie, poddzierał mi spódnicę, szeptał do ucha obleśne słowa, ja zaś starałam się ze wszystkich sił uwolnić. Wtedy rwał moje rysunki, powtarzając: „Do niczego!”

Zagroziłam, że poskarżę się właścicielowi, ten jednak niestety praktycznie nie bywał w biurze. Skwitował to złośliwym śmiechem: komu uwierzą – mnie czy jemu? Uznają mnie za histeryczkę, ot i wszystko.

Nie wiem, czy dziś jeszcze można to zrozumieć, ale były to czasy marazmu ekonomicznego, strajków, bezrobocia. Kiedy przyszłam na świat, moi rodzice byli już niemłodzi. Teraz nie mogłam liczyć na pomoc dwojga starsuszków bez większych dochodów. Bałam się, że nie znajdę innej pracy. Któregoś wieczoru pozwoliłam mu zerwać z siebie bluzkę i pchnąć się na stół kreślarski. Kiedy brutalny jak zwierzę gwałcił mnie stojąc między moimi zwisającymi nogami, niewiele sobie robiłam z bólu. Płakałam ze wstydu!

Niewinność?

Całymi miesiącami, wieczór w wieczór, w biurze lub u niego w domu – bo skoro już się zaczęło... – kładłam się na plecach, na brzuchu, oddawałam mu się na czworakach, i jak tylko sobie zażyczył.

Nim skończyłam dwadzieścia lat, byłam równie czysta jak stara słomianka.

„Co za łajdak! Co za łajdak!” – wykrzykiwał do głębi wstrząśnięty Vincent, chodząc po „miłosnym gniazdku”. Usiadł, próbując się opanować. Ocierając łzy podeszłam do niego. Bulwersowało go zwłaszcza jedno: „I wyszłaś za niego?” Powiedziałam smutno: „On tego zażądał. Chciał mnie mieć wyłącznie dla siebie. A poza tym wiesz, jak żyje się w małym miasteczku”.

„Co za łajdak! Co za łajdak!”, zaczął na nowo Vincent.

Nie byłam w stanie się opanować, zarzuciłam mu ręce na szyję: „Tak! Pomścij mnie! Dostanie za swoje!”

W podnieceniu nie wiem jakim cudem wylądowałam okrakiem na jego kolanach. Całowałam go, tuliłam się, moje dłonie zawędrowały pod jego koszulę. Jakże gładką miał skórę, jak wspaniale było pragnąć kochać się z kimś! Odupuć mi, Panie Boże, ale zapomniałam o wstydzie i jęczałam mu do ucha: „Proszę cię, proszę, zrób ze mną to, co zrobiłeś z Lizą!...”

Wciąż jeszcze do głębi poruszony moimi zwierzeniami, odsuwał mnie

i walczył z pożądaniem, ale wkrótce nasze usta spotkały się, a on wziął mnie w ramiona i poczułam, że ulega namiętności zbyt długo powściągniętej. Cały świat wirował z nami w pocałunku, gdy osuwaliśmy się na materac. Jedna ręka zawędrowała na me plecy, by rozpiąć suknię ślubną, druga tymczasem, cudownie zaborcza, wspinała się po mych udach. Zrozumiałam, że przepadłam. Zamknęłam oczy.

Niestety niemal natychmiast Vincent wyprostował się, patrząc w jeden punkt i nasłuchując. Zapytał głuchym głosem: „Słyszałaś?” Nie zrozumiałam, o czym mówi. Rozpalona, na pół naga, nasłuchiwałam. Ale mych uszu nie dobiegał żaden dźwięk prócz szumu fal. On jednak rzekł przerażony: „Psy!”

Poderwał się na równe nogi i zrywając plaster z czoła wykrzyknął: „Znaleźli mnie! Osaczają!” Rozejrzał się wokół, jakby wahał się, co robić, a potem jego oczy spoczęły na mnie. Przez krótką chwilę widziałam w nich żal i smutek. Szepnął: „Tak na pewno będzie lepiej. Żegnaj, Emmo”.

Gdy odwracał się w stronę otwartych drzwi, krzyknęłam: „Nie!” i usiłowałam chwycić go za nogi. Spadłam z leżanki, on zaś wyskoczył na zewnątrz. Widać pisane mi było zauważyć w tej właśnie chwili ukrytą pod materacem strzelbę łowczego. Chwyciłam ją, wstałam i pobiegłam za nim.

Brnąc z trudem przez piach, zapadając się w wydmy, nie uszedł daleko. Biegnąc ku niemu z rozwianymi, opadającymi na oczy włosami, krzyczałam: „Nie! Vincent, błagam cię!... Stój!” Nie zatrzymał się, nawet nie obejrzał za siebie. Nacisnęłam spust. Nie sędzę, bym tego chciała. Może zapłatałam się w rozpiętą suknię i straciłam równowagę, może zawadzały mi wysokie obcasy... Tak czy inaczej, kula poszybowała w czerwone słońce. Po raz pierwszy w życiu trzymałam w ręce strzelbę. Huk spłoszył z plaży stada mew, a mnie zaskoczył nie mniej niż Vincenta.

Stał twarzą do mnie, oniemiały, z wytrzeszczonymi oczyma. Idąc w jego stronę, powiedziałam błagalnie: „Nie możesz mnie tak zostawić!... Nie teraz, kiedy ci o wszystkim opowiedziałam! To niemożliwe, zrozum!...”

Z sosnowego lasu, który ciągnął się w głąb lądu, daleko za wydмами, dobiegało wyraźne ujadanie sfory psów.

Nie spuszczać ze mnie oczu, Vincent zaczął cofać się powoli w kierunku żółtych skał. Krzyknął przerażony: „Nie widzisz, że zaraz mnie dopadną? Szalona dziewczyno, przez ciebie mnie złapią!” Cofał się coraz szybciej, w desperacji machając rękami, by skłonić mnie do odwrócenia lufy. Wyczytałam z jego oczu, że chciałby, abym zniknęła, żeby mnie w

ogóle nie było, i wtedy po raz drugi nacisnęłam spust. Przez łzy widziałam, jak pada, odrzucony w tył siłą pocisku, jak krew tryska z jego piersi, jak z rozkrzyżowanymi rękami zwała się na piasek.

Stałam skamieniała z przerażenia, trzymając wciąż strzelbę. Nagle zaległa cisza. Zamilkło ujadanie, zamilkły mewy. Nie słyszałam nawet własnego oddechu.

Nie wiem, jak długo tkwiłam w nicości.

Kiedy doszłam do siebie, odwróciłam się, pobiegłam do furgonetki i odjechałam daleko od plaży.

Oto jak przebiegały tamte wydarzenia. To, co mogłam wówczas zeznać żandarmom i Malignaudowi, nie ma żadnej wartości. Prawdą jest tylko, że nie wiedziałam wówczas i nie wiem do dziś, czemu strzeliłam. Może po to, bym nie musiała zabić samej siebie.

Co było potem, wie Pani lepiej ode mnie, a co stało się ze mną, nikogo nie obchodzi, chcę jednak odpowiedzieć na wszystkie Pani pytania, choć ostatnie wydaje mi się tak potwornie niesprawiedliwe. Podczas tych dwóch dni, które spędziliśmy razem w drodze, Vincent nie wspomniał ani o spadku, ani o testamencie, pamiętałabym o tym. Jedyнным dobrem, jakie u niego widziałam, poza ową siłą uwodzenia, która zgubiła nas obie, był płaski, złoty sygnet na jego lewej ręce, sygnet, którego niezauważenie przeze mnie tak Panią dziwi.

Ma Pani rację, zauważyłam go już w chwili porwania, gdy zatkał mi ręką usta. Pytałam Vincenta o ten sygnet i zdumiało mnie, że pozwolono mu go zachować przez te wszystkie lata więzienia. Odpowiem jak on: powiedział mi tylko, że jest to obrączka jego dziadka i że babka dała mu ją niegdyś, by nie czuć się tak samotną, owdowiałą, i że aby ją zdjąć, trzeba by odciąć mu palec.

Belinda

Kiedy to się stało, miałam prawie dwadzieścia cztery lata. Był sierpień, a ja urodziłam się we wrześniu, dwudziestego ósmego albo dwudziestego dziewiątego, nikt dokładnie nie wiedział. Znalaziono noworodka, czyli mnie, u boku zmarłej matki, w jednej z tych szop na plaży, w których przechowuje się leżaki i materace. Sama wydała mnie na świat. Wydzierałam się tak długo, że zabrakło mi tchu. Krótko mówiąc, zapisali w papierach 28 lub 29, nie zawierając sobie głowy szczegółami. I wtedy właśnie moje nazwisko po raz pierwszy pojawiło się w prasie.

Przez następne dwadzieścia cztery lata nie dawałam powodów, by o mnie mówiono. Ponownie zdobyłam sławę, gdy zostałam prostytutką w pewnym burdelu, bardzo zresztą eleganckim i uczęszczanym przez doborową klientelę. Takim z wazonami pełnymi kwiatów, w bukietach po ludwiku za jeden. I z łazienką dla personelu wyłożoną turkusowymi kafelkami, z turkusową wanną i kranami ze srebra. A w pokoju miałam baldachim z zasłonkami, trochę, by było romantycznie, trochę dla ochrony przed komarami. Balkon wychodził na ocean. Było to w „Królowej Serc”. Kto tego nie widział, nic nie widział.

Jestem szczerą jak złoto, pracowita jak pszczołka, a słodka jak miód. Raz, kiedy byłam jeszcze w Paryżu, zaczęłam chodzić na lekcje, żeby nauczyć się ładnie wyrażać. Ot, takie trzytygodniowe szaleństwo zafundowane przez mojego ulicznego anioła stróża, obrotnego cwaniaka, jakiego pierwsza lepsza pensjonarka może spotkać na dworcu Montparnasse. Był tam, gdy przyjechałam z Bretanii. Nie, nie jestem Bretonką, znaleźli mnie w szopie na nicejskiej plaży. Wybrałam się do Perros-Guirec w odwiedzin

do dawnej koleżanki z sierocińca, która ustawiła się już i chciała mnie zabrać do siebie. Miała na imię Justyna, ale nazywaliśmy ją Desdemoną. Odkąd stała się obiektem mego uwielbienia, mówiłam o niej Demona. To ona właśnie pewnego niedzielnego popołudnia, w sypialni, wyrwała ze mnie pierwsze jęki.

Była tak pulchna, jak wysoka, a naiwna jak dziecko. Ostatecznie, kiedy jej facet rozejrzał się po Perros-Guirec, okazało się, że nie mam tam przyszłości, więc wyjechałam. Horoskop z „Bonne Soirée” wróżył Wągom pecha aż do następnego numeru, ale Wagi umieją balansować, toteż ledwie postawiłam nogę na paryskim peronie, a już miłość mego życia chwyciła mą walizkę i wyznawała mi uczucie.

Miłością mego życia, od pierwszego wejrzenia i na cztery kolejne lata, był ten jedyny, niepowtarzalny, huragan mych nocy, tęsknota dni: Pięknolicy. Był tak szkaradny, że aż wzruszał, niższy ode mnie o głowę, ale krępy, i ani przez moment nie potrafił pozostać w bezruchu, nawet kiedy spał. Istny kłębek nerwów. Miałam wówczas naprawdę szesnaście lat, chociaż w dokumentach podawałam osiemnaście. On, przynajmniej na początku, nie był starszy ode mnie. Potem przeczytałam na starym angażu, że był elektromonterem, i dowiedziałam się, że odmładza się o sześć lat. Jak mu o tym powiedziałam – bo pszczoły czasem potrafią ukłuć, to buch!, i szłam w kąć uczyć się „abecadła”! Pięknolicy dał mi niezłą szkołę, ale tego mi było właśnie trzeba tamtej zimy, żeby poradzić sobie na ulicy Delambre. Marzałam jak goły tyłek Eskimosa. Na wystawach wino zamarzało w butelkach. Słowo daję. Kto tego nie przeżył, niewiele wie o życiu.

W lutym mieszcuchy zamykały się w domowym ciepłku, robotnicy przemykali szybko ulicami, a ja przez całe popołudnia włóczyłam się na darmo i bywało, że ani razu nie rozłożyłam nóg. Wtedy właśnie Pięknolicy postanowił we mnie zainwestować i zapłacił za lekcje, żebym nauczyła się mówić jak teraz. Chodziłam na bulwar Raspail 238, na stryszek, z którego okien widać było cmentarz. Mój profesor, nie pamiętam, jak się nazywał, był schludnym emerytem, zawsze w krawacie i plastikowym kołnierzyku. Mówił: „Podmiot, orzeczenie, dopełnienie, kropka”. Opowiadał mi o swym nieszczęsnym życiu, o żonie, która wpadła pod fiakra, kiedy miała trzydzieści lat, synu, który umarł rok wcześniej, pokazywał przez okno ich wspólny grób, przy którym wiernie warował. I opowiadał o wojnie, wciąż o wojnie. Żeby zapłacić za lekcję, dogadzałam mu, jak umiałam najlepiej, zawsze w jego fotelu, zawsze na chwilę przed wyjściem, ale on nigdy nie wykorzystywał sytuacji w pełni, tylko płakał cicho nad wspomnieniami. Pięknolicy, który nie znosił niczego nikomu zawdzięczać, zaproponował

mu forsę albo inną dziewczynę na moje miejsce, ale stary nie chciał.

Kiedy zakończyłam naukę, ulecieliśmy jak jaskółki w me rodzinne strony. Mieszkaliśmy w Cannes i w Beaulieu. Chodziłam po barach hotelowych, polowałam na zagranicznych biznesmenów. Można powiedzieć, że było nieźle. Pięknołicego słońce południa przyprawiało o chandrę. Chciał, żebym była damą, żebym brylowała w wyższych sferach, bezpieczna jak maszynistka w biurze Kolei Żelaznych, elegancka jak Marlena Dietrich z papierosem w długiej cygarnicze. Kielich goryczy przepełnił się, kiedy o mało go nie aresztowali.

Co gorsza, nie ze względu na moje prowadzenie się. Mówił mi, że zwolnili go ze służby wojskowej. Niby miał coś z sercem. Kiedy się ostro kochaliśmy, przykładałam zaraz potem ucho do jego piersi. Żeby zobaczyć, czy serce nie wali mu za mocno. Ale biło regularnie jak dzwon. Oczywiście kłamał. Pewnego wieczoru wrócił wykończony do pokoju hotelu „Tamaris” w Beaulieu. Powiedział, żebym się spakowała. Wróżka uprzedziła go, że armia depcze mu po piętach. Zwolnili go, aha, jak mnicha po ślubach zakonnych... Kiedy skończył dwadzieścia lat, nie stawiał się na komisję. Dają głowę. Od tego czasu widok mundurów przyprawiał go o skręt kiszki i kazał sobie stawiać karty, żeby nieszczęście nie spadło na niego znieńacka.

W ten sposób los rzucił nas na południowy zachód, a tam trafiłam do „Królowej Serc”, niedaleko od Saint-Julien de l'Océan, na baśniowym półwyspie, porośniętym sosnowymi lasami, zwanym Cyplem Amerykańskim. W styczniu powietrze pachniało mimozami. To jak niebo południa i ostrzygi na obiad. Żyłam jak w rajku przez długie miesiące, dokąd na dobre nie capnęli Pięknołicego.

Pamiętam rozkoszne niedziele, zanim został żołnierzem. Mieszkał w Rochefort, i dobrze mu się tam działo, ale mógł mnie odwiedzać, kiedy tylko chciał. Przyjeżdżał swoim białym wozem. Zwykle dwa razy w miesiącu, z rzadka częściej. Nigdy nie wchodził do „Królowej Serc”. To nie przystawało mężczyźnie, w dodatku mógł wśród naszych gości natknąć się na oficerów w cywilu. Poza tym Madame, chociaż dobrego serca, nie chciała go widzieć. Podstępnie wkręcił mnie do tej pracy. Zwykle przyjmowała tylko dziewczęta z dużą klasą, takie, które umiały się zachować w najlepszym towarzystwie, paplać na każdy zaczerpnięty z najświeższej gazety temat, powtarzając: „Wszelako...” i „Pomimo to...”, wymykać się do ubikacji z gracją księżnej Windsoru, krótko mówiąc, zrzęczne harpie, które zaczynały edukację na Madeleine, podczas gdy ja nie wspierałam się nigdy wyżej niż na stołek w „Carltonie”, a i to ledwie na dwa wieczory, bo potem

uznano, że wyglądam zbyt ubogo i przepędzono mnie bez litości.

Ale powiedziałam: jestem dobrą dziewczyną, nie pyskuję, nie jestem chytra, nie kapryszę, a poza tym, z ręką na sercu – gdyby ktoś chciał mnie obmierzyć metrem krawieckim, od stóp do głów, nie znalazłby nigdzie centymetra za mało. Pomimo że Madame wydałam się troszeczkę za prostacka, szybko uznała mnie za jedną ze swych dziewcząt. Pozwalałam, by ubierał mnie wedle swego gustu, wyrażałam się staranniej, przestałam kręcić tym, czym wyróżniałam się wśród dziewczyn z ulicy Delambre, i po prostu stawałam się coraz bardziej tym, o czym marzył Pięknolicy, łącznie z cygarniczką. Mimo to Madame nie chciała go widzieć! W niedziele, w które mnie odwiedzał, czekał w ogrodzie.

Zabierał mnie na obiad do najbardziej szykownej restauracji w Saint-Julien, „Le Grand Large”, siadaliśmy przy specjalnie zarezerwowanym stoliku, na tarasie z widokiem na port i zamawiał homara i wino Sancerre. Po południu był spacer. Jeszcze go widzę w garniturze z białej alpaki, białych butach, słomkowym kapeluszu, z hawańskim cygarem w ustach, jak niczym król spogląda z niesmakiem na cały świat. Szłam metr za nim, zielonym szpalerem palm wzdłuż wybrzeża, ubrana w jedwabny kostiumik z dobranym kapelusikiem i parasolką, którą osłaniałam przed słońcem mą białą jak kwiat lilii cerę. Zdarzało się oczywiście, że coś go nękało. Odwracał się nagle i rzucał: „Co za nudy, nie sądzisz?... No nie, co ty masz na łbie!” Naśladował głupawe miny Minni i Miki. Wołał: „Nudzę się, cholera!” I łup-łup, w tę i z powrotem, żeby się rozładować.

Ale wiedziałam, że w głębi ducha mnie kocha. Czasami jeździliśmy samochodem aż do zatoki Korony Morza. Ludzie pojawiali się tam tylko w piękne, letnie dni. Przebieraliśmy się w kostiumy kąpielowe na szelki, wówczas najmodniejsze, i uczył mnie pływać. On sam nie potrafił. Krzyczał, o mało nie wypluwając płuc: „I co ja zrobię, jeżeli zaczniemy tonąć? Płyn, psiakrew! No nie, co za poczwara! Płyn, mówię! Nie pij wody!” W końcu zmordowany mówił o trzy tony niżej: „Cholera!” I wciskał mi głowę pod wodę, żebyśmy się szybciej utopiła.

Kiedy odwoził mnie do „Królowej Serc”, doznawałam rozdarcia. Nie wysiadał nawet z samochodu, by mnie ucałować. Siedział za kierownicą odkrytego bugatti lodowaty niczym zeszłoroczna zima, nieprawdopodobnie zjadliwy. Zostawiał mnie zawsze przed drzwiami domu, w głębi ogrodu. Te drzwi pamiętam do dziś. Były bardzo stare, z solidnego polerowanego drewna. Tuż obok, na murze, widniała mosiężna tabliczka wielkości mej

dłoni. Przedstawiała kartę do gry. Nikt by nie pomyślał, że stoi przed drzwiami burdelu.

Płakałam. Chodziłam wokół jego samochodu czekając, że odezwie się do mnie. Mówiłam, słodka jak miód, bo taką jestem: „Przyjedziesz w niedzielę? Prawda?” Zdejmował me ręce z klap marynarki i otrzepując się mówił: „Zobaczymy, zobaczymy...”. A ja wiedziałam, że znów przez długie jak wieczność dni będę się zadრęczala, i płakałam coraz bardziej. Pytałam: „Będiesz o mnie myślał?” Odpowiadał: „Ależ tak, ależ tak”, i naciskał klakson, by położyć kres mym błaganiom. Nigdy nie był zbyt wylewny, chyba że próbował nauczyć mnie sztuki życia i może „na początku, w moim pokoiku na Montparnassie.

W „Królowej Serc” na stałe mieszkał tylko dwudziestoletni chłopak – złote serce i złota rączka do wszelkich prac; był stróżem, kucharzem, barmanem, stroicielem pianin, pucybutem, wyciszał napięcia, był zaufanym panienek i kochasiem Madame. Ani wysoki, ani silny, nauczył się walczyć jak Japończycy. Mówiło się, że pewnego wieczoru, jeszcze przed moim przybyciem, w pojedynkę powalił na łopatki pięciu niepożądanych gości, a trwało to krócej niż kichnięcie. Nazywano go Jitsu. Chodził zawsze boso, w krótkim kimonie i białych spodniach z cienkiego płótna, z opaską na czole, ściśnięty w talii szerokim czarnym pasem.

To on otwierał drzwi, kiedy Pięknolicy trąbił. Pełnymi łez oczyma wodziłam za oddalającym się samochodem, dopóki nie zniknął za bramą, i za każdym razem czułam się bardziej nieszczęśliwa. Wtedy Jitsu przyjaźnie otaczał mnie ramieniem i wprowadzał do środka, mówiąc pełnym współczucia głosem: „No, panienko Belindo, nie wolno się tak denerwować”.

Poza tymi chwilami jednak zachowywałam rozsądek, a wrodzony optymizm brał we mnie górę. Powtarzałam sobie, że Pięknolicy jest istnym aniołem, skoro marnuje niedziele, żeby uczyć mnie pływać, że jest milion razy lepszy przy wszystkich swoich wadach niż banda fagasów, z którymi miałam do czynienia, nie wyłączając obskubywacza mojej koleżanki z Perros-Guirec, słowem wszystko to, co sobie wmawiamy, kiedy nas kantu-ją tak naprawdę, a nie wtedy, kiedy chodzi o jakiś drobiazg – jeden policzek więcej, jednego całusa mniej, no i kiedy jest się taką gęsią jak ja.

Jakże, jakże mogłabym przypuścić, że to światło mych dni skończy pewnego dnia przed sądem wojennym, że skażą go na dożywocie.

Po pierwsze, piechota morska zabrała go z domu, z Rochefort, ale nie posłano go do marynarki. Przez trzy miesiące łamali go, a potem skierowali do piechoty w Metz. Napisał do mnie:

Kochana Georgette!

To moje prawdziwe imię.

Nie udaję już niedołągi. Mam się na baczności. Żarcie dają kiepskie. Przysyłaj paczki i forszę. Jeżeli możesz, zrób sobie zdjęcie nago. Mam na nie kupca. Onanizuję się myśląc o Tobie.

Twój biedny Emil

To było jego prawdziwe imię.

Potem pisał:

Ukochana!

Wylażę ze skóry, żeby uznali mnie za chorego. Kumpel z Bastoche powiedział mi, że wtedy przenoszą bliżej domu. Pamiętaj o forsie. Zdjęcia się podobały. Zrób więcej. Powiedz fotografowi, że ma na nich być widać Twój tyłek. Wszyscy się tu onanizują, kiedy o Tobie myślą.*

Twój biedny żołnierz

* Gwarowa nazwa placu i dzielnicy wokół placu Bastylii w Paryżu (przyp. tłum.).

Wysłali go do szpitala w Rennes z powodu dwóch palców u nóg, które zmiażdżył mu kolbą kumpel z Bastylii. Nie mógł nawet chodzić po schodach. Byłam dumna z jego odwagi, a to ile wycierpiał, żeby być bliżej mnie, wyciskało mi nocami łzy z oczu. Pisał:

Staruszko!

O mało nie umarłem. Żarcie gówniane. Pamiętaj o forsie. Boję się, że Hitler urządzi wojnę, a wtedy nawet kaleki pójdą na mięso armatnie. Ostatnie zdjęcia to barachło. Postaraj się wyglądać bardziej rozpustnie. Tutaj tego trzeba. Chłopaki nie mogą już się onanizować, pora żebyś Ty zaczęła to robić!

Twój uwielbiany Kochanek

Pomijam resztę. Pięknolicy pisał do mnie co tydzień. We czwartek albo w piątek Jitsu z uśmiechem przynosił mi kopertę. Pomimo ubóstwa stylu – można pomyśleć, że to on uczył na lekcje do mojego profesora – i błędów ortograficznych, które tu poprawiono, jego listy wydawały mi się bardzo piękne, odgadywałam z nich smutek, który starał się ukryć. Oczywiście wszystkie dziewczęta chciały je czytać, ale nigdy nie pozwoliłam na to

żadnej prócz Czarnej Zozo, a to ze względu na historię ze zdjęciami, kompletnie zbijającą mnie z pantałyku.

Jeszcze bardziej ode mnie był zbity z pantałyku mój fotograf, starszek w okularach, który zwykle robił zdjęcia na ślubach i w pobliskich szkołach. Pomimo ceny, jaką za nie płaciłam, nie mówiąc nic Pięknolicemu, żeby nie potęgować jego przerażenia stanem naszych finansów i wizją ruiny, stary uważał tę pracę za idiotyzm i nie wkładał w nią serca. Zozo, wspaniała, smukła dziewczyna zza morza, pozowała do takich zdjęć, kiedy dotarła do Marsylii. Doradzała mi, jak potrafiła, i zrobiłam nawet całą serię takich, które mnie wydawały się rozpustne, ale podarłyśmy je – nie były już potrzebne: Pięknolicy ledwie stanął na ośmiu zdrowych palcach u nóg, zgwałcił młodą dziwkę, a w każdym razie oskarżono go o to, i tym razem szło o jego głowę.

Zrozumiałe, że pochorowałam się z tego wszystkiego. Na pół oszalałą przeniesiono mnie do pokoju i przez dwa tygodnie szpikowano zastrzykami nasennymi.

Kiedy lekarz, który się nami opiekował, doktor Lauzey, pozwolił mi w okresie rekonwalescencji przesiadywać na balkonie z widokiem na ocean, Madame powiedziała mi, że Pięknolicy trafił na resztę życia do więzienia.

Najpierw przetrzymano go w fortecy w Lotaryngii. Pisał do mnie:

Moja nieszczęsna, biedna Jo!

Jestem xxxxxxxxx. Bóg – xxxxxxxxxxxxxxx.

xxxxxxxxxxx los. Zapomnij, że xxxxxxx xxxxx w perzynę xxxx

xxxxxxxxxxx xxxxxxxxxxxxxxxx Życie

Twój xxxxxxxx

Potem cenzura skreślała wszystkie słowa. Dostawałam kartki zapisane czarnymi krzyżykami.

Zaczęłam znowu pracować, ale bez zapalu, z bladym, przyprawiającym o ból serca uśmiechem. Płacono mi sumy, których nie zarabiałam, i byłam pewna, że wszystkie dziewczęta oddawały na moje konto część swej gaży. Płakałam jeszcze bardziej, jak prawdziwa fontanna.

Nigdy nie umiałam się modlić, nawet w sierocińcu, gdzie drzemałam pod krzyżem podczas sumy. Ale w końcu, ponieważ wszyscy łącznie z Madame powtarzali mi, że w ten sposób mogę pomóc Pięknolicemu, poszłam do kościoła Świętego Juliana. Zapaliłam Matce Boskiej świeczkę. Powiedziałam jej, że mój kochanek nie jest zły, że umieścił mnie w domu, o jakim nawet nie śniłam, gdy byłam mała, że uczył mnie pływać w Koronie

Morza, że jest mu tym ciężej, iż nie rozumie – i inne takie rzeczy. Tak się spłakałam, że w końcu ujrzałam łzy na jej policzkach. Prosiłam, by wybaczyła mi, że jestem kurwą, ale to jest moje powołanie, byłam więc pewna, że zrozumie.

Już nazajutrz, niech wierzy, kto chce, Pięknoliciego przeniesiono do La Ratière, cytadeli na wyspie na wprost Saint-Julien. Było ją widać ze szczytu latarni morskiej. Co niedziela wspinałam się po dwustu krętych schodkach, trzymając w garści pożyczoną od jednej z koleżanek lornetkę teatralną. Niewiele widziałam, właściwie tylko kamienny mur i czarne otwory, ale to już było lepiej niż nic. W piątki wieczorami chodziłam z Jitsu do portu, żeby popatrzeć na statek, który dowoził żywność i wiklinę do cytadeli. Teraz mój cherubin musiał zabrać się do wyplatania koszy. Wielokrotnie próbowałam dogadać się z którymś z żołnierzy i podać przez niego paczkę, ale żaden nigdy nie chciał.

Raz udało mi się zobaczyć z Pięknolicym, jeden jedyny raz; wtedy nie wiedziałam, że więcej go nie ujrzę. To spotkanie zawdzięczałam Madame. Dogadała się z pewnym młodym oficerem, który znał siostrzeńca generała, a ten generał, mający z kolei duży wpływ na dowodzącego cytadelą kapitana, nie mógł zmrzyć oka z powodu ślicznej burżujki z Surgères, bez pamięci przepuszczającej pieniądze męża, handlarza skór, w kasynie w Royan. Dałam wówczas tej kobiecie pięć tysięcy franków na spłacenie długów. Kilka dni później, w kuchni, gdzie zwykliśmy jadać w neglizju południowy posiłek, Madame wzdychając wręczyła mi przepustkę. Nigdy nie pochwałała szaleństw, jakie popełniałam dla Pięknoliciego.

Nie widziałam go od dwóch lat. Sama miałam wówczas dziewiętnaście. Podczas trwającej trzy kwadranse przeprawy stałam na dziobie statku, nie bacząc na rozpryskujące się fale. Byłam cała w czerni, jak wdowa.

Pokazano mi go w długim, zamkniętym kratą korytarzu. Usiedliśmy na krzesłach, po obu stronach tej kraty. Spodziewałam się ujrzeć szkielet, tymczasem wyglądał jak kiedyś, może nawet miał świeższą cerę i nieco się zaokrąglił. Powiedział mi zresztą, że dobrze ich karmią, a on podlizuje się, komu trzeba, żeby dostawać dokładkę, i nie warto o tym mówić. Ogolili mu głowę, i to dodało mu męskości, ale i na te słowa zareagował niechętnie i nie chciał przedłużać rozmowy, a tylko rzucił, że dla wyrównania tapiruje sobie włosy gdzie indziej.

Mieliśmy dwadzieścia minut i mogliśmy pocałować się dwukrotnie.

Dotąd nie pocałował mnie ani razu. Ledwie na mnie patrzył, tak bardzo był zajęty obserwowaniem swojego nadzorcy, który stał o dziesięć kroków od nas. Pochylał się do przodu, gorączkował się upływem czasu, mówił

do mnie konspiracyjnym szeptem. I ja pochylałam się, dotykając czołem krat, mimo to jednak docierało do mnie co drugie jego słowo.

Widział, że jestem niezadowolona z tego, co zrobił. Szepnął: „Cholera! Przecież ci mówię, że to nie ja! Po co miałbym ją gwałcić?” Odpowiedziałam: „Mnie przecież zgwałciłeś za pierwszym razem”. On na to: „Ty to co innego, kochałem cię”. Oczywiście udało mu się mnie wzruszyć, no i pozwoliłam mu blagować. Z grubsza biorąc, była to wciąż ta sama śpiewka: „Pracuj! Rozumiesz? Pracuj! Trzeba szmalu, żeby mnie stąd wyciągnąć”. Nie miałam pojęcia, co mu chodzi po głowie, ale nie śmiałam pytać, bałam się, że strażnik mnie usłyszy. Sam zresztą powiedział: „Zarabiaj forszę, reszta to mój kłopot, dam ci znać”. Uprzedzono mnie, że bym nie dotykała go przez kraty, bo odwiedziny zostaną przerwane, ale ponieważ i tak czas się skończył, położyłam dłoń na jego ręce, skinieniem powiek dając mu znak, że może na mnie polegać.

Odszedł, jak przyszedł – bez jednego pocałunku. Zrozumiałam, że myśli tylko o sobie, i nawet jeśli wyjdzie z tego zaplutego pudła, nic już nie będzie jak dawniej. I że ja też nie będę już taka sama. Nasze drogi się rozchodziły. Płynąc do miasta zerwałam woalkę i wystawiłam twarz na wiatr. Właściwie nie byłam nawet smutna. Tylko trochę pusta, nic poza tym.

Proszę jednak nie sądzić, że porzuciłabym mego mężczyznę w biedzie tylko dlatego, że przestałam go kochać. Nie jestem jakąś tancerką. Jeszcze tego samego dnia wieczorem w kryształowych zwierciadłach „Królowej Serc” odbiła się postać Belindy z najlepszych czasów – w długiej, mocno wydekoltowanej na plecach sukni koloru kości słoniowej, lśniąca całą biżuterią, jaką miałam, z włosami podpiętymi wysoko i ułożonymi w loki à la Garbo. Madame stawiała szampana.

Od tej chwili przez cztery lata nieprzerwanie poświęcałam wszystkie siły tym nocom i oszczędzałam, by opłacić ucieczkę Pięknolicego. Myślałam o nim coraz rzadziej, to prawda, zdarzało się nawet, że ten i ów przypadł mi do gustu i jęczałam z nieklamanej rozkoszy w jego ramionach, ale nigdy – niechaj Przenajświętsza Panienska skarże mnie, jeśli lżę – nie zapomniałam o danym mu słowie.

Nosiłam się jak księżniczka, otoczona uwielbieniem i zbytkiem, chroniono mnie przed problemami życia codziennego i czułam się w tym okresie szczęśliwa, a każdy dzień tak bardzo podobny był do innych, że nie potrafię wręcz uładzić wspomnień. Wszystko było niczym długi, błękitno-biały szal, który ciągnął się w nieskończoność za moim oknem. Bal maskowy.

Charleston *Zaczekajmy, aż wróci mama*. Kaskady śmiechu w kuchni, przy śniadaniach jedzonych w południe. Podróż koleją do Demony, która konała na Bagnolet. Pojechałam za późno. Paryż wieczorem, w światłach. Wystawy. To znowu tydzień w Cassis, pod Marsylią, z pewnym armatorem. Madame życzyła sobie, bym mu towarzyszyła. I komiczne przygody z bliźniaczkami z „Królowej Serc”: Vanessa i Savenna, zanim nauczyłyśmy się je rozróżniać. Płatne wakacje. Wojna w Hiszpanii. Latarnia morska, na której szczyt już się nie wspinałam.

Aż wreszcie, pewnego ranka Jitsu znalazł w skrzynce na bramie list bez znaczka. Był do mnie. Ktoś napisał:

Panienko!

Mam Pani do przekazania ważne wiadomości, wie Pani, od kogo. Potrzeba trzydziestu tysięcy. Jeżeli może Pani dać więcej, tym lepiej. Czekam dziś wieczorem, o siódmej, przy służie Menauds. Proszę szukać wędkarza w czerwonym szaliku.

Pozdrawiam

Madame, która przechowywała moje pieniądze w banku, posłała po południu po żadaną kwotę. Mogłam zapłacić więcej, ale powiedziała: „Jeżeli dasz tej gnidzie choćby centyma więcej, oddaję ci twoje pieniądze i możesz związać manatki”.

Działo się to na początku sierpnia. Jitsu zawiózł mnie czarnym chenardem z „Królowej Serc” do służby w biały dzień. Facet w czerwonym szaliku siedział samotnie nad kanałem, z nogami spuszczoneymi nad wodą. Długa wędka miała przekonywać, że łowi ryby. Nie wstał. Powiedział, że bym włożyła pieniądze, które owinęłam w gazetę, do kosza na ryby. Wolałam się upewnić. Mężczyzna rozglądał się niespokojnie, a drżenie papierosa, którego dopalał, zdradzało zdenerwowanie tak silne, jakby groziło mu ogromne niebezpieczeństwo. Powiedział: „Byłem z Pięknolicym przez trzy lata, nie mam ochoty tam wracać”. Potem dodał: „Za kilka dni zwiewa. Nie wie, kiedy będzie mógł się z panią zobaczyć. Zabrania pani ruszać się z miejsca”. Zapytałam, skąd mogę mieć pewność, że jest wysłańcem mojego kochanka i że nie zgarnie tych pieniędzy. Odpowiedział: „Gdyby wsadziła je pani do kosza, jak chciałem, już by się pani przekonała”.

Na dnie koszyka nie było nawet śladu rybiej łuski, za to złożona na cztery paczka po papierosach „Troupes”. Pięknolicy napisał:

Jo, jeżeli miałibyśmy się już nigdy nie spotkać, pamiętaj, że dzięki Tobie Twój Emil żyje szczęśliwy na dalekiej ziemi. Pilnuj się, żeby niczego nie wygadać, bo jeżeli mnie przyskrzynią, znam takich, którzy Cię sprzątną. Gwarantowane.

Pomyślałam, że w gruncie rzeczy tak jest lepiej. Gdyby napisał coś mniej obrzydliwego, stanęłabym na głowie – znam przecież siebie samą – żeby mu pomóc. Teraz byliśmy kwita. Trzymając papier czubkami palców, porwałam go i rzuciłam strzępki do kanału.

To, co tu opowiedziałam, historia mego życia do czasu, gdy znowu spadło mnie przeznaczenie, urywa się na pewnym piątku. W następny piątek, pod wieczór, wycie syren cytadeli dobiegło aż do nas. Słyszałam je z balkonu.

Wysłałam na zwiady koleżankę, niebieskooką blondynkę, w której żyłach płynęła odziedziczona po matce krew carów, mowę zaś znać przejala po ojcu akcent z Montmartre'u. Przynajmniej w zasadzie. Czasami słowiańska krew stawała się krwią wikingów, a Wzgórze zalatywało Owernią, ale kto by za nią nadażył. Nazwaliśmy ją Michou, a klienci mówili do niej Ninoczka. Wróciła niedługo potem z najważniejszą informacją: całe miasto śmieje się z żołnierzy, którzy uganiają się wszędzie, bo z La Ratière uciekł więzień. Nie było wiadomo kto i jak. Przed wyjściem z mojego pokoju powiedziała: „Uwier mi, nie zobaczysz go więcej.” Odpowiedziałam: „To jakbym wyleczyła się z cholery”.

Nazajutrz cisza. Pojutrze i w niedzielę tak samo, jeżeli pominąć fakt, że nie wiem dlaczego, przez cały dzień dzwoniło mi w uszach. Wyobrażałam sobie jego, który nigdy nie wszedł do wanny nie podnosząc krzyku, bo woda była za gorąca albo za zimna, jak włóczy się, zagubiony wśród bagien półwyspu, bardziej żalorny niż bezpieczeństwa pies. A potem myślałam o naszym pierwszym spotkaniu i o innych głupstwach. Śmiesznie zapytać o imię faceta, który przyszedł na świat ze zdeformowaną gębą, z parą rozmaitych oczu, i usłyszeć jak odpowiada: „Pięknolicy, nazywają mnie Pięknolicy”. Nawet się nie uśmiechnęłam. Nie mogłam. Jego uśmiech przyprawiał o ból. Do dziś przebiega mnie dreszcz za każdym razem, kiedy słyszę o uśmiechu kącikiem ust albo o krzywym uśmiechu.

Tak czy inaczej, w poniedziałek po południu poszłam po perfumy, które zamówiłam – używałam wtedy *Quelques Fleurs* Houbiganta – i fryzjerka, łajdaczka, o której będę musiała niestety jeszcze wspomnieć, świergocąc

jak kanarek opowiadała ploteczki klientkom, krygując się tak, że nawet najgłupsza z moich siostrzyczek z ulicy Delambre spaliłaby się ze wstydu. Za plecami nazywano ją Pleciugą, a nazywała się Bonnefoy albo Bonnifay, nie pamiętam dokładnie. Krótko mówiąc, chociaż tylko weszłam i wyszłam zaopatrzwszy się w pachnidła na resztę lata, zdążyłam dowiedzieć się, że na półwyspie przerwano oblawę i że teraz mój gach czaruje już pewnie Hiszpanów. Powiedzieć, że doznałam ulgi, to mało. Czulałam się lekka jak piórko. Powstrzymywałam się, by nie ulecieć w górę.

Cios, który sprowadził mnie na ziemię, spadł na mnie wieczorem, tuż przed północą. Właśnie wyszedł ode mnie klient i odświeżałam się w łazience. Wówczas w mym pokoju zjawił się bez pukania Jitsu z wyrazem przerażenia na twarzy i oznajmił mi na polecenie Madame, że Piękności jest na dole, w kuchni, paskudnie ranny. Narzuciłam w pośpiechu czarny jedwabny szlafroczek. Nie zdążyłam go nawet zapiąć, a już biegłam po schodach. Na dole, w rześciste oświetlonej sali recepcyjnej, tańczyły elegancko ubrane pary. Z Jitsu za plecami przebiegłam przez hall i zesłam do kuchni.

Była to piękna, z dawnych czasów kuchnia, z mosiądzami i kafelkami, lśniąca czystością jak okręt. Pośrodku stał ciężki, okrągły stół z orzechowego drewna, polerowany co drugi dzień, a wokół niego dobrane krzesła, z których jedno wysunięto, by posadzić mego skazańca. Otaczały go Michou, Zozo i Madame. Spojrzałam i stanęłam jak wryta. Wyglądał dokładnie tak, jak należało się spodziewać – był brudny, u kresu sił, a na jego piersiach widniała wielka plama zaschniętej krwi, zaniemówiłam jednak z innego powodu: to nie był Piękności.

Szczęśliwym lub – jak kto woli – fatalnym zbiegiem okoliczności, pierwsza odezwała się Madame. Zapytała podejrzliwie: „Czy to twój kochaś?” Dotąd widywała Pięknościego tylko z daleka, przez okno, kiedy przychodził po mnie. Ponieważ milczałam, powiedziała: „Więzienie bardzo go zmieniło”.

Nigdy nie widziałam tego mężczyzny siedzącego na krześle. Ale już w pierwszej chwili uderzyło mnie spojrzenie, jakie mi rzucił, spojrzenie pełne błagania. Nawet głupiec pojąłby bez trudu, że umiera ze strachu, żebym go nie zdradziła. W ciągu paru sekund takie czarne oczy potrafią wiele wyrazić. Nim jeszcze doszłam do siebie, usłyszałam, jak mówię: „Zaprowadźcie go do mojego pokoju”.

Zozo i Jitsu ujęły go pod ramiona i pomogli iść. Zobaczyłam, że jest wysoki, szeroki w barach, długonogi. Ubrany był w koszulkę polo, spodnie i mokasyny, kiedyś białe. Wyglądał mniej więcej na trzydziestkę. Ponieważ

Zozo i Jitsu ciągnęli go w stronę drzwi, w których stałam, Madame powiedziała: „Idźcie schodami kuchennymi”. Wyciągała już rękę do telefonu, żeby wezwać lekarza.

Schodek po schodku prowadzono nieznanego do mojego pokoju, potem ułożono w moim łóżku. Nie skarżył się, ale widziałam, że cierpi. Zostałam z nim sama na dobry kwadrans. Zamknął oczy. Nie odezwał się ani słowem. Ja też nie.

Kiedy nasz lekarz, pan Lauzey, wyszedł od niego, stałam na balkonie zapatrzona w noc. Miałam mętlik w głowie. Doktor podszedł do mnie, zapinając narzucony na piżamę płaszcz. Powiedział: „Wyjąłem z niego cały ołów, jaki zdołałem znaleźć. Jest silny. Za dwa dni stanie na nogi”. Czulałam, że chciał powiedzieć coś innego, ale był na to zbyt dyskretny. Cóż go obchodziło, że dam schronienie zbiegowi z cytadeli? Dodał tylko: „Nie przejmuj się, kule były małe”.

Skoro tylko wyszedł, zamknęłam drzwi i zwrócona twarzą w stronę łóżka oparłam się o ścianę. Ranny leżał z otwartymi oczyma, wsparty na dwóch poduszkach, z obandażowanym torsem i wyglądał znacznie lepiej. Zapytałam ostro: „Kim pan jest?” Odpowiedział: „Wspólnikiem Pięknołicego”. Podeszłam, odsunęłam zasłonkę i znacznie łagodniej zapytałam: „Widział go pan?” Jego czarne oczy ukryły się za długimi na kilometr rzęsami: „Trzy dni temu, podczas ucieczki”.

Przysiadłam na brzegu łóżka, czekając, aż powie coś więcej. Do dziś go widzę. Długo przyglądał mi się, nim przemówił. Miał szczerą, niewinną twarz, a ja poczułam się piękna i niedostępna. Przysięgam. Wreszcie odwróciłam oczy.

W ostatni piątek, w chwili gdy wszędzie rozlegał się głos syren z cytadeli, mówił ów nieustraszony młodzieniec, rozciąłem na pół pęcherz od piłki futbolowej i wsunąłem go na włosy, żeby wyglądać na skazańca. Włożyłem skórzaną kurtkę, kask i okulary do jazdy na motocyklu i wskoczyłem na potężną maszynę, którą miałem od piętnastu dni, a o której śniłem od piętnastu lat, i ruszyłem przez półwysep, starając się odnaleźć pani kochanka, nim uczynią to ścigający go żołnierze.

Na pewno zastanawia się pani, skąd wiedziałem o jego ucieczce. Mógłbym odpowiedzieć, że zdarza mi się przesiedzieć mglistą noc nad kuflem piwa, rozmyślając nad nieszczęśliwie utraconym dzieciństwem, mógłbym dodać, że lubię wówczas opowiadać o babci i słuchać, jak inni opowiadają o swoich, ale też – że potrafię bezbłędnie rozpoznać najcichszy szept

oszczerstwa, pomruk zdrady, westchnienie hańby, choć wydają się roztrągniony i nieuważny.

Pewnego wieczoru, gdy owładnięty poczuciem bezdennej samotności siedziałem w tylnej sali „Neptuna”, tego portowego baru, który jest otwarty na okrągło, usłyszałem przypadkiem poufną rozmowę dwóch nieznanymi typów. Oddzielała mnie od nich tylko cienka ścianka z matowego szkła, ale nie zważali na mnie, ja zaś nie mogłem rozróżnić ich twarzy. Mogę pani tylko powiedzieć, że w głosie tego, który zrzucił leżący mu na sercu ciężar, czuło się przerażenie, i że na szyi miał coś szkarłatnego, prawdopodobnie chustkę. Mówił o pościgu, o ukradzonej łodzi, o prześladowanych strażnikach. Mówił o więźniu, którego uśmiech jest jak rana. Mówił o pani. Powiedział: „Ta wysoka dziewczyna o oczach koloru morskiej wody i jedwabistej skórze, z miłości do naszych pieniędzy przechodzi przez nasze życie jak sen”. W gruncie rzeczy wyrzucał sobie, że obiecał pomóc jakiemuś Pięknolicemu, a od kompana od kieliszka oczekiwał nade wszystko zachęty do złamania danego słowa. Oto cała historia. Kiedy w piątek zawyły syreny, zrobiłem to, co powinien był uczynić człowiek, którego nigdy nie widziałem, o którym jednak wiedziałem, że tego nie uczyni.

Pędziłem na motocyklu aż do skraju lasu, o którym wspomniał tamten mężczyzna. Znajduje się on w głębi łądu, a ze wszystkich stron otaczają go plantacje winorośli i pastwiska. Było ciepło, słońce przeświecało zza drzew. Oparłem się o motocykl i czekałem, prawie godzinę, dręczony myślą, że pomyliłem się, że spotkanie wyznaczono gdzie indziej. A potem, w ciszy schyłku dnia, rozległ się zgiełk, początkowo tak niewyraźny, że nie wiedziałem, skąd dobiega, potem bardzo szybko nasilający się i ogarniający las. Rozpoznałem ujadanie psów. Niemal natychmiast rozsunęły się krzewy i wśród trzasku leżących na ziemi suchych gałęzi stanął przede mną zbieg z ogoloną głową. Był zlany potem i tak zadyszany, że aż zgiął się w pół. Na mój widok padł na kolana. Na ile udało mi się zorientować, ten strzępek człowieka miał niespełna dwie minuty przewagi nad depczącą mu po piętach sforą. Rzuciłem mu skórzaną kurtkę, okulary, kask. Powiedziałem: „Pośpiesz się. Daj mi swoje ciuchy, a ubierz się w moje”. Przebieraliśmy się bez słowa, zamieniliśmy nawet buty. Ujadanie było coraz bliższe. Podczas gdy przeobrażałem się w niego, a on we mnie, powiedziałem: „Weź mój motor, odciągnę pościg”.

Pięknolicy, który stał teraz na wprost mnie, oddychając już w miarę normalnie, patrzył na mnie z niewypowiedzianą wdzięcznością. Wykrzyknął: „Nigdy nie zapomnę, co dla mnie zrobiłeś, nigdy!” Odpowiedziałem

z wściekłością: „Nie dla ciebie to robię, łajdaku! To dla Belindy, dla tej, którą nazywasz swoją kobietą, a którą zamknąłeś w burdelu!” Zamienił się w słup soli i stał tak, z rozdziawionymi ustami, aż znów ogarnęło go przeżenie i rzucił się ku motocyklowi. Nim zapalił, zwrócił na mnie spojrzenie podbiegłych krwią oczu i powiedział: „W takim razie kobieta jest twoja, kolego. Zapłaciłeś za nią”.

Ruszył z kopyta przez pola, by dotrzeć do jakiegokolwiek bitej drogi, która powiodłaby go daleko stąd. A ja w przesiąkniętej jego potem koszuli, przykrótkich spodniach, w więziennych buciorach, odczekałem, aż zniknie i życząc sobie odwagi pobiegłem, jak mogłem najszybciej, w przeciwnym kierunku, przez las, gnany ujadaniem psów.

Przysięgam, że kiedy nieszczęsny chłopak skończył opowieść, poczułam się całkiem zagubiona, zwłaszcza że wpatrywał się we mnie pełnymi uwielbienia oczyma. Serce mi topniało, kiedy wreszcie zapytałam: „A więc znałeś mnie?” Byłam pewna, że tej nocy ujrzałam go po raz pierwszy. Odpowiedział z zakłopotaną miną: „Często ukradkiem patrzyłem, kiedy wychodziła pani do miasta, ale nie śmiałem pani zagadnąć”.

Rozczuliłam się jeszcze bardziej. Ujęłam go za rękę. Była rozpalona i delikatna. Zapytałam: „Kto do ciebie strzelał?” Odpowiedział wzdychając lekko: „Panna młoda w podróży poślubnej. Po nocy i dniu spędzonych w ukryciu na bagnach zmusiłem ją, by zabrała mnie swym wozem i nagle...”

Nagle krzyki i zgiełk dobiegające z dołu poderwały nas z miejsc. Mężczyzna siadł na łóżku, niespokojnie spoglądając w stronę drzwi. Dałam mu znak, żeby się nie ruszał, i wyszłam na schody zobaczyć, co się dzieje. To był horror. Żołnierze w hełmach nasuniętych niemal na oczy wtargnęli do salonu. Trzymając oburącz karabiny, spychali gości i dziewczęta pod zwierciadła, zgodnie z rzucanymi wściekłym głosem rozkazami prostaka o przerażającym spojrzeniu, który stał ze skrzyżowanymi rękami pośrodku pokoju. Był nim porucznik Malignaud. Wyglądało to jak zaatakowany przez lisa kurnik.

Jak „Królowa Serc” „Królową Serc” nikt nigdy nie zaznał tu jeszcze takiej hańby. Madame była zdruzgotana. Widziałam, jak czepia się rękawa oficera, krzycząc: „Ależ panie poruczniku, wie pan, jaką mamy reputację!” I jak on brutalnie uwalnia się od niej, odpowiadając jeszcze silniej podniesionym głosem: „Właśnie!” Opadła na kanapę, powstrzymując od interwencji wiernego Jitsu, który nie byłby w stanie przestraszyć tuzina drabów, i który teraz starał się ją uspokoić, jak umiał: „No, Madame, proszę się tak nie denerwować!”

Słyszając, jak Malignaud rzuca żołnierzom rozkaz: „Przeszukajcie całą tę budę!”, nie czekałam na ciąg dalszy. Jednym susem wróciłam do pokoju, wyciągnęłam rannego z łóżka, kiedy wkładał spodnie, pozbierałam jego mokasyny i polo, i poprowadziłam go szybko, jakby był zupełnie zdrow, ku jedynemu w domu miejscu, gdzie mogłam go bezpiecznie ukryć, jego, człowieka, na którym przypadkowe spotkanie ze mną na ulicy wywarło takie piętno. Na szczęście nie było to na końcu świata, wystarczyło przejść przez korytarz.

Na ścianie po przeciwnej stronie korytarza, niemal na wprost moich drzwi, widniało piękne malowidło, skopiowane przez jakiegoś artystę z dzieła innego, dawniejszego artysty, a przedstawiające – co wypisano na złoczonej tabliczce, na wypadek gdyby ktoś nie wiedział – *Prawdę wychodzącą ze strumienia*. Odsunęłam malowidło i przekręciłam klucz w drzwiach schowka, który się za nimi znajdował. Nie było tam ani jednego mebla, a można było czterema krokami obejść całość. Miejsce to nazywało się „sekwestrem”, ponieważ zamykano tam buntujące się dziewczęta przynajmniej kiedyś, kiedy takie były.

W żadnym języku, żadnymi słowami nie da się opisać panicznego strachu mojego podopiecznego, kiedy ujrzał otwierające się przed nim pomieszczenie. Jeżeli ktoś tego nie zaznał, nie zaznał niczego. Chwyciłam go za ramię i pchnęłam do komórki. Słyszałam już stuk ciężkich buciorów na schodach. Nim zamknęłam drzwi i zasłoniłam je portretem tej facetki w strumyku, zrobiło mi się żal nieszczęśnika, który patrzył na mnie, jakbym go żywcem grzebała, szepnęłam więc: „Głowa do góry! To tylko na parę minut!”

Przesiedział tam całą noc. Za minutę ósma rano tkwiłyśmy jeszcze wszystkie w salonie, razem z Madame i Jitsu. Część leżała, inne siedziały, z przyzwyczajenia nie zamykając oczu. Wypuszczono klientów i wygaszono żyrandole. Stojąc w szeregu, pilnujący nas żołnierze spali wsparci o karabiny. Odrażający Malignaud przechadzał się wzdłuż i wszerz, pogrążony w posepnych myślach, i słychać było tylko skrzywienie jego butów. Punkt ósma obiema rękami rozsunął story w oknie. Na zewnątrz był piękny, letni dzień. Westchnął i powiedział, pokonany: „W porządku. Wynosi się stąd. Zbiórka w ogrodzie”.

W owym czasie było nas dziesięć dziewcząt, niczym Dziesięcioro Przykazań, a dziewięć leżało już w łóżkach, gdy oddział przekraczał próg domu. Wraz z Jitsu pozostałam przy Madame. Wychodząc jako ostatni, porucznik zatrzymał się przed nią, pokazując brunatną plamę na prawej

ręce. Rzucił gniewnie: „To krew, i to nie moja! Mam nadzieję, że łotr, który aż tu zostawił po sobie ślad, zdechł do tej pory!” Potem zmierzył wzrokiem Jitsu i powiedział: „A ty poczekaj, aż trafisz do mojego regimentu, a jeszcze mnie popamiętasz!”

Najważniejsze, że odszedł razem ze swymi ludźmi i mogłam wreszcie uwolnić więźnia. Nie spotkało go jeszcze to, czego życzył mu Malignaud, ale niewiele brakowało. Był szary, całkiem szary. Kiedy ubranego ułożyłam go w łóżku i nakryłam trzema kocami, drżał i szczął zębami. Kazałam Jitsu przynieść mu kawę. Musiałam trzymać bolkę, kiedy pił. Obląkanym wzrokiem wpatrywał się w pustkę.

Po dłuższej chwili uspokoił się i obdarzył mnie nikłym, przepraszającym uśmiechem. Byłam wciąż w czarnym szlafrocuku. Z głośnym westchnieniem opuścił głowę na moje uda. Szepnął: „Muszę pani wyjaśnić...” Bezmyślnie, jednym zębem, gryzł kanapkę z masłem.

Kiedy miałem sześć czy siedem lat, nie pamiętam dokładnie – mówił z goryczą młodzieniec – mój ojciec, prawdziwy prymityw, zostawił mamę samą, bez grosza. Mieszkaliśmy nadal tam, gdzie się urodziłem, przy bulwarze National w Marsylii. Żeby móc pracować, musiała oddać mnie do internatu.

Było to niedaleko, na przedmieściu zwanym Trois-Lucs, ale mnie wydawało się, że jestem na końcu świata. Zapewne mierzyłem wszystko bólem rozstania z matką. Widywałem ją co niedziela, przez kilka godzin, z których już pierwszą zatruwała mi myśl o zbliżaniu się ostatniej. Przyjeżdżała tramwajem, żeby zabrać mnie w południe, a odprowadzała przed zachodem słońca. Kiedy zostawiała mnie w bramie internatu, płakałem jakbym miał jej już nigdy nie ujrzeć. Wydaje mi się, że tak silnej, tak uporczywej rozpacz, nie opuszczającej mnie dniem ani nocą, później już nie zaznałem. Dziś wystarczy, bym o tym pomyślał, a znów czuję się jak wówczas. Drewniany łuk, który wieńczył bramę, skrzybiał w wietrzne dni. Farba dawno już odpadła i z szarych liter, ledwie widocznych na wyblakłym tle, wyczytać można jedynie część napisu. KOŁA AUGUSTY. Żwirowa alejka wiedzie ku budynkowi, dziedziniec otacza szpaler platanów. Mam jasne włosy. Głową sięgam klamki drzwi. W prawej ręce niosę małą walizkę z czystą bielizną. Widnieje na niej numer 18. Gdzieś w pobliżu jest ogród warzywny i zatykam nos, żeby nie czuć zapachu pomidorów. Od tamtych czasów nienawidzę pomidorów, nie potrafię wytłumaczyć, jaka jest tego przyczyna. Jem wszystko, byle nie pomidory, wystarcza już

plasterek, by przyprawie mnie o mdłości.

W mojej klasie są dwa okna, pomiędzy nimi piec, w którym pali się drewnem, czarne ławki z fajansowymi kałamarzami, katedra, a na niej stół i wiklinowe krzesło, skrzypiące przy każdym ruchu nauczycielki. Siedzę w pierwszym rzędzie z maluchami, niemal na wprost niej. To żona dyrektora, ale jest od niego dużo młodsza – wygląda na jego córkę. Ubiera się zawsze skromnie, ma ładną, surową buzię i bardzo wyraziste niebieskie oczy. Długie czarne włosy zwija w koczek podpięty spinkami, ale czasem jakiś kosmyk wymyka się i spada jej na policzek. Unosi rękę, by go poprawić, i wtedy widać, że pod bluzeczką kryją się krągłe, pełne piersi. Niektórzy nazywają ją Biuściasta, ale większość mówi o niej Nózka, bo na dole jest jeszcze bardziej intrygująca niż na górze.

Kiedy odrabiamy zadania, czyta, podpierając ręką czoło. Błat stołu rozcina ją na pół i jej nogi zdają się należeć do kogo innego. Ciągłe nimi porusza. Krzyżuje je, ustawia prosto i znowu zakłada jedną na drugą. W klasie słychać tylko skrzyp piór i jej krzesła. Nauczycielka nosi zawsze dokładnie obciskające nogi pończoszki, które chciałoby się obejrzeć do samej góry. Nie sądzę, żeby w tym wieku powodowało mną coś poza ciekawością, wpatruję się jednak w nogi nauczycielki jak zahipnotyzowany i bezmyślnie gryzę kanapkę, którą schowałem przy pierwszym śniadaniu. Chciałbym widzieć więcej i więcej, czyham na chwile, gdy dzięki wąskiej spódnicy jakiś ruch sprawia, że mogę dojrzeć skrawek nagiego ciała lub biel majtek. To hipnotyzuje mnie do tego stopnia, że gdyby sąsiad z ławki pchnął mnie jednym palcem, osunąłbym się i usnął z głową na pulpicie ławki.

Dobrze by było, gdyby sprawy zawsze przybierały tak korzystny obrót. Tymczasem najczęściej Nózka unosi jedno oko znad książki i to srogie oko, ciemne niczym morska głębia, natychmiast chwyta moje spojrzenie, wykrywa jego cel. Nauczycielka prostuje się na krześle, zdecydowanym ruchem obciąga spódnicę i tonem sędziego wygłasza wyrok: „Jak ci nie wstyd? Poczekaj na mnie w korytarzu po lekcjach!”

Mówi o korytarzu przy wejściu. Jest tam posadzka z białych i czarnych kafli, jak szachownica. Tuż przy głównych drzwiach, na wprost gabinetu dyrektora, znajdują się inne, bardzo wąskie, o których wspomina się tylko szeptem – sekwestr. Tam właśnie około piątej, kiedy inni grają na dziedzińcu w piłkę, wpycha mnie nauczycielka, szepcząc mi do ucha: „No co, lubisz zaglądać mi pod spódnicę?”

Lubisz?” I tuż przed zamknięciem drzwi, kiedy jest już tylko złowrogim cieniem przesłaniającym światło dzienne, dodaje: „Zobaczmy, czy i jutro rano będziesz miał na to ochotę!”

Sekwestr – mówił młodzieniec kończąc ze smutkiem kanapkę – był kwadratową komórką szerokości i długości kroku, jak ten tutaj, bez okienka, bez lampy, kompletnie ciemny. Nigdy nie płakałem ani nie prosiłem o litość, już wtedy byłem zbyt dumny, żeby sprawić taką przyjemność Nóżce. Wyobrażam sobie, bo jedynym wspomnieniem z tamtych chwil jest przerażenie, że siedziałem skulony w kącie i że starałem się ze wszystkich sił myśleć o matce, o babce, o moim brutalnym ojcu, który odszedł, ale gdyby wiedział, co mnie spotkało, z pewnością wróciłby, żeby mnie uwolnić. A może przekonywałem samego siebie, że rosnę i rosnę w tych ciemnościach, jak inni w ciągu jednej nocy siwieją, i że ku zaskoczeniu wszystkich skruszę mur i sam się uwolnię. Ale brutalni ojcowie nigdy nie wracają. I każdy wie, jak wielu dni i nocy trzeba, by sięgnąć głową powyżej klamki u drzwi.

W taki sposób nabawił się tego klaustro-czegoś-tam. Przepelniała mnie litość, gdy dorzucił, jeszcze bardziej psując mi krew: „Wie pani, ona co dzień karała innego ucznia. Jestem pewien, że robiła to specjalnie po to, żeby pokazywać nam nogi”. Oburzona powiedziałam: „Nauczycielka!... Biedny, biedny skarbie!” I uzmysłowiłam sobie, że tułę go i gładzę po włosach jak małego chłopca. Powtarzam się, ale trudno: miałam niespełna dwadzieścia cztery lata, on około trzydziestki. Można powiedzieć, że to śmieszne, że bym go utulała. A jednak było mi dobrze, chętnie robiłabym to przez cały ranek.

Po chwili zorientowałam się, że usypia. Pomogłam mu złożyć głowę na poduszce i zgasiałam lampę przy łóżku. W bladym świetle dnia przedostającym się przez zasłony ujrzałam, że jego ręka wyciąga się ku mojej, pragnąc, bym ją ujęła. Szepnął: „Jest pani dla mnie taka dobra, Belindo”. Przywykłam do półmroku i teraz widziałam już jego oczy i uczucie, które z nich wyzierało. Nie rozważając wszystkich za i przeciw, bo to prowadzi do zakłamania, odpowiedziałam po prostu: „Skoro Pięknolicy oddał ci mnie, jestem twoja”.

Na tym skończyła się nasza rozmowa. Niemal natychmiast zapadł w kamienny sen, trzymając mnie za rękę. Długo przyglądałam się, jak śpi. Co do urody, z pewnością nie straciłam na tej zamianie, ale z kim miałabym tracić lub zyskiwać? Poza tym, że urodził się w Marsylii, że nie lubił pomidorów, że na lewej ręce nosił szeroką, płaską obrączkę, co nie przeszkadzało mu włączyć się samotnie po kafejkach i wysłuchiwać po nocach

zwierzeń fałszywych rybaków, nic o nim nie wiedziałam. Nie wiercił się we śnie, szukając niemożliwej do znalezienia pozycji, jak czynił to Pięknolicy, musiały go jednak wciąż gnębić dramatyczne przeżycia, odgadywałam to po jego oddechu, po grymasach na twarzy. Odchyliłam koce, żeby oprzeć palce na jego torsie, tuż nad bandażem. Miał delikatną skórę i pachniał przyjemnie. Przesunęłam rękę aż do paska. Szczerze mówiąc, miałam ochotę powędrować jeszcze niżej i dotknąć go, nie budząc, a może nawet zrobić więcej tak, żeby o niczym nie wiedział, i patrzeć, czy jego sny ulegną zmianie. Wahanie sprawiło, że poczułam się winna i zmusiłam się, by wstać. Otuliłam go starannie i zabrawszy jeden koc, poszłam położyć się na sofie.

W końcu od tego dnia – jak już powiedziałam – byłam jego kobietą.

O drugiej po południu, kiedy nadal spał, dołączyłam do reszty dziewcząt w kuchni. Madame była wciąż jeszcze wstrząśnięta wydarzeniami ostatniej nocy, zwłaszcza widokiem oddziału w domu. Kiedy jednak powiedziałam jej drżącym głosem, że nie możemy teraz wyrzucić Pięknolicego na ulicę, bo natychmiast by go schwytano, spojrzała mi prosto w oczy i odrzekła: „Pięknolicy czy ktokolwiek inny, kto uciekając schroni się w moim domu, jest święty jak w kościele. Za kogo mnie uważasz?” I muszę przyznać, że do samego końca wszyscy trzymali język za zębami, nie tylko ona, ale i dziesięć pozostałych dziewcząt, nie wspominając już o Jitsu.

Wieczorem, przed zejściem do salonu na przyjęcie pierwszych gości, Czarna Zozo, Michou, Magali i bliźniaczki przyszyły popatrzeć, jak ranny je kolację w moim łóżu z baldachimem, wszystkie wystrojone w najlepsze fatałaszki i jak papugi zaciekawione nieznanym, który był przyczyną tyłu moich cierpień. Wyszukałam dla niego piżamę z czarnego jedwabiu ze srebrnymi lamówkami i guzikami. Ogoliłam go, uczesałam, zrobiłam mu manikiur, aż wyglądał niczym udzielny książę w otoczeniu świty. Jedząc ze ściskającą serce łapczywością, szczerym głosem odpowiadał na pytania, a kiedy mówił o więzieniu, w którym nigdy nie siedział, zdawało nam się, że same tam trafiłyśmy. Czułam, że kraśnieję z dumy, nadymałam się jak żagiel na wietrze. Krzywił się tylko, kiedy któraś nazywała go Pięknolicy, i bałam się, żeby dziewczęta tego nie zauważyły.

Kiedy wyszły, żegnając się i mizdrząc, zapytałam, jak mu naprawdę na imię. Odpowiedział: „Antoni”. A kiedy przełknął, dodał: „Ale wolę Toni, to lepiej brzmi”. Uznałam, że to okazja równie dobra jak inne, by zadać mu pytanie, które nękało mnie od rana: „Jesteś żonaty?” Spojrzał na obrączkę i

powiedział: „Ależ nie. To obrączka mojego dziadka. Babka dała mi ją po jego śmierci”. Nie mogę zaprzeczyć, że odetchnęłam z ulgą. Uśmiechnęłam się: „Powiem innym, żeby nie nazywały cię już Pięknolicym. Tak będzie bezpieczniej”.

Uprzątnąwszy z łóżka resztki posiłku, położyłam się obok niego i pocałowałam jak należy. W tej samej chwili zapragnęłam, by doprowadził mnie do szaleństwa. Ale byłam ubrana do gości, z dołu dobiegały dźwięki muzyki, a ja nie chciałam znowu zawracać Madame głowy swoimi duchowymi rozterkami. Powiedziałam: „Moje kochanie, Toni, mój najdroższy, bądź grzeczny, przy tobie tracę zmysły, gnieciesz mi suknię, błagam, poczekaj, aż wrócę, zlituj się nade mną” – pretensjonalna śpiewka, której nie zamieszczono by nawet w powieścidle Delly. Wreszcie wyrwałam mu się, ale nie wiem, na czyich nogach zesłam po schodach – moje były jak z waty.

Tej nocy nie pracowałam, nie było czasu, żeby przygotować dla mnie inny pokój. Zresztą po wczorajszym skandalu nie ja jedna podpierałam ściany. Trzeba było wielu tygodni, żeby goście, o których tak tu dbano, odważyli się do nas wrócić. Tańczyłam dwa czy trzy razy, słuchałam porad giełdowych pewnego bankiera odbywającego kurację w Saint-Trojan na wyspie Oléron, wypaliłam paczkę cygaretek, obserwując przesuwaną się pomału wskazówkę zegara nad barem, krótko mówiąc, za skarby świata nie chciałam, by zabawa się skończyła. O północy, co zdaniem Madame nie zdarzyło się w żadnym domu od czasu meczu Carpentier-Dempsey, zamknęliśmy interes, nie odbijając sobie nawet kosztów.

Rozebrałam się w łazience i umyta wślizgnęłam się do łóża, nie budząc oblubieńca. Łagodnie, jeden po drugim, rozpięłam guziki jego pizamy, pasek i uległam wczorajszemu pożądaniu. Nie wiem, czy udawał, że śpi, by uszanować mój kaprys, czy pogrążony we śnie odczuwał dotyk mej dłoni i ust jako nierzeczywiste, ale nie otworzył oczu ani nie drgnął, gdy przy nim konałam w uniesieniu. A potem chwycił mnie w ramiona i rzucił na łóżko, i nim przez zasłony przebijać się zaczęły pierwsze blaski dnia, po tylekroć konałam u jego boku, że całkiem opadłam z sił, a jednak krzyczałam wciąż z rozkoszy. Kto chce, niech uwierzy prostytutce, bo nią jestem, ale kiedy potem siedząc na wprost siebie przy stoliku pod oknem piliśmy kawę, w świetle dnia czułam się zawstydzona jak dziewczątka, któremu wydarto cnotę.

I wtedy ujął mą twarz w dłonie, bym na niego spojrzała, a ja, widząc te błyszczące oczy, uśmiech, rozumiałam, że to nie zwykła słabostka, nie zadurzenie czy namiętność, ale to coś wielkiego, o czym wszyscy wiedzą

ze słyszenia, bo kiedyś ciotka bratowej pewnej przyjaciółki uwierzyła, że to właśnie to i wierzyła do następnego razu, a teraz to zdarzyło się mnie, starej wydze, a kiedy już wpadłam, to na całego – z oczu zrobiła mi się Niagara. Ponieważ i on był zbyt wzruszony, żeby pomyśleć o odsunięciu filizanek, piliśmy słoną kawę.

Przez następne trzy tygodnie bujałam w obłokach. Doktor Lauzey zdjął bandaż. Jitsu pojechał ze mną do Royan, żeby kupić coś do ubrania dla rekonwalescenta. Wypełniłam bagażnik chenarda, załadowałam tylne siedzenia. Smoking czarny i smoking biały – wkrótce wyjaśnię, do czego mu niezbędne. Tuziny koszul. Jerseyowe polo. Sweter *made in England*. Pantofle *made in Italy*. Sześć par. Dwa ubrania sportowe, trzy garnitury „do miasta”, w tym jeden z białej alpaki, żeby żadna z zazdrosnych koleżanek nie mogła powiedzieć, że o Pięknoliciego lepiej się troszczyłam. Nie wspomnę nawet o krawatach, skarpetkach, chustkach do nosa, wyłącznie z jedwabiu. Ani o kapeluszach, nawet o panamie. Ani o piżamach, szlafrokach, płaszczach kąpielowych grubych jak dywan, zegarku z bransoletą, papierośnicy i zapalnicze firmy Cartier, spinkach do koszul, krawatach, czterdziestokaratowym sygnecie; Jitsu biegał od sklepu do samochodu, obładowany pakunkami. Czym więcej kupowałam, tym bardziej czułam się szczęśliwa. Zabrałam mocno wypchany portfel, ale pod koniec musiałam kupować na kredyt, podpisując weksle.

Kiedy wróciliśmy do domu i trzeba było wtaszczyć to wszystko na górę, uśmiealiśmy się do rozpuku. Nazajutrz Toni bawił się cały dzień w modela. Jedna z dziewcząt, Lulubelle, ustawiła w naszym pokoju singera i robiła poprawki. Zrobił się z niego elegant co się zowie i prócz sygnetu, który ostatecznie odsprzedałam Madame na prezent dla Jitsu, wszystko mu się podobało.

Teraz wyjaśnię, czemu Toni potrzebował smokingów. Pierwszego popołudnia, kiedy wstał z łóżka, a na dole nie było nikogo, zszedł ze mną. Zwiedził salon, zachwycił się zbytkiem, bogactwem, ale najbardziej uradował go widok fortepianu. Usiadł przy nim jak przy ukochanej osobie, rozprostował palce i zaczął grać. Mówię „grać”, bo w moim bulwarowym słowniku brak odpowiedniego słowa, ale miałam wtedy gęsią skórkę. U góry schodów pojawiały się kolejne zdumione dziewczęta, wywabione dźwiękami muzyki z pokoiów, inne biegły gęsiego z kuchni. Mimo że grywał klasykę, coś w rodzaju *Na perskim rynku*, a teraz musiał przestawić się na modne melodyjki, nietrudno domyślić się, co było dalej. Dotąd fortepian służył wyłącznie Magali, która trochę brzdąkała, i bliźniaczkom

grywającym w co weselsze wieczory.

Muzykę zapewniał nam patefon, ostatni krzyk mody, z rozmieszczonymi za obrazami głośnikami, ale Madame, znająca się doskonale na wystroju wnętrz, powiadała, że nie ma porządnego domu bez stylowego pianina i że w dodatku można na nim zawsze postawić mieczyki.

Toni został więc naszym pianistą, dzięki czemu ubył nam jeden problem, bo mój pokój był wolny w godzinach pracy. Wszyscy z Madame na czele byli zadowoleni, a i dla niego było to o wiele przyjemniejsze niż kręcenie się po pokoju i chowanie za baldachimem. A ponieważ robił problemy z niczego i na początku krępowano go, że żyje za moje pieniądze, mógł teraz z satysfakcją powiedzieć sobie, że bawiąc się w artystę płaci za wikt i opierunek. Ale i mnie w tym czasie wiodło się świetnie. Kwitłam pod wpływem miłości i co noc za trzy numery z wybranymi przeze mnie klientami zgarniałam więcej niż sekretarka przez miesiąc. Mimo tej niedawnej napaści na naszych szacownych bywalców nabijałam kiesę jak nigdy dotąd.

Najtrudniej było powstrzymać Toniego od wychodzenia. Powtarzał: „Przecież szukają Pięknolicego, nie mnie!” I słuchać, jak mówi, że może nawet stanąć nos w nos z porucznikiem Malignaud, którego przeżywał Niegodziwcem*, a tamten poszedłby swoją drogą, nie zwracając uwagi na delikwenta, który wychodzi po przepitej nocy, albo został wyrzucony na zbity pysk. Powtarzałam mu: „Pamiętaj o pannie młodej, którą porwał! Może być nadal w mieście!” Odpowiadał, wywracając oczy do góry na moją głupotę: „Ta kobieta mogłaby mnie zabić, ale nie donieść na mnie”. Założmy. W każdym razie Madame i dziewczęta były święcie przekonane, że mają do czynienia z Pięknolicym, i nie bardzo wyobrażałam sobie, żeby dalej odgrywały komedię, gdyby pewnego dnia rzucił, uchylając kapelusza: „Na razie, idę zaczerpnąć świeżego powietrza!” Nawet jeśli pięć na dieśięć nie miało za grosz rozumu, jeszcze dwie niewiele więcej, pozostawały Zozo, Michou i Madame, które na pewno nabrałyby podejrzeń. Ale jak przemówić do rozsądku, kiedy ma się do czynienia z takim klaustro-czymś-tam.

* Nieprzetłumaczalna gra słów: nazwisko Malignaud zostaje przekręcone na Malignoble (przyp. tłum.).

Początkowo zadowalał się balkonem. Liczył chmury, barki czekające na przyływ, nabierał tchu. Po pięciu minutach znów kładł się na łóżku i chował głowę w ramiona, bardziej nieszczęśliwy niż przedtem. Nie miał ochoty palić ani pić, ani czytać, ani rozmawiać, a tym mniej krzyczeć. Istny niedźwiedź.

A potem, pewnego wieczoru, gdy czerwone słońce chowało się za horyzontem, przełożył nogę przez balustradę i zwiesił się nad ogrodem. Błagałam go. Było za wysoko, żeby skoczyć nie łamiąc kości. Szepnął coś, czego nie zrozumiałam, i puścił balustradę. Upadł na rabatkę jak kot na cztery łapy. Popatrzył na mnie z dołu, położył palec na ustach i odszedł, przemyskając się pod murem, by wrócić do swego życia.

Pośpiesznie wciągnęłam płaszcz i pantofle, nie zakładając nawet majtek i pędem zbiegłam po schodach. Szukałam go na chybił-trafił po Saint-Julien, potem w porcie, zajrzałam do „Neptuna” i innych kafejek, żeby sprawdzić, czy go tam nie ma. Ale nie było go nigdzie. Zawróciłam i pobiegłam na oślep, modląc się do Najświętszej Paniienki jak za ciężko chorego.

Znalazłam go już po zapadnięciu nocy, kiedy spokojne mieszczuchy zasiadały do stołów. Siedział sam, zadumany, na obrzeżu fontanny. Nie podeszłam bliżej. Stojąc w miejscu, przyglądałam mu się przez chwilę, dla samej przyjemności patrzenia. Wydaje mi się, że bawił się pustym pudełkiem po zapalkach, które puścił na wodę. W końcu to on mnie spostrzegł i podszedł do mnie. Ręce trzymał w kieszeniach, czubkiem buta kopał kamyk. Rzuciłam mu się w ramiona, powiedziałam, że bałam się, iż odszedł na zawsze. Roześmiał się, pocałował me włosy, przytulił mnie bardzo mocno. Zdanie, którego nie dosłyszałam z balkonu, brzmiało: „Zdobądź jakąś linę, żebym mógł wejść”.

Objęci wół, powędrowaliśmy aż na kraniec mola. Mijaliśmy niezliczonych spacerowiczów, a gdy Toni zorientował się, że nie mam nic pod płaszczem, szedł coraz szybciej w stronę latarni morskiej. Przyparł mnie do ściany w mrocznej bramie, a ja, czepiając się go rękami i nogami, stałam przed bezmiarem światła zalewającego ocean i czułam, że serce wali mi tak mocno, tak mocno.

Wróciliśmy do „Królowej Serc” nie komplikując sobie życia – drzwiami. Otwarliśmy nam, Jitsu nie okazał najłżejszego zdumienia, a tylko uśmiechnął się jak zwykle. Muszę zaznaczyć, że nieco był ślepy, a widział Pięknolicęgo z mniejszej odległości niż reszta. Prawdopodobnie wywęszył oszustwo już pierwszego wieczoru. Madame była w kuchni. Zostawiłam Toniego i poszłam do niej nie przebierając się.

Z oczu ciekły jej łzy – siekała cebulę. Nawet nie spojrzała, kto wchodzi. Powiedziałam: „Madame, okłamałam panią. Toni nie jest Pięknolicym”. Odrzekła nie przerywając pracy: „Dziękuję za informację. Myślę, że nawet Magali już o tym wie”. Magali była najdurniejsza z nas wszystkich. Ponieważ

Madame nie mówiła nic więcej, zapytałam o trzy tony ciszej: „Wyrzuci go pani?” Westchnęła: „A zrobiłam to?... No więc?”

Po chwili, widząc, że nie ruszam się z miejsca, powiedziała: „Idź się przebrać, bo się spóźnisz”. Ruszyłam ku schodom, ale to było silniejsze ode mnie i zapytałam: „Ale właściwie dlaczego?” Odpowiedziała znużonym głosem, nadal na mnie nie patrząc: „A pozwoliłabyś mu odejść samemu?... No więc?”

Nigdy więcej nie wyciągałyśmy tej sprawy. Życie było snem, więc śniłam przez okrągłą dobę u boku mego mężczyzny. Jeszcze dziś widzę go, jak siedzi w blasku światła salonu przy fortepianie, w białym smokingu, z włosami przyczesanymi à la George Raft, pokazującego w łagodnym uśmiechu perłowe, piękne jak z reklamy zęby. Czasami jego spojrzenie spotykało się z moim wśród wirów walca i wtedy wydawało się, że jesteśmy sami na świecie, my, strażnicy sekretu, który należy tylko do nas. Krótko mówiąc, wpadłam po uszy. Nawet kiedy byłam w łóżku z kim innym, myślałam o nim, koncentrowałam się, by usłyszeć muzykę z dołu, czasami nawet uciszając gadatliwego klienta.

Najlepsze były te chwile nad ranem, kiedy goście już wyszli, a Jitsu gasił żyrandole. Zostawialiśmy tylko zapaloną lampę na fortepianie i w tym małym kręgu światła Toni, w koszuli, z elastycznymi, błękitno-żółtymi tasiemkami powyżej łokci, z cygarem w ustach, grał tę nostalgiczną muzykę Czarnych z Ameryki. Moją ulubioną – *Wryję twoje imię na wszystkich drzewach* – grał tak, jakby sam ją dla mnie napisał. Stałam za nim, opierając dłoń na jego ramionach, dumna, że do mnie należy. Czasami nachodziła go jakaś myśl i zaczynał się nam zwierzać, a mówił głosem, który cudownie współgrał z muzyką.

Mówił: „Pierwszą, tę najpierwszą kobietę pokochałem w Marsylii, gdy miałem dziewięć lat: zabrano mnie wreszcie z internatu, skąd ciągle uciekałem, i umieszczono u jezuitów. Pamiętam, że wszystko zaczęło się pewnego zimowego ranka, dokładnie w chwili, gdy cień naszego profesora, który przechadzał się wzdłuż i wszerz klasy z dłońmi wsuniętymi w rękawy suttany, przesunął się po mnie...”

Rouen, luty 1431 r.

Jak w każdym dniu mej audiencji, uwolniono więźniarkę z ciężkich drewnianych dybów, które krępowały jej stopy, pozostawiono wszelako na rękach i na kostkach łańcuchy, których nigdy jej nie zdejmowano.

Wywłókszy ją z lochu wśród drwin towarzyszy w okrągłych hełmach,

dwaj uzbrojeni w piki angielscy strażnicy powiedli ją przed sobą długimi podziemnymi korytarzami.

Szła odważnie, wyprostowana i dumna, w ciemnym męskim stroju, z dziecięcą jeszcze twarzą okoloną krótkim włosami, a za sobą ciągnęła po kamiennej posadzce łańcuchy. Na jej piersi widniał taki krzyż, jakie robią w Lotaryngii, a wypolerowany metal odbijał odległe i gwałtownie migoczące płomienie pochodni umocowanych na murze.

Raz jeszcze wspięła się po schodach udręki. Zobaczyła, jak otwierają się drzwi haniebnego trybunału. Wchodząc do sali, którą wybrano, by wystawić ją na widok większej liczby gapiów, przez chwilę nie mogła przywyknąć do jaskrawego światła dnia i aż żal było patrzeć, w jak podłych warunkach przetrzymywali ją oprawcy. Wszelako zbliżając się do sędziów, narreszcie sama, szła z dumnie podniesioną głową.

Było ich tu, zebranych wokół niegodnego biskupa Cauchon i jego złego ducha Estiveta, najmniej czterdziestu asesorów – ich liczba zmieniała się co dnia – a także wojskowych i mężów stanu duchownego, jednako żądnych jej zguby, lubo to z zemsty za lęk, jaki w nich wzbudziła podczas walki, lubo też dla denarów wszechwładnego kardynała Winchesteru. Jeden tylko, o którym wkrótce powiemy, nie dzielił ich uczuć.

Tego dnia, ostrożniejszy po odpowiedziach, jakich udzieliła mu podczas poprzedniego posiedzenia, biskup nie przesłuchiwał dziewczyny osobiście, a za pośrednictwem innego postawił jej perfidne pytanie, które mogło ją zgubić:

– Joanno, czy masz pewność, że jesteś w stanie łaski?

Ona zaś odrzekła prosto, głosem łagodnym, a przejmującym, który nagle przywrócił odwagę dobremu delfinowi:

– Jeśli tak nie jest, Bóg mnie nią obdarzy. Jeśli zaś tak jest, Bóg mnie w niej zachowa.

Po tych słowach przeciągły szept przebiegł ławy. Estivet nie potrafił ukryć zakłopotania, Cauchon gniewu. Nieco zdziwiona, ale i podniesiona na duchu celnością swych słów, Joanna rozejrzała się wokół siebie i wówczas właśnie jej oczy spotkały się po raz pierwszy z pałającymi gorączką oczyma jedyne go sprzymierzeńca, jakiego miała w tej sali.

Był to czwarty dzień rozprawy, 24 lutego, i jeśli się nie mylę, sobota – mówił obdarzony wspaniałą pamięcią młodzieniec. W chwili gdy oczy dziewczyny, które nie były, jak utrzymywano, niebieskie, lecz barwy orzechów laskowych przyprószonych złotem, spoczęły na mnie, pojąłem, że me życie należy do niej, że nie zaprzestanę jej bronić, że dotrzymam złożonej na miecz przysięgi.

Na razie musiałem czekać, a niecierpliwość i litość, jaką we mnie wzbudzała, potęgowały mój gniew. Kiedy zapytano ją o wiek, odrzekła: „Około dziewiętnastu lat”. I ja na tyle oceniałem swój. Wydawałem się sobie wysoki i silny jak dziś, ale byłem tak biednie ubrany, jak ubrany być mógł tylko wychowany bez ojca chłopak, który przybył piechotą z dalekiej Prowansji, za jedyny majątek mając miecz, o którym wspomniałem, bez żadnego wsparcia prócz wyrytej na ostrzu dewizy:

AD MAJOREM DEI GLORIAM

Przybywszy przedwczoraj do Rouen, gdzie pełno było samych tylko Anglików i Burgundczyków, zdołałem przedostać się na plac z mnichami, kryjąc twarz w kapturze obszernego płaszcza, niczym Errol Flynn w *Robin Hoodzie*. Noc przespałem w zamku, przycupnąwszy w kącie dziedzińca, jadłem zaś to, co podawały sługi.

Joannę ujrzałem ponownie na kolejnym przesłuchaniu, a i ona tym razem także zauważyła mnie. Potem przychodziłem co dnia, wmieszany w tłum i choć nie mogłem zajmować tego samego miejsca, ona potrafiła odnaleźć mnie jednym spojrzeniem. Jej oczy wyrażały ufność, jaką we mnie pokładała, i choć nie na wiele mogłem jej się zdać, czułem, że już sam mój widok stanowi dla niej pewne wsparcie.

Niestety od 10 marca, pod jakimś kłamliwym pretekstem, pragnąc jedynie bardziej ją pognębić, nikczemny Cauchon nakazał zmienić miejsce odbywania rozpraw. Nadstawiając ucha na pogłoski dowiedziałem się, że teraz przesłuchuje ją w więzieniu, przy dwóch asesorach i dwóch świadkach.

Oddalonemu od niej, niebezpieczeństwo, jakie jej groziło, wydało mi się większe niż przedtem, moja bezsilność zaś jeszcze bardziej nienawistna. Drwiąc z wszelkiej ostrożności, zdobyłem list podpisany przez biskupa, a zezwalający więźniarce na przyjęcie w celi kanonika, który wysłuchałby jej spowiedzi. Jeszcze tej nocy zastukałem do bramy wieży, w której przetrzymywano Joannę. Kiedy strażnik otworzył i po przeczytaniu pisma odsunął się, by mnie wpuścić, pojąłem, że me życie znalazło się w rękach Boga. Zszedłem po schodach i oddając się mu trafiłem na wilgotny korytarz, wiodący wprost do celi.

Biedaczka pilnowana była stale przez pięciu zbrojnych strażników, którzy nie dawali jej wytchnienia ani dniem, ani nocą, wiedziałem o tym jednak równie dobrze jak wszyscy inni mieszkańcy zamku i pojawiłem się celowo w porze, gdy było ich zaledwie trzech, dwóch bowiem, wzięwszy pięć hełmów, udało się po strawę.

Ponownie przedstawiłem fałszywy list. Zaciskając dłoń na mieczu pod płaszczem, słuchałem przez długą chwilę mamrotania żołdaka, nie rozumiałem jednak jego bełkotu, znając w owym czasie tylko naszą mowę i nieco łaciny. Powiedziałem sobie jednak, że Niebo jest ze mną. Ten, który dzierżył klucze, podszedł wreszcie do drzwi i otworzył szereg zasuw, ja zaś stanąłem przed obliczem tej, której postanowiłem być rycerzem.

Jakże mógłbym kiedykolwiek zapomnieć tę chwilę? Starczy wyobrazić sobie mroczną izbę, po której kamiennych ścianach ścieka woda, izbę, gdzie nie ma żadnych sprzętów prócz legowiska z surowego drewna, dokąd skąpe światło dociera tylko przez małe okienko wychodzące na podwórze, po którym nikt nigdy nie chodzi. Młoda Lotarynka w męskim przyodziewku, w którym zawsze ją widywałem, skuta łańcuchami, stała pod tym okienkiem, wznosząc swe piękne oblicze ku jednemu skrawkowi nieba, jaki mogła dojrzeć! Zwracając się ku wejściu, powitała mnie uśmiechem wielkiej ulgi. Pojąłem, że ani przez chwilę nie przestała na mnie czekać.

Padłem do jej nóg, nie bacząc na strażę i zakrzyknąłem: „Joanno, by przybyć do ciebie, pokonałem otchłań czasu. Gdyby baczyć jedynie na pozory zewnętrzne, to nawet się jeszcze nie narodziłem, przyjdę na świat dopiero w połowie tysiąclecia, lecz twe cierpienia wstrząsnęły mną do tego stopnia, że zapomniałem, iż ja także przeszedłem katusze więzienia i opuszczenia przez swoich, i pragnę wbrew zdrowemu rozsądkowi ocalić cię!” Miast obruszyć się na tę mowę, Joanna uniosła skute ręce do mych ramion i rzekła: „Cicho, cicho, messire. Głosy dawno uprzedziły mnie o tym, coś teraz powiedział. Idź i czyń, co zgodne z wolą Boga”.

Usłuchawszy rozkazu pocałowałem krzyż, który nosiła na piersi, i powstałem, odrzucając mnisi płaszcz i ukazując osłupiałym żołdakom miecz. Ciasnota miejsca uniemożliwiła im zbiorowy atak na mnie, a także skuteczne operowanie pikami. Zdołałem roztrzaskać czaszkę pierwszemu, który skonał dlatego, że pozbył się hełmu, by dostać zupę, i przebić serce drugiemu, mimo stalowego kaftana. Ugiąłem się nieco pod naporem trzeciego, który krzyczał wniebogłosy, by zaalarmować innych, ale przerzuciłem go przez siebie w desperackim wysiłku. Padł na wznak, pod zbryzgany już krwią mur, ja zaś przeszyłem go mieczem.

Nie tracąc ani chwili zabrałem klucze, które miał pierwszy z zabitych, uwolniłem Joannę z łańcuchów. Ona tymczasem, patrząc na trzy ścierwa, modliła się za dusze swych oprawców i powtarzała: „A przecież uprzedzałam, że będą się smażyć w piekle!”

Wyszliśmy z celi. Natychmiast natknęliśmy się na nowy problem – w którą udać się stronę. Joanna wsunęła swą delikatną dłoń w moją rękę i powiedziała: „Chodźmy zuchwale tędy, którą wiedziono mnie tyle razy!” I ruszyliśmy biegiem przez korytarze, które ciągnęły się pod zamkiem. Dobrze, że zdążyliśmy to uczynić, ledwie bowiem oddaliliśmy się na rzut kopią, gdy za nami na schodach wieży rozległo się tupanie nóg licznej gromady żołnierzy Winchesteru. Łoskot ich broni, a także ujadanie psów, które ze sobą wiedli, mroziło mi krew w żyłach.

Długo pędziliśmy tak bez wytchnienia, skręcając to w prawo, to w lewo w labiryncie korytarzy rozświetlanych gdzieś blaskiem pochodni, i czułem, że mimo całej swej działalności ta, którą kochałem ponad wszystko, słabnie, uczepiona mej ręki.

A potem, nagle, znaleźliśmy się u zbiegu dróg i w dali, po jednej ze stron, dostrześliśmy otwór, przez który wpadało światło, dość duży dla dziewczęcego ciała, i zatrzymałem się, drżąc z podniecenia. Wydawało mi się, że oddaliliśmy się nieco od zgiełku i ujadania psów. Nerwowo powiedziałem do Joanny: „Idź tamtędy, nie troszcz się o mnie, błagam cię na wszystko! Odciągnę pościg”. Jej piękna, posmutniała buzia mówiła mi: „nie”, dla jej ratowania jednak ośmieliłem się pchnąć ją i tak ona pobiegła jednym, ja zaś drugim korytarzem.

Po raz ostatni spojrzeliśmy na siebie. W jej oczach zabłyśły łzy, gdy rzekła: „Mój dobry towarzyszu, moje serce, niechaj Bóg, Pan świata, ma cię w opiece. Niechaj mimo wszystkich błagań, jakie wznosiłam do niego za naszymi ludźmi, dzielnymi i lojalnymi Francuzami, zechce sprawić, bym ujrziała cię jeszcze kiedyś w Królestwie Niebieskim”.

Odwróciła się i uciekła, a jej ogromny cień przesuwiał się po ścianach. Ja zaś wzdychając ze wzruszenia i rozpacz i życząc sobie odwagi, pobiegłem co sił w nogach w przeciwnym kierunku, ścigany ujadaniem psów.

Pod koniec opowieści Toni zaprzestał akompaniować sobie na fortepianie. Widzę nas wszystkie, jakbyśmy wciąż tam siedziały. Tej nocy wokół lampy przycupnęły: Czarna Zozo, Magali, Michou i bliźniaczki, czyli te co zwykle, poza nimi zaś Madame, która do nas dołączyła, i nawet Jitsu. Z napięcia wstrzymywaliśmy oddech. Przez dobrą chwilę słychać było tylko tykanie zegara nad barem. Pytania cisnęły nam się na usta. W końcu Vanessa i Savenna szepnęły jednocześnie: „I co?” Toni wznosił na nas spojrzenie zatopione jeszcze w średniowieczu. Odczekał chwilę, a potem powiedział: „No cóż, Anglicy nie chcieli stracić twarzy! Spalili inną!”.

I uderzył w klawiaturę, zagłuszając wszystko muzyką.

Mimo podziwu godnej pamięci Belindy, trudno uwierzyć, żeby zdołała ona samodzielnie odtworzyć opowieść kochanka, a w każdym razie w słowach, jakich użyto wyżej. Ponieważ w innej sytuacji i ja słyszałam ją z tych samych ust, pozwoliłam sobie dołączyć me wspomnienia do zachowanych przez nią, by dokonać możliwie najwierniejszej rekonstrukcji.

(Nota Marie-Martine Lepage, adwokata oskarżonego)

Prawdę mówiąc byłam w nim tak zadurzona, że pogrążałam się już w najdurniejszych marzeniach dziwki – o pierścionku na palcu, własnym domku i oddanym sercu, własnoręcznie uszytej wyprawce dla dziecka, o książeczkce oszczędnościowej i tych wszystkich rzeczach. Nie skakał z radości, kiedy pozwalałam sobie pomarzyć na głos, ale mnie nie bił. A Pięknolicy po prostu by mnie za to zatłukł.

Dawałam sobie jeszcze dwa lata, nie boczyłam się na łożu z baldachimem, ale potem zamierzałam pożegnać koleżanki i zająć się pracą godną uczciwej kobiety. Nie trzeba było zbyt długo znać Toniego, żeby zorientować się, co sprawia mu największą radość. Jakieś kino w pobliżu, a właściwie – lepiej dwa, żeby musiał się przechadzać, bo inaczej utyłby siedząc stale na tym samym, zarezerwowanym miejscu. Miał na punkcie filmów takiego bzika, jak ja na jego punkcie. Każdego popołudnia, jeśli mógł się wyrwać, szedł do kina bez względu na deszcz czy zawieruchę. A ponieważ w Saint-Julien kino było tylko jedno, przez trzy dni oglądał ten sam film. Całe szczęście, że w tych czasach można było zostawać na drugi seans. Przysięgam, że chociaż nie oglądałam tych filmów, znam je na pamięć: *Oszalały tłum* z Robertem Taylorem, *Ramona* z Donem Ameche i Loretta Young, *Maria Antonina* z Normą Shearer, *Femmes marques* z Betty Davis, *Jestem przestępcą* z Johnem Garfieldem i Luiza Reiner w chińszczyźnie, dzieciaki w szkole zbrodni, Dorothy Lamour i Ray Milland w czymś, co dzieje się na bezludnej wyspie... Gdybym miała czas, mogłabym napisać o tym całe tomy. O świcie, kiedy wracaliśmy do pokoju, niby nie chciał o niczym mówić, kazał mi spać, ale za moment zaczynał opowiadać i opowiadać te swoje filmy, pytając: „Śpisz?”, jeśli tylko przymknęłam powieki. Następnego dnia miałam podkrążone oczy.

W wolnych chwilach zajmowałam się jego garniturami, prasowałam jego koszule, tak żeby nie było jednego załamania, czyściłam buty, biegałam po zakupy, kiedy widziałam, że kończy mu się mydło do golenia albo

papierosy, robiłam wszystko, co kobieta powinna robić dla ukochanego mężczyzny. Wniosek: byłam idiotką. Nie przysięgłabym, że żadnej z dziewcząt nie przychodziło na myśl odbić mi go, może nawet i on zerkał czasem na uda Lulubelle czy pupę Michou, ale nie było w tym nic złego, i musiałabym chyba być chorobliwie zazdrosna, żeby sądzić, że w ten sposób nadużywa mojej gościnności. A zresztą, kiedy mówię, że patrzył, na co nie powinien, przesadzam – nie mógł przecież zasłaniać oczu za każdym razem, kiedy natykał się w hallu na półnągą dziewczynę. Nasz dom był elegancki, ale zawsze...

Nie. Poza kinem pokazywał się wszędzie tylko ze mną. W niedzielę zabierał mnie na obiad do „Grand Large” jak Pięknolicy, ba, siadaliśmy nawet przy tym samym stoliku. I zamawialiśmy homara w winie sancerre, zupełnie tak samo.

Po południu przechadzka pod palmami, wzdłuż wybrzeża oceanu. Zadowolona szłam metr za nim, w jedwabnej sukience, kapelusiku i z parasolką, zmienił się tylko kolor. Toni wołał mnie w pastelach. Wiódł mnie za sobą niczym król królową, a mnie rozpierała duma, gdy przyglądałam mu się, jak parady w białym garniturze, panamie, jak porusza ramionami i pali kubańskie cygaro.

To aż niewiarygodne dla kogoś, kto tego nie doznał, by robić to samo, w tych samych miejscach, z tym albo innym facetem, i żeby wszystko było tak różne jak noc i dzień, jak rewers i awers, jak truskawka i wanilia. I żeby czas nie miał z tym nic wspólnego. Przeżyłam z Pięknolicym całe dwa lata, nim ojczyzna mi go odebrała. Z Tonim, tak jak opowiadam, mogłoby się wydawać, że dożyliśmy złotego wesela. Głupcy! Cała sprawa trwała ledwie cztery tygodnie. Dokładnie dwadzieścia sześć dni, miałam dość czasu, żeby je policzyć.

I Toni też uczył mnie pływać. Wiedział, jak się do tego zabrać. I właśnie podczas lekcji zaczęło się psuć. Nie od razu zrozumiałam, choć i na niebie zbierały się ciężkie burzowe chmury, jakby przyroda chciała mnie przestrec.

Byliśmy we dwoje w pokoju. Leżałam na brzuchu, na taborecie, w majteczkach i lakierkach, poruszając rękami tak, jak mi kazał, a on oceniał mnie siedząc w fotelu z cygarem w ustach. Od czasu do czasu powtarzał: „Spokojniej. Harmonijnie”. Nigdy nie podnosił głosu, nie gniewał się. Tyrałam jak galernik, poruszając rękami i nogami, naprężona, z uniesionym podbródkiem, oczyma zapatrzonymi w tę cudowną przyszłość, gdy będę potrafiła nareszcie robić na plaży coś poza prażeniem się w słońcu, gdy będę coś nareszcie miała w życiu, aż na zewnątrz rozległ się grzmot i to tak

przerazający, że o mało nie spadłam z taboretu. Toni zawołał: „Proszę!” i do pokoju wtargnęły wszelakie nieszczęścia, na jakie mogłam zarobić sobie w życiu.

Ujrzałam Jitsu i dziewczynę, którą muszę opisać, inaczej bowiem nikt nie uwierzyłby w to, co nastąpiło potem, albo uznałby mnie za kompletnie stukniętą. Na pierwszy rzut oka: wieśniaczka, wieśniaczka w każdym calu, od stóp do głów, ba – karykatura wieśniaczki. Zresztą przyjechała prosto z fermy, nie mogłam się pomylić. Włosy brudne. Ociekające tłuszczem, tym brudniejsze że miała ich masę i były czarne jak u Cyganki. Oczy: niewidoczne, wbiła je w podłogę, zdając się myśleć tylko o tym, jakby się pod nią zapaść, żeby w ogóle nie było jej widać. Wiek: może dwanaście, może dwadzieścia, czort ją wie. Bez makijażu, w starym bezkształtnym płaszczu, zbyt długim i zakrywającym wszystko aż po pantofle. Potem dowiedziałam się, że jest ode mnie o trzy lata młodsza. Do tego obrazu trzeba jeszcze dorzucić pantofle, które powinna była wymienić na pierwsze lepsze znalezione w śmietniku, słomkowy kapelusz w stylu mojej babki, przewiązany sznurkiem, sfatygowaną walizkę z kartonu, potem można już tylko sięgnąć po chusteczkę do nosa i otrzeć łzy. Gdyby ją postawić przed lustrem, mielibyśmy Dwie Sierotki, ale nawet na jeden egzemplarz przykro było patrzeć.

Zamarłam na taborecie, odgrywając rolę pomnika przerośniętej żaby, za to Toni podbiegł do niej w paru susach, wyraźnie podekscytowany. Zasypał Jitsu podziękowaniami, jakby chciał, żeby chłopak nie zorientował się, że równocześnie wypycha go z pokoju, potem zamknął drzwi i oparł się o nie plecami, i pomyślałam, że boi się, że tamten wróci albo że ucieknie mu to wsiowe cielę, ponieważ zaś nadal obserwowałam wszystko szeroko otwartymi oczyma, powiedział przełykając ślinę: „Przedstawiam ci Salome. Wyświadczyła mi przysługę, a to dla mnie świętość!” Wstałam i z gołymi cymbalami, mimo wszystko trochę nieufna, podeszłam, żeby jej się lepiej przyjrzeć. Uparcie trzymała oczy wbite w ziemię, stercząc pośrodku pokoju jak wędnąca chryzantema. Za to Toni nabrał nagle pewności siebie, i to jeszcze jakiej, i oznajmił: „Chciałem ci zrobić niespodziankę. Będzie twoją dublerką, będzie na nas pracowała! Wiesz, po co, Belindo? Będziemy mogli szybciej kupić sobie własne kino, tylko musisz ją podszkolić!”

Zatkało mnie. Nawet alfons mojej koleżanki z Perros-Guirec, kiedy chciał mnie nabić w butelkę, zachował pewne formy – przez trzy godziny bajerował mnie, zafundował mi duże lody w waflu, pokazał mamusi, nazywał panienką, aż wreszcie, kiedy powiedziałam: „nie”, zaczęłam prawie

wierzyć we własne dziewictwo. Tymczasem muszę powiedzieć, że jak dotąd Toni nie przejawiał zapału, by brać własną dolę, bolało go nawet, że wciskam mu parę groszy do kieszeni, kiedy idzie do kina. Ale pewnie można się szybko tego nauczyć, a może czym większy naiwniak, tym bezczelniej się zachowuje? W każdym razie nie zdążyłam jeszcze otrząsnąć się z wrażenia, gdy powiedział: „Dobrze. A teraz, jeżeli nie chcesz, możemy ją odesłać”. Oschły, nadąsany, oficjalny jak nakaz sądowy.

Podszedł do szafy, wyjął białą koszulę polo, spodnie i mokasyny z pierwszego dnia i rzucił to na łóżko. Zapytałam: „Co robisz?” W odpowiedzi usłyszałam tylko plusk deszczu o szyby. Zdjął płaszcz kąpielowy. Wciągnął spodnie. Powtórzyłam, jakbym sama nie widziała: „Toni, pytam, co robisz?” Zapinając się popatrzył na mnie: „Dziękuję ci za wszystko, Belindo. Zawsze będę żałował, że cię straciłem. Ale nie mógłbym żyć w tym... w tym...” Nie znajdował słowa, które oddałoby ohydę miejsca. Dodał: „Nie przez dwa ani trzy lata, a może nawet dłużej! Nie mógłbym! Nie mógłbym!...”

Cholera, przysięgam, że miał w oczach łzy. Odwrócił się sięgając po polo. Czulałam się tak bezradna, że rzucałam pytające spojrzenie tamtej safandule, bo chciałam zrozumieć, o co chodzi, ale to krówsko nie reagowało. Mogłaby powiedzieć cokolwiek, że nie chce przeszkadzać, że wpadła tylko zapytać, co słyhać, albo wysiusiać się, ale tu – nic, ani słowa. A on, patrzcie państwo, jaki się zrobił sprytny! Odwrócony ode mnie plecami powiedział tonem faceta, który nie oczekuje już żadnej zmiany, ale próbuje na wszelki wypadek: „A przecież dobrze to obmyśliłem. Skoro tylko zwolniła się Bombonierka, przysłała mi do głowy Liza”. Wiedziałam, jak to zrozumieć – Bombonierka to był pokój Esteli, śmieszki, która odeszła z nosem na kwintę w zeszłą niedzielę, żeby zacząć pracę w Hawrze, gdzie pewna kobieta zajmowała się jej dzieckiem. Druga zagadka nie była zbyt trudna: nasze ciele miało imię jak każdy człowiek, a nazywało się Eliza.

Podeszłam do niego od tyłu, objęłam go ramionami. Z czołem opartym na jego ramieniu zapytałam łagodnie: „Kim jest Salome?” Zrozumiał, że chcę zacząć rozmowę, i uśmiechnięty usiadł na brzegu łóżka. Powiedział: „Tancerka z Biblii. Chciała głowy pewnego faceta, który krzyczał na pustyni i jadał szarańczę. Nakręcili o niej film”. I zaraz potem: „Wystarczyłoby, żebyś szepnęła słówko Madame, niczego ci nie odmawia”.

Przyjrzałam się Lizie i podeszłam do niej powoli, starając się w mig rozważyć sytuację. W tym palcie wyglądała jak worek na kartofle i nie

dałabym złamanego grosza za jej szansę w zawodzie. Poza tym uważałam się za cwana. Pochyliłam się, żeby spojrzeć jej w oczy. Były czarne, uparte, bez wyrazu. Zapytałam, pewnie tylko po to, żeby usłyszeć jej głos: „A co ty o tym myślisz?” I w tym momencie zasłużyłam, by na moim nagrobku wypisano: „Kretynka”, bo to wsiowe ciele mnie dopadło. Odpowiedziała bez zmrużenia oka, a głosem łagodnym jak zefir: „Zawsze marzyłam, żeby zostać kurwą”.

Położyłam się znów na taborecie i wróciłam do ćwiczeń, by zachować twarz, a po chwili przerwałam i westchnęłam: „Jeżeli ma być tylko dublerką i zgadza się dzielić na trzy, możemy spróbować. Na razie tylko przez tydzień”.

Czy warto mówić, co było potem? Zwykła masakra! Jeszcze nie zamknęłam ust, a moja bidula podniosła wreszcie oko – tak, jedno, i było to najcenniejsze, najobłudniejsze spojrzenie, jakie świat widział. Kiedy zdjęła płaszcz, przysięgłam sobie nigdy nie kupować kota w worku, a tymczasem posłałam Toniego na spacer. Gdy rozebrałam ją z fartucha, który miała pod spodem, na gołym ciele, zrodziły się we mnie pierwsze wątpliwości co do rodzaju usług, jakie mogłaby wyświadczyć pianiście, który jeszcze nie oślepl. Ale pomińmy już moją szlachetność: kąpiel, mycie włosów, mydło lawendowe, perfumy, kosmetyki, ba, nawet szczoteczka do zębów. Kiedy zaferowałam jej bieliznę, powiedziała: „Dziękuję, mam swoją”. Rozwiązała sznurek opasujący walizkę – nawiasem mówiąc rękami, które nie znalazły pracy na roli – i wyciągnęła balową suknię z cieniutkiego jedwabiu, barwy płatków róży i dobrane pantofelki na obcasach. Wystroiła się w to, a wyglądała jakby była naga. Zapytałam: „Skąd to wzięła?” Odpowiedziała: „Od kogoś, po drodze”. A ponieważ chciałam z nią chwilę pogadać, żeby poczekała z debiutem co najmniej do jutra, dodała: „Trzeba to załatwić z szefową. Poradzę sobie sama, niech pani do niej idzie”.

Słowo daję, chłopcy to durnie. Bo Toni musiał być durniem, żeby myśleć, że ta łajdaczka potrzebowała nauk. Już pierwszej nocy można by pomyśleć, że klienci wychodzący z jej pokoju – nie nazwę go „jej burdelem” przez respekt dla biednej Esteli – zobaczyli diabła. Ciągnęli ku światłu, trzymając się tuż przy ścianie. Nic, powtarzam wam – nic jej nie zraziło – ani sposób, ani ilość. Co najmniej raz w ciągu nocy zabierała na górę pierwszorzędnego gościa, a Madame, która po długich molestowaniach wydobyła z jednego ze stałych bywalców nieco szczegółów, powiedziała do mnie i Czarnej Zozo: „Nie miałam nawet pojęcia, że takie rzeczy istnieją!”

W dodatku jestem pewna, że Liza nawet nie udawała, kiedy była z

klientem. Starczyło na nią spojrzeć, gdy pojawiała się po kolejnym numerze u szczytu schodów, przyodziana w długie, przezryste szmatki, z błyszczącymi oczyma, jeszcze wilgotnymi na czole włosami, bardziej wyniosła niż cesarzowa. Przebiegał mnie dreszcz. Po długiej chwili strasznego bezruchu schodziła stopień po stopniu do salonu i przesuwiała się wśród zebranych, nikogo nie widząc, jakby wabił ją tylko fortepian. Jeżeli Toni właśnie nie palił, mogłam spokojnie założyć się o swe psie życie, że podejdzie, sięgnie po camela do paczki leżącej przed nim, przypali go zapalniczką Cartier, którą ogarnięta miłością kupiłam w Royan, i upačka do połowy swoją szminką, a potem wepchnie mu do ust. A wszystko, psiakość, wśród mdłych min, bo ktoś kiedyś powiedział jej, że jest podobna do Hedy Lamarr, a poza tym na mój użytek – przecież wiedziała, że nie spuszcza jej z oka.

Potem nie powstrzymując się od łaszenia do niego, szeptała mu coś do ucha, a on nagle zaczynał grać inny kawałek. Grał także bolero, które przywlokła w tej piekielnej walizeczce razem z innymi piekielnymi sztuczkami – *Po cóż próbować, to jest możliwe*, ona zaczynała tańczyć samotnie, tuż przy fortepianie, przed nim, dla niego, a wszyscy odsuwali się i gapili jak durnie. Unosiła ręce, majtała nogami, kręciła brzuchem i tyłkiem, potrząsając czarną czupryną. Nie mnie oceniać wrażenie, jakie to sprawiało, bo i żeby mnie wprawić w osłupienie, więcej by trzeba, ale nawet będąc kobietą, i to raczej kiepską z katechizmu, uważałam to za piekielne łajdacstwo.

Jeżeli powiem, że byłam zazdrosna, nikt mi nie uwierzy. A ona robiła wszystko, żeby doprowadzić mnie do szaleństwa. Kiedy przychodziła do mego pokoju, żeby oddać Toniemu forszę, nazywała mnie „Starą”. Objechałam ją, a ona odpowiedziała: „Chciałam powiedzieć «Poprzednia». Mam miękkie serce, ale nie wytrzymałam, rzuciłam się na nią i wyrwałam jej garść włosów. Gdyby Toni nas nie rozdzielił, zostałyby zupełnie łysa. Potem – to znaczy od trzeciego dnia – nazywała mnie „Tyką”, ale nie chciało mi się wdawać w pyskówkę z kretynką. Do niej mówiło się Salome, bo inaczej nie reagowała.

Trzeba powiedzieć, że pieniądze specjalnie oddawała zawsze Toniemu, nie mnie. Co do grosza zresztą – zachłanność była chyba jedyną przywarą, jakiej u niej nie dostrzegłam. Pierwszego dnia, kiedy oboje chcieliśmy koniecznie, żeby zatrzymała swoją dolę, odpałiła: „Dość, że karmię mnie tu za darmo”. Słowo daję. Ale to nie przeszkadzało mi zastanawiać się, co na tym zyskałam, i przekonywać samą siebie, że jej gwiazda blaknie. Mogłabym ją wiele nauczyć, choćby tego, że oczarowanie nowością starcza na

krócej niż rolka papieru toaletowego, ale nie jestem wulgarna, a poza tym jej pieniądze wpływały do tej samej kasy co moje, i kiedy wycofam się z fachu, będą tego samego koloru. Mogła więc brać naraz tylu klientów, ile świec mieściło się w naszym ogromnym lichtarzu – to tylko przyspieszało ten dzień.

A poza tym to nie jej głupota mnie wprawiała w szal, ale zmiany, jakie dostrzegałam u Toniego, i fakt, że nie mogłam nic na to poradzić. Kiedy kłóciłam się z nią, nie wiedział już, co ma robić. Kiedy zostawaliśmy sami, unikał mego spojrzenia. Jeśli całowałam go w szyję, jak ona, odsuwał się. Nie mówmy już o łóżku. Nie śmiałam nalegać. Co ranka przez ten cholerny tydzień płakałam w poduszkę przed zaśnięciem.

W przedostatnim dniu ogarnął mnie taki zamęt, że miałam ochotę walić głową o ścianę. Zapytałam: „Toni, mój najdroższy, gdybyś nawet miał zadać mi ból, powiedz, co cię gnębi?” Odepchnął mnie, nie żeby brutalnie, ale z ciężkim westchnieniem: „Bądź grzeczna, Belindo. Męczysz mnie”. Zawołałam: „A widzisz, już mnie nie kochasz?” Odpowiedział, nawet na mnie nie patrząc: „Nie o to chodzi. Nie mogę już znieść tego pokoju, tego domu, to wszystko mnie gnębi”. Odparowałam: „Nawet twoja dziwka?” Obrzucił mnie spojrzeniem, jakiego nigdy dotąd u niego nie widziałam, pełnym jadu, ale trwało to tylko ułamek sekundy. Wzruszył ramionami i powiedział: „Zostaw Salome w spokoju. Ona nie ma z tym nic wspólnego. Próbuje ci wytłumaczyć, że nie jestem stworzony do takiego życia”.

Potem wyszedł do kina, na popołudniowy seans. Słuchałam, jak idzie po schodach. Później zrodziło się we mnie pewne podejrzenie: a może udawał, że wychodzi, i po cichu wrócił, żeby iść do Lizy? Zakradłam się pod drzwi Bombonierki. Nie słyszałam żadnych dźwięków. Otworzyłam. Leżała nago na łóżku, podpierając brodę dłońmi i oglądała zdjęcia z filmu, który opowiadał nam Toni. Nie wiem nawet, czy umiała czytać. Podniosła oczy i pewnie musiałam mieć podejrzenia wypisane na twarzy, bo rzuciła zjadliwie: „Nie ma go tu. Nie byłby przecież taki głupi”. Wyszłam, ale to zdanie nękało mnie do następnego dnia. Zaczęłam się zastanawiać, gdzie poza domem mogliby się widywać.

Ktoś by powiedział: tydzień minął, czemu nie poprosić Madame, żeby wyrzuciła tę gnidę? Tak też zrobiłam. Madame odpowiedziała mi dokładnie to samo, co wówczas, gdy szło o mnie: „A czy on pozwoli, żeby odeszła sama?... No więc?...” Więc przycupnęłam na krześle w salonie i zaczęłam szlochać, a poruszony tym wszystkim Jitsu powtarzał: „No, panienko Belindo, nie trzeba się tak denerwować”.

A potem nadeszło to straszne popołudnie. Nie byłam już sobą. Załamana, siedziałam na podłodze przy łóżku, nie myjąc się ani nie czesząc, w czarnym jedwabnym szlafroku. Zappełniłam popielniczkę papierosami, które gasiłam ledwie zapalwszy. Toni wyszedł, niby to obejrzeć *Marię Walewską*. Widział ten film poprzedniego dnia. Szykując się, powiedział: „Nie grają nic innego, a ja się tu duszę”. W ostatniej chwili zauważyłam, że ma na sobie spodnie i mokasyny, w których przyszedł, i identyczną polo. Rzucił mi: „Dobrze się w tym czuję. Chyba mam jeszcze prawo ubierać się jak chcę?” I trzasnął drzwiami, bo chciał opuścić mnie obrażony – w ten sposób przecież ma się mniejsze wyrzuty sumienia z powodu łajdackiego zachowania.

Gdy w „Królowej Serc” wszyscy szykowali się już na wieczór, jego wciąż nie było. Przez okno balkonowe widziałam ogromną czerwoną kulę niknącego w oceanie słońca. Nie mogłam dłużej wytrzymać. Poszłam sprawdzić w Bombonierce. Salome nie było. Zeszłam do salonu. Nikogo i tu. Zeszłam do kuchni. Ani żywego ducha. Drżałam od stóp do głów. Miałam wrażenie, że wszystko dzieje się zbyt szybko, że nie zdołam już niczemu zapobiec. Otworzyłam szafę. Sięgnęłam po strzelbę, której Jitsu używał zimą do polowania na kaczki. Obok znalazłam ładunki.

Poszłam do garażu. Zajrzałam do wnętrza chenarda. Potem obeszłam ogród i choć miałam na sobie tylko czarny szlafrok, byłam spocona i zziębnięta. Tuliliam do siebie strzelbę. Łzy przesłaniały mi oczy. Minęłam bramę i drogę. Przez chwilę włóczyłam się wśród krzewów i wydm, które oddziaływały „Królową Serc” od oceanu, aż nagle bez cienia wątpliwości odgadłam, gdzie ich znajduję. Zaczęłam biec, pogubiłam buty, chciałam po nie wrócić, zostawiłam w diabły. Zeszłam na rozległą, bezludną plażę. Brnęłam przez piasek ku drewnianej budce, gdzie w sezonie sprzedawano napoje i frytki. Niebo było zalane czerwienią. Zataczałam się jak pijana, połykałam łzy. Dochodząc otarłam twarz przedramieniem. Chyba nie chciałam mu pokazać, że płakałam. Wydaje mi się też, że prosiłam Najświętszą Panią, żeby przeszkodziła mi w doprowadzeniu do tragedii, i że ona błagała, bym odrzuciła strzelbę, ale z wnętrza dobiegały mnie już stłumione głosy i otworzyłam drzwi kopniem.

Toni rzeczywiście tu był, tak jak w nieznośnych wizjach, które podsuwała mi zazdrość, ale ta, którą trzymał w ramionach i brał na stojąco, ta farbowana blondynka, purpurowa ze złości i piskliwa, to nie była Salome. W życiu Pani nie zgadnie, kto to był. Ja sama nie rozpoznałam jej w pierwszej chwili: Pleciuga, fryzjerka z Saint-Julien.

Nie zadali sobie trudu, żeby się rozebrać. Ona, z podciągniętą do pępka kiecką, nawet kapelusz miała na głowie, a wokół kostek odświętne majtki. A on, tylko z rozpiętym rozporkiem, podtrzymywał ją za pośladki i unosił, żeby jej lepiej wygodnie. Zamarli nagle i patrzyli na mnie jak na piekielną zjawę. Pewnie zresztą wyglądałam na zjawę.

Krzyknęłam: „Wyjdz stąd!” Usłuchał i wykrzywiony w pełnym zakłamania uśmiechu schował interes, odsuwając się możliwie najdalej od strzelby. Zawołał: „Posłuchaj, to nie jest tak, jak myślisz!” Tamtą łajdaczką wcale się nie zajmowałam. Nie wiem, kiedy ani którędy uciekła. Interesował mnie wyłącznie Toni. Cofał się po piaskują szłam za nim krok w krok, a jego twarz widziana przez łyzy była dla mnie tylko bladą plamą na krwistym niebie.

Krzyknęłam: „Czy nie widzisz, że sprawiasz mi ból?! Nie widzisz?!” Gorączkowo machał przed sobą rękami, żeby powstrzymać mnie od strzału. Błagając nazywał mnie Emmą. Słowo honoru. Nie wiedział już, kim jestem, myślał, że znów przeżywa koszmar sprzed miesiąca.

Wrzasnęłam: „Belinda, do cholery!” I uniosłam łufę strzelby, dotykając nią jego torsu. O mało nie upadł. Spanikowany mówił byle co: „Zgoda, zgoda. Jak chcesz. Ale posłuchaj! Dziesięć minut temu nie znałem nawet tej babki”. Wyciągnął ku mnie lewą pięść, żebym zobaczyła obrączkę: „Spotkaliśmy się, bo miała dla mnie wiadomość od mojej żony!”

Skamieniałam. Wybełkotałam: „To w dodatku jesteś żonaty?” Przytaknął, również stając i chyba nawet uśmiechnął się głupawo, jakby fakt, że mi o tym powiedział, przekreślał wszystko i go rozgrzeszał. Strzeliłam.

Upadł na wznak, z dziwacznie poskręcanyimi nogami i rękami, ze skrwawionym torse. Jestem przekonana, że skonał, nim dotknął piasku. Nie wydał nawet okrzyku, jeśli tak, to krzyk ten zlał się z odgłosem wystrzału. Jeżeli ktoś krzyknął, to wydaje mi się, że znacznie później. Może to była uciekająca na osłep fryzjerka, może po prostu mewy. Nie wiem. A może ja, w duchu.

Nie umiałabym też powiedzieć, w jakiej odległości od wody go zabiłam, czy był przyływ, czy odpływ, po prostu nic z tych rzeczy. I byłoby idiotyzmem sądzić, że pomyślałam o przesunięciu ciała, żeby zabrał je ocean. Nie śmiałabym nawet go dotknąć. Patrzyłam na nie, leżące u mych stóp, a w głowie miałam kompletną pustkę. Patrzyłam i robiło mi się zimno – to wszystko.

Potem powiedziałam sobie, że to mój koniec. Przycisnęłam strzelbę do siebie, a ponieważ nie miałam pojęcia, dokąd pójść i co robić, wróciłam do domu.

Zozo

Wszystko było zupełnie inaczej.

Po pierwsze, on miał na imię nie Toni czy Vincent, czy diabli wiedzą jak. Miał na imię Francis. I był studentem.

Poza tym Pięknolicy nigdy nie siedział w więzieniu. Bo jakże miałby tam trafić taki pantoflarz! Wzięli go do wojska, zgadza się, ale w tym samym czasie, kiedy brali wszystkich. Słyszałam, że był kapralem. Nie mam pojęcia, co się z nim dalej działo.

A najlepsze jest to, że nie jestem czarna. W każdym domu w tamtych czasach potrzebna była jedna taka, ale burdeli w Charente było więcej niż dziewczyn w Senegal. No więc malowały mnie co rano miksturą z łupin orzecha. Miałam w tym makijażu nawet całkiem ładną buźkę, tylko zęby błyskały bielą.

Z tego wniosek, że albo Belinda kłamie, albo ja. Zastanawiam się, skąd jej to wszystko przyszło do głowy. Pewnie głądzi, żeby zwrócić na siebie uwagę, albo dlatego, że można coś z tego mieć, zawsze była pazerna.

„Królowa Serc” na przykład – żyrandole, fortepian koncertowy, klienci jak pingwiny, szampan i ciasteczka!

I co jeszcze?! Była to willa z ubiegłego stulecia, w stylu podupadłej burżuazji, a w ogrodzie więcej było cierni niż palm. Wychodząc, zaczepiałyśmy o nie. Ale nie wychodziłyśmy, kiedy przyszła nam na to ochota. Miałyśmy wychodne co dziesięć dni, a i to nie zawsze. Zresztą nie ciągnęło nas na zewnątrz. To nie był Paryż, ani nawet Nantes. Starczyło przysiąść w kafejce przy porcie i zamówić szklankę grenadyny, a już do szyby przyklejała nosy gromada gapiów. Pokazywało się im język, ale poza i tak tym

nie było nic do roboty. Osobiście tak bardzo się nudziłam, że wołałam wcale nie wychodzić. Bielusiénka siedziałam przed lustrem, żeby przypomnieć sobie, jak naprawdę wyglądam, ale i to szybko mnie nużyło. Na zewnątrz nikt na mnie nie czekał, faceta, który sprzedał mnie jako pierwszy, nawet nie znałam, taki bywa los upadłych dziewcząt.

Poznałam w życiu sporo burdela, a ten nie był gorszy od innych. Przy najmniej kiedy otwierało się okno, powietrze pachniało oceanem. Bywali tu wszyscy – notariusz, aptekarz, rzeźnik. Ojcowie przyprowadzali dorastających synów. W salonie czuło się zapach pasty do podłóg. Ów wspaniały fortepian był wstawiony do salonu sprzedaży, a do „Królowej” trafił jako premia przy zakupie zegara ściennego znad barku. Wskazywał zawsze godzinę, którą się chciało – nie miał wskazówek. Może mi Pani wierzyć, pamiętam to jak dziś. To praktyczny fortepian, cały odrapany, przemalowany na biało, żeby grać na nim jazz. A był taki szczerbaty, że nie mógł ugryźć nawet najgorszego rzemioły. Zasiadały przy nim bliźniaczki, kiedy miał pojawić się jakiś agent handlowy. Przebrane za małe dziewczynki, w białych skarpetkach i z kokardami we włosach, grywały na cztery ręce, pierwszą wprawkę z *Różowej metody*. Żałosne. Pocieszaliśmy się podręcznym niby-szampanem. Dla bywalców było białe wino. Na etykiecie było napisane „Piwnica Słońca”. Niczego innego nie podawano.

A Madame! Aż trudno uwierzyć, była dziwką w koloniach, potem została zarządzającą w Perigueux. Po jakimś czasie dostała spadek po bracie, handlarzu win. Była niewiele po trzydziestce i niczego sobie, tylko że ubierała się jak bigotka, żeby dodać sobie powagi. Nie była zła, ale miewała lepsze i gorsze dni. W te dobre odzywała się do nas.

No więc bujdy Belindy przyprawiają mnie o dreszcz. Nie uważam, żeby wariatów trzeba było skazywać na gilotynę, ale gdybym miała się z nią jeszcze kiedyś spotkać, wołałabym zaszyć się w domu i nie wychylać nosa. Poza tym śmiać mi się chce z tego wszystkiego – królewskich sukien, pokoi z baldachimami, wanien z gorącą wodą. Chwalić Boga, takich domów, jak ten z jej opowieści, nie ma nigdzie na świecie, w przeciwnym razie trzeba by samemu nosić własne listy, bo na poczcie nie zostałyby ani jedna dziewczyna do sprzedaży znaczków.

I jeszcze coś, żeby nie robić z nikogo durnia. W „Królowej Serc” było nas nie dziesięć, ale siedem, jak siedem grzechów głównych. Belinda, jeżeli już tak się ją tu nazywa, bo my, Michou, Magali, bliźniaczki i ja, no i Liza, mówiłyśmy do niej Jo albo Georgette.

Liza rzuciła męża, dwa razy starszego od niej kowala, bo przestał się

do niej odzywać. Dlaczego przestał, nie powiedziała. Nigdy nie widziałam, żeby tańczyła coś poza tangiem, fokstrotem czy walcem, jak wszystkie. I ani lepiej, ani gorzej. Była piekielnie upierdliwa w martwe wieczory, bo próbowała mieszać się w cudze sprawy, skoro tylko kogoś dopadła. Poza tym to pocziwa dziewczyna. Często zabierałam na górę klienta, takiego „popie oczy, księżę gardło”, razem z nią. Nigdy nie było problemu z podziałem napiwku.

Nikt za to nie chciał pracować z Georgette. Darła koty ze wszystkimi. Nie jestem kłótniwa, ale też nie trawiłam jej fochów przy facetach. Traciliśmy przez nią mnóstwo czasu na debaty o ceny. Dobry temat, prawda, a do tego kokietyjne spojrzenia, którymi mogłaby proboszcza przywieść do zguby, tyle że była pretensjonalna, obraźliwa, a poza tym skwaszona kultura. Gdyby zapytać całe nasze stadko, każda by mi przytaknęła.

I jeszcze sprawa czasu. Dokładnie miesza lata w swoich kłamstwach. Tylko raz, kiedy tam byłam, słyszałam o ucieczce z cytadeli. Fakt, że żołnierze przetrzasnęli dom. I fakt, że w środku nocy. Tyle że albo to ja już głupieję, albo mieli – widzę jak dziś – mundury i otoki koloru khaki, nie niebieskie. Dawno już nie widywało się niebieskich.

Według mnie – ale każdy może się mylić – to działo się na parę dni przed wojną, w końcu sierpnia, w roku mobilizacji. Pamiętam afisze z trójkolorowymi obwódkami. Polska, linia Maginota – nie mówiło się o niczym innym. Sporo klientów pożegnaliśmy, poszedł Jitsu.

A właśnie, jeszcze i ta bajeczka – istny poemat. Podstępny jak lis, robił dziury w ścianach, żeby podpatrywać nas gołe. Ubierał się z japońska, z opaską na czole – jak w opowieściach Georgette, ale wystarczyło trzepnąć go w ucho, żeby nauczyć grzeczności, a płakał jak dziecko. Wolę nie myśleć, jak wypadłby w starciu z mężczyzną. Płakał jeszcze głośniej, kiedy wyruszał do wojska. Poprzedniego dnia ciągnęłyśmy zapałki – która da mu przed odjazdem. Zrobił swoje, a ona nie zdążyła nawet nic poczuć. Był tak zawiedziony, że stanęła na głowie, żeby miał przynajmniej co wspominać. Potem zasypywał ją takimi listami, że aż dziw, że koperty to wytrzymawały! Czy był w łaskach u Madame, nie wiem, może i ona miała swoje słabości. Wspominam to wszystko, żeby pokazać, że pamiętam, kiedy się to działo.

Miałam dwudziesty trzeci rok. Przyszłam do „Królowej Serc” przed innymi. Szesnastka, nie siedziałam, a już przeszłam przez dwa burdele. Przyjmowałam życie, jakie było, śmieszył mnie tylko mój całkiem biały tyłek. Byłam zawsze zadowolona. Małe cycuszki i wąskie biodra były wtedy

w modzie. Wzbraniałam się przed maskaradą, ale nie narzekałam. Czasami czułam się żałośnie, ale skoro taki los był mi pisany, nie miałam nad czym dumać. Nie mam chyba już nic ciekawego do powiedzenia na swój temat. No i jeszcze! Na imię mi Zuzanna, nie wiem, dlaczego przechrzcili mnie na Zozo.

Pierwszy raz zobaczyłam Francisca w zwykły wieczór, około północy. Siedział przy barze. Madame podała mu kieliszek białego wina, a może coś innego. Było sporo gości. Zostawiła go tam, nie zachwalając mu żadnej z nas, bo wszystkie miałyśmy już klientów. Zauważyłam go, bo był nowy i bardzo wysoki. Miał przylizane włosy z przedziałkiem na boku, przyciasny garnitur, mały, sztywny kołnierzyk i wąski krawat. Potem już go nie widziałam. Pewnie wyszedł, kiedy byłam z jednym z dwóch gości.

Wrócił dwa czy trzy dni potem. To był piątek, najmarniejszy dla nas wieczór. Bardziej niż zwykle nagabywałyśmy niezdecydowanych, zwłaszcza że koniec wakacji zbiegał się z początkiem czegoś zupełnie innego. Nawet jeśli nie wiedziało się jeszcze, czego, łatwo było zgadnąć, że nasze siostry ze Wschodu będą miały więcej pracy niż my. Około jedenastej Madame zagadnęła młodzieńca przy barze sądząc, że czeka na nią. Daremny trud, odwrócony plecami do salonu, trzymał nos w kieliszku. Zapłacił i wyszedł. Podrywałam właśnie szypra z Saint-Julien, inaczej złapałabym go przed drzwiami. Nie wyglądał na gołego. Pomyślałam, że może ta, którą sobie upatrył, nie była jeszcze zajęta. Na początku faceci przychodzą często zdecydowani na konkretną dziewczynę. Zerknęłam, której brakuje. Na dole były wszystkie prócz Georgette.

Następnego wieczora ten sam scenariusz – nędzny garniturek na rogu baru. Zmrużeniem oka Madame kazała mi się nim zająć. W chwili gdy do niego podchodziłam, rzucił przelotne spojrzenie w kierunku, gdzie jego wybranka, siedząc na kolanach sklepikarza, zanosila się śmiechem. Strzelała z jego gumowych szelek. Odezwałam się do posępnego przystojniaka, nim zdążył mnie zauważyć:

– Podoba ci się Belinda?

Był jak dzieciak, którego przyłapali na podbieraniu konfitur. Przez chwilę nie podnosił wzroku znad szklanki.

– Dlaczego jej nie poprosisz?

Milutki! Nawet nie mruknął.

– Ej, mówię do ciebie!

Na jego twarzy pojawił się grymas – coś pomiędzy uśmiechem i zażenowaniem albo vice versa. Wreszcie usłyszałam jego głos. Był miękki, trochę zachrypnięty:

- Nie mam odwagi. Poza tym nigdy nie jest sama.
- Chcesz, żebym ją zawołała?
- Nie, tylko nie to!

Nie chciałam nalegać. Zapytałam, czy postawi mi kolejkę. Potem krok po kroku, bo niełatwo było go rozgrzać, dowiedziałam się, że ma dwadzieścia dziewięć lat i że na imię ma Francis, że studiuje w Paryżu coś, czego nazwy nie rozumiałam, ale nie chciałam pytać go drugi raz, co to jest, że najbardziej lubi amerykańskie filmy i papierosy z jasnego tytoniu. Mimo woli powiódł oczyma za Belindą, kiedy ciągnęła gościa w stronę schodów. Nawiasem mówiąc, te schody wyglądały niezupełnie tak, jak je opisywała. To były drewniane, podziurawione przez korniki schody, przemalowane tak, by wyglądały na marmurowe. Ale jakie to ma znaczenie? Zwróciłam twarz mego kochasia na me murzyńskie wdzięki przyjaznym palcem. Powiedziałam:

– Posłuchaj, to nienormalne, żeby taki duży chłopiec przesiadywał ciągle na dole. Czy ja ci się nie podobam?

Błysnęłam białymi zębami w cudownym uśmiechu. I on umiał się uśmiechnąć. Potrząsnął głową zaprzeczając, bardzo zawstydzony swą bezczelnością. Miałam na sobie jeden z dwóch ulubionych strojów. Całe szczęście, że je lubiłam, bo innych nie miałam. Pierwszy składał się z krótkiej haleczki i pończoch do pół uda, białych dla kontrastu. Drugi, ten, w którym byłam, składał się z dwóch części i był z czerwonej rafii i ledwie zasłaniał me wdzięki, a do tego dobranych łańcuszków na kostkach. Byłam jak czekoladka, a zależnie od tego, czy facet chciał rzucać mi orzeszki ziemne czy nie, mogłam być małpką Tarzana albo Josephiną Baker. Tyle że ja kręciłam włosy. Tymczasem, ponieważ mój przyjaciel znowu wsadził nos w kieliszek, pochyliłam się, żeby go namówić:

– No, chodź ze mną. Wiesz, że czarne są bardzo delikatne?

Nie patrząc na mnie, skinął brodą, że wie. Był czerwony, czerwony jak piwonia. Spodziewałam się, że będzie stroił fochy przez następne dwie godziny, ale nic z tych rzeczy. Wyprostował się i dla dodania sobie odwagi, zanim ruszył za mną, jednym haustem wychylił alkohol.

Kiedy znalazł się w pokoju, ukradkiem rozejrzał się wokół i przysiadł na brzegu łóżka, wbijając oczy w ziemię. Żeby poczuł się swobodniej, zamknęłam okno i zaciągnęłam zasłony. Dzień był piekielnie upalny. Wykorzystywałam każdą wolną chwilę, żeby zanurzyć się w umywalce. Pod wieczór trzeba było malować mnie na nowo. Ale czy to ważne? Zdjęłam stanik i spódniczkę. Zachowanie mojego studenta nie raziłoby na pogrzebie. Siedział z rękami zwieszonymi między kolanami, wciąż jeszcze w

marynarce. Sama zmusiłam go do ściągnięcia jej – rękaw po rękawie. Ogarnęły mnie wątpliwości. Zapytałam głosem tak cichym, że ledwie słyszałam swe słowa:

– Chyba byłeś już kiedyś z kobietą?

Po prostu przecząco potrząsnął głową. Był tak zawstydzony, że aż zacisnął powieki.

– A ta obrączka?

– To po dziadku, pamiątka rodzinna.

Napomknęłam, że to nie najlepszy sposób na podrywanie dziewczyn, że lepiej byłoby zostawić ją w domu, w szufladzie. Krzyknął, jakbym go zraniła:

– Nigdy w życiu! Musieliby mi uciąć palec, żebym ją zdjął!

W końcu udało mi się spojrzeć mu w oczy. Posępne, uparte, miały w sobie coś niezmiernego. To były oczy dzieciaka.

Kiedy stali bywalcy przyprowadzali synów, których trzeba było ośmielić, zdarzało mi się zająć którymś. Robiłam, co mogłam, ze względu na prezenty, ale nie przepadałam za tym. Szczerze mówiąc, zawsze wolałam panów w sile wieku, szpakowatych, z brzuszkiem albo łysiną. To prostsze i bardziej pouczające. Na ogół debiutantów wpychałyśmy Magali. Tuliła ich do bujnych piersi, czarowała pulchnym zadkiem, lubiła, kiedy sięgali szczytu. Nawiasem mówiąc, słyhać ich było na dole. Trzeba przyznać, że potrafiła dać im w kość. Po takim „seansie” młodzieniec wchodził w życie dobrze uzbrojony.

Ale on, kiedy stuknęła mu prawie trzydziestka, to było zupełnie co innego. Muszę przyznać, że byłam zaskoczona. Był przystojny, w typie, który wszedł w modę z Gerardem Philipe'em, ręce i nogi miał na miejscu i musiał być inteligentny, skoro studiował coś, czego nazwy nie rozumiałam. A przy tym milutki. Aż trudno uwierzyć, jakim cudem udało mu się uniknąć sieci wszystkich małych intrygantek, którym chce się chłopca, i tych, które polują na męża.

Rzeczywiście, to dziwne. Nie chcąc wpływać na czyjąkolwiek ocenę poprzez tę osobistą uwagę, która nie licuje zresztą z moją skromnością, muszę zaznaczyć, że w tym względzie zeznania Zozo są, jeśli nie kłamliwe, to przynajmniej uderzająco naiwne. Znając na długo przed nią tego, którego nazywa Francisem, sądzę, że wpadła w pułapkę, którą zastawił, by ją rozczulić, i która do niego pasuje, nie cofał się bowiem przed niczym, chcąc uwieść kobietę, choćby miał jej wmawiać, że nie wie nic o miłości.

(Nota Marie-Martine Lepage)

Cóż, postanowiłam jak najszybciej zrobić z niego mężczyznę i zapomnieć o tym drobiazgu. Zapytałam, czy to może ten niewielki i bielutki pokój psuje mu nastrój. Daleko mu było do zbytków, o jakich rozpowiada tamta stuknięta, ale do brzydoty również. Ściany obwiesiłam masą bibelotów i obrazków, żeby stał się bardziej przytulny, w stylu kolonialnym.

Wzruszył tylko ramionami. Zapytałam więc, czy to ja mu nie pasuję – może egzotyka go odstręcza. Powiedziałam:

– To żaden problem. Trzy minuty roboty, trochę mydła. Czemu na mnie nie patrzysz?

Odwrocił oczy, ale tylko na moment. Zobaczył, że zrzuciłam fatalaszki. Skinął głową na znak, że jestem ładna. Westchnął głośno.

Uklękłam na łóżku, tuż przy nim. Zaczęłam gładzić go po głowie. Powiedziałam:

– A mnie mój mały Francis bardzo się podoba.

– Proszę, niech pani mnie tak nie nazywa. Niech pani mówi do mnie Frank, to bardziej męskie.

– Zgoda.

Zaczęłam rozpinać guziki jego koszuli. Mało brakowało, żeby je z powrotem zapinał. Chcąc odwrócić jego uwagę od chwili próby, pytałam:

– Może za dużo myślisz o nauce?

– Nigdy nie myślę.

– Obejmij mnie.

Usłuchał.

– W ciągu dziesięciu lat – powiedział – zdobyłem dwa świadectwa: z łaciny i z greki.

– Niżej...

Usłuchał.

– Jestem dobry tylko z łaciny i z greki. Poza tym kompletne zero. Jestem ciągle na pierwszym roku.

– Nie chcesz popieścić moich piersi?

Usłuchał.

– Wszyscy koledzy ze szkoły są już ustawieni, mają rodziny. Ale nie słucham ich rad.

– Połóż się...

Resztę zrobiłam sama.

To musiało być przeznaczenie. Że też ja, której orgazm nie zdarzał się nigdy – ani z białymi, ani z czarnymi, właśnie z nim musiałam go zaznać. Oczywiście, zdarzało się, że przy niektórych klientach zapominałam o liczeniu much na suficie. Są takie chwile, kiedy staje się to silniejsze od

człowieka i nie sposób się opanować. Ale odkąd jestem prostytutką, czyli od zawsze, zdarzyło mi się to najwyżej cztery czy pięć razy. I za każdym na próżno zaciskałam zęby, żeby ukryć słabość, facet zauważał. Było mi wstyd patrzeć mu w oczy, w których błyszczało zadowolenie. Potem już nigdy nie szłam z takim gościem. Wolałam wyobrazić go sobie i sama sobie wygodnie. Kurwa musi dbać o honor. Zresztą, to zupełnie co innego niż wpadka z Francisem. Zajrzał mi do serca jak do otwartej książki. Wpadłam, kiedy tylko pocałował mnie w usta. Innym nigdy na to nie pozwalałam. Z nim samo wyszło. Kiedy zdałam sobie z tego sprawę, całowaliśmy się już od dłuższej chwili.

Potem zaczęliśmy się śmiać. Ze wszystkiego – z niego, z mojej głupoty, z niczego. Bałam się, żeby któraś z dziewczyn nie usłyszała nas, idąc korytarzem, więc uciszałam go i zatykałam mu usta i wtedy jeszcze bardziej chciało nam się śmiać, więc krztusiliśmy się i prychaliśmy. No i zaczęliśmy od początku. Szło mu lepiej niż na studiach. Prawie zapomniałam, że czas mija. Kiedy zobaczyłam, która godzina, szybko się ubraliśmy. Kazałam mu zejść pierwszemu, żeby dziewczyny nie widziały nas razem. Nawet najbardziej naiwnej kobiety nikt w tej sprawie nie nabierze, choćby odwrócił się do niej plecami. Chciał jeszcze pocałować mnie, wychodząc z pokoju. Pozwoliłam mu. Było mi dobrze.

Nazajutrz przez cały dzień czułam jakiś ciężar na sercu. Wieczorem ścisnęło mnie w gardle na widok każdego klienta, który wchodził do salonu, bo nie był Francisem. Bałam się, że się pojawi. Bałam się, że Madame spojrzy na mnie, kiedy on stanie w drzwiach. Ale powiedział, że przyjdzie, a należał do tych nielicznych, którzy robią to, co powiedzieli.

Na szczęście nie widziałam, jak wchodził. Byłam na górze z wychowawcą z kolonii letnich. Kiedy zeszałam, Francis czekał przy barze w tym samym miejscu co zwykle. Miałam na sobie białą haleczkę i pończochy. Gryzłam się, czy będzie mnie chciał, ale Madame dała mi znak, że już mnie zamówił.

W sypialni byłam jeszcze szczęśliwsza niż poprzednio i myślę, że on też. Podobały mu się białe pończochy na czarnych nogach, chociaż wołałby odwrotnie. Nie zdjęłam ich, żeby go podrażnić, powiedziałam, że jest małym zbereźnikiem. Zauważyłam, że sprawiło mu to przykrość.

Dla wyrównania zasypałam go mnóstwem pieśczęt. Jak w piosence z tamtych lat – *Melancholia, lecz nie smutna*, powiedział mi, że go nie rozumiem. Pierwszą kobietą, którą kochał, jedyną i prawdziwie kochaną, była jego matka. Była bardzo młoda, bardzo piękna, bardzo jasnowłosa. O ojcu mówił: „Ten brutal”. To działo się Marsylii, w dzielnicy makaroniarzy. Kiedy brutal ją porzucił, bez pieniędzy, z sześć- czy siedmioletnim

dzieciakiem, musiała iść do pracy. Francis mówił:

– Oddała mnie do internatu, ale nie mogę mieć do niej żalu, musiała tak zrobić.

Mimo to był nieszczęśliwy jak porzucony psiak. Widywał ją tylko w niedziele. Długo stała przed lustrem, strojąc się przed spacerem.

– Zabierała mnie do ogrodu zoologicznego przy bulwarze Longchamp. Kupowała herbatniki i pivolo.

Nie miałam zielonego pojęcia, co to jest pivolo. Ale nie śmiałam pytać. Domyślałam się, że takie lody na patyku, na wodzie zamiast mleka, do ssania. Ale to bez znaczenia. Przypatrywał się, jak matka zakłada pończochy i krytycznie się im przygląda. Pytała go o opinię. Przypadał do niej, Ignął do jej łona i tulił się z całych sił. Była najpiękniejszą kobietą na świecie. Co też ja opowiadam? Była uosobieniem całej kobiecości – pięknej, brzydkiej, dobrej i złej, wonią mleka i perfum kwiatowych. Wbijał mi ten gwóźdź powoli, jakbym była kompletną idiotką:

– Bo rozumiesz, pończochy, koronki to było piękne i kobiece, będę to zawsze pamiętał. Kocham kobiecość, nie jestem zbrojeńcem!

Powtarzałam, że nie jest zbrojeńcem. Powiedziałabym mu nawet, że ma aureolę nad głową, gdyby tego zapragnął. Najbardziej fascynowało mnie w jego opowieściach to, że mogłam patrzeć na jego usta i oczy. Było mi obojętne, co opowiada. Wpadłam jak śliwka w kompot. To było jasne od pierwszej chwili. Chciałam, żeby zobaczył mnie taką, jaka jestem naprawdę – białą, z miękkimi włosami. Chciałam całej masy głupot, które wymyśla sobie samotna kobieta. A ja nie przestawałam o nim myśleć ani na moment.

Trzeciego wieczora pojawił się znowu, czwartego też. Madame nie szepnęła słowa, że mnie wybrał, ani że zostałam na górze dwa razy dłużej niż zwykle, ale wszystko ma swoje granice. We środę, tuż przed jego przyjściem, odciągnęła mnie na stronę. Byłam tak przerażona, że z orzechowej moja skóra musiała stać się kawowa. Powiedziała:

– Zostawiam ci jeszcze tę noc. Więcej nie mogę. Reszta dziewczyn już zauważyła. Jeżeli będziesz to dalej robić, powiem o wszystkim. A nie chciałabym.

Zaprotestowałam nieśmiało, dla zachowania pozorów, ale powiedziała mi, że siedzi w tym fachu dłużej, niż ja chodzę po ziemi, żebym nie brała jej za pierwszą lepszą idiotkę. I podsunęła mi pod nos banknot pięćdziesięciofrankowy. Powiedziała, że Francis zapłacił nim wczoraj.

– Mam postawić kropkę nad „i”? To jeden z tych, które dałam ci w zeszłym tygodniu!

Ponieważ milczałam, nie pytając nawet, po czym poznaje grosze, które mi płaci, objęła mnie ramieniem i niby to po przyjacielsku dodała:

– Posłuchaj. Wiesz, jak nazywa się to, co robisz? Dawać swoje oszczędności facetowi na zapłacenie rachunku? Wiedz, że to nie ma nazwy. Żadna z tych, które zrobiły to przed tobą, nie wróciła, żeby powiedzieć, jak się to nazywa!

Sądziła, że jestem zdruzgotana, że popłaczę się i na tym się skończy. Biedna burdelmama! Nawet w wieku dwudziestu trzech lat, zaszczuta ze wszystkich stron, gwizdałam na cenę, jaką przyjdzie mi zapłacić za szczęście albo choćby jego przedsmak. Powtórzyła, że jeszcze dziś wieczorem zostawia mi Francisca. A ja pomyślałam, że jutro mam wolne. Patrzyłam w przyszłość. Tego, który sprzedał mnie ostatnio, nie znałam lepiej niż jego poprzednika. Więc jutra, nawet gdyby miał to być ostatni dzień mego życia, nie mógł mi odebrać ani Piotr, ani Paweł. Wreszcie ktoś będzie na mnie czekał gdzieś na zewnątrz, a w jego sercu zaczął się to ukłucie niepokoju, którego i ja już zaznałam, i na samą myśl o tym serce waliło mi jak młot.

Życie jest długie i raz po raz wyciąga do człowieka pomocną dłoń, tak mówił Francis. Zawieruchy mijają, jak cała reszta, i nie zostawiają większych blizn niż wiosenny deszcz. Najlepszy dowód, że tu jestem i odpowiadam na Pani pytania. A w ten środowy wieczór zaśmiewałam się w jego ramionach jak nigdy dotąd i wiedziałam, że bez względu na to, co się stanie, jestem szczęśliwa.

Nie chcę opowiadać niczego prócz jednej rzeczy: wynajął na wakacje stary składzik pod janowcami, po drugiej stronie półwyspu, i tam miał na mnie nazajutrz czekać. Mimo całej przeszłości, jaką można mi przypisać, czułam się świeża jak Danielle Darrieux w swym filmie, to miała być moja pierwsza randka i nie zapomniałam jej.

Punkt dziewiąta byłam u Pleciugi, fryzjerki. Kazałam sobie zaczesać włosy gładko, potem do góry, potem do dołu. Zmiana była tak duża, że cały czas widziałam w lustrze wyblakłą twarz. Kazałam jej nakładać więcej i więcej różu na policzki, szminki na usta. Niewiarygodne, jaką można być kretynką, ale to takie fajne. O jedenastej kupowałam w butikiu „Chic Parisien”, na wprost kościoła, oszałamiającą bieliznę – jedwabne pończoszki, staniczek, w którym me piersi rozkwitnąć miały niczym paczuszki róż. Ze strachu, że zapomnę o jakimś drobiazgu z powtarzanej sto razy listy, spisałam wszystko na kartce. Butelka wina i druga, na drugą nogę, camele i paszteciki z ciastkarni przy porcie. Kiedy wybiło południe, sterczałam o sto metrów od domu ukochanego, pod drzewem, na którym

pilniczkiem do paznokci wyryłam jego imię, w błękitnej sukni, która rozkładała się w pełne koło, gdy się obracałam. Powiedział: o drugiej. W ostatniej, najostatniejszej chwili walnęłam pięścią w drzewo, żeby się nie rozpłakać, a w duchu powtarzałam: głupia Zuzia, głupia Zuzia!

No cóż, tak już jest.

Nie chcę opowiadać, co było dalej. Zostaliśmy razem do wieczora, potem do północy, i wreszcie do świtu. Odprowadzał mnie do domu, ja odprowadzałam jego, i znowu ruszaliśmy do mnie. Całowaliśmy się bez końca. Mieliśmy sobie tyle do powiedzenia. Nie pamiętam już, co sprawiło, że wreszcie się rozstaliśmy. Słońce, które po łobuzersku paliło mu nos. Śmieciarka, która zabierała śmiecie i sny. Zostawiając mnie przed zardzewiałą bramą mej pensji dla panien z dobrych domów, Francis wsunął ręce pod mą sukienkę, ujął mnie w pasie i uniósł powyżej siebie, żeby mnie rozśmieszyć. Powiedział: „Nie zapomnij o mnie”. Nie roześmiałam się. Przysięgłam, że zawsze będę go pamiętać.

Tego samego popołudnia około piątej pojawił się w salonie, w tym samym nędznym garniturku i krawacie jak sznurek, ale tym razem wyglądał jak ktoś, kto pił zamiast spać. Nim zdążyłam się zorientować, Madame stanęła pomiędzy nami. Rzucił jej prosto w twarz: „Zabieraj się stąd albo zdemoluję całą budę”. Salon świecił pustkami, ale ani tych paru gości, ani dziewcząt nie można było mieszać w awanturę. Więc i Madame nie mogła nic zrobić. Francis chwycił mnie za rękę i przebraną za dziewczęcą z sawanny pociągnął do sypialni. Miał mi wiele do powiedzenia.

Po pierwsze, wyszorował mnie całą mydłem. Całował każdy skrawek mego ciała, który odzyskał naturalną biel. Pomiedzy całusami wygłaszał niewiarygodnie zagmatwane zdania. Doszedł już prawie do palców u nóg, kiedy udało mi się wreszcie uchwycić wątek: kiedy był mały, miał bardzo, bardzo podłą nauczycielkę. Powiedziałam:

– Wiem. Zapuszczałeś żurawia pod jej spódnicę bez złych myśli, chciałeś tylko zobaczyć, jakie ma majtki.

– Czekaj! Czekaj! Wyobraź sobie, że dziś rano spotkałem tę kobietę tutaj, w porcie!

Nie przewróciłam się z wrażenia. A wcale o to nietrudno, kiedy opiera się jedną nogę na skraju umywalki, a ktoś szoruje człowiekowi palce. Żeby nie okazać, że nużą mnie jego wspomnienia z dzieciństwa, powiedziałam:

– Jest już pewnie stara.

– A właśnie! Wcale się nie zmieniła!

Widział, jak wychodziła z baru. Szczupła brunetka o szafirowych oczach, w dopasowanym płaszczyku, z torebką w ręku – jakieś dwadzieścia

pięć lat. Przypomniałam mu, że to on wychodził z baru. Moim zdaniem, musiał się nieźle zalać. Nie powiedziałam dosłownie tak, ale sens był ten sam.

Absolutnie. Kiedy się ze mną rozstał, było mu smutno, ale nie pił. Nigdy nie pił rano. Zamówił kawę ze śmietanką i dwie kanapki.

Dobrze. Szedł za tą kobietą aż do willi nad brzegiem morza. Wokół domu był duży ogród, a nad bramą tablica. Kiedy kobieta zniknęła wewnątrz, przeczytał napis na tablicy. „Szkoła Świętego Augustyna”. Dokładnie tak samo nazywała się jego szkoła w Marsylii! Potem ma się rozumieć, poszedł się napić. Musiał dojść do siebie.

Znałam tę kobietę, chociaż nigdy nie zamieniłam z nią słowa. Sprowadziła się z mężem do Saint-Julien przed trzema czy czterema laty. Męża nie zdążyłam zobaczyć. W dniu rozpoczęcia roku szkolnego, chcąc zdjąć piłkę, którą dzieciaki wrzuciły na dach, przeniósł się na tamten świat – oto, do czego prowadzi dobroć dla bachorów. Przeżyła jakoś ten szok i sama zajęła się pensją.

Dopóki Francis o tym nie wspomniał, cała sprawa niewiele mnie interesowała. Kobieta była mniej więcej w wieku, który jej dawał, to prawda. Dwadzieścia cztery, dwadzieścia pięć lat. Trochę nadęta, trochę bigotka, ale niebrzydka, to zresztą rzecz gustu. W każdym razie spotkanie podnieciło mojego studenciaka. Rzucił mi ręcznik, wytarłszy tylko plecy. Biegał po pokoju, zacierając ręce.

– Zebrałam informacje. Przyjechała z Marsylii. Uczniowie przezywają ją Nóżka, jak za moich czasów. Co za zbieg okoliczności! Niewiarygodne!

Pomyślałam, że to właściwe słowo. Nie jestem za dobra w rachunkach, moja edukacja sprowadzała się do rozkładania nóg, ale jeśli facetka miała dwadzieścia pięć, kiedy on miał siedem, to nie mogła być teraz młodsza od niego, a on dobiegał trzydziestki. Sam przyznał, że to niewiarygodne.

Ale taki drobiazg nie zrażał go:

– W rzeczywistości musi mieć czterdzieści pięć. Po prostu wygląda na dwadzieścia lat mniej. Nie sądzisz, że to się często zdarza? Tak jak zresztą odwrotnie.

Dobra. Założmy, że ta pięćdziesięciolatka bez jednej zmarszczki, bez grama tłuszczu w nadmiarze, jest naprawdę jego nauczycielką. Czysty fenomen. Założmy. I co? Przerwał na moment przechadzkę po pokoju. Popatrzył na mnie z uśmiechem bardziej wymownym niż słowa. Potem wyciągnął się na łóżku – podłożył rękę pod głowę, skrzyżował nogi. Patrząc w sufit, powiedział:

– W czasie wakacji mieszka sama. Obmyśliłem plan.

Kiedy ktoś chce rozpaścić mą ciekawość, nie popędzam go. Jeżeli widzi, że spokojnie odwieszam ręcznik, że układam włosy przed lustrem, a po twarzy widać, że palę się, by wysłuchać dalszego ciągu, mówi szybciej. Francis zapytał:

– Słyszałaś o więźniu, który uciekł z cytadeli?

Musiałabym być głucha!

– No, właśnie. Przebiorę się za niego!

Kto chce, niech próbuje pojąc, ja wołałabym uciec, gdzie pieprz rośnie. Musiałam mieć oczy jak spodki, kiedy do niego podeszłam. Psiakrew, nie wyglądał wcale na wariata. Był zachwycony swoim pomysłem, wprost promieniał. Jeżeli ktoś chciałby zrobić portret faceta, któremu udało się rozwiązać wszystkie problemy, to powinien ulokować go na łóżku, w burdelowym pokoju, z rękami pod głową, kosmykiem włosów nad prawym okiem, skrzyżowanymi nogami w spodniach bez kantów. A w kącie powinna stać nieszczęsna dziewczyna, która właśnie dowiedziała się, że wszystko się zmieniło. Ziemia przestała się kręcić i od teraz spaceruje po brzeżku latawca. Jeżeli malarz nie poskąpi żółci, szarości, nie będzie oszczędzał na złoceniach ramy, nagroda gwarantowana.

– Zakradnę się do niej – bredził Francis. – Wszystko dokładnie obmyśliłem: cuchnąca koszula, buciory, srogi wyraz twarzy. Będzie zdychała ze strachu przez całą noc, a może i dłużej!

Nie warto mówić, że powinien się leczyć. Jemu to powiedziałam. Podeszła się i usiadł, jakbym była żmiją, która właśnie go ukąsiła. Krzyknął:

– Nie rozumiesz, co to dla mnie znaczyło, kiedy byłem mały? To jest jak świętość!

I wyciągnął się jak długi na łóżku, tak samo jak przedtem podkładając ręce pod ten zakuty łeb. Był głuchy na wszystko. Zamilkłam na chwilę. Usiadłam przy nim. Nie golił się dzisiaj. Był potargany. Oczy wbił w sufit.

Jeśli mam być szczerą, to teraz, kiedy już odświeżyłam się, wypucowałam, wołałabym zająć się czymś innym niż dyskusją nad jego uczniowskimi cierpieniami. Ale cóż, wczoraj mieliśmy nasz dzień. Powiedziałam sobie, że nie można robić sobie złudnych nadziei i marzyć o nieosiągalnym. Upił się na smutno. Jak Michou. A nawet Magali, chociaż była najdzielniejszą z naszego stadka. Ciepła kąpiel, potem dobrze przespana noc, a sam będzie się śmiał z tego wszystkiego, będzie przysięgał, że o niczym takim nie myślał.

Po kwadransie, żeby wyczuć, co mu się teraz roi w głowie, poprosiłam grzecznie o papierosa. Sięgnął do kieszeni spodni i przypalił mi jednego. Nie chodziło mi o papierosa, ale to rozluźniło trochę atmosferę. Oparł mi policzek na brzuchu, pocałował mnie, westchnął dwa czy trzy razy. Zapytałam łagodnie, bardzo łagodnie, żeby niczego nie popsuć: „O czym myślisz?” Tym samym tonem, jakby mówił o pogodzie, odrzekł: „Jeżeli jest tam jakaś komórka, to zamknę ją w środku”.

Przez godzinę, a może nawet dłużej, kiedy był ze mną, snuł tego rodzaju rozważania. A potem, wychodząc z marynarką przerzuconą przez ramię, pocałował mnie i powiedział: „Jeśli wszystko pójdzie dobrze, do zobaczenia jutro”. Sztywny. Uroczysty. Można by pomyśleć, że dostał właśnie kartę mobilizacyjną. To zresztą zamierzałam powiedzieć Madame, żeby jakoś wytłumaczyć jego wtargnięcie. Jemu powiedziałam po prostu, że smutkiem, ale spokojnie:

– Mój biedny Franku, jeżeli to zrobisz, wplącesz się w kabałę, która może cię drogo kosztować.

I nie pomyliłam się ani o jotę, nikt niestety nie może mi zaprzeczyć, ale wtedy nawet sobie nie potrafiłam wyobrazić, jak daleko zaszedł w tym szaleństwie.

Cóż. Powiedziałam wszystko, co miałam do powiedzenia. A wszystko, co opowiedziałam, widziałam na własne oczy i słyszałam na własne uszy. Od Pani zależy, czy uwierzy Pani mnie, czy w brednie tej wariatki. Czy wie Pani, co przyszło mi na myśl? Ta historia ze spadkiem, o której Pani wspomina, musiała w jakiś sposób dotrzeć do Georgette, ona zawsze nadstawia ucha, gdzie tylko się da. To w jej stylu, a tłumaczyłoby, po co zadała sobie tyle trudu, wymyślając te wszystkie bajki. Ale to już nieważne.

W „Królowej Serc” tylko ja znałam Francisa. Przeszedł przez me życie szybciej niż sen. Gdybym chciała policzyć na palcach dni tej znajomości, nie musiałabym używać tych u nóg – było ich dokładnie siedem. Nie zdążyłam nawet zauważyć, że gra na fortepianie.

Wie Pani jak wszyscy, że miałam zobaczyć go jeszcze raz, ale w chwili gdy nie był już sobą, a ja nie byłam mną – ani biała, ani czarna, ani Zuzanna, ani Zozo, aż brak mi odwagi, by to wspominać. Zwłaszcza że był tam kto inny, kto opowie to Pani lepiej, kto umie dobrać słowa i komu nie płacze się język. Mnie zaczęło się to, kiedy byłam mała, z przerażenia, bo podpaliłam dom. To było w Saint-Ouen, tuż obok fabryki gazu. Mało brakowało, a wysadziłabym w powietrze całą dzielnicę. Tak to jest, kiedy czterastoletni rodzice zabawiają się i latają na tańce, zamiast pilnować dzieciaka w kołyse.

Karolina

Nie podam dnia, ani miesiąca, ani roku. Ani gdzie mi się to przydarzyło. Nie chcę, by można było kojarzyć tę relację z osobą, którą jestem, jeśli wpadłaby w ręce kogoś, kto mnie zna. Za dużo wycierpiałam, by znów nurzano mnie w tym błocie.

Powiedzmy, że działo się to pod koniec lata, gdzieś na wybrzeżu atlantyckim, w małym miasteczku, jakich wiele, z portem rybackim, kościołem, ploteczkami. Miałam dwadzieścia pięć lat. Od blisko czterech byłam wdową. Nie będę wspominała tu o mężu, po pierwsze dlatego, że nie zasłużył sobie, by kalać jego pamięć, po wtóre zaś – że nie miałabym o nim wiele do powiedzenia po kilkumiesięcznej zaledwie znajomości.

Prowadziłam sama internat dla chłopców, który założyliśmy razem. Podczas roku szkolnego pomagały mi kucharka i druga nauczycielka. Miałyśmy do dwudziestu uczniów, w większości dzieci trudne. Najstarszy liczył niespełna dziesięć lat. W czasie wakacji, aby nie tkwić beczynnie w opustoszałym domu, robiłam w okolicy zastrzyki.

To było w piątek, o zachodzie słońca. Kończąc codzienny obchód, weszłam do fryzjerki, pani Bonifay. Nie przepadałam za nią, była złośliwą plotkarką. Kiedy zostawałam z nią sam na sam w jadalni za sklepem, obgadывała klientki, które z racji wieku mogły mieć przygody miłosne. Naprawdę miała obsesję na punkcie tych rzeczy. Myślę też, że wprawiając mnie w zakłopotanie, odczuwała pewien rodzaj perwersyjnej przyjemności. Zarówno z racji wrodzonej skromności, jak i wychowania, stanowiłam jej najpełniejsze przeciwieństwo, ona jednak wszelkimi sposobami sprowadzała rozmowę na to, co dla mnie było w moim wdowieństwie zupełnie uboczne.

Nie chciała wierzyć, że nie trapią mnie myśli o rozkoszach cielesnych. Byłam młoda, ładna, zgrabna, nie będę przeczyła, ale czy kobieta musi być brzydka, żeby pozostać uczciwą? Odzywałam się do niej jak najmniej, wiedząc, że moje słowa zostaną w jej zakładzie rozgłoszone i przekręcone. Nazywano ją Pleciugą i zasłużenie. Popelniłam kiedyś błąd, wyrażając po cichu zdziwienie, że godzi się czesać pensjonariuszkę jednego z tych domów rozpusty, które znaleźć można było wówczas na najgłębszej prowincji. Odtąd, gdy mijałyśmy się na ulicy, owa ladacznica obrzucała mnie tak pogardliwym spojrzeniem, że wołałam zawczasu przejść na drugą stronę ulicy.

Nawiasem mówiąc, sama Pleciugą nie uchodziła bynajmniej za wzór cnót. Choćbym nawet chciała pozostać głucha na plotki, to nasza kucharka i tak opowiadała mi nieprawdopodobne historie na jej temat. Pewnej nocy „na czworakach na skałach”. Kiedy indziej w szopie na plaży, „nadziana na stojącego mężczyznę”. Przemilczę jeszcze gorsze. W opinii publicznej mąż fryzjerki miał tak rozłożyste rogi, że nie mógł już przejść przez drzwi.

Owego wieczoru w mieście mówiło się wyłącznie o parę dni wcześniej ucieczce więźnia z La Ratière, więźnia położonego nie opodal. Mimo pościgów i blokad nie zdołano go schwytać. To o nim zaczęła opowiadać mi Pleciugą, ściągając majtki. Chciałam powiedzieć: podczas gdy układała się na brzuchu na skraju kanapy, starając się na wszelkie możliwe sposoby opóźnić zastrzyk. Nieprawdopodobnie wrażliwa na ból, gdy tylko poczuła, że igła zbliża się do skóry, powtarzała w kółko tę samą śpiewkę:

– Błagam panią, delikatnie! Proszę nie sprawiać mi bólu! Tylko żeby nie bolało!

Była pulchną blondynką, niewątpliwie apetyczną dla mężczyzn. Kiedy obnażała tak biały tyłek, mocno napięty ze strachu, narzucała mi się myśl, że musiała czasami w tym samym miejscu, w tej samej pozycji, a może nawet mówiąc to samo, wystawiać się na ataki związane z innego typu niebezpieczeństwem. Prosiłam łagodnie:

– Proszę się odprężyć. Niech pani nie napina mięśni.

Zwracała na mnie wytrzeszczone, pełne błagania oko, lecz mnie nie ogarniała litość. Było to poczucie słodkiej zemsty. Mogłam wreszcie ukarać ją za te wszystkie chwile, kiedy bawiła się mym zakłopotaniem i potęgowała je poprzez swe insynuacje. Utrzymywałam ją w tym przerażeniu jeszcze przez dobrą minutę, czekając, aż przytłoczona cierpieniem zamknie powieki, aż wtuli twarz w ramiona, aż zacznie niemal pragnąć, by nieunikniony cios

już na nią spadł, a całe jej jestestwo buntować się będzie przeciw niemu, pożądamy go jednocześnie, wtedy wbijałam igłę. Zduszony krzyk wyrażał zdumienie i poddanie.

Całym ciałem opadała na kanapę, ciężko zadyszana i żalosa w podciągniętej na biodra sukience, majtkach poniżej podwiązek, a ja ku mej radości długo wstrzykiwałam w jej ciało jad – porcjami, aż do ostatniej kropli.

Następnie, dźwignąwszy się z trudem i poprawiając ubranie, narzekała sobie jeszcze trochę. Powtarzałam jej, że nigdy w życiu nie widziałam tak jednych pośladeków, a to całkowicie koło jej ból. Była jeszcze bardziej głupia niż złośliwa, ale muszę przyznać, ani trochę pamiętliwa. Natychmiast podejmowała dyskusję w miejscu, w którym ją przerwałyśmy. Tym razem, szukając w szufladzie pieniędzy, by mi zapłacić za swe cierpienia, wróciła do uciekiniera z cytadeli:

– Wie pani, jak zdołał się przebić przez blokady? W furgonetce jednego z tutejszych, w środku nocy. A wie pani, czemu nie przeszukano tej furgonetki? Bo należała do małżeństwa, które ruszało w podróż poślubną. Żołnierze chcieli być tacy dyskretni! Ale ja wiem swoje!

Nie miałam ochoty poznawać jej opinii, każdy chyba zrozumie, że zapytałam tylko przez grzeczność, tak jak zgodziłam się przysiąc na chwilę.

– W tym miesiącu był tylko jeden ślub – powiedziała zniżając głos. – Pana Seweryna i jego rysowniczkę, Emmy. Cesałam tę małą do ślubu. Wspaniałe włosy! Cóż za praca, istna rozkosz! Krótko mówiąc, kupili ambulans wojskowy, z wojny czternastego roku, żeby jechać nim w podróż poślubną. Za grosze, wiem dobrze, bo to mąż go im sprzedał. I wieczorem ruszyli w drogę. Tyle że!...

Cisza. Uwielbiała podgrzewać na wolnym ogniu ciekawość słuchacza. To znaczy innych słuchaczek, bo jeśli chodzi o mnie, to zależało mi tylko na tym, by jak najszybciej wrócić do domu.

– No i? – zapytałam przez grzeczność.

Rzut oka w stronę drzwi. Podeszła, położyła mi rękę na ramieniu i wyszeptwała:

– Tej samej nocy ktoś, kogo znam, widział, widział na własne oczy Seweryna wracającego samotnie do miasta. Całe szczęście, że pani siedzi: był boso i w pizamie!

Wyznaję, że w pierwszej chwili nie rozumiałam sensu tej nowiny. Znałam pana Seweryna z widzenia, zajmował się reklamą w pewnej agencji przy porcie. Widziałam i jego narzeczoną, ważniaczkę, która kręciła tyłkiem i ubierała się w przezroczyście sukienki, żeby zwrócić na siebie

uwagę. Chętnie pokłulałabym i ją, żeby zobaczyć, jak spuszcza z tonu. Pozwolę sobie powiedzieć, że nim wzięli ślub, od wielu miesięcy byli kochankami. Moja kucharka poczyniła kiedyś nawet w mej obecności uwagę, która przyprawiła mnie o rumieniec, choć miała być śmieszna. Jakikolwiek by był Seweryn, nie mógłby zrobić jej wielkiej krzywdy. Czytałam natomiast w książce, którą znalazłam na strychu, że mali mężczyźni – owszem, ale mniejsza z tym. To kwestia, jestem o tym przekonana, oceny osobistej, a ja miałam w tych sprawach niewielkie doświadczenie. Tak czy inaczej, Pleciuga zamilkła dopiero wówczas, gdy upiła się mym zakłopotaniem i dodała:

– Używam tego!

Pukała się palcem w skroń. Kolejne spojrzenie na drzwi. Jej wyperfumowana głowa niemal dotykała mojej.

– Nie rozumie pani? – zapytała. – Tej nocy zbieg znalazł się na ich drodze. Zapakował pannę młodą do furgonetki. Od tego czasu pan Seweryn zaszył się w domu, ale jej nikt nie widział!

– No nie, przecież poszedłby na żandarmerię, złożyłby skargę! – odpowiedziałam.

– Jest zbyt dumny.

– Pewnie pokłócili się po drodze!

Rozłożyła ręce, jakby mówiąc mi, że mogę myśleć, co chcę, i wsunęła mi w garść pieniądze za zastrzyk. Banknot wzbudził we mnie lekkie wyrzuty sumienia z powodu srogości, jaką jej okazałam, więc idąc ku drzwiom, wzięłam ją pod rękę i zapytałam, czując, że ma ochotę jeszcze na chwilę rozmowy:

– Ale co pani o tym myśli? Czemu nie wróciła?

– Ma swoją dumę. Mężczyzna, który ją wprowadził, od sześciu lat nie widział kobiety. Mam pani dalej tłumaczyć? Może zresztą uduśli ją, kiedy tylko uciekł przed obławą, i teraz odda nam ją ocean.

Łatwo się domyślić, w jakim stanie ducha wyszłam z zakładu fryzjerskiego. Powiedziałam już, że Emma nie zrobiła na mnie dobrego wrażenia, ale przecież i ja byłam kobietą, i to wrażliwą. Widziałam ją, gdy wychodziła z kościoła w dniu ślubu, taka świeża, jasnowłosa. Gdyby nie kolor włosów, byłaby zupełnie jak ja cztery lata wcześniej. Przed wieczorem widziałam też jasnożółtą furgonetkę, która mijała pensję, ozdobiona białym tiulem. Wyobrażam sobie potworność tej nocy poślubnej. Samochód stojący na wiejskiej drodze, w blasku księżyca, z dala od reszty świata. Ona, obnażona, może związana, wewnątrz. To, co musiała przecierpieć, nim ją zabił. I godzić się na wszystko, zalewając się łzami, w nadziei że daruje jej życie.

Będąc w połowie drogi do domu poczułam, że brak mi odwagi, żeby iść przez port, gdzie popijający na tarasach mężczyźni obrzucali mnie zawsze spojrzzeniami, które rozbierały. Niektórzy nawet gwizdali. Zazwyczaj otulona w beżowy trencz, który nosiłam bez względu na pogodę, po prostu przyspieszałam krok. Tego wieczoru jednak ich pożądanie budziło mój wstręt. Wolałam iść drogą koło dworca, wiedziałam, że stoją tam żołnierze. Oczywiście oni też przyglądali mi się nachalnie, w milczeniu, ale zawsze była to armia, i to uznana za najdzielniejszą na świecie, uważałam więc, że z tej strony nie grożą mi niestosowne nagabywania.

Kiedy szłam w promieniach zachodzącego słońca przez plac, było ich dwunastu, w mundurach khaki, z bronią przy nodze. Pamiętam, że czerwono-pomarańczowa poświata zacierała cienie, ogarniała mury budynków dworcowych. Dowódcę, który siedział na ławce nieco z boku, znałam. Był to wysoki, potężny mężczyzna w sile wieku, szpakowaty, o bardzo męskich rysach twarzy – kapitan Malignaud.

Przyszedł na pogrzeb mego męża. Widząc mnie w mieście, kłaniał się zawsze uprzejmie, a czasami pytał grzecznie o to i owo. Powiadano, że jest małomówny, surowy dla podkomendnych, ale tylko dzięki własnym zasługom doszedł do stopnia kapitana, i muszę przyznać, że uważałam go za przystojnego. Widząc mnie, powiedział „dobry wieczór”, a ponieważ żadne pilne zajęcia nie czekały na mnie w pustym domu, podeszłam do niego. Na kolanach trzymał rozłożoną mapę sztabową.

Po wymianie uprzejmości zapytałam:

– A więc, kapitanie, wciąż nie udało się pojąć zbiega?

Jako że był to temat rozmów w całym mieście, wydało mi się naturalne, że poruszam go z oficerem odpowiedzialnym za pościg. Malignaud zresztą nie zdziwił się. Zauważyłam tylko, że jego spojrzenie nabiera srogości.

– Obstawimy drogi, dworce, plaże – powiedział składając mapę. – Jestem pewien, że nie zdołał prześlizgnąć się przez sieć, jaką na niego zastawiliśmy. Ten łajdak wciąż tu jest, gdzie się zaczął!

Podniósł głos, uderzył wierzchem dłoni o mapę. Zaryzykowałam:

– Można by pomyśleć, że ma pan do tego człowieka osobistą urazę.

– Człowieka?! – wykrzyknął. – To nie człowiek! To bestia!

Potem, zawstydzony, że uniósł się przy kobiecie, zdjął kepi i zrobił mi miejsce na ławce. Przycupnęłam obok niego. Gdy siedzieliśmy z twarzami zwróconymi ku purpurowemu słońcu, szepnął głosem głuchym, ale już spokojniejszym:

– Nigdy jeszcze nie opowiadałem nikomu o pewnym wydarzeniu,

które nie daje mi spokoju, Karolino. Pozwoli pani, że będę się do niej tak zwracał? Łatwiej mówić o takich sprawach przyjaciółce.

Przed wielu laty – zaczął kapitan – byliśmy skoszarowani na 14 lipca w miasteczku w Arles. Jako sierżant mieszkalem u mera, farmera, który widział we mnie obraz siebie samego. Otrzymał stopień na Chemin des Dames *, ja zaś urodziłem się wieśniakiem. Mówię to bez wstydu, zwłaszcza że potem doszedłem samodzielnie aż do dużej matury.

* Miejsce tragicznych walk w 1917 i 1918 roku, droga pomiędzy Aisne i Ailette (przyp. tłum.).

Ow pracowity człowiek nie miał synów, a jedynie osiemnastoletnią córkę, świeżą i śliczną, czystą jak woda źródłana Pauline. Obserwując, jak chodzi po domu, sypie ziarno ptactwu, szyje o zmroku, zawsze schludna i skromna, odkrywałem nowe dla mnie uczucie radości. Wszedłszy w czterdziesty rok życia, a czując wyłącznie odrazę do dziewcząt z garnizonu, marzyłem o Paulinie jak młody chłopak o aniele. Mimo to zmieszanie, gdy wracałem po służbie, ukradkowe spojrzenia, które chwytałem, gdy kręciła się w pobliżu zajęta pracą, pozwalały mi domyślać się, że nie jestem jej obojętny.

W przeddzień święta, po kolacji, w miasteczku cała rodzina, z wyjątkiem Pauliny, która sprzątała ze stołu, wyszła popatrzeć na sztuczne ognie. Przekonany, że nieprędko nadarzy się równie dobra okazja do rozmowy z tym pięknym dzieckiem, pozostałem na miejscu. Ubrany w mundur niebieskich otoków paliłem papierosa, dopijałem szklankę wina, a gdy zamierzała sprzątnąć moje nakrycie, chwyciłem ją za rękę i przytrzymałem przy sobie. Zawstydzona spuściła oczy i łatwo było odgadnąć, że nigdy jeszcze nie potraktowano jej z taką śmiałością. Choć równie wzruszony jak ona, wyznałem jej swą sympatię z całą szczerością francuskiego żołnierza:

– Paulinko, nie mam córki, ale gdybym ją miał, chciałbym, żeby była taka jak ty.

Nie mając odwagi na mnie spojrzeć, odpowiedziała cicho, głosem podobnym do woni lawendy i rumianku:

– Dobry z pana człowiek, panie sierżancie.

– Paulinko – powiedziałem – pozostań taka, jaką jesteś: czysta i niewinna. Kiedy moja służba się skończy, pomimo dużej i nieszczęsnej różnicy wieku, poproszę o twoją rękę.

Przez sekundę spoczęło na mnie jej nieco zaskoczone – co było naturalne – spojrzenie. Po chwili była znów opanowana i pełna rezerwy. Nie

powiedzieliśmy nic więcej, ale proszę mi wierzyć, tylko skromność powstrzymała ją przed natychmiastowym wyrażeniem zgody. Przez następne lata wielokrotnie przywoływałem tę scenę w myślach. Ona i ja w jednej izbie, w dali huk sztucznych ogni, pełne zachwyty krzyki rodziców na zewnątrz, łagodne ciepło jej dłoni w mojej, spojrzenie niebieskich oczu, które przez moment spotkało się z moim...

Paulina. Potem już miałem ją ujrzeć tylko martwą – ciągnął kapitan łamiącym się głosem.

Nazajutrz, po bankiecie w merostwie, gdzie musiałem udać się z obowiązku, szedłem na kolorowy od flag miejski plac, wypełniony przez rozbawiony tłum. Miałem nadzieję odnaleźć tam przebraną w strój dziewcząt z Arles i biały koronkowy czepiec, roześmianą Pauline. Patrzyłbym, jak tańczy przy dźwięku piszczałek i tamburynów. Być może zatańczyłbym z nią. Byłem szczęśliwy jak uczeń w pierwszy dzień wakacji. Szukałem jej długo, wszędzie, popychany przez przytulone pary, wśród drwin podchmielonych wieśniaków, i nie przeczuwałem, że nim nastanie wieczór, grom z jasnego nieba zniszczy me życie.

Była to pora, gdy słońce tkwi niczym nieruchoma ognista kula nad zaroślami. Podszedł do mnie kapral i zameldował, że na fermie była draka. Nie powiedział, co się stało, ale moje przepełnione Paulina serce podsuwało mi wyłącznie jej obraz. Wziąłem ze sobą paru ludzi i ciężarówką pojechaliśmy do mera.

Na podwórzu mym oczom ukazał się straszliwy widok. Przed stodołą, na ziemi, niczym porzucona zepsuta marionetka, leżała Paulina, w samej tylko, podartej w strzępy krótkiej koszuli. Widoczna część jej twarzy była uwalana ziemią, krwią, wilgotna od łez. Całe nieszczęsne, obnażone ciało zbrukane było krwią. W pierwszym odruchu, skoro tylko zamarte w piersi serce zaczęło bić, ściągnąłem kurtkę i osłoniłem ją. Nic, co nie zostało sprofanowane za jej życia, nie powinno tym bardziej być bezczeszczone po śmierci, nawet przez spój rżenia mych żołnierzy.

Lecz niech ogień piekielny trawi przez wieki potwora, który to uczynił, bo była poniżana, gwałcona, hańbiona przez wiele godzin, aż wreszcie, nie mogąc dłużej znieść upodlenia, rzuciła się przez okno ze szczytu stodoły, by uciec przed udręką!

Zwyrodnialca odnaleźliśmy na miejscu zbrodni, zagrzebanego w słomie, półprzytomnego od wina i rozpasania. Był to żołnierz od dwóch lat na służbie w mojej kompanii – niezdiscyplinowany, skryty, mający we krwi wszelkie przywary przypisywane Włochom, łącznie z typowym dla jego

rasy samochwalstwem, a przy tym dość podły, by zaatakować bezbronną dziewczynę. Pod powierzchownością ucznia jezuickiej szkoły krył się obibok, rozpustnik i opój.

Lepiej zamilknę. Żywię do tego potwora tyle nienawiści – nigdy nie byłem w stanie opanować tego uczucia – ścigam go od tak dawna, jedyną nadzieję zemsty pokładając w jego śmierci, że, jak pani widzi, jeszcze teraz drzę.

W chwili gdy przywleczono go przed ciało ofiary, nie mogłem powstrzymać się, by nie skoczyć mu do gardła. Było to szaleństwo i żołnierze powstrzymali mnie. Niczego nie pamiętał, przynajmniej tak twierdził. Otumaniony, najeżony, nie bardzo wiedział, co się z nim dzieje. Z dala dobiegały odgłosy zabawy. Rodziny nie powiadomiono jeszcze o tragedii. Być może mer tańczył właśnie z żoną. Kiedy uzmysłowilem sobie to wszystko, gdy popatrzyłem na mordercę, stojącego na podwórzu boso, z rękami związanymi na plecach, w rozpiętej na piersi koszuli bez kołnierzyka, niczym skazaniec przed egzekucją, powiedziałem sobie, że cokolwiek miałyby się potem ze mną stać, moi żołnierze powinni byli pozwolić mi na zastąpienie kata.

Tymczasem sędziowie sądu wojennego, być może nastawieni przez polityków, biorąc pod uwagę jego młody wiek – cholera, czy jego wzruszała młodość Pauliny?! – oraz stan upojenia alkoholowego w chwili, gdy dopuścił się zbrodni, darowali mu życie. Siedziałem na ławie świadków. Nie wiem, jak zdołałem stłumić gniew. Nazajutrz po procesie, dowiedziawszy się, że ma być uwięziony tutaj, poprosiłem o przeniesienie.

Otrzymałem je po długich, ciężkich zabiegach. Znów wróciłem do podręczników, żeby pisać zgrabne listy, wystawałem po przedpokojach wszelkich urzędów, aż po gabinet ministra. Po dwóch latach otrzymałem w końcu funkcję dowódcy w tym mieście. Nie było to, o czym marzyłem, przeniesienie do samego więzienia, gdzie czułbym smrodliwą obecność potwora i mógł uczynić cięższą każdą godzinę jego życia, życia, którego nas, mnie i moją ukochaną Pauline, pozbawił. A jednak było to już jak balsam na me rany. Czy uwierzy pani, jeśli powiem, że często wspinałem się na szczyt latarni morskiej, z lornetką w dłoni?

Widziałem jedynie wysokie, szare mury i czarne okienka strzelnicze, ale wiedziałem, że on tam jest, i syciłem swą nienawiść. Czy uwierzy pani, że po tylu latach jednostajnej służby serce drgnęło mi radośnie w piersiach na wieść o jego ucieczce? Gdy tylko usłyszałem syreny, wiedziałem, że to on.

Od tego czasu minęły przeszło trzy tygodnie. Na samym początku

sądziłem już, że mi się wymknął, ale nie powiem pani, w jakich okolicznościach, ucierpiałaby bowiem na tym reputacja pewnej młodej i uczciwej mężatki. Przez jedną chwilę znalazł się tamtej nocy w zasięgu mej broni, mogłem przytknąć mu rewolwer do skroni i zabić, ale wymknął mi się z rąk. Kolejne jego myśli są nieprzewidziane. Każdy, ja też, założylby się, że przeszedł przez jedną z naszych blokad na skraju półwyspu, a teraz zaszył się gdzieś na kontynencie, zbiegł do Hiszpanii albo Włoch, jak odgadnąć. Ale nie. Przeszedł przez blokadę, żebyśmy przestali go tu tropić. Planował uciec przez morze. Na szczęście do dziś nie mógł tego zrobić. Zaszył się gdzieś, może w mieście. Nie powiem pani również, bo nie mam prawa tego uczynić, gdzie znalazł schronienie i przebywał jeszcze kilka dni temu. Proszę mi wierzyć, że miejsce świetnie odpowiadało jego naturze i że jedynie swym kłamstwom i słabostkom kobiet zawdzięcza pomoc, bez której nie poradziłby sobie.

Ale wkrótce zapadnie zmrok, Karolino. Powinna pani wracać do domu. Kiedy go schwyta i zabiję go własnymi rękami lub postawię przed plutonem egzekucyjnym, wszystko, co wydaje się pani niezrozumiałe w tej ucieczce, stanie się jasne. I sama pani oceni, czy nędzny upór, z jakim dąży do brukania niewinności, nie jest uporem potwora.

Dochodziłam do domu w zmroku. Ciszę zakłócały tylko krzyki mew i szum fal. Byłam zbита z tropu. Przez całą drogę poprzez kręte białe uliczki w uszach dźwięczały mi słowa Malignauda, a przed oczyma przesuwały się obrazy ukazujące mękę młodej Pauliny. Nachodziły mnie przerażające wizje – brutalny gwałt, daremne łzy. Biegłam przez ogród, nie mogąc się od nich uwolnić. Paulina rzucona na słomę, zdana na łaskę napastnika, Emma na podłodze furgonetki udekorowanej na noc poślubną, obrazy plątały się. Nie wiem, jak długo walczyłam z trzema zasuwaniami, skoro jednak weszłam do środka, zatrzasnęłam drzwi, przyparłam je całym ciężarem swego ciała i zarygłowałam zamki, jakby ścigała mnie chmara rozwścieczonych os.

Zapaliłam światło w przedpokoju. Nabrałam tchu. W domu panował chłód i kojąca cisza. Z ulgą wsłuchałam się w tykanie zegara, wciągnęłam w nozdrza woń pasty do podłóg. Jak co dzień położyłam torbę i klucze na chińskiej konsoli, odwiesiłam trencz na wieszak z polituowanego orzecha i zerknęłam w lustro. Z mych oczu przezierało ustępujące powoli wzburzenie. Poprawiłam włosy. Czesalam je w kok, żeby sprostać wyobrażeniu, jakie ludzie mają o dyrektorkach internatów. Po wieczornej kąpieli należało

im się szcztokowanie – sto razy, od nasady po końce. Sięgały bioder. Były ciemne i lśniące. Rozpuszczałam je tylko w samotności. W klasie zakładałam także okulary, wcale mi niepotrzebne, ze zwykłego szkła, wyłącznie po to, by zrobić z siebie brzydulę.

Ludzie są przecież tacy głupi.

Co jeszcze zrobiłam? Pewnie poprawiłam pasek u spódnicy, obciągnęłam bluzkę z dużym, białym kołnierzem. Potem poszłam do kuchni, która była zawsze otwarta, gdy zostawałam sama. Zapaliłam lampę, nie wiedząc, że oświetlam piekło.

Był tam, stał ukryty za drzwiami!

Wyczułam jego obecność za mną, nim jeszcze chwycił mnie i zatkał ręką usta, żebym nie mogła krzyczeć. Zobaczyłam nóż, który trzymał, straszliwy nóż do krojenia mięsa. Nogi ugięły się pode mną.

Tuż przy uchu usłyszałam dyszący głos:

– Jeżeli zależy ci na życiu, to siedź spokojnie!

Nie próbowałam się bronić. Nie byłam w stanie. Przez kilka sekund trzymał mnie tuż przy sobie, stojąc bez ruchu, aż nagle pchnął mnie w stronę stołu, na środek kuchni. Uchwyciłam się jego kantu, żeby utrzymać się na nogach, i starałam się odwrócić.

Wzrost i kolor oczu mężczyzny zgadzały się z rysopisem zbiega. Ale jak to ująć? Nie sprawiał wrażenia bezlitosnej bestii, jakiej można było się spodziewać. Był wysoki, szeroki w barach, ale szczupły, niemal chudy. Kosmyk ciemnych, gęstych włosów opadał mu na czoło. Słyszałam, że miał ogoloną głowę. Nawet pod co najmniej dwudniowym zarostem jego twarz wyglądała inteligentnie. Miał czarne oczy, długi, prosty nos, brodę z dołkiem i, jak zdołałam zauważyć, niezwykle białe zęby. Przede wszystkim zaś w tym momencie wydało mi się, że ubrany w brudną koszulę i spodnie mężczyzna z nożem w garści boi się tak samo jak ja.

– Wie pani, kim jestem? – zapytał schrypniętym głosem.

Skinęłam głową. Ze wszystkich sił starałam się odzyskać zimną krew.

– Obszedłem dom. Nie ma pani strzelby?

Nie zdołałam ukryć wahania, ale umknęło mu to albo uznał je za przejaw zdenerwowania. Przecząco pokręciłam głową.

– Proszę pokazać język!

Nie zastanawiając się wyciągnęłam język. Musiałam już chyba zacząć wariować! Stwierdził krótko:

– No, może pani mówić!

Zebrałam siły. Wydobyłam z siebie nędzną namiastkę głosu, co poniżyło mnie jeszcze bardziej.

- Mąż nie chciał broni w domu. Przy dzieciach nic nigdy nie wiadomo.
- Dawno umarł pani mąż?
- Cztery lata temu.

Zmierzył mnie od stóp do głów. Bezcelnie. Poczul się pewniej, odkąd pokazałam mu język.

- Ma pani kochasia?
- Oburzona wzruszyłam ramionami.

- No to jak pani sobie radzi od czterech lat?

Moje oburzenie wzmogło się, ale nie potrafiłam wytrzymać spojrzenia napastnika. Cofałam się, oparta o stół. Nie ruszając się z miejsca, zamknęłam drzwi.

- Kiedy o coś pytam, lubię słyszeć odpowiedź.
- Nie mam nic do powiedzenia.

Ciche westchnienie. Podszedł do mnie kołysząc się i bawiąc nożem. Cofałam się krok po kroku, aż natrafiłam na ścianę. Kiedy był obok, powiedział:

- Dawno już nie miałem kobiety.

Nie nóż przerażał mnie najbardziej, ale czarne oczy, to, co w nich czytałam. Uskoczyłam w bok. Starczyło, że oparł rękę o ścianę, by odciąć mi drogę. Był zwinny jak kot.

– Wie pani, co by mi sprawiło przyjemność? – powiedział tonem prawie pieścizotliwym, bardziej przerażającym niż wszystko inne.

Jednocześnie czubkiem noża delikatnie rozciął mi bluzkę. Byłam jak sparaliżowana. Krew pulsowała mi w skroniach. Wyobrażałam sobie już, jak tnie guzik po guziku i obnaża mnie. Potem jednym pociągnięciem, którego nawet nie poczuje, przetnie ramiączka mej halki. Będzie pieścił me nagie piersi. Będzie je całował, trzymając mnie przypartą do muru, bezsilną. Zamykając oczy wybełkotałam:

- Błagam, tylko nie to...

Cisza. A potem wrzask:

- Nie co?! Jeść mi się chce, cholera jasna!

Wiem, że to wszystko może się wydać śmieszne. Zwłaszcza moja naiwność. Ale obiecałam sobie ujawnić całą prawdę, nawet gdyby miała mi zaszkodzić. Poza tym proszę postawić się na moim miejscu. Jaka kobieta, sam na sam z mężczyzną, którego brutalność, wady i zbrodnie były powszechnie znane, nie lękałaby się, że w każdej chwili grozi jej gwałt?

Mimo że nauczycielka, Karolina, nazywa tu hipokryzję naiwnością, pochlebstwo prawdą, a z siedmiu kochanek, albo podających się za kochanki, których zeznania zdołałam uzyskać, ona właśnie jest największą

hipokrytką, a być może także – najbardziej skłoną do pochlebstw. W tej dziedzinie została według mnie pobita przez groźną rywalkę, która nie dba, jak zobaczymy, ani o pokrętny styl, ani o skomplikowaną przeszłość. Mimo to jest prawdą, że scena w kuchni, z pewnością bardzo przykra dla niej w tamtej chwili, wywołuje uśmiech, ozdobiona jej urojeniami. Podobne przyczyny powodują ten sam efekt, toteż zastanawiałam się tylko, w którym miejscu przerwać jej opowieść i wykorzystać ją dla poczynienia tych uwag. Nie będę ich powtarzać.
(Nota Marie-Martine Lepage, adwokata)

Odgrzałam więc to, co zostało z obiadu, zrazy wołowe, zwane w Prowansji „przepiórkami bez łebków”. Matka nauczyła mnie je przyrządzać i jadłam je chętnie, a kiedy byłam sama, miały tę dodatkową zaletę, że można było przygotować je na kilka posiłków z góry.

Kiedy nakrywałam do stołu, zbieg umył pod zlewem ręce i twarz. Nie podejmowałam próby ucieczki, bo dogoniłby mnie, zanim zdążyłabym odsunąć zasuwę. Wykorzystałam czas, by rozważyć sytuację. Telefon był w przedpokoju. Miałam nikłe szanse na wezwanie pomocy. Okienko w ubikacji na parterze. Było wysoko, nie wiedziałam, czy dosięgnę go, stojąc na sedesie. Dzieciaki wychodziły raczej przez okienko w piwnicy. Klucz od piwnicy leżał z innymi, na chińskiej konsoli. Ale ten plan wydał mi się nierealny: sięgnąć po klucze, wybrać właściwy, pokonać korytarz, otworzyć drzwi do piwnicy, zamknąć je za sobą, zbiec po schodach, dotrzeć do okienka, przecisnąć się przez kratę, a wszystko najprawdopodobniej po to, by zastać go spokojnie czekającego z nożem na zewnątrz. Nie. Nie był to dobry pomysł. Powinnam raczej krzyczeć. W pobliżu było tyle domów, że ktoś musiałby mnie usłyszeć. Jeżeli nic innego nie przyjdzie mi do głowy, trzeba będzie spróbować tego sposobu.

Wytarłszy twarz ścierką do naczyń, powiedział, jakby czytając w mych myślach:

– Niech pani tak nie duma, mam za dużą przewagę. Wyrwałem sznur telefonu. Zmordowałem się, ale okienko w piwnicy zastawiłem tą starą półką na wina. Na piętro nie pójdzie pani beze mnie. A jeśli będzie się pani chciała wysikać, chętnie popilnuję.

Potem wbił wielki nóż w blat stołu, usiadł i nadstawił talerz, czekając, aż go obsłuży.

– Zobaczysz, Nózka – dodał – nie urodziłem się durniem, babka mi to wciąż powtarzała.

To nie jego pycha ani fakt, że kaleczył stół, który wiele już przeszedł, sprawiły, że podskoczyłam. Ale skąd wiedział, jak przezywają mnie uczniowie?!

– Dlaczego mnie pan tak nazywa?

– Jeżeli uznam, że pani dobrze gotuje, powiem pani.

Nałożyłam mu porcję. Sama poczułam głód. Postawiłam nakrycie na wprost niego. Kiedy usiadłam, zobaczyłam, że je łapczywie, rękami. Oblizywał palce z sosu. Spojrzał na mnie, nagle przerywając:

– Co jest?

– Specjalnie zachowuje się pan tak ordynarnie?

Otarł ręce o koszulę. Wydawał się bardziej zdegustowany niż obrażony. Pomyślałam, że sięgnie po widelec, ale nic z tych rzeczy.

Wyrwał mi mój, zgiął go na pół i rzucił na podłogę.

– A pani – powiedział – będzie jadła dopiero, kiedy zrobi się pani taka ordynarna jak ja.

I zaczął jeść po swojemu. Jak świnia.

Kiedy opróżnił swój talerz, potem mój, a wreszcie garnek, wybierając palcem sos, nie było potrzeby zmywać. Rozparł się na krześle i orzekł, że mu smakowało.

Potem przypatrywał mi się długo, nie poruszając się. Widziałam w jego oczach zadowolenie pomieszane z melancholią, bardzo dziwne połączenie. Mówi się przecież, że zwierzęta mają duszę. Potem zaśmiał się krótko i przechylając się w moją stronę powiedział:

– To niesamowite! Jest pani swoją wykapaną matką!

Mogłam się naturalnie zastanawiać, co biedna matka miała wspólnego z tą historią, ale nie zostawił mi na to czasu:

– KOŁA AUGUSTY! – zakrzyknął triumfalnie.

Wydaje mi się, że szok, jakiego doznałam w tym momencie, dorównywał temu w kuchni. KOŁA AUGUSTY, to było wszystko, co zostało z napisu „Szkola Świętego Augustyna” nad bramą internatu moich rodziców w Marsylii. Reszta liter się zatarła. Pewnie lekko pobladłszy, zapytałam:

– Zna pan Marsylię?

– Urodziłem się tam, kretynko!

– A internat moich rodziców?

– Uciekłem stamtąd.

– Jak się pan nazywa?

Odrzucił do tyłu niesforny kosmyk, który zakrywał mu oko.

– Edward. Mów mi Eddy, brzmi przyjaźniej.

Z kieszeni koszuli wyciągnął zmiętoszonego papierosa. Wstał odpychając krzesło, żeby sięgnąć po zapalki leżące przy kuchni. Rzuciłam się na nóż tkwiący w blacie stołu. Ostrze było wbite tak mocno, że nie zdołałam go wyszarpnąć.

– Poczekaj – powiedział – pokażę ci.

Spokojnie zabrał swą broń i wsunął za pasek. Lekkie westchnienie. Nagle chwycił mnie za ramię i pchnął ku drzwiom.

– Dość tej kurtuazji! Marsz do sypialni!

Poślizgnęłam się na posadzce w przedpokoju. Złapał mnie za rękę i pchnął, tym razem ku schodom. Wąska spódnica uniemożliwiła mi szybkie wspinanie. Idąc przed nim, czułam się jak ulicznica.

Bez ceregieli wepchnął mnie do sypialni. Okienne były zamknięte. Zatrasnął również drzwi, zasunął zasuwkę i podparł klamkę krzesłem. Powtarzałam w myślach: „Musisz wrzeszczeć ile sił, wzywać pomocy, jeżeli cię zabije, trudno! Musisz wrzeszczeć!” Ale nie mogłam.

Znów przyparł mnie do ściany. Pokój oświetlała tylko nocna lampka przy łóżku. Po ścianach przesuwiał się ogromny cień mężczyzny. Czułam, że jestem zgubiona. Rzucił mnie na łóżko. Przywiąże mnie za rozkrzyżowane ręce do poręczy, pewnie sznurem od zasłon. Porwie na mnie bluzkę. Nie, zaknebluje mnie, a potem zdejmie to, co będzie mu zawadzało, z sadystryczną delikatnością, nie spiesząc się, jak ktoś, kto nie ma się czego obawiać: białą halkę, wąską granatową spódniczkę. Potem powoli ściągnie białe koronkowe majtki i rozsunie nogi, żeby je również przywiązać za kostki do łóżka. Każe znosić potworne pieszczoty swych dłoni wędrujących po całym ciele, także pomiędzy nogami, tam, gdzie skóra jest najdelikatniejsza...

Nie, nie będzie tracił czasu na igraszki ze mną, miał na to całą noc. Po prostu uniesie mnie silnym ramieniem i wsunie wałek i poduszkę pod pośladki, by łatwiej zaspokoić swe nieposkromione żądze. Sycąc się widokiem mych łez i mego ciała, z którym mógł uczynić, co chciał, jednym ruchem ściągnie spodnie, a ja z przerażeniem patrzeć będę na jego przeogromną męskość, która wbije się we mnie, być może mnie rozedrze, aż po... Nie chcę tu opisywać wizji, które przez kilka sekund oładnęły moim oszołomionym umysłem.

Nie ma chyba kobiety, która – choć nie narażona na męki, jakie przechodziłam – nie snuła tego rodzaju chorobliwych fantazji w skrytości ducha.

Jednak, i na szczęście, wzięwszy pod uwagę okoliczności, mój napastnik był taki, jak mówił kapitan Malignaud: nieprzewidywalny. W chwili gdy się do mnie zbliżał, zapewne z sardonicznym uśmiechem na pozostającej w półmroku twarzy, zdołałam z siebie wydusić obcym już głosem:

– Co chce pan ze mną zrobić? Niech pan powie, co?...

Długo czekałam na odpowiedź. Czy ogarnęła go w tym momencie liłość? Czy zrobiły na nim wrażenie prawość i godność, do których przymuszałam całe me ciało? Powiedział:

– Jeżeli się pani trochę uspokoi, to nic.

Ale zaraz, jakby zabierał spragnionemu kotu talerzyk z mlekiem, który przed chwilą postawił przed nim, dodał:

– W każdym razie, tymczasem.

Rzucił nóż na łóżko.

– Spróbuj jeszcze raz go dotknąć – powiedział. – Tylko spróbuj!

Potem, jakby mnie tam nie było, zabrał się do zdejmowania butów, skarpet, brudnej koszuli. Tors miał potężniejszy, lepiej umięśniony, niż sądziłam. Rozpinając rozporek spojrzał na mnie i przerwał:

– Może byś się odwróciła?

Usłuchałam, jak moi uczniowie pod groźbą stania w kącie. Dobiegł mnie zgrzyt drzwi szafy. Mimo woli rzuciłam za siebie okiem. Przez ułamek sekundy widziałam go zupełnie nagiego. Miał wąskie biodra, jędrne pośladki, jaśniejsze niż reszta ciała. Jego nogi były długie i smukłe jak nogi biegacza. Miał piękne plecy, muszę to przyznać, w kształcie trójkąta, który rozszerzał się aż po imponujące bary. Nie było na nim grama tłuszczu, dlatego ruszał się tak energicznie, a w ubraniu sprawiał wręcz wrażenie chudego. Jego tors, choć nie nadmiernie owłosiony, był wystarczająco porośnięty, by szrama stały się niewidoczne...

„Ułamek sekundy”! Czas, jakiego sobie tu użyczą nasza kokietka, przyprawilby o zazdrość aparat fotograficzny. Ręce opadają, kiedy czyta się jej relację strona po stronie, ale nie pozwoliłam sobie na żadne skróty, po pierwsze dlatego, że nie stosowałam tej metody wobec żadnej relacji, przede wszystkim zaś dlatego, że te absurdalne twierdzenia mówią nam wiele o nauczycielce i jej inklinacjach do ubarwiania wydarzeń.

(Nota Marie-Martine Lepage)

...brzuch płaski i twardy, ramiona nawykłe do katorżniczej pracy. Jego penis, proszę wybaczyć, że pielęgniarka-amatorka mówi o tym w tak

naturalny sposób, jak o każdej innej części ciała, nie wydawał mi się ani krótszy, ani dłuższy, ani grubszy, ani mniejszy od członków mężczyzn, którym robiłam zastrzyki. Był po prostu proporcjonalny do wzrostu. Czytałam zresztą w owej przypadkiem znalezionej książce, o której już wspominałam, że nie można tak oceniać rozmiarów penisa, niektóre bowiem powiększają się trzykrotnie lub nawet bardziej pod wpływem podniecenia. To zatrwajające.

Nie zdążyłam zobaczyć, co robi, ale domyśliłam się. W szafie leżały ubrania, które mój mąż nosił mało lub nawet wcale. Nie wiem, czemu je zatrzymałam. Być może dlatego, że żał mi było wyrzucać nowe rzeczy lub że, gdy umarł, miałam nadzieję, iż jestem w ciąży. Co czułam, osamotniona w tym prawie obcym mi mieście, mając zaledwie dwadzieścia jeden lat, nie ma związku z tą sprawą. Wystarczy, jeśli powiem, że mąż mój był również dość wysoki, aczkolwiek znacznie starszy i inny.

O mało nie uwierzyłam na dobre, że zbieg czyta w moich myślach, nawet gdy gapię się w ścianę, nagle bowiem zapytał:

– Ile lat miał pani mąż?

– Czterdzieści dziewięć.

– Jak wam się układało?

– Dobrze.

– Nawet w łóżku?

Nie odpowiedziałam. Usłyszałam krótki, drwiący śmiech, na tym koniec. Kiedy pozwolił mi się odwrócić, miał na sobie letnie spodnie, koszulkę od Lacoste'a, mokasyny.

– Nie wzięłam najlepszych łachów – powiedział – ale wolę białe, szybciej się brudzą. W ten sposób często trzeba je zmieniać i człowiek jest zawsze jak należy. Nauczyłem się tego u jezuitów. Byłem wtedy jeszcze skrabem.

Stłumił ziewnięcie.

Jego widok w ubraniu mego męża nie robił na mnie żadnego wrażenia. A w każdym razie mniejsze, niż można by przypuszczać. Gdyby nie zarost, wyglądał jak zwyczajny człowiek, nie było w nim nawet nic niepokojącego. Tym razem czułam, że robi mi kolejny numer z czytaniem w myślach:

– Może używa pani golarki do nóg?

– Nie potrzebuję golić nóg.

Sięgnął po rzucony na łóżko nóż, opuszką palca wypróbował ostrze. Widać było, że nie jest usatysfakcjonowany. Wsunął nóż za pasek. Potem zwinął brudne łachy i buty w kłębek i wrzucił pod szafę.

– W kuchni jest ostrzałka – powiedziałam.

Chciałam dodać, że jeśli już ma mi podciąć gardło, wolałabym, żeby nie zabierał się do tego tępym nożem, ale w porę ugryzłam się w język. Stałby się nieufny, gdybym okazała, że mam ochotę na drwiny. Sam przypomniał mi to, co usilnie starałam się sobie uzmysłwić od chwili napaści – gdzie do diabła mój mąż wetknął przed czterema laty, w dniu naszej przeprowadzki, strzelbę?!

Kiedy kończył się golić nad zlewem w kuchni, zegar w przedpokoju wybił jedenastą. Zbieg ziewał raz po raz. Z trudem utrzymywał otwarte powieki. Najwyraźniej od dawna nie spał. Milczałam, siedząc nieruchomo na krześle. Nie zamierzałam pomagać mu w walce ze snem. Wsadził głowę pod wodę, opłukał usta, wytarł się, wytarł nóż i wbrew wszelkim oczekiwaniom starannie umył zlew. Sądzę, że mimowolnie stosował się do obowiązującego w więzieniu regulaminu. Potem wyciągnął z kieszeni pęk kluczy, który zabrał, żeby zamknąć pomieszczenie. Bez zarostu nie wyglądał nawet na trzydzieści lat.

Tak jak myślałam, zaprowadził mnie znów na górę. Skrępowanie powodowane świadomością, że mam go za plecami, że spojrzeniem obmacuje moje obcisnięte spódnica kształty, wyłaniające się przy każdym kroku zza rozporka nogi, było nie mniejsze niż za pierwszym razem. Zresztą odgadł to, jak odgadywał inne myśli, bo poczynił pewną uwagę, we właściwym mu stylu, czyli taką, którą brzydzę się tu przytaczać.

Mimo to nie bałam się teraz tak bardzo wejść do sypialni. Wiedziałam, że prawdopodobnie przywiąże mnie do łóżka, ale wątpiłam, żeby chciał mnie gwałcić. Na pewno najpierw pójdzie spać. Nie tknie mnie do przebudzenia, może nawet nie zedrze ze mnie ubrania, zostawiając sobie tę przyjemność na chwilę, gdy wróci do pełni sił. To oznaczało, że będę miała wiele godzin na uwolnienie się z więzów, wyciągnięcie strzelby spod szafy i, jeżeli Bóg sprawi, że broń jest nabita, odegranie roli morderczyni. Jeżeli okaże się, że nie ma naboju lub zapomniana od czterech lat strzelba nie działa, albo jeżeli w ostatniej chwili zabraknie mi odwagi, by zabić we śnie istotę ludzką, pozostanie jeszcze nadzieja, że zdołam go wystraszyć, przegonić z domu lub uciec.

Ale nie znałam go jeszcze. Nie zaprowadził mnie do sypialni, gdzie – jak sądziłam – zamknie się ze mną, lecz do sypialni uczniów. Był to szereg izb w amfiladzie, z wyburzonymi ściankami działowymi. Dwadzieścia małych materacy bez prześcieradeł i bez kołder. Zaskoczenie, rozczarowanie, że nie będę miała dostępu do strzelby, sprawiły, że wykrzyknęłam bez zastanowienia:

– Ależ w sypialni byłoby nam wygodniej!

– Nam? – zapytał. – Sądziła pani, że będziemy spali w jednym łóżku?

Zrobił wystraszoną minę, która miała być karykaturą mojej. Zaraz zresztą dojrzałam rodzący się na jego twarzy uśmiech i błysk białych zębów, co dowodziło, że kpil sobie ze mnie.

– W pani sypialni, droga Nózko, jest niestety okno. Chcę się spokojnie przespać.

– Mógłby mnie pan związać, nie wiem zresztą.

Znów to udane zdziwienie, wyszczerzone zęby.

– Z-wią-zać? Coś takiego! Ależ pani ma pomysły.

– Przecież i tu są okna!

Spojrzał kolejno na trzy okna o zamkniętych okiennicach.

– I co z tego? – zapytał. – Ma mnie pani za kretyna, czy co?

I zerwał z najbliższego łóżka materac i poduszkę, by rzucić mi ją w ramiona.

– Proszę to zabrać.

Pchnął mnie w stronę schodów. Szłam wlokąc za sobą materac. Prowadził mnie tak przez cały przedpokój, aż do wejścia. Nic już nie rozumiałam, przecież nie zamierzał zostawić mnie na noc w ogrodzie! Oczywiście, że nie. Na lewo od drzwi wejściowych były inne, mniejsze, od komórki bez światła, bez okna, zupełnie pustej. Dawna garderoba. Kiedy zobaczyłam, jak przekręca tkwiący w zamku klucz, nie wytrzymałam, upuściłam materac, poduszkę i wyprowadzona z równowagi krzyknęłam:

– Chyba nie zamierza pan kazać mi tam spać, to żart?!

– Dlaczego nie? – zapytał łagodnie, ale w jego oczach czaiła się złość. – Pani zamyka tu nieszczęsne dzieciaki. A co takiego straszego one robią?

Patrzeć, jak gra moralistę, tego było już za wiele. Krzyknęłam jeszcze głośniejsze:

– Zaglądają mi pod spódnicę!

Gwałtowność, brutalność jego reakcji zaparła mi dech w piersiach. Nim skończyłam zdanie, chwycił mnie pod pachę i włożył za sobą, nie troszcząc się o mnie bardziej niż przed chwilą o materac. Przeprowadził mnie tak przez cały korytarz, aż do klasy. Tam po prostu rzucił mną o katedrę.

– Siadaj!

Jednym ruchem zapalił wszystkie światła. Włożyłam pantofel na obcasie, który spadł mi z nogi, usiadłam za stołem. Nie wiem, czy zdołałam nabrać tchu. Stałam się zabawką w rękach szaleńca.

Zasiadł w pierwszej ławce, dokładnie na wprost mnie. Kosmyk włosów opadł mu na czoło. Skrzyżował ręce pod blatem i powiedział tonem nie znoszącym sprzeciwu:

– Załóż nogę na nogę!

Nie posłuchałam. Jego spojrzenie zwróciło się już pod stół, wbite w me zaciśnięte kolana. Serce szarpało mi się w piersiach. Czy byłam tak głupia, by sądzić, że wykorzysta mnie, gdy tylko znajdę się w jego mocy, zuchwale, jak pierwszą lepszą dziwkę?! Przecież opowiedziano mi dość o jego okrucieństwie, było na to zbyt wyrafinowane. Nim dojdzie do ostatniego aktu, poprzez kolejne fazy udręki, pragnie ujrzeć mnie załamana, poniżona, wyzbytą całej godności. Jak to ujął kapitan Malignaud? Tak, to to zdanie, które mnie uderzyło... „Hańbiona przez wiele godzin”.

Wiem, że w podobnej sytuacji wiele kobiet uczciwych jak ja, zamiast prowokować potwora, powiedziałyby sobie: „Cóż, jeżeli chce mi zadać takie cierpienie, pozostaje modlić się, by potrafił wymyślać tylko równie dziecinne. Bawiąc się w ucznia, który w napięciu zerka pod spódnicę nauczycielki, ośmiesza tylko samego siebie. Chce popatrzeć na moje nogi? No więc mu je pokażę, niech się dobrze bawi”. Ale problem w tym, że ja w jego rozkazach nie widziałam nic dziecinnego, a raczej kolejne ogniwa łańcucha poniżenia, którym oplątywał mnie od początku. Jego wyzywający uśmiech, gdy drwił z mej samotności.

Ostrze noża rozcinające moją bluzkę. Zgięty na pół widelec. Wepchnięcie mnie do sypialni. Wyzywające obnażenie się. Komórka. A teraz to zmuszanie mnie, żebym to ja go prowokowała!

Poza tym nie jestem ulepiona z tej gliny. Mówię to, by ten, kto będzie czytał me słowa, mógł zrozumieć, jak bolesne zachowałam wspomnienie tych chwil przeżytych w mej jasno oświetlonej klasie. Już pojawienie się na plaży w kostiumie kąpielowym, gdy nie mogłam ukryć smukłości ud, cienkiej talii, krągłości pośladków, arogancji biustu dwudziestoczworoletki, stanowiło dla mnie rodzaj katuszy. Chodziłam popływać tylko przy ostatnich blaskach słońca i to nie dziesięć razy na sezon, a przecież zawsze znalazło się dość odpoczywających na piasku pływaków, by śledzić mnie wzrokiem, gdy wychodziłam z wody, a mokra tkanina, oblepiająca me ciało, nie osłaniała go w żadnej mierze. Parzyły mnie ich spojrzenia wyceLOWANE we wzgórek mego łona. Ktoś powie – pruderia. Nic na to nie poradzę. Zostałam wychowana w szacunku dla własnej osoby.

Nie będę dłużej rozwodzić się nad tymi minutami, które wydały mi się wiecznością, ale były upodlające jedynie dla mego oprawcy. Zaznaczę tylko, że straszyl, iż jeśli nie wykonam jego poleceń, zmusi mnie, bym go

usłuchała. Ostrożnie krzyżowała nogi. To nie było to, czego chciał. W jedną stronę, w drugą, powtarzałam ten sam ruch, i wyżej, wciąż wyżej. Bezradna, widziałam jego spojrzenie, fascynację moim nagim ciałem nad pończochami i nie potrafiłam powstrzymać błagania:

– Nie można... Podnieci się pan, potem nie będzie pan w stanie...

Głos mi się załamał. Udając wzgardę, krzyknął rozbawiony:

– No nie, za kogo ty się uważasz!... Rób, co ci każę!

Usłuchałam, ale zamknęłam oczy. Teraz przynajmniej nie widziałam nikczemnej satysfakcji w jego oczach. Wielokrotnie wykonywałam w ciemnościach jego polecenia: wolniej, szerzej i sama nie wiem, co jeszcze. Mimo to czułam jego pazerne spojrzenie wślizgujące się pomiędzy uda, biorące mnie w posiadanie. Poczułam zawrót głowy, słabość owładnęła moim ciałem i sama nie wiedziałam już, co przed nim odsłaniam. Po policzku spłynęła mi łza. Otworzyłam oczy.

Siedział rozparty w ławce, z rękami pod głową i z pełnym egzaltacji uśmiechem patrzył w sufit.

– Cholera – szepnął – to były dobre czasy!

Jak to zrozumieć? Mam na ten temat własny pogląd. Przez chwilę nie byłam w stanie się podnieść. Wstydziłam się za siebie. Powtarzałam sobie: „Jeżeli wystarczy, że patrzył na twoje nogi, żeby doprowadzić cię do takiego stanu, to co będzie, kiedy przejdzie do działania! Będziesz się czołgała, moja nieszczęsna Karolino, padniesz mu do nóg jak zwykła prostytutka!” Obiecałam sobie solennie, że od tej chwili zachowam zimną krew, że nawet jeśli będę musiała cierpieć, to z godnością, nieugięta, a nawet obojętna. Bo nie wyobrażałam sobie, by ten zboczeniec, może chwilowo uspokojony, oszczerzył mnie.

Nie myliłam się. Zaprowadził mnie przed komórkę, przy braku protestu czy jakiegokolwiek reakcji prócz wzruszenia ramion, otworzył, rzucił do środka materac i poduszkę i powiedział:

– Chce mi się spać. Muszę mieć pewność, że nie zaalarmujesz całego miasta.

Spoglądał na mnie przepaszająco, z głupkowatym zażenowaniem, ale wolałam mieć się na baczności. Jakie jeszcze może mieć zabezpieczenie, skoro zamknie mnie na klucz w tej norze? Nagle zrozumiałam. Znów ogarnęła mnie ta dziwna słabość w dole ciała. Starając się ze wszystkich sił opanować drżenie głosu krzyknęłam:

– Nie chce pan powiedzieć... Chce pan jeszcze zabrać mi ubranie!... Tak?

Kiepsko grał tę komedię. Poza tym znałam już ten niby zaszokowany uśmieszek:

– Ależ, Nózko! – drwił. – Któż panią prosił o ubranie!?

– Wolałby pan je ze mnie zerwać, nie wątpię! – rzuciłam mu w twarz, oburzona jego cynizmem.

Pokryłam zmieszanie – tak jak sobie obiecałam – wzruszeniem ramion i weszłam do komórki. Pozwolił mi przymknąć drzwi i to ustępstwo, mimo że przecież mógł je otworzyć, kiedy będę naga, trochę mnie pocieszyło. Nie byłabym w stanie rozebrać się na jego oczach po wstrząsie, jaki przeszłam, musiałyby chyba mnie zabić.

Zaczęłam więc zdejmować w półmroku po kolei bluzkę, potem buty, pończochy, stanik. Podawałam mu je przez szparę w drzwiach, widząc jedynie jego dłonie i obrączkę na palcu. Znow pytanie, którego za nic na świecie nie zadałabym mu przedtem. Teraz, ściągając spódnice, mogłam odgrywać odważną.

– Jest pan żonaty? – zapytałam.

– Mówiłem pani, że chce mi się spać.

Nie nalegałam. Stałam właśnie wobec problemu, który wydał mi się niezwykle trudny już kiedyś, gdy przerzucałam u fryzjerki jeden z tych niedorzecznych magazynów kobiecych: gdybyś była zmuszona rozebrać się w obecności nieznanego mężczyzny, co zachowałabyś najdłużej, czy coś w tym rodzaju. Być może wcześniej nie przyszło mi nawet na myśl, że taka sytuacja jest możliwa. A może przeciwnie, zbyt często niepokoiła mnie ta sprawa. Miałam na sobie jeszcze halkę i majtki. Jeżeli zrezygnuję z halki, nic nie będzie osłaniało moich piersi. Postanowiłam więc zdjąć majtki. Opowiadam dziś o tych chwilach z pewną swobodą, do jakiej wtedy nie byłam zdolna. Jestem pewna, że będąc kobietą zrozumie Pani skrępowanie, z jakim nawet w tych okolicznościach, nawet jeśli był zwykłą świnią, wyznaję innym to, co dla mnie najbardziej intymne. Ale mniejsza o to.

W każdym razie, jeżeli żądał ode mnie nagości, która skuteczniej niż łańcuchy przeszkodziłaby mi w ucieczce do miasta, to nie pozostawiłby mi halki, nieważne, czy z przejrzystego jedwabiu, czy bardziej nieskromnej niż gołe ciało. Po cóż więc w sytuacji, w jakiej się znalazłam, ryzykować rozbudzenie w nim pożądania w szamotaninie, z której musiałabym wyjść pokonana, on zaś zrobiłby ze mną, co tylko by chciał. Bez słowa zdjęłam więc i halkę i podałam mu ją przez drzwi.

Potem, osłaniając, jak mogłam, piersi i łono, stałam czekając na to, co miało nastąpić. Jeżeli zechce mnie teraz zgwałcić, zdecydowałam nie stawiać oporu. Rzuci mnie na materac, a ja pozostanę obojętna, nie będę płakać ani narzekać, pozwolę mu robić, co zechce, na nic nie reagując. Trup, drewniana kukła. Nękała mnie jedynie obawa, biorąca się z tego, co

słyszałam od mojej pomocnicy (nie pamiętam już, co sprawiło, że mówiła mi o tym), że niektóre bardzo zmysłowe lub o dużej wrażliwości pewnej części ciała kobiety nie mogą wbrew swej woli powstrzymać się od odczuwania przyjemności, i że z tego właśnie względu gwałt pozostaje w świetle prawda gwałtem, nawet jeśli ostatecznie ofiara ulegnie. Ale trudno, jeżeli odkryje mój słaby punkt, nic po sobie nie pokażę, nic a nic, przelknę wstyd, nigdy nie dowie się, co mi zrabowała

Nie ruszał się przez długie sekundy, dowodząc swego wahania. Potem zamknął drzwi. Po chwili uchylił je. Aby niczego mi nie oszczędzić, sam niewidoczny, podał mi nocnik. Powiedział:

– Ułożyłem pani rzeczy. Dobranoc. Radzę mnie nie budzić, bo bardzo, ale to bardzo się rozgniewam.

Tym razem zamknął na dobre. Usłyszałam zgrzyt klucza w zamku, potem oddalił się i wszedł po schodach na górę. Tam zgasił światło, którego odrobina wpadała do komórki przez szparę pod drzwiami. Potem już nic. Chwilę stałam w ciemnościach, nasłuchując. Nawet nago było mi gorąco. Zegar wydzwonił w pół do, ale nie wiedziałam już której. Na rękę miałam zegarek, ale jak odczytać na nim godzinę?

Rozłożyłam materac i poduszkę, zwinęłam się w kłębek, prawie od ściany do ściany, zwracając twarz w stronę drzwi. Potem straciłam orientację. Podniosłam się, żeby namacać drzwi. W porządku. Położyłam się z powrotem. Usiłowałam nie myśleć o tym, co przeżyłam, skoncentrować się na możliwościach ucieczki. Nic nie przychodziło mi do głowy; Odpędzałam natrętnie powracający obraz zbiega, jego czarnych oczu, dłoni. Musiałam się zdrzemnąć, ale nie zasnęłam głęboko, bo słyszałam, jak zegar wydzwania kwadrans, a czasami rozbudzałam się zupełnie, znekana koszmarem, który zdawał się ciągnąć całymi godzinami. Czemuż miałabym to przemilczeć? W tych sennych rojeniach nie było nic prócz seksu, prócz własnego, zniewolonego, pożartego, unicestwionego ciała. Budziłam się zлана potem. Wreszcie zasnęłam.

Kiedy otworzyłam oczy, przez szparę sączyło się blade światło. Nie poruszałam się, nasłuchując. Najdrobniejszego szmeru. Nad drzwiami wejściowymi był lufcik, domyśliłam się, że świta. Wstałam, by zerknąć przez dziurkę od klucza. Wówczas zorientowałam się, że człowiek, którego miałam za tak sprytnego, pozostawił klucz w zamku.

Nasłuchiwałam jeszcze przez moment, przycisnąwszy ucho do drzwi. Dobiegało mnie ciche, uporczywe tykanie zegara. Wróciłam na materac. W ciemnościach zabrałam się do rozpruwania szwu poduszki. Potem wysypałam puch. Rozdarłam jeszcze jeden szew, możliwie najciszej. Potrzebny

mi był kawałek materiału. Ostrożnie, bardzo, bardzo wolno, wysunęłam go przez szparę do połowy, może nawet dalej. Potem wyciągnęłam spinę do włosów i zabrałam się do klucza. Zadzwoił zegar. Przerwałam pracę, zbyt przerażona, by w porę pomyśleć o liczeniu uderzeń. Chyba siedem, o ósmej byłoby zupełnie widno.

Kiedy zapadła cisza, ponownie przystąpiłam do pracy. Potrzebowałam niespełna minuty, by wypchnąć klucz z zamka, ale hałas, choć stłumiony przez poszwę, wydał mi się przerażający. Nie tracąc czasu wyciągnęłam klucz. Wsłuchując się z zapartym tchem w panującą w domu ciszę, upajałam się nadzieją i poczuciem zwycięstwa. Musiałam się opanować. Owinęłam się kawałkiem materiału jak ręcznikiem kąpielowym. Ostrożnie przekręciłam klucz w zamku. Jeden obrót... drugi. Żeby drzwi nie skrzypiały, otworzyłam je jednym pchnięciem.

W tej samej chwili, gdy prąd powietrza poderwał pióra, które zawirowały niczym stado białych, spłoszonych ptaków, w mym gardle zamarł krzyk przerażenia, a me serce o mało nie pękło. Zbieg siedział w fotelu, dokładnie na wprost mnie, zupełnie rozbudzony i spokojny, z pogardliwym uśmiechem na ustach. W bladym świetle wpadającym przez lufcik wyglądał jak diabeł.

– Patrzcie, państwo – mruknął prawie pieśczośliwie. – Patrzcie na tę hipokrytkę.

Zobaczyłam, jak podnosi się powoli. Nie myślałam, by zamknąć się w komórce, nie cofnęłam się. Byłam sparaliżowana. Patrzył mi prosto w oczy, a kiedy znalazł się tuż obok, jedną ręką, bez pośpiechu ani brutalności, ściągnął ze mnie kawałek tkaniny, którym się osłoniłam, i odrzucił go za siebie. Nie drgnęłam nawet, aby mu przeszkodzić. Pióra wirowały pod sufitem. Nieruchoma i naga, z twarzą wzniesioną ku niemu, dostałam czkawki. On zaś po chwili wyciągnął rękę i rozpuścił me włosy i chyba właśnie fakt, że poczułam, jak rozsypują się i opadają mi na ramiona, wywołał ten atak hysterii. Wrzeszczałam jak szalona, rzuciłam się na niego, wałąc pięściami po torsie, skrajnie wyczerpana, poirytowana, doprowadzona do granic wytrzymałości.

Nie oddał mi, starał się tylko mnie powstrzymać. Nie widziałam go już przez łzy, ale nawet z unieruchomionymi rękami krzyczałam. I krzyczałabym tak do końca świata, niezdolna umilknąć, gdyby jakiś przerażający głos z zewnątrz, nie wiedzieć skąd, nagle mi nie przerwał.

Głos rozbrzmiewał przez megafon. Mówił:

– Uwaga! Dom jest otoczony! Bandyto, przestań maltretować tę kobietę albo przystępujemy do szturmu!

Zbieg puścił mnie natychmiast, by chwycić pozostawiony na fotelu nóż. Zdumienie, przerażenie, które wyzierało z jego coraz większych oczu, nagradzały mi w znacznej mierze przejścia ostatnich godzin. Jeszcze zadyszana, z wilgotnymi policzkami, nie zdołałam powstrzymać się od triumfalnego śmiechu.

Zaczynała się innego rodzaju udreka.

Kapitan Malignaud w otoczeniu zbrojnych piechurów stał na stopniu wojskowej ciężarówki, przechylając się przez ogrodzenie. Ludzie z sąsiedztwa, w piżamach i szlafrokach, zgromadzili się na chodniku.

Kapitan krzyczał przez głośnik:

– Proszę się cofnąć! Proszę się cofnąć! Proszę umożliwić wypełnienie obowiązku żołnierzom Republiki!

Mój napastnik i ja przyglądaliśmy się temu przez uchyloną okiennicę w kuchni. Zaciągnął mnie tam naga, trzymając tuż przy sobie i zatykając mi usta ręką. Teraz to on wpadł w panikę. Szeptał niczym słowa modlitwy:

– Nie, to nieprawda! To niemożliwe!

W porannym słońcu pojawiła się druga, jadąca z ogromną prędkością ciężarówka. Nie czekając na rozkaz wyskoczyła z niej duża grupa żołnierzy. Doliczyłam się dziesięciu, piętnastu, dwudziestu. Malignaud podbiegł do nich, klnąc, że pojawiają się dopiero teraz.

– Otoczyć okolicę!

Z wozu wyładowano ciężki karabin maszynowy i ustawiono go na jezdni. Uciekinier szeptał tuż przy moim uchu:

– Oszaleli, idioci! Oszaleli!

Zamknął okiennicę. Przez chwilę, stojąc z nim twarz w twarz, widziałam, że nie ma pojęcia, co robić. Potem zdjął rękę z moich ust i powiedział:

– Nie zaryzykują ostrzału, ani tym, ani karabinami. Jeżeli nie będzie pani próbowała podstępu, wyjdziemy z tego cało.

– My?! – wykrzyknęłam. – To pana chcą dostać, a nie mnie!

– Kule z karabinu maszynowego nie wybierają. Jeżeli zaczną strzelać, z całej tej budy nic nie zostanie. Ja go znam, tego Malignoble'a!

Zorientował się, że mnie przestraszył.

– Niech pani posłucha, Karolino. Nie widzieli mnie, nie mają pewności, kim jestem, jakie mam intencje, czy jestem uzbrojony! Powie im pani teraz przez okno, że wszystko jest w porządku, że pokłóciła się pani z przyjacielem, nic poza tym, żeby sobie...

Nie dałam mu skończyć. Zaczęłam wrzeszczeć, ile tchu w piersi.

Brutalnie zatkał mi usta, przydusił, i nie mogłam ani się bronić, ani nawet go ugryźć. Dziś wiem, że ta minuta przesądziła o mych losach i że nie usłuchawszy go, popełniłam największe w życiu głupstwo.

– Muszę inaczej sobie z tobą poradzić! – powiedział ze złością w głosie.
– Jeżeli jesteś na tyle głupia, drzyj się do woli!

I odsunął dłoń, by chwycić nóż i przystawić mi go do gardła.

– No, krzycz!

Pokręciłam głową, żeby mu pokazać, że już nie będę krzyczała.

Wówczas nie patyczkując się powlókł mnie do przedpokoju. Nie zdejmował ostrza noża z mego gardła, podczas gdy drugą ręką otwierał drzwi wejściowe.

– Błagam – wykrztusiłam – nie chcę, by mnie tak zobaczyli!... Błagam pana!

Podniósł z ziemi podartą poszwę i rzucił mi ją. Okryłam się nią z przodu, trzymając dwiema rękami.

Potem otworzył drzwi i wypchnął mnie za próg w tumanie pierza, z nożem na gardle. Panujący na dworze chłód przejął mnie całą, bardziej naga niż kiedykolwiek, blask światła sprawił ból. Przeciągły szmer przebiegł tłum gapiów. Z rozpaczą spostrzegłam, że gęstnieje, że żołnierze muszą siłą powstrzymywać jego napór na ogrodzenie. A potem zaległa cisza.

– Przypatrz się jej, Malignaud! – krzyknął zbieg. – Patrz! Jeżeli któryś z twoich gnojków, słyszysz mnie? choćby jeden, ośmieli się wtargnąć do ogrodu, nie zobaczysz jej żywej!

Potem słychać już było tylko szum fal, z dala od nas. Wszystkie te nie-me spojrzenia, skupione na mym nieszczęściu, sprawiły, że zacisnęłam powieki. Poczulałam, jak napastnik ciągnie mnie do tyłu, do chłodnego domu, potem drzwi się za nami zamknęły, trzasnęły zasuwę. Osunęłam się na kolana i klęcząc na posadzce w przedpokoju zalałam się łzami.

Zamknięte okiennice w kuchni.

Chyba około południa, nie wiem.

Pozwolił mi włożyć halkę i pantofle, związać włosy. Umyłam się nad zlewem. Odwrócił się, ale mógł już tego nie robić, było mi wszystko jedno.

Kiedy potrzebował zostać sam, zamykał mnie w komórce. Myślę, że obszedł wszystkie okna w domu. Co za głupota! Wszystko działo się przed ogrodzeniem, wokół bramy. On uchylał jeszcze czasem okiennicę, żeby rzucić okiem na dwór, ja już nawet nie patrzyłam.

Słyszałam ich. Śmiali się, zwoływali jak na widowisko. Ktoś przyniósł akordeon, ktoś inny harmonijkę. Ulica była pełna, pewnie trzeba ich było zaganiać jak rozpasane bydło za metalowe bariery. Wydawało się, że wszyscy, całe miasto, zbiegli się przed mój dom. Wszyscy – kobiety, mężczyźni, starcy, dzieci i psy. Plażowicze w kostiumach kąpielowych powracający do domów dołączali do tłumu, handlarze oferowali lody i frytki.

W pewnym sensie było to zabezpieczenie dla zbiega. Oddział żołnierzy zajmował się bowiem wyłącznie utrzymaniem porządku. Malignaud na próżno zdzierał sobie płuca, usiłując nakłonić tłum do cofnięcia się, a mnie to wszystko brzydziło tak bardzo, że zaczęłam widzieć w „potworze” wyłącznie towarzysza niedoli, moje jedyne wsparcie.

Podgrzałam to, co zostało w lodówce. Od wczoraj nic nie jadłam. Kiedy usiedliśmy do stołu, zobaczyłam, że zgiął na pół mój widelec. Patrzałam przez chwilę, jak je palcami, aż w końcu nie wytrzymałam, zrobiłam jak on.

– Widzi pani, Nózko – powiedział z pełnymi ustami – to nic trudnego.

Znalazł w szafie butelkę wina. Zwykle piła je tylko moja asystentka. Nappełnił dwie szklanki.

– Nie miałem jeszcze siedmiu lat – ciągnął – a już wiedziałem, że poza kinem i aspiryną wszystko, co nazywa się postępem, jest zwykłym niewolnictwem.

– Niech mnie pan nie nazywa Nózką.

– Karolino. Zapamiętałam. Niech się pani napije, to pani dobrze zrobi.

Potem, kiedy kończyliśmy jedzenie, powiedział łagodnie:

– Nigdy nie przypuszczałem, że sprawy mogą przybrać taki obrót. Żałuję, że tak panią potraktowałem.

Wzruszyłam ramionami. Nawet w zaciemnionej kuchni było mi gorąco. Zamknął okno, by nie słyszeć tłumu. Powiedział jeszcze:

– Jest pani piękna, Karolino. Wbrew temu, co pani opowiedziano, nigdy nie zgwałciłem kobiety. Ale dzisiejszej nocy niewiele brakowało.

– I źle pan zrobił, odmawiając sobie tego.

Przemawiała przeze mnie gorzyc. Przecież teraz całe miasto, litościwie kiwając głowami, musiało sobie opowiadać, że to zrobił, i to pewnie raczej dziesięć razy niż jeden, i to do syta. A ta wścibska plotkara, fryzjerka, nie pozwala innym prześcignąć się w zmyślaniu szczegółów.

Zobaczyłam, że z nas dwojga to on jest bardziej zażenowany. Odwracał

czarne oczy, grzebał po kieszeniach. W końcu wyciągnął pomiętą paczkę angielskich papierosów. Wstałam, by przynieść pudełko zapalek. Kiedy wróciłam, jedno z ramiączek halki osunęło mi się na ramię. To był przypadek, ale muszę przyznać, że trochę mu pomogłam.

Stojąc i niemal dotykając biustem jego twarzy, podałam mu ogień. Czulałam, że serce podeszło mi do gardła. Piersi falowały mi przy każdym oddechu. Stałam tak przy nim, dopóki nie zdmuchnął zapalki. Nawet gdyby sparzyła mi palce, nie drgnęłabym. Nie mogłam też wydusić z siebie słowa, w przeciwnym razie nie wiem, jakie wymyśliłabym brednie, żeby zaciągnąć go do sypialni.

W końcu to on się odsunął. A jego słowa miały dostarczyć mi zupełnie innych racji niż ta, dla której gotowa byłam się poświęcić.

– Spokojnie doczekam tu do zmroku – powiedział. – W ciemnościach znajdę jakiś sposób, żeby się stąd wydostać.

Przyglądałam mu się długo, ma się rozumieć zadowolona, że wybawił mnie z opresji, ale i smutna, smutna dlatego, że z winy innych pozostało tylko jedno wyjście z tej sytuacji. Proszę mi wierzyć, jeśliby nawet zgwałcił mnie tyle razy, ile wyobrażał sobie żądny sensacji tłum, pozwoliłabym mu odejść i nie skarżyłabym się, gdyby tylko nikt nie wiedział, że tu był. Nawet w tej chwili, gdybym tylko mogła cofnąć czas i naprawić popełniony rano błąd, krzyknęłabym do tych wszystkich ludzi za oknem, że jestem z kochankiem – a tak, przecież nawet skromna jak mysz dyrektorka może mieć kochanka – i posłałabym ich do diabła. Jestem pewna, że potem nie uczyniłby mi krzywdy. Nie wierzyłam już, że popełnił zbrodnie, o które go oskarżano. Odczekałby parę godzin, aż sprawa ucichnie, i podjąłby dalszą ucieczkę. Być może nawet, w punkcie, do jakiego doszliśmy przez te godziny oczekiwania, oddałabym mu się dobrowolnie i nie odczuwając wyrzutów sumienia. Ale w życiu nie można niczego nadrobić.

Poprawiłam ramiączko i powiedziałam:

– Mógłby pan uciec natychmiast, jeśli pan chce. Wiem, w jaki sposób. Chodźmy, pokażę panu.

Nieco zaskoczony i pewnie nieufny patrzył, jak otwieram drzwi od kuchni. Przyjaźnie kiwnęłam głową, zachęcając, by za mną poszedł.

Nóż zostawił na stole.

Weszliśmy do sypialni, ja pierwsza, a jakimś cudem zupełnie swobodna tym razem. Moje serce wypełniały teraz inne obawy. Kiedy znaleźliśmy się wewnątrz, przed oczyma pojawiła mi się na moment kobieta, której nie poznałam, ta, którą byłam wczoraj; przyparta do ściany.

– Trzeba zwinąć pana brudne łachy w węzełek. Zabierze je pan ze sobą. Nie będą wiedzieli, że jest pan inaczej ubrany.

Podeszłam do okna i ostrożnie uchyliłam okiennicę.

– Proszę popatrzeć.

Znów stał tuż obok, ale teraz on, który po tylekroć mnie popychał i szarpał, nie śmiał musnąć mego ramienia.

– Tam, w końcu ogrodu – powiedziałam, wskazując palcem. – Widzi pan tę wysoką, krzywą sosnę?

Widział.

– A kępę janowców w samym rogu? Za nimi mur osunął się, ma tylko metr. Zabezpieczyliśmy dziurę drutem kolczastym, ale rozsunie go pan bez trudu. Ta dziura prowadzi do gęstego lasu sosnowego, tuż nad plażą.

Zwróciłam na niego twarz. Był jak pilny uczeń i uzmysłowiłam sobie, że znów przybrałam dyrektorski ton.

– Niech pan się temu przyjrzy. Ja przygotuję węzełek.

Odchodząc od okna wpadłam na jego potężne, nagle onieśmielone ciało. Podtrzymał mnie, a ramiączko halki znów się zsunęło. W jego czarnych oczach było tyle łagodności, tyle wdzięczności, że poczułam, jak słabnę. Zamknęłam powieki, by go nie widzieć, i zdobyłam się na niechętnie słowa:

– Mało jeszcze mnie pan naobmacywał? Proszę mnie puścić!

Zsunąłby drugie ramiączko, pieściłby me piersi, co tak bardzo mnie wczoraj przerażało, należałabym do niego, a on ocaliłby życie.

Puścił mnie.

Podeszłam do szafy. W lustrze dostrzegłam swe odbicie – włosy rozczochrane, twarz zniekształcona potwornością tego, co miałam uczynić.

– Tam też na pewno są żołnierze – powiedział wyglądając przez okno.

Nie byłam w stanie wydobyć z siebie głosu. Uklękałam, obserwując go w lustrze. Przyciągnęłam brudne ubranie i wsunęłam rękę pod szafę. Wyczułam przymocowaną do deski dwoma pasami taśmy izolacyjnej strzelbę. Mój mąż specjalnie ją tu schował, żeby była pod ręką w razie jakiegoś napadu, a ja nawet sobie z niego kpiłam. Z łatwością odczepiłam broń. Na oślep wytarłam ją koszulą zbiega.

I właśnie w tej chwili odwrócił głowę:

– Jaki uroczy jest ten zakątek z huśtawką!

Uśmiechał się. Na nieszczęście dla nas obojga, nie widział mnie naprawdę, rzucił tylko okiem w moją stronę, biorąc mnie za świadka, a potem znowu odwrócił się do okna.

– Muszę pani coś opowiedzieć – odezwał się.

Wstałam, chowając strzelbę za plecami. Serce waliło mi tak mocno, że jeszcze teraz zastanawiam się, jakim cudem go nie usłyszałam.

Kobietą, którą najbardziej kochałem, jedyną, którą kochałem naprawdę, tą pierwszą – mówił młodzieniec stojący u progu wieczności – była ta z czasów mego pobytu u jezuitów, w Marsylii.

Pewnego majowego wieczoru – po wyjściu z kolegium, zamiast jak zwykle udać się w stronę pętli Saint-Ginier i wsiąść do tramwaju, ruszyłem piechotą, gdzie oczy poniosą. Miałem zbyt wiele do przemyślenia, żeby wracać prosto do domu.

W uliczce, którą szedłem, u stóp schodów wiodących na plac, otoczony ogrodami, które właśnie buchnęły wiosną, wznosi się ogromny krzyż, a na nim Chrystus. Stoi tam też biała willa z barokowymi wieżyczkami, wokół niej zaś park wysoko ogrodzony. To tam, na huśtawce, wśród oleandrów, ujrzałem ją po raz pierwszy. Powinienem powiedzieć: wreszcie, byłem bowiem w wieku, kiedy z niecierpliwością oczekuje się rzeczy niemożliwych, nie wątpiąc ani przez chwilę, że muszą się przydarzyć.

Zbliżała się i odpływała powoli, jakby słabła w kojącym mroku. Była w sukni z białego muszliny, a powietrze pachniało miodem. Mogła mieć szesnaście lat, tak w każdym razie sądziłem. Jej wdzięczna szyja i jasne, obcięte na chłopczycę włosy, jej samotność, oddalenie od spokojnego domu, wszystko to sprawiło, że przystanąłem, by na nią patrzeć. Zwróciła na mnie oczy. Iskrzyły się złotem w promieniach zachodzącego słońca, a były tak spokojne, że poczułem onieśmienie. Odszedłem, ale chcąc na nią jeszcze popatrzeć, zacząłem krążyć po parku z książkami pod pachą.

Kiedy po raz szósty doszedłem do tego samego miejsca, rozbawiona moją wędrówką odeszła – huśtawka była pusta. Wracałem do domu z sercem przepelnionym radością i udręką zarazem. Kochałem. Kochałem anioła o krótkich włosach. Nie potrafiłem już inaczej wyobrazić sobie Joanny d'Arc.

Nazajutrz, jak się Pani domyśla, powróciłem w to miejsce i zastałem ją. I pojutrze, i przez wszystkie dni jednego cudownego tygodnia. Czekwała na mnie, byłem tego pewien, ale nigdy nie zamieniliśmy słowa. Najdalej posunęliśmy się za ostatnim razem. Padało. O godzinie, gdy zwykle zaczynałem wędrówkę wokół parku, ani śladu dziewczyny. Przez chwilę stałem przy ogrodzeniu, oblepiony płaszczem nieprzemakalnym, który trudno

już było tak nazwać, z mokrymi, opadającymi na twarz włosami, ale przede wszystkim nieszczęśliwszy od zbląkanego psa, zamierzałem już odejść w deszcz.

Wtedy ujrzałem, jak pojawia się w drzwiach domu, ubrana w błękitną letnią sukienkę, osłaniając się tylko bluzą, którą trzyma nad głową. Podbiegła do huśtawki, usiadła, rozbijała się. Tego wieczoru nie rozmawialiśmy, a ona pozostała w ogrodzie może minutę lub dwie, dla symbolu, ale przecież to było takie znaczące, prawda?

A potem przyszła niedziela, a po niedzieli, jak zwykle, ten obrzydliwy poniedziałek. Mimo pięknej pogody huśtawkę zdjęto, a wszystkie okiennice w willi były zamknięte. Wyobraża sobie Pani, jak ciężki był to dla mnie cios? Ze złamanym sercem bezwiednie obszedłem park i raz jeszcze dotarłem do miejsca, gdzie ujrzałem ją pierwszego dnia. Wokół jednego z prętów ogrodzenia okręcona była kartka, przymocowana dobrym metrem sznurka. O tak, przysięgam, że okręcać to ona potrafiła. Męczyłem się ze sto lat, zdarłem wszystkie paznokcie, żeby wreszcie rozsupłać węzłki.

Chce pani wiedzieć, co napisała? Pamiętam ten list dokładniej niż mowę Taramenesa *:

* Postać z *Fedry* Racine'a (przyp. tłum.).

Wyjechaliśmy do Szkocji, by zamieszkać nad jeziorem, gdzie mnóstwo jest nenufarów. To smutne rozstanie, lecz urodziliśmy się, by się odnaleźć.

Nie wiem, gdzie ani kiedy, nie wiem, na której huśtawce, lecz jeśli tym razem odezwiemy się do siebie, wypomnę Ci na pewno, że tak długo zwlekaleś.

Joanna

PS Chyba nabawiłam się kataru w ten deszcz, a może to pożegnanie sprawia, że pociągam nosem.

Nie zobaczyłem jej więcej, w każdym razie – dotąd. Sporo od tego czasu przeżyłem, ale muszę wyznać, że kiedy myślę o niej, serce ściska mi się jak wówczas.

Po tych słowach odwrócił się do mnie, a z jego oczu wyzierała melancholia. Prawdopodobnie nie widział wymierzonej w niego strzelby. Nie

wiedząc, czy broń jest nabita i czy działa – zdawałam się w tym względzie na opatrność – zamknęłam oczy i nacisnęłam spust.

Huk był przerażający, a szarpnięcie odrzuciło mnie na szafę. Ze skrzydła okna, które uderzyło o ścianę, wypadły szyby. Zbieg pozostał jakby zawieszony w dymie wystrzału. Krew zalała mu połowę torsu. Potem postąpił dwa kroki do przodu, ale nie mógł utrzymać się na nogach i runął jak długi na ziemię.

Cóż. Stało się. Moją duszę sparaliżowała beźmierna cisza. Spoglądałam na leżącą u mych stóp, zbryzganą czerwienią białą masę, od której powinienam się oddalić, którą okrążałam powoli, cofając się w stronę drzwi.

Byłam ocalona, mogłam uciec, gdy nagle przed moimi oczyma pojawiła się ręka – zaciśnięta, już martwa, i chwyciła brzeg mej halki. Krzyk przerażenia zamienił się w mym gardle w charkot, potknęłam się o ciało ofiary. Mimo mej rozpaczliwej szamotaniny i jego rany mężczyzna przygniótł mnie i unieruchomił na podłodze. Rzęził z bólu i wściekłości. Zobaczyłam jego umazaną we krwi twarz. Chciał coś powiedzieć, ale nie mógł. Opadł, a jego ciało całym ciężarem zważyło się na mnie.

Wtedy właśnie usłyszałam z zewnątrz głos Malignauda. Dobiegał z przeciwnej strony ogrodu i choć wzmocniony, był odległy.

– Karolino! Karolino! – krzyczał. – Czy pani żyje? Proszę się odezwać!

Nie umiem powiedzieć, czy krzyczał już przedtem ani ile sekund upłynęło od wystrzału. Nie pamiętam też, w którym momencie wypuściłam broń. Prawdopodobnie zaraz po strzale. Podczas śledztwa odnaleziono broń pod komodą, w drugim końcu pokoju.

Zbieg dźwignął się na kolana, potem wstał. Usta miał wykrzywione cierpieniem. Zmusił mnie do wstania, chwycił za ramię i pociągnął do przedpokoju. Podenerwowanym, ale łagodnym, pozbawionym cienia niechęci głosem oznajmił:

– Będzie pani z nimi rozmawiała, Nózko.

Otworzyliśmy wychodzące na ulicę okno w sypialni mojej asystentki. Skrzyżowanymi ramionami zasłaniałam plamy krwi na halce. Ujrzałam tłuszczę zebraną pod domem, jarmark rozpychający bariery, usłyszałam westchnienia ulgi – przedstawienie trwało nadal. Zmusiłam się do krzyku:

– Kapitanie! Przede wszystkim proszę nie atakować! Widzi pan, że żyję!

Uciekinier spoglądał mi przez ramię. Szeptał mi, co mam mówić. Krzyknęłam jeszcze:

– Kapitanie! On chce pertraktować z kimś, kto jest wśród was!... Za kwadrans, nie wcześniej!... Nazywają ją Zozo, to dziewczyna z „Królowej Serc”!

Malignaud odwrócił się w stronę tłumu. Był zdumiony. Jakaś kobieta zawołała: „To ta czarna, kapitanie!” Wtedy zobaczyłam, jak z tłumu wysuwa się młoda Murzynka, w nastroszonej, kędzierzawej peruce na głowie i plażowej sukni w czerwone paski. Żołnierze uchyliłi barierkę, by ją przepuścić. Podeszła do oficera. Poruszała się niezdarnie na wysokich obcasach. Patrzyła w kierunku naszego okna. Lęk kochającej kobiety widać było nawet z tej odległości, przez kraty.

Siedziałam przywiązana do krzesła w kuchni. Miałam na sobie podartą halkę, ręce skrępowane za oparciem, nogi związane w kostkach. On pilnie śledził to, co działo się na zewnątrz. Przyciskał wsunięty pod koszulę ręcznik, tamując krwawienie, krople potu spływały mu z czoła.

Wkrótce potem, jak zegar wybił drugą, usłyszałam zgrzyt furtki.

Krzyknął:

– Tylko ona, Malignoble! Nikt więcej!

Żwir na ścieżce skrzypiał pod nogami młodej Murzynki. Zbieg zamknął okiennice, okno i powłócząc nogami, wyszedł do przedpokoju.

Usłyszałam, jak otwiera zasuwy, uchyla drzwi, i znów te same dźwięki w odwrotnej kolejności, a potem jej przerażony głos:

– Mój Boże, jesteś ranny!

Zorientowałam się, że chciałyby podtrzymać go na duchu. Powiedział z nadzieją w głosie:

– Zozo, musisz wyciągnąć mnie z tej kabały! Miałas rację, wpakowałem się w straszne gówno!

Jak każdy mężczyzna zmuszony przyznać się do słabostek, był bliski łez. Potem ruszył przodem, prowadząc ją do kuchni. Słyszałam szuranie jego podeszew o posadzkę. Słyszałam też, że przytrzymuje się ścian. Na mój widok jego przyjaciółka stanęła jak wryta. Nic dziwnego – cała ta krew na nim i na mnie, sznur, którym byłam związana, moje zmierzwione włosy! Wykrzyknęła:

– To niemożliwe! Ależ nie wolno robić takich rzeczy!

Wymawiała: niemożliwe, rzeczy. Była mniej więcej mojego wzrostu, w moim wieku, ale smukła i długa niczym liana, wijąca się w sukni jak wąż. Delikatność rysów jej twarzy była niemal dziecięca, skóra kasztanowa, sprawiająca, że w pierwszej chwili zauważało się duże naiwne oczy i zęby.

Z wrażenia musiała usiąść. On osunął się po ścianie na posadzkę, tuż przy drzwiach. Natychmiast powiedziałam do tej kobiety:

– Chcę, żeby wszyscy wiedzieli: nie zgwałcił mnie! W ogóle nic mi nie zrobił!

Wzruszyła gołym ramieniem i złośliwie wykrzywiona zapytała:

– Po co miałby panią gwałcić? Jeżeli ma ochotę się kochać, ma mnie!

– Panią? – odpowiedziałam tym samym tonem. – Pani to co innego, to pani zawód.

Zapadła cisza. Po moich i jej policzkach spłynęły łzy. Pierwsza prze-rwałam milczenie:

– Przepraszam. Nie to chciałam powiedzieć. Myślałam tylko o tym, że ludzie są podli, nie przepuszczą okazji opowiadania niestworzonych, ohydnych bajek. O wszystkich potwornościach, jakie mężczyzna jego pokroju mógł wyczyniać z kobietą taką jak ja!

Oparty plecami o ścianę zbieg westchnął zniecierpliwiony i wzniosł oczy w górę. Zozo wstała i otarła policzki. Powiedziała do mnie łagodnym głosem:

– Francis nie jest tym, za kogo go pani uważa.

– Francis? Mnie powiedział, że ma na imię Edward.

– Nieważne, co pani powiedział, chce pani znać prawdę? To student, który podaje się za zbiega z cytadeli!

Przyznaję, że na chwilę zaniemówiłam. Wydawała się tak szczerą, pewną swych słów. Odzyskując zdolność trzeźwego myślenia zapytałam jednak:

– Od dawna go pani zna?

– Właściwie nie.

– A więc? – odparowałam. – Kto pani powiedział, że to nie zbieg z cytadeli, który pani podał się za studenta?

Teraz to jej odebrało mowę. Przez długą chwilę wpatrywała mi się w oczy z pełną niedowierzania rozpaczą, potem odwróciła się do siedzącego na podłodze mężczyzny, od niego oczekując odpowiedzi.

Bolesny upór, z jakim starała się mu wierzyć, budził moje współczucie, on jednak miał inne zmartwienia.

– Słuchaj, Zozo – mruknął znużonym głosem – nawet gdyby ona miała rację, cóż to zmieni? Muszę się stąd wydostać!

Z trudem dźwignął się, opierając o ścianę. Kiedy stanął na nogach, powiedział do niej:

– W głębi ogrodu jest dziura w murze. Niestety, zauważyłem tam dwóch wartowników.

Patrzyli sobie w oczy, on przyciskając do piersi ręcznik, którym starał się zatamować krwawienie, ona pod wrażeniem tego, co usłyszała, wyprostowała się i zbierając całą miłość, jaką dla niego żywiła, odrzekła:

– Zajmę się tym.

Tak się odbyło. Potem mówiło się wiele różnych rzeczy, ale to były kłamstwa. Na przykład, że zrobiłam mu zastrzyk, który miał mu przywrócić siły. Od wczorajszego wieczoru moja torba stała wciąż na chińskiej konsoli i nikt jej nie ruszał. Zozo przemyła mu ranę alkoholem i obandażowała tors. Powiedziałam jej tylko, w której z szaf znajdzie potrzebne środki. Broń mojego męża, jak się później dowiedziałam, był to stary, jednostrzałowy simplex. Kula przebiła napastnika poniżej prawego ramienia, potem rozbiła szybę i utkwiała w ścianie sypialni. Powiedziano mi także, że gdyby przestrelili płuco, nie miałby szans przeżycia.

Drzwiami z klasy wymknęli się do ogrodu. Zostawili mnie związaną w kuchni. Zozo opuściła dom jako pierwsza. Przed wyjściem zbieg pochylił się nade mną i powiedział:

– Nie będę pani knebłował, ale musi im pani powiedzieć, że to zrobiłem. Jeżeli nie zacznie pani krzyczeć do powrotu Zozo, będę wiedział, że mi pani wybaczyła.

Pocałował mnie w usta i odszedł.

Zozo wróciła kwadrans później, ale mnie ten czas wydał się wiecznością. Uwolniła mnie, poszłam do przedpokoju po spódnice i białą bluzkę. Podczas gdy się ubierałam, powiedziała mi, że uciekinier wymknął się przez dziurę w ogrodzeniu, kiedy ona sprytnie odwróciła uwagę dwóch żołnierzy. W ostatniej chwili, kiedy w podnieceniu dyszeli jak zgonione psy, wymieniła pożegnalne spojrzenie ze znajdującym się o pięćdziesiąt kroków dalej kochankiem. Widziała, jak zataczając się znika wśród sośniny, by dotrzeć nad ocean.

Usiadłszy na krześle, do którego byłam przed chwilą przywiązana, zanim otworzyłam okno, żeby wezwać kapitana i przejść przez piekło, które mnie czekało, powiedziała mi jeszcze:

– Wbrew wszystkiemu i wszystkim nie przestanę wierzyć, że jest studentem. Jeżeli to mnie powiedział prawdę, jeszcze go zobaczę, prawda?

Jak Pani wie, żadna z nas nigdy go już nie ujrzała.

W czasie śledztwa nie szepnęłam słowa o pomocy, jakiej mu udzieliła. Na próżno błagała go, by się poddał, więc związał i zaknebłował nas obie. Strażnicy, których tak wdzięcznie oderwała od wypełniania obowiązków, nie byli skłonni, co łatwo pojąć, rozgłaszać tego faktu.

Poza tym przez te długie godziny, kiedy byłam z nim zamknięta, zdałam sobie sprawę, że podłość ludzka nie ma granic. Najpierw litowano się nade mną. Potem zaczęto drwić. Nikt nigdy nie chciał mi uwierzyć. Co gorsza, kiedy ludzie nie wiedzieli już, kto pierwszy opowiadał o czymś, moje własne zwierzenia uczyniono źródłem wszystkich ohydnych kalumnii. Pod pretekstem nakłaniania mnie do większej dyskrecji, zasypywano mnie listami, w których dokładnie opisywano momenty nie kończącej się orgii, gdy byłam gwałcona, bita, zmuszana do perwersji, gdy ulegałam z własnej woli, istniejące i nie istniejące pomieszczenia mego domu, gdzie w najbardziej nieprawdopodobnych pozycjach zaspokajałam wygłodzone we wdo-wieństwie zmysły.

A potem napływać zaczęły inne listy, od rodziców moich uczniów, którzy z ogromnym żalem, zmuszeni wojenną sytuacją, itd... Na darmo protestowałam, wyrażałam oburzenie, nie wróciła nawet moja asystentka.

Pozostało mi tylko sprzedać dom, meble i opuścić te strony.

Fru-Fru

Jestem gwiazdą filmową.

Jako aktorka jestem kiepska. Ale to nie spędza mi snu z oczu.

Robię, jak uczył mnie Jicks. Wrzeszczę na wszystkich. Tupię nogami, depczę własne okulary.

Cierpię na rodzaj daltonizmu. Moje sławetne spojrzenie z ekranu to zwykle szkła kontaktowe. Wystarczy, że je zdejmę do smętnych scen, a wszyscy toną we łzach. Potem dają mi Oscara. Dostałam go dwa razy z rzędu jak Louise Rainer. Raz za *Lips*, raz za *Legs*. Wystarczyło, żeby podeprzeć czymś książki na półce, ale nie żeby ustalić moją pozycję na firmamencie. Któregoś roku w Biltmore miałam wręczyć puchar Hepburn. Rąbnęłam jak długa wchodząc na scenę. I miałam za swoje. To cholerne zdjęcie wylądowało na okładkach wszystkich pism. Podczas tournée dla GI, aż po Koreę natykałam się na nie na drzwiach wszystkich sraczy. Gdyby jakaś bomba rozwalila cały Hollywood, zobaczyłaby Pani, że to zdjęcie znalazłoby się na afiszu filmu poświęconego pamięci fabryki snów. Mimo to zawracam głowę komu się tylko da. Nie żeby mnie to bawiło. Robię, jak uczył mnie Jicks.

W czasach, o których mowa, nie byłam jeszcze gwiazdą. Nakręciłam we Francji cztery czy pięć podrzędnych biało-czarnych krótkometrażówek. Raz znajomi zaciągnęli mnie na którąś. Pod koniec pierwszej scenki całe towarzystwo z operatorem na czele chrapało. Ja też. Nie rozumiałam nic już w czasie zdjęć do tego knota, a po projekcji wcale nie wyszłam mądrzejsza. Innych nie chciałam oglądać.

Trzeba przyznać, że ludzie wychodzą z siebie, żeby wszystko skomplikować. Weźmy na przykład ten upór, z jakim obstają przy kręceniu scen

w pomieszanej kolejności. Kiedy jest to historia trzech pokoleń, nigdy nie ma pewności, czy całuje się właśnie narzeczonego, czy może wnuka, a połapać się można tylko dzięki perukom, jakie pakują człowiekowi na głowę. Ale i to nie zawsze. Odkąd zaczęłam tę pracę, nie godziłam się, by mnie postarzano. Już widzę się w trumnie. Rzucam wtedy w lustro wszystkim, co mi wpada w ręce.

Krótko mówiąc, będzie mi trudno opowiedzieć Pani o tym gnocie, o który idzie. Nazywało się to Toulouse-Coś-Tam, nie pamiętam, jakaś nazwa dworca. Ja, jeżeli nie pomyłono filmów, dając mi przy wyjściu streszczenie, jestem tam tancerką, która wywija gołymi nogami w paryskiej knajpie w starym stylu. Moim partnerem jest karzeł w meloniku, malarz. Oczywiście zabiera mnie do siebie, żeby sportretować mnie na golasa. Do tego przygotowali jakiś zastrany tekst, w którym zwierzam się facetowi ze swej przeszłości, z tego, że kiedy miałam osiemnaście lat, gach zostawił mnie z dzieckiem; poza tym do zbliżenia zdjęli mi szkła kontaktowe, a facet kapnął się, że to draństwo kazać mi szczekać zębami z zimna tylko po to, żeby namalować jakiś kiczowaty portrecik. A ponieważ gość jest stanowczo za mały, żeby mnie przelecieć, chyba że reżyser postanowiłby kręcić komedię, rezygnuje nawet z małżeństwa i oddaje mi w prezencie rodzinną fortunę, żebym mogła odkupić knajpę. Skrzyпки grają, że aż duszę rwie. Zostaję królową Paryża i inne takie brednie, ale pociągu wciąż nie widać. A może filmowała go druga ekipa. Najgorsze, że ze mnie żadna tancerka. Nie ma co mówić o malarskich zdolnościach mojego partnera, ale ten przynajmniej dostał dublera. Opowiadam to, żeby Pani pokazać, jakie to musiało być gówno.

Ale to właśnie w tym filmie, przynajmniej w pierwszych scenach, zauważyły mnie fagasy Jicksa. Zawieźli mnie za Atlantyck. On sam nigdy nie postawił nogi na planie, nie przeczytał scenariusza ani nie oglądał swoich filmów. Jason Ivanhoe Christopher Kelly Santacallas – to jego prawdziwe nazwisko. To wielki producent, bardzo cwany, bogaty, ale odrażający człowiek. Nie żeby przeszkadzał mi spokojnie spać, nawet mnie nie tknął. Powiadał, że zrobię pieniądze, to wszystko. Ale jaki był upierdliwy! Wszystko musiał sam wybrać. A w moim kontrakcie na siedemdziesięciu siedmiu stronach wyliczał to, czego nie wolno mi robić bez jego zgody, od ślubu po markę wykałaczek. Gdyby naszła mnie chęć, żeby mieć trochę frajdy we własnym łóżku, powinnam poprosić go o pozwolenie. Widzi Pani, co to był za typek. Trawiłam życie na obmyślaniu forteli, żeby wymknąć się bandzie szpiclów, których na mnie nasłał. Myślałam wyłącznie o

tym. Przez całe popołudnia przeskakiwałam z taksówki do taksówki dla chwili namiętności w coraz nędźniejszych zakamarkach. Przymierzalnia dla mężczyzn, wnętrze jakiegoś grata na cmentarzysku samochodów, toaleta na stacji obsługi, winda w budynku fundacji na rzecz moralności publicznej – wszędzie próbowałam. Motele nie wchodziły w grę. Jedna jedyna taka impreza została nam przerwana w najlepszym momencie przez facetów, którzy wyważyli drzwi. Ze strachu dostałam skurczu, a zresztą może winien był facet, dość że nie mogliśmy się rozdzielić przez dobrą godzinę. Myślałam, że oszaleję.

No cóż, taki już był Jicks. Ale to właśnie dzięki niemu nakręciłam *Nec-ka*, kolorową komedię muzyczną, która była najbardziej kasowym filmem roku. Właśnie wtedy zdobyłam ustaloną pozycję. Jako piosenkarka jestem miernotą, za to scenarzysta był geniuszem. Na początku całej historii jestem dawną dobrą piosenkarką. Łajdak, który rzucił mnie i dziecko, przy jakiejś awanturze za mocno ścisnął mnie za szyję i teraz, kiedy otwieram usta, słuchacze muszą się wycierać, jeśli nie mają pod ręką parasoli. Potem nie chciałam już innych, ale facet wziął udział w tym strajku, który o mało nie zniszczył Hollywoodu, i Jicks skreślił go z listy. Krótko mówiąc, biedna dziewczyna potrafi tylko jedno – wyjść na prowincjonalną scenę i zaśpiewać: *Nie warto próbować, to możliwe*. Żeby wykarmić dzieciaka, łapie rólki we wszystkich kiczowatych musicalach kręconych przez różne miernoty po całych Stanach. Wyjeżdżałam się wtedy pociągiem. Przez cały czas włóczę się jak opętana z Wybrzeża Zachodniego na Wschodnie, z brzdącem, który nie przestaje domagać się ciastka z górą bitej śmietany na wierzchu, aż wreszcie udaje mi się podwędzić coś takiego w wagonie restauracyjnym.

Na szczęście młody szeryf, który mnie przesłuchuje w zabitej deskami dziurze w Alabamie, nosi me zdjęcie w portfelu i rozpoznaje wspaniałą piosenkarkę, której płynący z gramofonu głos oczarował go jako dorastającego chłopaka. I to właśnie ten najwspanialszy pomysł, powielany w stu pięćdziesięciu plagiatach *Necka*: nadal otwieram usta, stojąc na scenie, ale głos płynie z tego diabelstwa, z gramofonu schowanego za kurtyną. Przy tej scenie nawet ja biłam brawo na premierze w Chinéese. Potem odbywam raz jeszcze wędrowkę po wszystkich nędźnych kabaretach, z których wyrzucono mnie jak stary pantofel, tyle że tym razem w wagonie restauracyjnym mój brzdąc rozkwasa cały placek z kremem na gębie kelnera, który oddał mnie w ręce policji. Zostaję królową Nowego Jorku, i tak dalej, a całość kończy się ślubem w asyście dwóch tysięcy statystów i pewnie tyłuż

strażaków, bo chcę się zabawić i zaśpiewać własnym głosem. To zresztą po tym ostatnim gagu wrócono mi szybką nominację do Oscara. Nikt nie chciał uwierzyć, że tak fatalnie śpiewam.

Jicks nauczył mnie też zawodu. „Kiedy nie czujesz jakiejś sceny – powtarzał – powiedz scenarzyście, że jest do dupy, operatorowi, że świeci ci prosto w oczy i oślepia, charakteryzatorom, że muszą poprawić ci makijaż, wszystkim innym, że są durniami, mnie, że muszę wywalić więcej forsę na ubezpieczenia. Do reżysera wcale się nie odzywaj. Bocz się na niego, póki nie przyśle ci przeprosin z sześcioma tuzinami róż. Jeden tuzin daj gardebobianej, a resztę rzuć mu w gębę. Możesz go nawet walnąć obcasem w łeb, ugryźć, kopnąć w jaja, za to mu płacę. Najważniejsze, żeby stulił pysk. Musisz zawsze kręcić swój film – powtarzał – twoja praca nie polega na graniu w ich filmie, nigdy o tym nie zapominaj”.

W dodatku Jicks miał w sobie coś wspaniałego. Nigdy nie popychał mnie, bym się pokazywała w wielkim świecie, nie opłacał profesorów, którzy pracowaliby nad moją osobowością, nic z tych wszystkich idiotyzmów. Jeżeli chodzi o osobowość, to jestem nijaka. Najlepiej czuję się siedząc spokojnie we własnym kącie. I bez łóżka obchodzę się świetnie, chyba że ktoś mi tego broni, bo wtedy nie myślę już o niczym innym. I Jicks rozumiał mnie na swój sposób. Po *Necku* dał mi rolę w *Eyes*, jeszcze jednej rzeczy, z której nic nie rozumiałam, ale byłam zadowolona, bo grałam głuchoniemą i nie musiałam się uczyć tekstu. A potem przerwa. Obiecał mi, że będę miała dwa lata wakacji.

W dniu zakończenia pracy pomiędzy ujęciami dawałam upominki pożegnalne ekipie. Kiedy płacząc całowałam mojego dzieciaka, na strychu, bo jego pieprzony tatuś zostawił mnie, żeby ożenić się z córką plantatora bawełny, wypiliśmy już sporo szampana i nie mogłam opanować śmiechu. Wszyscy myśleli, że to będzie widać, nawet po zdjęciu szkieł kontaktowych. Ale skąd! Śmiech czy łzy, to jedno. „To nie twoja buźka mówi im, czy mają płakać, czy się śmiać – powiedział Jicks – jak w przeciwnym razie radziłby sobie Buster Keaton? A Rin-Tin-Tin, cholera”. Nie widział go nawet, ale słyszał, że zbija większą forsę niż Crawford, i to mu wystarczało.

Mimo to dotrzymał słowa. Ledwie nakręciliśmy ostatnią scenę, nawet nie dając mi zmywać makijażu, zawieźli mnie pędem na lotnisko i zapakowali do samolotu do Miami. Noc spędziłam już na jachcie Jicksa, „Pandora”, a kiedy się obudziłam, byliśmy na pełnych wodach Atlantyku.

Proszę sobie tylko wyobrazić tę wielką białą łódź z silnikami o nie wiem

jakiej mocy, płataninie korytarzy pod podkładem, kajuty, wanny, mosiężne lampy. Jicks chciał płynąć w rejs dookoła świata. Właściwie tylko to bawiło i pociągało go w życiu – podróż dookoła świata. W Europie była wojna, a płynęliśmy pod banderą szwajcarską. Kiedy znacznie później opowiadałam o tym, dziennikarze zachwycali się moim kpiarskim poczuciem humoru. Żaden z tych ówków nie chciał uwierzyć, że Szwajcaria ma swoją flotę.

Żałoga „Pandory” składała się z dwunastu mężczyzn, dwóch pańienek do obsługi w ledwie zakrywających pupę T-shirtach, francuskiego kucharza i Chińczyka, który troszczył się o garderobę. Jicks miał przy sobie osobistą psychoanalityczkę, która pałętała się wszędzie, podobna do wielkiego, zwariowanego posągu Wiktora Hugo, i kazała mówić do siebie Esmeralda. Do niej też się nie dobierał. Mówiła zresztą, że nigdy nie tknął jej żaden mężczyzna. Poza tym byłam jeszcze ja. Spędzałam czas na próżnowaniu. Grałam z Jicksem w gin-rummy. Wygrał pięćdziesiąt trzy dolary i dwadzieścia centów przez blisko dwa i pół roku, jakie spędziliśmy na morzu. Sama Pani widzi co ze mnie za gracz. W warcaby idzie mi podobnie. Szachów nigdy nie próbowałam nawet zrozumieć. Grał z Esmeraldą. Dla niej największą frajdą po trzygodzinnych pogaduszkach z Jicksem w jego kajucie było opłynąć jacht dookoła. Nawet reki jej nie ruszały.

W sumie byłam zadowolona, że jestem z dala od studio filmowego i tego całego zawracania głowy z powodu włosów nad uchem, albo mojego francuskiego akcentu, albo jakiegoś słowa, które trzeba zamienić na inne. A z języków jestem kiepska i niech Pani sama powie, jakim cudem mam widzieć różnicę pomiędzy jednym a drugim słowem, kiedy czytam cholerny tekst roli z tablicy, i to z a p i s a n y f o n e t y c z n i e ! ?

Tureckie kazanie! Czasami pięćdziesiąt wersów zbitego tekstu. W dodatku bez okularów i szkieł kontaktowych wszystkie kolory widzę na odwrót. Żeby tablica była czarna, musi być biała, żeby pisać na niej na białym, trzeba wziąć czarny tusz, wszystkim się to płacze i mają to gdzieś. A mnie każą powtarzać ujęcie. I znowu, i znowu. I kolejna warstwa malowideł na gębę. I rozbierają mnie, i ubierają znowu, bo się pocę. I przeczesują, bo moje cholerne platynowe włosy same się kręcą. I rypią mi więcej światła prosto w twarz, bo inaczej widać, że mam podkrążone oczy. I dodają mi otuchy, ale patrzą z wściekłością i mówią do mnie „kochanie”, jakby chcieli mnie pożreć żywcem. A na koniec mam tego dość i robię, jak mówił Jicks – wrzeszczę po francusku, tupię nogami, chcę wrócić do domu, na Montrouge i codziennie jechać metrem na Nation, i znowu być manikiurzystką. Zresztą na jachcie robiłam manikiur Jicksowi, Esmeraldzie i tym

dwom paniom. Jicks powtarzał zawsze: „Jesteś do tego stworzona! Jaka szkoda, że kino stworzone jest dla ciebie”. I dostrzegałam w jednym albo drugim jego oku blask, który był niemal litością.

Po opłynięciu Irlandii i zawinięciu do Cork, gdzie miał spotkać się z kimś w sprawie samolotu bez pilota, chcieliśmy przedostać się przez kanał La Manche do Deauville, ale nie udało nam się, bo po niebie latało pełno komarów ze swastykami. Atakowały wszystko, co płynęło po morzu, i odpędziły nas. Popłynęliśmy wzdłuż wybrzeży Bretanii, martwiąc się tylko o to, gdzie zdobyć paliwo, a w La Baule zaokrętowaliśmy austriackiego reżysera i francuskiego aktora, któremu Jicks przepowiadał duże pieniądze. Aktor był moim partnerem w jednym z pierwszych filmików, jakie nakręciłam. Była z nimi ich żona – jedna dla obu – którą nazywali Orzeł albo Reszka. Była ogromna i niezwykła z obu stron. Ilekroć uchylała usta, mówiła głupstwa. Przy stole przez dobry tydzień trwała nam głową jakąś bzdurną historyjką z okolic Morbihan, gdzie, jeśli dobrze zrozumiałam, łowią obrane krewetki. W końcu nawet silniki naszej łajby nie zniosły jej terkotania i wysiadły.

Tak to się zaczęło. Nie znam się na mechanice, ale marynarze z „Pandory” musieli być takimi samymi specami jak ja. Przez dwa i pół miesiąca staliśmy na kotwicy, a to tylko po to, żeby wymontować uszkodzone części i czekać na nowe, których nie nadsyłano. A kiedy wreszcie dotarły, okazało się, że nie pasują. Jicks wyrzucił głównego mechanika i poprosił telegraficznie o przysłanie hydrołotem mądrzejszego. Niemiecki okręt podwodny zestrzelił maszynę. Facetów uratowano, a ambasador Roosevelta podniósł krzyk, minister Hitlera przeproszał, w gazetach pojawiły się tytuły: *Trzej mężczyźni ryzykowali życie, aby wyciągnąć z piekła Fru-Fru*. A potem następny hydrołot opadł tuż koło nas niczym kwiat. Nowy mechanik czekał na nadesłanie części. Niestety okazało się, że produkująca je fabryka została zbombardowana. Na szczęście nowy główny mechanik, a może zresztą Chińczyk od prania, zorientowali się, że nie są nam wcale potrzebne. Krótko mówiąc, tkwiliśmy tu całe lato, huściliśmy się jak korek na oceanie, nie mając prawa zacumować u brzegu, przy pewnym półwyspie pomiędzy Oléronem a Royan, który nazywają Cyplem Amerykańskim. Jicks mówił, że jeżeli zdoła nakłonić jakiegoś pisarza, by do nas dołączył, mielibyśmy wszystko, czego trzeba do nakręcenia niedrogiego filmu, na którym można by zbić fortunę, ale oczywiście to był żart, żaden z tych tchórzliwych pisarzy by się nie zgodził. Nawet tak zaopatrzona piwnica, jaką mieliśmy na „Pandorze”, i nasze superseksowne hostessy, i Orzeł-czy-Reszka na dokładkę nie zwabiłyby ich, a Jicks dostałby telegram takiej treści: „Przykro

mi, Jicks. Nie czuję tego. Ale robię właśnie adaptację *Trzech muszkieterów*, a Selznick nie jest najodpowiedniejszym producentem, więc jeśli jesteś zainteresowany, itp.” I stawiam sto do jednego, że zatrzymałby zaliczkę przesłaną czekiem. Oni wszyscy tacy już są.

Trzeba przyznać, że widziana z daleka, nasza sytuacja nie była zbyt wesoła. Radio pokładowe pracowało przez okrągłe dwadzieścia cztery godziny. W oczach całego świata od Sunset do Wilshire byliśmy zgubieni. Konałiśmy z głodu pośród zawieruchy wojennej. W rzeczywistości nic się wokół nas nie działo. Schroniliśmy się w uroczej zatoczce zwanej Koroną Morza, a co drugi dzień któryś z marynarzy płynął szalupą po zakupy. Z dała patrzyliśmy na urlopowiczów wylegujących się na skałach. Początkowo machali do nas, powiewały chusteczki. Potem przestali zwracać na nas uwagę. Przez radio mówiono, że moi rodacy i ich sprzymierzeńcy dostali w kuchnię, ale jakoś nie było tego widać, nawet przez dobrą lornetkę. Zresztą nikt na pokładzie nie słuchał już radia, chyba tylko Jicks, który używał go do prowadzenia interesów.

Kiedy *Eyes*, film, który nakręciłam przed wyjazdem, został zmontowany, nadałam przesłanie do wielkiej, amerykańskiej rodziny filmowej, a wieczorem w dniu premiery wyemitowano je w całym kraju razem z hymnem narodowym i *Marsylianką*, w pełnej gali. Podpisując ze mną kontrakt, Jicks zabronił mi mówić o sobie inaczej niż w trzeciej osobie. Musiałam zawsze mówić do ludzi: „Fru-Fru truje wam dupę” albo „Fru-Fru nie wie, gdzie wetknęła prawy pantofel”. Nawet do najlepszej przyjaciółki, Rachel Dee, która sprzedawała koszule Arrow w Westwood. Nawet do niego. Tym razem pozwolił mi wygłosić podniosłe przemówienie w ludzkim języku. Przerażające. Przy wtórze wszystkich trzasków na obu końcach planety mój głos był „niczym promyk nadziei pośród nocy panującej nad światem, który kona” – jak napisali we wszystkich brukowcach. Przeczytałam im to, co napisali mi fonetycznie faceci Jicksa od reklamy, a była to dla mnie katorga i w każdym słowie jąkałam się na jakiejś sylabie. Sama o mało się nie popłakałam, co dopiero słuchacze. Powiedziałam im, że *Eyes* to film, który jest mi najdroższy, bo rola niemowy w tragicznych godzinach, jakie przeżywają teraz wolne narody, nabiera znaczenia przerastającego mą skromną osobę i tak dalej. Powiedziałam, jak bardzo nad tym boleję, że nie mogę być z nimi tego wieczoru, a może jeszcze bardzo długo, proszę jednak, by zachowali w pamięci Francuzkę, którą przyjęli jako symbol niezłomnej przyjaźni łączącej mą ojczyznę z ich krajem od czasów La Fayette'a. Wydaje mi się, że mówiłam także o Charles'u Boyer, Edwardzie

F. Robinsonie i Annabelli. Cholera, nie podając z wiadomych względów nazwisk, mówiłam również o pewnym reżyserze i aktorze, obu bardzo utalentowanych i uciekających przed nazistami, a to z pomocą Jicksa. Jeszcze teraz zastanawiam się, dlaczego nie kazali mi nic mówić o Orle-czy-Reszce i jej obranych krewetkach.

Nawiasem mówiąc *Eyes*, zanim jeszcze ruszyliśmy w drogę powrotną, zarabiał więcej forsy niż *Neck*, chociaż tym razem nie śpiewałam. Co rano Jicks otrzymywał kolumny cyfr, które podliczał przy śniadaniu. Potem patrzył na mnie dziwnie i mówił: „Gdybym miał na pokładzie Bena Hechta albo przynajmniej kogoś z tych chłystków po Harvardzie, który spieprzył bestseller i tkwił całymi dniami w zaplутym biurze, rzucilibyśmy wszystkich na twarzę”.

Ja tam byłam zadowolona, że ich tu nie było. To były najpiękniejsze wakacje w moim życiu. Ponieważ nie mogliśmy wyjść na ląd, nie musiałam nawet zachwycać się jakimiś cholernymi ruinami kościoła ani stroić, chyba że do kolacji, ani gadać o chorobach i polityce, ani obcałowywać smarkaczy na rękach mamuś czy cuchnących sikami starców, ani wysłuchiwać jakichś bredni albo mówić w trzeciej osobie, i w ogóle niczego nie musiałam. Musiałam tylko wylegiwać się na słońcu z tyłu łajby, za parawanem, żeby nie krępować majtków, którzy nigdy jeszcze nie widzieli gołej kobiety, i może mi Pani wierzyć, miałam wszystko, czego mi było trzeba – wodę mineralną, czekoladki, oliwki kalifornijskie, karty do pasjansa, camele, cztery pary szkieł kontaktowych, dobranych tak, żebym widziała na pół metra albo w dal, książkę o roślinach doniczkowych, kubeł z lodem i ostatni list od matki, zaadresowany do Germaine Tison, skrzynka pocztowa 424 w Saint-Julien de l'Océan.

Nigdy nie przeżywałam okresu, który wspominałabym z większym żalem, może tylko dzieciństwo na Montrouge, kiedy wpychano mi do buzi cukierka za każdym razem, gdy ją otwierałam. Do czterech lat wszyscy jesteśmy gwiazdorami. Potem odcepiają się od człowieka. Znam sekret szczęścia jak własną kieszeń, nie trzeba być kangurem, żeby wskoczyć do takiej kieszeni. Pewnego dnia, kiedy już zużyję wszystkie części mego ciała do tych filmów, urodzę córkę. I żeby płakała, krzyczała, wściekała się, żeby nawet zachorowała na żółtaczkę, każę ją uczyć na manikiurzystkę. Nawet jeśli będę musiała co rano, na koniec całej tej pieprzonej kariery, z Oskarami pod pachą, chodzić z nią po klientkach. Niech mnie poćwiartują, jeżeli łzę.

Streszczając, leżałam sobie na tylnym pokładzie „Pandory” golusienka

jak mnie Pan Bóg stworzył, a moje platynowe niczym u nowej Harlow włosy rozsypały się po materacu, na którym drzemałam, spokojniutka, bezmyślna po popołudniu strawionym na opalaniu, kiedy się to zaczęło.

Nie pamiętam już dokładnie ani roku, ani miesiąca. Myślę, że było to w 1940 roku, na początku września. Jeżeli Pani powie, że w sierpniu, nie zaprzeczę. Zgodzę się i na 39 albo 41, bo na to gwizdzę, ale pomyślę, że się Pani myli.

W każdym razie panował wymarzony spokój. O tej godzinie krwista kula słońca wznosi się tuż nad horyzontem w zielonkawo-czerwono-żółtej poświacie. Wyrwana z letargu pluskiem wody gwałtownie otworzyłam oczy i usiadłam. Dokładnie za boją z napisem „Pandora” ujrzałam płynącego w moją stronę przez czerwone morze mężczyznę, całego w czerni. Chwyciłam okulary nr 3 i założyłam je, podrywając się na równe nogi.

Facet był u kresu sił. Widziałam to po wyciągniętych rękach, słyszałam w charkocie tonącego. Rzuciłam mu boję na linie, uczeptionej dwóch innych. Jeżeli nie rzuciłam mu pod nogi mostka kapitańskiego, to tylko dlatego, że nie miałam go pod ręką. Przez dobre dwie minuty szamotał się z linami, wdrapując się, wynurzał i opadał w topiel, a ja widziałam jego oszalałe oczy. Słyszałam, jak jęczy: „Babciu!... Babciu!” A może była to nic nie znacząca litania „Bardzo!...”

Krótko mówiąc, kiedy zdołał wnieść ciało nad burłę, przerzuciłam go na pokład jak worek mokrej bielizny. Ukłękłam przy nim. Zobaczyłam chudego jak tyczka dwudziestoosmio-, trzydziestolatka w różowej od krwi koszulce Lacoste'a. Przez chwilę krztusił się, kasłał i dyszał jak bokser, powalony na deski. A potem otworzył oczy i spojrzał na mnie błagalnym wzrokiem, szepcząc pomiędzy jednym a drugim dreszczem:

– Błagam, niech pani nikogo nie zawiadamia. Uciekłem z cytadeli. Jestem ranny...

Nie bardzo wiedziałam, co robić. Z wrażenia zapomniałam, że nie mam na sobie nic prócz okularów. Przerażony wyrazem paniki na mej twarzy, który mylnie sobie tłumaczył, powiedział:

– Przysięgam, że zostałem skazany za zbrodnię, której nie popełniłem.

Ociekał wodą, ale już nie krwawił. Pod koszulą miał byle jak założony bandaż. Powtarzał:

– Błagam panią.

Najwyraźniej tak bardzo potrzebował przyjaźni i pragnął, bym mu uwierzyła, że jego dłoń spoczęła na mym ramieniu i pieścizotliwym ruchem przesunęła się na piersi. Uderzyłam go lekko. Zapytałam:

– Zdoła pan wstać, jeśli się pan o mnie oprze?

Z wdzięcznością przytaknął zmruczeniem powiek. Podniosłam się, narzuciłam płaszcz kąpielowy i do dzieła! Zbliżała się noc. Mogłam przy najmniej ukryć go gdzieś do tego czasu.

Jakoś udało mi się sprowadzić go pod pokład, potem jeszcze niżej, do składów. Na końcu powalanego smarami korytarza, pomiędzy maszynownią a zbiornikami paliwa, było małe pomieszczenie, gdzie wepchnięto torby z nie wiem czym i rozmaite szpargały – puszki z farbą, starego konika z karuzeli, bezużyteczne już leżaki. Lampa dawała blade światło, sufit był jakby dla krasnoludków, ale nie widziałam żadnego innego miejsca, gdzie nigdy nikt nie zaglądał, chyba żeby psycholożka Jicksa postanowiła w ukryciu postradać cnotę z Chińczykiem i w dodatku nie znalazła stosowniejszej izdebki.

Ułożyłam biedaka na torbach i poszłam do kajuty po koc i coś do opatrzenia ran. Kiedy wróciłam, miał na sobie jedynie obrączkę na palcu lewej ręki. Mokre ubranie rozwiesił na rurze, a w kącie złożył dwa podarte materace. Leżał na nich jak dziecko w łonie matki. W składziku było piekielnie gorąco, on jednak drżał.

Zdjęłam stary, poszarpany bandaż. Z przodu miał ranę pod barkiem, na szczęście znacznie powyżej serca, z tyłu na tej samej wysokości bardziej rozległą. Ocean dobrze je już obmył, przetrąłam jednak oba miejsca alkoholem. Poddawał się moim zabiegom z zamkniętymi oczyma, bez narzekania. Nałożyłam dwa opatrunki z maścią, ładniutkie jak bliny ze śmietaną, i obandażowałam mu tors równo, ścisło, jak nauczyłam się w skautowskiej drużynie w Montrouge. Uwielbiam leczyć ludzi prawie tak, jak robić maniur. Jedną z dwóch hostess, Toledo, była wcześniej pielęgniarką. Wciąż wymienialiśmy doświadczenia. Uczyłam się od niej bardzo dużo, ale czasami umiałam ją zadziwić. Na przykład bańki. Gdyby dawali Oskary za stawianie baniek, miałabym ich całą półkę.

Kiedy skończyłam, a on leżał już w ciepłe, otulony kocem, zapytałam, jak mu na imię. Odpowiedział słabym głosem:

– Fryderyk. Może pani do mnie mówić Fred, jeżeli pani woli, ale to przypomina mi więzienie.

– Długo pan siedział?

– Sześć lat.

– Jak pan uciekł?

– Nie mogę powiedzieć. Rozumie pani, może mi się to jeszcze przydać, gdyby mnie znowu złapali.

I znów zamknął oczy.

– Niech pan odpoczywa. Nikt tu panu nie będzie przeszkadzał. Jest pan głodny?

Nie unosząc głowy dał znak, że nie.

– Jutro, kiedy się pan dobrze wyśpi, pomyślimy, co dalej robić.

Nie odpowiedział. Usnął.

Zajrzałam do niego w nocy, po kolacji. Wyglądał dobrze, ale mówił przez sen. Jeśli zdołałam zrozumieć jego bełkot, było tam coś o huśtawce, pomidorze i o dzwonie okrętowym. Powiedział wyraźnie: „Ale nie połkniesz tego dzwonu, piekielny nudziarzu?” I zacisnął pięści, jakby chciał kogoś uderzyć.

Nazajutrz majaczył na dobre.

Musiałam powiedzieć o wszystkim komuś na „Pandorze”, nie czułam się na siłach decydować o jego losie. Ponieważ w efekcie całej sprawy musiałam opłacać milczenie niemal wszystkich, mogę Pani od razu powiedzieć jedno: i może Pani powoływać się na moje zeznania, gdzie i kiedy Pani chce, może Pani napisać książkę, zrobić film z jakąś utlenioną aktoreczką w mojej roli, obchodzi mnie to tyle samo co los pierwszej pieluchy, jaką zasiusiałam, ale nigdy nie powiem Pani, kto na tamtej łajbie pomógł mi ukryć Fryderyka. Niektórzy pracują nadal u Jicksa i gdyby nawet nie zrobił im nic gorszego, to nie chcę, żeby skreślił ich z listy. Powiem tylko, że może Pani wykluczyć Esmeraldę, Orła-czy-Reszkę i obie hostessy – Bessie i Toledo, to znaczy całą pleć piękną uczestniczącą w tym pieprzonym rejsie. Jestem tylko głupiutką gwiazdą filmową, ale mam dość oleju w głowie, żeby nigdy nie ufać kobiecie. Nawet moja najlepsza przyjaciółka, Rachel Dee, która sprzedawała w Westwood koszule Arrow, wystawiła mnie. I to paskudnie. Bez przyczyny, tak sobie. Chciała być interesująca.

A więc ktoś zszedł ze mną po południu obejrzeć rannego.

*Lavergue, francuski kucharz. Sam o tym mówił, a poza tym minęło wiele czasu, odkąd przestał pracować dla wspomnianego producenta.
(Notatka Marie-Martine Lepage, obrońcy oskarżonego)*

Postanowiliśmy odczekać jeszcze jedną dobę. Zmieniałam opatrunki. Przyniosłam dwa dodatkowe koce. Fryderyk miał gorączkę. W chwilach oprzytomnienia mówił nam: „Trzeba natychmiast wypływać. Musimy się stąd oddalić. W przeciwnym razie nigdy nie dotrę do celu. Dzwon będzie dalej dzwonił i dzwonił, i nie starczy mi czasu”.

Następnego dnia poczuł się lepiej. Przyniosłam mu coś do jedzenia. Posilił się trochę, pił dużo wody. Pocił się straszliwie, ale nadal drżał z zimna. Ubrałam go. Patrzył na mnie niewidzącymi oczyma. Brał mnie za kobietę, którą znał, czułam to, ale nie wymienił żadnego imienia. Mówił: moja śliczna, kotku, staruszko, maleńka dziecinko, króliczku, słoneczko. Nie mam pojęcia, skąd brała się pewność, że przez cały czas myśli o tej samej osobie. Nie ulega wątpliwości, że był bardzo chory.

Potem upłynęły jeszcze dwa dni, nim zaczął wracać do siebie. Opowiem Pani, jakim cudem.

Przede wszystkim o zachodzie słońca, jak już nawykłam, zesłam rzucić okiem na jego ranę, sprawdzić, czy ma gorączkę i jak się czuje..

Stał przed otwartymi drzwiami swej izdebki, w korytarzu. Powiedział:

– Musiałem się przejść. W tej mysiej dziurze nie mogę nawet porządnie stanąć!

Miał 37,2°. Rana jak marzenie. Za to oplakany stan ducha – zwłaszcza gdy powiedziałam mu, że w nocy odpływamy, i skoro czuje się już świetnie, jego obecność na jachcie nie będzie mile widziana, Może nawet zabrać jedną z łodzi ratunkowych, żeby dopłynąć do, brzegu, mamy ich tyle, że nikt się nie spostrzeże. Byłam łaskawa, zupełnie jak w *Eyes*, kiedy gliniarze dają mi kartkę i długopis, a ja odmawiam zadenuncjowania łajdaka, który zrobił mi dziecko. Ale teraz, kiedy ktoś poza mną na pokładzie wiedział o jego obecności, chciałam, żeby odszedł.

– Dokąd mam iść? – zapytał. – Proszę, jeżeli wyruszacie tej nocy, niech pani przechowa mnie jeszcze troszkę. Wsiądę gdziekolwiek poza granicami Francji i nigdy już pani o mnie nie usłyszysz.

Pamiętam jak dziś – byliśmy w składziku, on leżał na tych obrzydliwych materacach, ja siedziałam na ziemi, tuż obok, ubrana w istic olimpijski kostium kąpielowy od Saksa, biały z niebiesko-czerwonym pasem. Na nosie miałam okulary. Wtedy właśnie zapytał niespodziewanie:

– Może pani na chwilę zdjąć okulary?

Zrobiłam to. Z góry wiedziałam, że dźwignie się na łokciu i będzie gapił się na mnie z miną faceta, który dokładnie pamięta, że przeleciał cię w jakiejś pieprzonej taksówce, w bożonarodzeniowy wieczór. Następne pytanie przez całe życie słyszałam nieco częściej niż „dzień dobry, jak się pani miewa”:

– Czy ja pani nie widziałem w jakimś filmie?

Odpowiedziałam jak zwykle:

– Poważnie? A w jakim?

Czarno-biała scena w skromnym, ale czystym pokoiku hotelowym.

Młoda kobieta o platynowych włosach opiera się plecami o drzwi i zamyka je. Oczy ma pełne łez. W taniutkiej sukience, mokrej od deszczu, wygląda bardzo pociągająco.

Młody kierowca zajęty pakowaniem walizki odwraca się, zarazem zaskoczony i zachwycony jej pojawieniem się. Obcisła koszulka, sfatygowana, ale czysta, podkreśla walory jego masywnych ramion.

ONA (z patosem)

Więc dobrze, pozna pan prawdę!... Mąż porzucił mnie i synka. Musiałam oddać go do internatu, by pracować. Ale on nie może, nie może pozostać w zamknięciu! Ucieka! Ucieka do babki.

Zbliżenie młodego kierowcy, bardzo wzruszonego. Wyciąga rękę.

Kamera wędruje za kobietą, która podchodzi do kierowcy, mocno poruszona.

ONA

Och, to nie jest złe dziecko, nie! Ale wciąż popełnia szaleństwa. Rzucił przez okno płonące papiery. Chodzi po dachach willi, nie przejmuje się, że połamie dachówki.

Wyrozumiały uśmiech młodzieńca, którego dłonie spoczęły na jej ramionach. Sadza ją na brzegu łóżka. Odgadujemy, że pragnąłby ją pocałować, lecz nie śmie.

ONA (zrezygnowana)

Powiedziano mi, że trzeba by oddać go do jezuitów. Jest inteligentny, poradziłby sobie... Ale nie mam pieniędzy!

Płacze.

Po twarzy młodzieńca widać, że podjął decyzję. Przechadza się po pokoju, trzymając ręce w kieszeniach kombinezonu, spranego, ale czystego.

ON

Posłuchaj, ukochana. Jestem tylko ubogim kierowcą ciężarówki. Wychowałem się w sierocińcu. Ale jedno mogę ci powiedzieć – nigdy nie bałem się pracy!

Przykłęka przed nią. Profile obojga w półcieniu. W dali słyhać melodię ich pierwszego walca.

ON

Kochana, wyjdź za mnie! Twój syn będzie moim. Pójdzie do jezuitów. Będę jeździł ciężarówką po wszystkich drogach, przy każdej pogodzie...

Zapłakana, oszalała ze szczęścia, rzuca mu się w ramiona.

Podczas gdy dźwięki muzyki stają się coraz głośniejsze, kamera oddala się powoli, by przesunąć się na stojącego na nocnym stoliku słonia-pozytywkę, którego kupili dziecku, kiedy się poznali.

KONIEC

Chwila szczytowego wzruszenia.

Powiedziałam zbiegowi, że rzeczywiście to byłam ja w jednym z pierwszych, wiekopomnych dzieł. Nie pamiętałam tytułu, ale występowałam w nim razem z Mateuszem, aktorem, który był na pokładzie „Pandory”. Ponieważ rzecz miała dzieć się w Marsylii, kręciliśmy w Nicei, podczas karnawału. Dzieciak, który miał grać mojego syna, zgubił się gdzieś w tłumie i już go nie znaleźliśmy. Dlatego nigdy go nie pokazują. Wezwany na ratunek scenarzysta ulukrował całość i wepchnął smarkacza do internatu. Chciałabym wiedzieć, co by zrobili ze mną, gdybym się im zgubiła.

Fryderyk osunął się na materac z głośnym westchnieniem. Splótł ręce na karku i powiedział:

– Wyświetlali nam ten film w cytadeli. Muszę pani wyznać, że płakałem.

Odwrócił oczy, jakby nie wiedząc, gdzie je podziać, ja jednak, zdawałam sobie doskonale sprawę, że usiłuje mnie rozczulić, żebym przechowała go w ukryciu do następnego portu. Jicks postanowił, że nie odpłyniemy przed północą. Czemu tak zdecydował, nie wiem do dziś. W każdym razie miałam całą kolację na przemyślenie sprawy.

Podniosłam się z ziemi tak sprytnie, że walnęłam głową w ten piekielny sufit. Za każdym razem, kiedy schodziłam do komórki, miałam gwiazdy w oczach, nigdy nie obyło się bez guza. Zakląłam i powiedziałam Fryderykowi, że muszę iść się przebrać, a potem decyduję, co z nim zrobić.

Daj komuś mały palec, a zobaczysz, czym to się skończy.

Ledwie śmiem wspomnieć tę kolację przed opuszczeniem Francji. Nigdy niczego się nie wstydziłam, ale teraz, kiedy mam to opisać, brak mi odwagi, wolałabym przejść do następnej sceny. Musimy się dobrze zrozumieć: nie przeszkadza mi to, że może Pani opublikować tę historię w „Confidentialu”, dziś poprawiłoby to tylko moje notowania, zwłaszcza jeśli „Time” zająłby się sprawą. To fakt, że mam o tym mówić. W gruncie rzeczy łatwiej byłoby mi to zagrać, tyle że potrzeba by piekielnie dobrej aktorki, żeby całe draństwo natury ludzkiej, które pokaże z wielką śmiałością, stało się zrozumiałe w swej złożoności i dla biednej starowiny, i dla jej prawnuczki, przypadkiem oglądających ten film, bo naprzeciwko kolejka na *Lassie, wróć* była zbyt długa.

Ale pal sześć! Zatkam uszy, żeby nie słuchać siebie samej.

Po pierwsze, dekoracja. Jadalnia „Pandory” – mahoń i mosiądz. Duży owalny stół nakryty białym obrusem i zastawiony angielską porcelaną oświetlają kandelabry. Jest gorąco. Otwarto okienka i promienie świec miękko falują w wibrującym powietrzu.

Następnie postaci: panowie w smokingach, panie w sukniach wieczorowych. Jicks siedzi u szczytu stołu, siwy, gderliwy, z laską w zasięgu ręki i pięćdziesięcioma flakonikami leków na wszelkie choroby przed sobą. Ja zajmuję miejsce na wprost po drugiej stronie stołu, ubrana w czarną zwiewną suknię, ze szklami kontaktowymi, w pierścionku z nefrytem – pamiątce debiutu – na nienagannie wypielęgnowanej ręce. Rzęsy mam starannie umalowane, usta kuszące, a sławetne platynowe włosy połyskują w blasku świec.

Po lewicy i prawicy Jicksa: Esmeralda w białej sukni, obnażającej wspaniałe, złociste ramiona i szyję, z włosami misternie ułożonymi ponad czołem i oczyma prawie tak zielonymi jak moje, spoglądająca z wyniosłością tej, co zjadła wszystkie rozumy, a teraz bierze po dwieście dolców za seans; Orzeł-czy-Reszka – sto osiemdziesiąt sześć centymetrów wzrostu i siedemdziesiąt kilo różowego ciała w portfelowej sukni barwy krwistoczerwonej, blondynka, błękitne oczęta, słodkie usta, cycki pełne jak planigloby, najbardziej przerażające cyce, jakie w życiu widziałam, falujące, przelewające się, nieposkromione, przyprawiające o obsesję, słowem – za wiele szczęścia dla jednego faceta.

Dlatego po obu bokach mam dwóch jej mężów: reżysera Franza Stocammera, z jednym włoskiem zaczesanym do tyłu, wysportowanego pięćdziesięciolatka z galijskim wąsem, o chciwej gębie, i aktora Mathieu, dwudziestopięciolatka, o nosie i zębach świeżo przerobionych, uśmiechu

Granta, mięśniach Gable'a, aksamitnym spojrzeniu Rafta, głosie Boyera. Pomimo wszystko jest to uroczy chłopak.

Byłoby nieuczciwie pominąć w tej scenie dwie hostessy, które obsługują nas w bluzeczkach i czapeczkach z napisem „Pandora”, bose, gołonogie. Brunetka Bessie i blondynka Toledo. Wspominałam już, że zaprzyjaźniłam się z Toledo, bo była pielęgniarką. Bessie też wydawała mi się miłą, ale nie lubiła mnie. Trudno byłoby mi powiedzieć dlaczego. Albo niechcący już to wyjaśniłam.

Siedzimy więc wszyscy, jedząc Bóg wie co, w ciszy i popijając szampana. Pijam tylko wodę sodową albo szampana. To Jicks tak postanowił. W ukryciu, kiedy mogę, wychylam dużą szklankę lodowatej wody. To podobno szkodzi na żołądek, wątrobę i naczynia krwionośne, ale cieszę się żelaznym zdrowiem, woda nigdy mi nie szkodziła. Nie rozmawiamy, bo spędziliśmy już razem całe lato, tkwiąc w tym samym miejscu i nie mamy sobie nic do powiedzenia. Może Orzeł-czy-Reszka, krojąc potrójną porcję krwistej pieczeni z jagnięcia, rzuci jakąś kretyńską uwagę na pierwszy lepszy temat, ale dawno już nikt jej nie słucha.

A potem ja mówię nagle:

– Wybacz Fru-Fru. Mathieu, jaki był tytuł tego filmu, w którym pan z nią grał?

Przetyka marszcząc czoło. Odpowiada:

– *Droga krzyżowa matki?*... Nie, chwileczkę, po zdjęciach zmieniono tytuł. To było...

– *Piękna i szofer* – rzuca z przekonaniem Stockammer, nie podnosząc oczu znad talerza.

– Czy to ja robiłem? – pyta Jicks z całą swą wyniosłością. – Bo jeśli tak, to nie mógł mieć takiego tytułu.

Właśnie w momencie gdy Jicks się odezwał, podskoczyłam na krześle i wytrzeszczyłam oczy. Coś chwyciło mnie pod stołem za nogę w kostce. Słyszę, jak Mathieu woła:

– Już wiem!... *Porzucona kobieta!*

Teraz jestem już pewna, że czyjaś ręka powoli wędruje w górę po mej nodze, jedwabna pończocha łaskocze. Celowo upuszczam serwetkę i pochylam się, żeby ją podnieść. Słyszę, jak Stockammer mówi:

– Ależ nie!... *Porzucona matka...*

Unoszę rąbek obrusa i kogóż widzę? Mój pasażer na gapę klęczy pod stołem, tuż przy otwartej klapie pokładu. Jego dłoń spoczywa na moim kolanie, już pod suknią. Uwięziony w za ciasnej dla jego dużego ciała przestrzeni, przekrzywił głowę, skręca szyję. Uśmiecha się po hultajsku, żalony i dumny z siebie.

Prostuję się, oszołomiona. Jicks rzuca ze znużeniem:

– Matka czy kobieta, na jedno wychodzi! Jeżeli film ma taki tytuł, nie pokrywa nawet kosztów kopii!

Czuję, jak dłoń zbiega wspina się jeszcze wyżej. Otwieram usta, żeby coś powiedzieć. Chcę odejść, żeby mu umknąć. Ale nie robię nic. Po pierwsze, czuję już dotyk nie jednej, ale dwóch rąk. Delikatnie, bardzo delikatnie, odsuwają falbanki, które uczyniły mnie sławną. Pieszczą me uda ponad pończochami. To nie do zniesienia. Jestem pewna, że ten szaleniec da się złapać. Jicks każe go rzucić do morza. A do mnie nie odezwie się przez najbliższych dwadzieścia lat. A Mathieu mówi:

– Zastanawiam się, czy to nie było *Dla dziecka*? Albo coś w tym rodzaju...

Godność, zachować godność... Nie jestem w stanie wydusić słowa, ale przywdziewam światowy uśmiech, jestem pieprzoną snobką na łajbie za dwa miliony dolarów! Czuję, że moja suknia i spód są już podarte do pasa. Ręce zabierają się do majtek. Chcą je ściągnąć. Słyszę własne błaganie:

– Och, nie!...

– Fru-Fru ma rację – mówi Jicks. – Niech pan nigdy nie pakuje smarkacza na afisz albo do tytułu. Chyba że to ta pyza, Shirley Temple, wtedy może się udać. Ale też trzeba dorzucić pudelka albo stepującego tancerza, żeby ludzie przyszli na film.

Ruszam się możliwie najmniej, ale nie mogę usiedzieć spokojnie. Bez względu na to, czy chcę przeskodzić temu łajdakowi w ściągnięciu mi koronkowych majtek, czy pomóc w ich pozbyciu się, czy jedno i drugie naraz, muszę kołysać się z poślądka na pośladek, a nie wspomnę już nawet o chaosie myślowym, jaki mnie ogarnął, bo nie potrafię go opisać.

Później, znacznie później, pewien kolega po fachu Esmeraldy wyjaśnił mi, co działo się w głębi mego jestestwa owego wieczoru. Powiedział zmęczonym, ale grzecznym tonem, że słyszał opis tej cholernej sceny setki razy przez cały rok, że to najpowszechniejsze urojenie kobiet, numer jeden na psychoanalitycznej liście przebojów. Czasami dzieje się to w jakiejś pizzerii w Palm Springs, czasem na przyjęciu urodzinowym sąsiadki, czasami w Białym Domu, bo mąż marzył, że zostanie senatorem, zanim skończył jako agent ubezpieczeniowy albo fagas w Uniwersalu. Krótko mówiąc, wszystkimu winna chrześcijańska hipokryzja, którą jesteśmy wszyscy przepełnieni. Według niego przez całe życie marzyłam, żeby ktoś mnie przeleciał w ten sposób – przy wszystkich, a jednak tak, żeby nikt nie widział. Jeżeli

się uda, to najlepiej, żeby facet był na kolanach, między moimi kolanami, bo w tej pozycji skuteczniej mogłam poniżyć jego męskość. W dodatku niecznie wykorzystałam fakt, że był nieszczęsnym zbiegłym więźniem. Żeby pozwolić mu na to łądackie zachowanie, znalazłam sobie wymówkę i uwierzyłam, że nie starałam się go usidlić. Podobno gdyby robiła to Esmeralda albo Toledo, albo jakakolwiek inna kobieta, zionęłabym oburzeniem i zażądała, żeby natychmiast wysłano ją do komory gazowej. Żeby tak szczeźła, jeżeli ten mąciwoda nie wciskał mi przez okrągły tydzień wszystkich tych bredni. Potem, widząc, że traci czas, a ja – cierpliwość, próbował przelecieć mnie na sofie w swoim gabinecie, a ja sponiewierałam jego męskość zdrowym kopniakiem – byłam w szpilkach, czyn zaś poparłam wiązanką błogosławieństw całego Kościoła katolickiego, apostołskiego i rzymskiego.

– Wydaje mi się, że wszyscy się mylimy! – zakrzyknął nagle Stockammer, rzucając nóż na talerz. – Ten tytuł to było jedno słowo!

Moje majtki są już na kostkach i właśnie znikają. Czuję, że ręce rozsuwają mi kolana, a chłodne usta dotykają mej skóry pomiędzy udami. A tego, co się dzieje potem, nie chcę opowiadać, może Pani sobie to wyobrazić. I trudno, pękłam. Oparłam łokcie na stole, brodę na dłoniach i zdaję się śledzić rozmowę pilniej niż ktokolwiek, wiem jednak, że oczy zachodzą mi mgłą, a z ust wrywa się jęk.

– Źle się czujesz, Fru-Fru? – pyta podejrzliwie Esmeralda.

Odpowiadam, jak mogę, rwącym się głosem:

– Tak... To ten upał!... Ona już nie może... Nie może...

– Czego nie możesz? – nalega ta kretynka.

Teraz wszyscy na mnie patrzą. Mathieu uprzejmie sięga po spoczywającą w naczyniu z lodem butelkę:

– Może nieco szampana?

Ledwie go rozpoznaję przez zaparowane szkła kontaktowe, właściwie już go nie widzę. Szepczę:

– Tak!... O, tak! Tak, tak!

Napełnia mi kieliszek szampanem.

Muszę wyciągnąć nogi. Chciałabym, żeby Mathieu przestał już łać szampana. Czuję, że zsuwam się z krzesła. Czuję, że spoczywają na mnie spojrzenia wszystkich. Czuję, że nic już nie powstrzyma mnie od odpłynięcia. Błagam:

– O tak! Właśnie tak! Tak!

– Jeszcze? – niepokoi się zdumiony Mathieu gdzieś w dali.

Odpywam. Szampan leje się na obrus. Ktoś coś mówi. Słyszę swój głos – rżenie, przeciągłe, nie kończące się „tak” – i opadam na krzesło, zapierając się nogami, naprężając je, i to trwa, trwa, a ja nie chcę już, by się skończyło... Sama Pani wie, co to jest.

Kiedy nieco oprzytomniałam, półleżałam na krześle, połową ciała pod stołem, ze zwisającymi rękami, jak niedbale rzucona szmaciana lalka. A oni wszyscy przyglądali mi się, nieco zmieszani, ja zaś, żeby odzyskać wygląd żywej istoty, zebrałam wszystkie siły, chwyciłam kieliszek i unosząc go do ust rozlałam połowę. Ani słowa, podczas gdy piłam. Ani słowa, gdy wyciągałam szkła kontaktowe, ocierałam oczy i potrząsałam suknią, żeby dojść do siebie. A potem, biorąc się znów do jedzenia, Jicks stwierdził:

– Ba, jeżeli film miał powodzenie, to co za różnica, jaki był tytuł!...

Nie warto mówić, jak oberwało się mojemu napastnikowi nieco później, kiedy zesłam do komórki, żeby zanieść mu coś do jedzenia. Ledwie zamknąwszy drzwi, zgięta wpół, żeby zmieścić się wewnątrz, powiedziałam surowo:

– Jak panu nie wstyd!?

Leżał na materacach jak zwykle, z rękami pod głową. Może i było mu wstyd, ale nie za bardzo. Odpowiedział zupełnie bez przekonania:

– Od sześciu lat nie tknąłem kobiety. Od sześciu lat!

– I sądzi pan, że to powód, żeby traktować mnie w ten sposób, i to wówczas, gdy chcę pana ratować, i przez to nie mogę się bronić, nie mogę pisać słówka?

Ale po cóż prawić morały wygłodzonemu psu, którego trudniej utrzymać na wodzy niż nakłonić Orła-czy-Reszkę, by zamilkła. Teraz obchodziła go wyłącznie taca, którą trzymałam w rękach.

Kiedy pożerał kurczaka i gruszki w syropie, pochłaniał butelkę medoc, usiadłam koło niego. Przyglądając mu się, nie mogłam wprost uwierzyć, że to ten sam człowiek, który dopiero co potraktował mnie w tak obrzydliwy sposób. Każdy jego gest pełen był elegancji, nawet teraz, gdy jadł palcami. Kiedy dopijał wino patrząc w dal, powiedziałam:

– Jestem z Montrouge. A ty?

– Z Marsylii.

– Co robiłeś, zanim cię wsadzili?

– Nic, byłem w wojsku.

– Jesteś żonaty?

Ukrył palec z obrączką za plecami. Widać było, że jest niezadowolony. Powiedział nie znoszącym sprzeciwu tonem:

– Proszę o niej nie wspominać! To tylko moja sprawa.

Nie nalegałam. Zabrałam tacę i chciałam odejść. Przytrzymał mnie za nadgarstek. Westchnął spuszczać oczy:

– Proszę wybaczyć, ale to prawdziwa święta. Czekala na mnie przez te wszystkie lata. Jestem pewien, że wciąż czeka. To wcielona wierność. A na imię jej Konstancja *.

* Constance – stałość, wierność, stałość uczuć (przyp. tłum.).

Na dobre dwie minuty zatopił się w melancholijnych wspomnieniach o swej drugiej połowie. W każdym z nas jest coś zaskakującego. Widząc, jak rozmyśla o tamtej z takim żalem, poczułam ogarniającą mnie słabość, jakby ucisk w żołądku. Tak to już ze mną bywa w podobnych sytuacjach. Oczywiście to, co zrobił pod stołem, było paskudne, ale w pewnym sensie bezinteresowne, a pewnie też bardzo przykre. No cóż, po prostu odsunęłam suwak sukni. Mimo woli, bo chciałam tylko dać się przelecieć, żeby zamknąć sprawę, w tym właśnie momencie odkryłam sekret, z którym przez całe miesiące na próżno starał się uporać as mechaniki – wszystko na „Pandorze” ruszyło! Maszyny zaczęły warczeć, uderzył dzwon, kadłub skrzypiał, a my objaliśmy się o ściany.

Z zaskoczenia wyprostowałam się i raz jeszcze rąbnęłam głową o sufit, a licząc wirujące gwiazdy, powiedziałam:

– Cholera!... Wyptywamy!

Chwiejnym krokiem dotarłam do drzwi. Nim wyszłam zasuwając suknię, powiedziałam Fryderykowi, że los zdecydował za mnie i że teraz już poczeka na następny port.

Dopiero co, zrobiwszy swoje, szczur wymknął się z jadalni tym samym podziemnym szlakiem, którym do niej dotarł, i nic sobie nie robił z faktu, że zostawia mnie z gołym tyłkiem. Teraz przez wdzięczność wydobył z kieszeni spodni koronkowe majtki i podał mi je, zawieszane niczym trofeum na palcu wskazującym. Założyłam je, uciekając się do całej gamy skromnych manewrów, a jednocześnie wierząc, czym trzeba, żeby drań miał o czym śnić do samego rana.

Nie wiem, czy doprowadziłam go do szału, ale sama nie wytrzymałam tak długo. O trzeciej nad ranem, stojąc w smętnej koszuli nocnej na pokładzie, doszłam do wniosku, że jestem głupia, trawiąc życie na kontemplacji śledzi w blasku księżyca, i zesłam na dół, obudziłam go, nagiego pod pościelą, i ma się rozumieć, że nie graliśmy w karty.

Tak. Teraz wie Pani już prawie wszystko. Pozostaje tylko zakończenie całej sprawy.

Może się wydawać, że bujam, bo pomiędzy tym pierwszym razem, gdy znęciły mnie bezcelestwa Fryderyka na podartych materacach u wybrzeży Royan, a ostatnim, na drugim końcu świata, w pobliżu Wysp Bożego Narodzenia, upłynęło sporo dni i nocy, tygodni i miesięcy. Ale i tak, gdyby to był film, na ekranie widać by było jakiś pieprzony kalendarz i odwracające się błyskawicznie kartki, a gdzieś w tle biały cień „Pandory”, która dzielnie pruje fale oceanu. Z obawy że widzowie się nie połapią, reżyser dorzuciłby może nie podnosząc cen za bilety punkcik, który przesuwałby się po starej mapie morskiej, ale poza tym już nic. Jicks powiedział: „W historiach miłosnych, kiedy wiadomo, jak się to zaczyna, chce się zobaczyć tylko zakończenie. Reszta jest tylko po to, żeby durnowaty reżyser nalatał się z kamerą i żeby film trochę trwał”. Rzygam tym całym nudziarstwem tak samo jak on, czym krócej trwa, tym szybciej można iść się zabawić, ale to nie był film, to było moje cholerne życie, więc staram się Pani powiedzieć jak najwięcej.

Po pierwsze, nie byłabym w stanie wysadzić na brzeg pasażera na gapę, który by tego nie chciał. Po Francji naszym pierwszym portem była Lizbona. Zamiast grać na uczuciach, opowiadać o wielkiej miłości, która zapłonęła w jego sercu itd., Fryderyk poprosił mnie, żebym się go jeszcze nie pozbywała, bo nie mówi po portugalsku. Męska skromność! Muszę powiedzieć, że najdalej posuniętymi czułymi słówkami i komplementami w jego ustach były: „Cholerna Fru-Fru”, „Biedna Fru-Fru”, a najczęściej „Piekielne biedactwo Fru-Fru”. Raz, o władnięty ciężką chandrą, powiedział, że gdyby mnie stracił, żałowałby. Opowiem o tym we właściwym czasie, a teraz dowie się Pani tylko, że tego wieczoru Fryderyk nie wylewał za kołnierz.

Należę do szczególnego gatunku, którego przedstawiciele znajdzie się na kuli ziemskiej może tylko pięć czy sześć miliardów: moim marzeniem, odkąd pogodziłam się z faktem, że faceci chrapią po nocach, jest, żeby ten mój był dobry, nie za bardzo marudny i bardzo, bardzo dobry i właściwie nieważne – wysoki czy niski, przystojny czy paskudny, bogaty czy biedny, łajdak czy nie. Kiedy już raz pójde z facetem do łóżka, nie chcę innych. Wiem, że istnieje dwieście dziewięćdziesiąt pięć kobiet wszelkich ras i religii, wśród nich cieciora z bulwaru Pod Sikającym Psem w Paryżu, we Francji, które nie podzielają moich poglądów, które powiedzą, że kłamię, że nie sposób zliczyć choćby tych, którzy mnie brali w schowku na szczotki na trzecim piętrze hotelu „Beverly Hills”, ale niech wszystkie szeszna

z rozdziawionymi gębami, a w ich gębach niech zaroi się od karaluchów, bo to one lżą. Jeżeli nie zostałam z pierwszym kochankiem ani z ostatnim, to dlatego, że wszyscy byli pierońskimi nudziarzami, zajętymi wyłącznie sobą, a stałymi jak chorągiewka na dachu przy mistralu. Mówiąc zupełnie szczerze, paru kiepsko znosiło moje humory gwiazdy ekranu i ci bezlitosnym gestem odsyłali mnie tam, skąd przyszłam, mimo zadymki czy burzy. Leżałam pod paroma jak każda. A po każdym wyplakiwałam oczy, aż pojawił się następny chłystek!

Już samo to, że mam mówić o Fryderyku, przyprawia mnie o mdłości. Był najlepszym, co przeznaczył mi Bóg, po Pinku, moim pluszowym misiu. Pinka dostałam na trzecie urodziny i miałam do osiemnastu, kiedy sługusy Jicksa załadowały mnie na „Normandię”, żeby sprawdzić w Ameryce, czy jestem materiałem na gwiazdę. Po przyjeździe do Nowego Jorku rzuciłam go gdzieś między bagaże, papiery do wypełnienia i wszystkie te formularze urzędu celnego. Jicks opłacił Bóg wie ilu detektywów, jestem tego pewna, bo widziałam czeki, ale misio już się nie znalazł. W tamtych czasach byłam piekielnie pretensjonalna. Podróż pierwszą klasą, woń pożegnanych bukietów, posiłki przy kapitańskim stole musiały uderzyć mi do głowy. Cóż z tego, że usyślałam po pierwszej części filmidła, któremu zawdzięczałam te wszystkie zaszczyty, z powodu misia robiłam taki zamęt, jakby chodziło o kidnapping. Jicks w brukowcach obiecywał majątek temu, kto odniesie Pinka całego i zdrowego, i ledwie dał się odwieść przyjaciółom z Senatu od zamiaru rozpętania kampanii w celu rozszerzenia prawa Lindbergha na pluszowe misie. Przez pierwsze tygodnie dostawałam całe tony Pinków we wszystkich kolorach, ale mojego nie odzyskałam. Te inne oddaliśmy Towarzystwu Opieki nad Dziećmi na Filipinach. Mówię o tym, żeby opisać, jak dobrze było mi z Fryderykiem.

Na Gibraltarze Anglicy przekopali „Pandorę”, jakby to była piramida Cheopsa. Mój ukochany siedział w rurze wentylacyjnej. Potem przez trzy dni dochodził do siebie, bo nie znosił zamknięcia. Słowo daję, że z nim nie zabawiłabym się w windzie. Wątpię zresztą, czy kiedykolwiek wsiadł do jakiegś, ot choćby tylko dla porównania ze schodami.

W każdym razie celowo mówię o piramidzie. Jicks chciały ją obejrzeć i rzucić okiem na jej mniejsze siostrzyczki, żeby zrekonstruować je w studio. Potem Stockammer nakręciłby film, a ja zagrałabym poszukiwaczkę przygód w szortach, która odkopuje mumię nadzianą diamentami i cieszy się, że będzie miała na chleb dla dzieciaka, a tymczasem John Carradine albo Basil Rothbone starają się wszelkimi sposobami wydrzeć jej łup.

Dopóki Rayowi Millandowi nie udało się naprawić starego gruchota, który resztką sił wylądował na pustyni, nie miała dużych szans na wyjście cało z opresji. Zna Pani ten gatunek. Na szczęście Morze Śródziemne zamieniło się w autostradę dla okrętów wojennych i musieliśmy zawrócić. Przez radio wszyscy radzili nam wracać do domu, do Ameryki, ale Jicks odpowiadała, że byle kapralina austriacki nie przeszkodzi mu robić, co zaplanował, i przedłużyliśmy rejs o sześć miesięcy, żeby opłynąć Afrykę.

Proszę nie myśleć, że przez cały ten czas Fryderyk tkwił zwinięty w kłębek pod pokładem. Po tygodniu, kiedy zdążyłam to jakoś urządzić, mieszkał właściwie w mojej kabinie, czy – dokładniej mówiąc – trzech kabinach, które zajmowałam na głównym pokładzie, na wprost apartamentów Jicksa. Wracał do kryjówki tylko rano, żeby Toledo mogła posprzątać. Parę razy natrafiła na męskie rzeczy w kajucie i pewnie myślała, że podłapałam któregoś z marynarzy, a może nawet całą dwunastkę – kto by tam za nią trafił, ale nic nie mówiła ani nie dała poznać po swojej buzi o cerze niczym dorodne jabłko z Ohio.

Mimo to prócz drobnych, zupełnie naturalnych napiwków nic jej nie dawałam. Marynarze byli przy niej jak żarłoczne rośliny. W każdym porcie musiałam biec do amerykańskiego banku, bo w dodatku wysysali ze mnie krew tylko w gotówce. Wszyscy prócz Chińczyka. On nie chciał pieniędzy. Musiałam mu tylko obiecać, że któregoś dnia pozwolę mu przez godzinę patrzeć na siebie naga. Nie tknie mnie. Chce tylko patrzeć. Przez godzinę. Nigdy więcej go nie widziałam, a to z powodu zakończenia, jakie miała ta wyprawa, ale jeśli kiedykolwiek spotkam go w jakiejś Chinatown, zawlokę go natychmiast do pokoju pełnego zegarów, żeby udowodnić, że jestem uczciwa. Mówię o nim, ponieważ i tak nie figuruje już na liście Jicksa, a poza tym nawet nie zapytał mnie, dlaczego chcę go kupić. Powiedziałam mu tylko, żeby trzymał język za zębami. Jeżeli przez nieuwagę wygadał się przed muchą, to biedaczka wymknie się dopiero z jego trumny.

Krótko mówiąc, po pewnym czasie, kto żyw poza Jicksem i dziewczynami wiedział, że na pokładzie mamy pasażera na gapę. Najgłupsza z nich czterech wyniuchała to po paru miesiącach na oceanie i wszystko zepsuła.

Z nadejściem zimy zacumowaliśmy w Casablance. To tajemnicze miasto, pełne dziwnych ludzi, którzy śpiewają *Marsylianke* w nocnych klubach, kiedy tylko pokaże się szwabski mundur. Widziałam to na filmie, po powrocie do Ameryki, inaczej nie miałabym o czym opowiadać. Fryderyk

nie chciał zejść na ląd ze strachu przed żołnierzami Pétaina, a ja nie jestem zamiłowaną turystką. Jak w każdym porcie, na pokład wchodziła masa sługusów i adwokatów Jicksa, żeby zamykać się z nim na całe dnie, a czasami i noc. Starał się chyba sprzedać te swoje samoloty bez pilota albo jakieś inne latające draństwo, nie mam pojęcia. Poza filmami mało mówił o interesach. Początkowo pytałam Fryderyka, co o tym myśli. Ale on nic nie myślał. Inni zresztą tak samo, oszczędzali szare komórki do gry w scrabble.

Koniec roku spędziliśmy więc spokojnie w porcie. Poza ostatnim dniem. Kiedy szykowaliśmy się do sylwestrowej nocy, francuscy strzelcy przyszli przeszukać „Pandorę” i Fryderyk ledwie zdążył wrócić do rury wentylacyjnej. Całe szczęście, bo tym razem na pewno szukano właśnie jego. Było mi wstyd za moich rodaków. Nie mówię o strzelcach morskich, którzy wykonywali swoją robotę, nie wysilając się ponad miarę, ale o oficerze armii rozjemczej i upartym brutalnym krzykaczem, co do którego nawet podwładni musieli się zastanawiać, co robi na statku, i to w dodatku szwajcarskim. Był to major Malignoble. To Fryderyk podał mi jego nazwisko, zaraz kiedy opisałam mu go po rewizji. Na myśl, że ten szaleniec ściga go przez całe Morze Śródziemne, trząsał się bardziej niż na Gibraltarze, ale tym razem klaustrofobia nie miała nic do rzeczy, to była zwykła wściekłość. Powiedział mi: „Jeżeli któregoś dnia stanę z nim twarzą w twarz, uduszę go, choćby to miała być ostatnia rzecz, jaką zrobię na tej ziemi”.

Po tym alarmie radośnie świętowaliśmy Nowy Rok. Dokładnie o północy ucałowałam wszystkich w jadalni. Potem wyjęłam szkła kontaktowe i zalana łzami powiedziałam, żeby bawili się dalej bez Fru-Fru, że ona woli teraz iść do kajuty, pomyśleć o matce, o przyjaciółkach szkolnych, które zostały w okupowanym kraju, i o tym wszystkim co się teraz dzieje, a dla aktoreczki od mydlanych oper była to niezła rólka. Nawet Esmeralda odwróciła się, by ukryć wzruszenie, które ogarnęło jej kamienne serce. Nawet Orzeł-czy-Reszka zrozumiała, co muszę czuć. Nawet jedyny włos Stocammera stanął dęba, żywy i prosty jak za czasów, gdy Garbo nie mówiła, a on dyrygował siostrami Gish i Głorią Swanson. Wolę przemilczeć reakcję dzielnego Mathieu, bo jeszcze pomyśli Pani, że przesadzam.

Trzeba zaznaczyć, że grali *Le Chant des adieux*, kiedy odstawiałam ten numer, to pomaga. Słysząc ją było nadal, kiedy już zamknęłam się u siebie, a me spragnione usta przywarły do ust Fryderyka. Kazałam wszystko przygotować w saloniku, nie warto pytać, któremu z opłaconych przeze mnie ludzi. Kawior, pasztet strasburski, homara, indyka z kasztanami, szampana

i pomeń 1928. Fryderyk dostał prezenty, jak wszyscy, po pierwsze granatowo-błękitno-biały żakardowy sweter, import z kraju, ręczna robota, w którym było mu cudownie. Niestety, nie mógł go włożyć, ubierał się wyłącznie w marynarski uniform z dobrze widocznym napisem „Pandora” na torsie, na wypadek gdyby napatoczył się na Jicksa albo którąś z tych nadętych pannic. Tylko dwa razy widziałam go w tym swetrze – tej nocy, kiedy go przymierzał, mówiąc mi, że przypomina mu dzieciństwo u jezuitów, i jeszcze jednej nocy, o której wolałabym zapomnieć.

On mi nie mógł podarować nic prócz samego siebie, ale byłam piekielnie zadowolona. Myślę, że on też, tyle że wino sprawiło, że w końcu stracił humor. Myślał o żonie. Planował, diabli wiedzą jak, wrócić do swojej dziury w Seine-et-Marne, gdzie ją zostawił, marzył, że raz jeszcze spojrzy przez okno, nim ona dowie się, że tam jest, na jej profil madonny, przebrać się za włóczkę, by go nie rozpoznała. Przemilczę resztę bredni. Przypadła mi fatalna rola, ale zrobiłam, co mogłam, żeby przywołać go do rozsądku. Już na procesie jego życie wisiało na jednym włosku. Jeśli wróci do tej dziury, to tylko po to, żeby czekać na jakiś straszliwy, błydy poranek. W końcu powiedział ze smutkiem:

– Masz rację, Fru-Fru. A zresztą ona i tak tylko się nade mną litowała, lepiej dla niej, żeby o mnie zapomniała. Starających się jej nie zabraknie.

Myśli Pani może, że kiedy sobie wyobraził tę biedaczkę, która rzuca robotkę i zaczyna rozglądać się za innym kandydatem do łóżka, był w lepszym nastroju? Wręcz przeciwnie. Humor poprawiał sobie tylko pomeń. Leję sobie ostatni, przedostatni... O czwartej szlochał mi na ramieniu i opowiadał o młodości, o placu Dauphine, gdzie poznał Konstancję, kiedy przyjechał do Paryża, żeby wstąpić na Sorbonę, o hotelowym pokoiku przy ulicy Chevalier-de-la-Barre pod Sacré-Coeur, o przeklętym abażurze, w którym powycinał gwiazdki, żeby zrobił się ładniejszy. A zresztą, dzięki temu para hipokrytów czuła się już jak w niebie. Mówiłam, że go rozumiem. Że świetnie go rozumiem, że cierpię prawie tak jak on. Powiedziałam, że w lodówce mam wyśmienitą, zimną wodę. Mówiłam wszystko. A on właśnie tej nocy wypowiedział te straszne słowa, że gdyby mnie nie miał, żałowałby. Cholera, ja też płakałam szczerymi łzami, które kapały mi do szampana, sama nie wiedziałam już, gdzie jestem, chciałam wezwać taksówkę i jechać w końcu do Seine-et-Marne, i gdyby ta świętoszka nie chciała się nim dzielić, to oddałabym jej go i wróciła na Montrouge otruc się gazem. Krótko mówiąc, oboje doszliśmy do skraju. Obudziliśmy się o

świecie na dywanie, splątani i nie pamiętam nawet, które na wierzchu, a które pod spodem.

Zrozumiałe, że zachowałam wzruszające wspomnienia z Casablanki, ale z zachwytem ją opuszczałam. Potem były Wyspy Kanaryjskie. Sześć tygodni. Tu Fryderyk schodził na ląd, kiedy tylko Jicks się odwrócił. Te wyspy są cudowne. Masa zamkniętych w tym sezonie hoteli, puste baseny. Masa sklepików, które handlują kamiennymi posążkami apostołów. Palmy, śmietniki i ludzie mówiący po hiszpańsku.

W porównaniu z tym Dakar był męką. Po pierwsze, nie mieliśmy prawa zakotwiczyć nigdzie poza jednym miejscem – przed wyspą i zaraz powiem, co to było. Katorga. W dodatku, nie wiem, dlaczego Fryderyk się boczył. W końcu to w Dakarze kupiłam projektor do filmów dźwiękowych, żeby mógł oglądać je w mojej kabinie. Jicks odzyskał wszystkie kopie, które płątały się po Afryce. W przemalowanym na biało bentleyu z jego nazwiskiem na drzwiach przywieziono mi ich ze trzydzieści, każda w wielu pudłach, tak że nie mogłam u siebie ani się wysuszyć, ani otworzyć szafy, ani wyjść z wanny, żeby nie połamać sobie wszystkich nóg, bo wały się wszędzie. Nie mówmy nawet o *Pożarze Chicago*, *Zdobywcach*, *Gunga Din*, *Małej księżniczce*, *Panu Smith'cie w Senacie*, ani panu Deeds, panu Chips, panu Bébé, gdziekolwiek by byli, i na Boga – nie wspominajmy o staruszce, którą ciągle łapią w pociągu, a nie skłamię, jeśli powiem, że do dziś po tym wszystkim chodzę. Sama nie potrafię wyobrazić sobie siebie w *Eyes* inaczej niż pociętą na kawałki i wciśniętą do umywalki.

Ale Fryderyk był w siódmym niebie. Rozpinał prześcieradło i po dziesięć razy wyświetlał ten sam film. A ponieważ ja zasypiałam już na premierze, dziesiątki razy opowiadał mi scenę, w której Dietrich daje się zabić, żeby osłonić Stewarta, który zdołał odzyskać rewolwer, i jak go konać całuje i w ostatnim odruchu ociera ślady swej szminki z jego ust. Jeżeli miałam nieszczęście zauważyć, że prześcieradło nie służy wyłącznie do tego, żeby wisiało na ścianie, nie odzywał się do mnie przez godzinę. A jeśli już coś powiedział, to tylko, że jestem cholerną niewdzięcznicą, bo powiodło mi się w najpiękniejszym zawodzie świata, a ja raz po raz pluje na to, z czego żyję, a poza tym, że jako aktorka jestem denna – zgadzał się tu ze mną, ale miałam to piekielne spojrzenie, które diabła przyprawiłoby o zawrót głowy, cycki, od których powinna pękać taśma filmowa, nogi, którymi niejeden pragnąłby się udusić, i najcudowniejszą pupę, jaką widział świat, zwłaszcza kiedy zakładam opiętą suknię, a co do reszty, to gdyby tylko nakręcono filmy z tym, co we mnie najlepszego, umarłabym przed

zakończeniem serii obejmującej sfery nie zakazane przez ligę obrony moralności, i że to też było kino, i że tak w ogóle jestem kretynką.

Potem to ja nie odzywałam się przez długie chwile, a on żałował, że to wszystko powiedział. Bardzo, bardzo znużonym i bardzo, bardzo łagodnym głosem wyznawał mi z zawstydzeniem, że był ignorantem w każdej dziedzinie – muzyce, malarstwie, literaturze, nie miał pojęcia o roślinach doniczkowych, że znał się wyłącznie na kinie, że nie mógł nic na to poradzić, że to nie jego wina, iż urodził się po przyjeździe nie wiem jakiego cholernego pociągu na dworzec La Ciotat.

Cóż mogłam na to odpowiedzieć? Bojąc się, że wydam mu się jeszcze bardziej denna, nie śmiałam nawet zapytać, co ma z nami wspólnego ta La Ciotat, i dopiero Mathieu mi wytłumaczył. Przynajmniej znam nazwisko łajdaka, który wymyślił wszystkie problemy mego życia. Bądźmy sprawiedliwi. W tej stercie zdartych filmów, których Fryderyk za nic na świecie nie dałby rzucić do morza ani nawet upchnąć gdzieś poza naszą przestrzeń mieszkalną, była jedna pociecha – scena z drugiej rólki *Eyes*, kiedy w stodole dobiera się do mnie facet, a ja bronię się coraz słabiej przed uwdzicielem, nie mogę krzyżeć ani nic. Za każdym razem, kiedy to wyświetlał, nie uchylałam się od obowiązku odegrania z nim tej sceny, z identycznie wybałuszonymi oczyma, dokładnie tak samo. Ręczę, że potem było nasze święto.

W Libreville w Gabonie obok naszej szwajcarskiej chorągiewki wywieszono niebiesko-biało-czerwoną z Krzyżem Lotaryńskim, żeby mnie uhonorować. Pozostała na maszcie do końca rejsu. Zdjęcie, na którym całuję ją, jakbym chciała ją połknąć, a na głowie mam plackowatą czapkę z pomponem i pasiasty kostiumik odsłaniający pieprzyk na prawym pośladku, na pewno widziała Pani w poczekalni u dentysty albo u fryzjera. Wyciągają je wszystkie magazyny, kiedy piszą o mojej karierze, i publikują prawie tak często, jak scenę lądowania przy wręczaniu nagrody Hepburn. A więc w okienku, widocznym w tle, tuż nąd Chińczykiem, który uśmiecha się, boleśnie zaciskając usta, sterczy głowa Fryderyka. Zdjęcie jest zamazane, trudno rozpoznać twarz, ale to on i jak zwykle gapi się, gdzie nie trzeba.

Często zadawałam sobie pytanie, skąd bierze się to męskie szaleństwo, nawet u najrozsądniejszych. Jeżeli policzyć wszystkie przypadki mego niespodziewanego powrotu do kabiny, po zapomniany pilnik czy coś innego, to może zbierze się ich setka. I za każdym razem Fryderyk sterczał w ulubionym okienku, a w dziewięćdziesięciu dziewięciu przypadkach na sto niespełna metr od tegoż okienka znalazł się zadek Toledo albo Bessie,

obciśnięty maleńkimi, bliskimi pęknięcia majteczkami i wypięty, bo dziewczyny akurat klęczały szorując pokład. Nie wiem, na co patrzył, jeśli akurat nie myły pokładu, ale założyłabym się o ostatnią koszulę i to Panią puściłabym gołą, że na przykład Esmeralda wypięła się, podnosząc klips. W życiu nie widziałam, żeby ktoś tak często gubił klipsy. Jeżeli kiedyś wdrapie się Pani na najbardziej niedostępny szczyt w Himalajach i znajdzie tam klips wśród kaktusów, proszę się nie przejmować. Wystarczy wrzucić go do koperty i wysłać bez adresu. Najdurniejszy pracownik poczty poma-ca i już będzie wiedział, że to dla psycholożki Jicka.

Ale nawiasem mówiąc, faceci to maniacy. Nawet największa poczwara, której mój dziadek by nie tknął, warta była podrywu, starczy, że zobaczyli jej pyzatą gębę, a stawało się to silniejsze od nich – po prostu natura. Nigdy zresztą nie miałam Fryderykowi za złe tej aberracji umysłowej. Zdusiłam to w sobie, ograniczyłam się do burknięcia, że jest żalonym głupcem, że myśli jajami, że jest gównianym zbroceńcem. Poza tym obiłam sobie ręce na jego po tchórzowsku skrzyżowanych przed gębą hipokryty przedramionach, próbowałam kopnąć go, gdzie należy, lakierowanym czółenkiem na szpilce, a na koniec podeptałam okulary.

A już zupełnie zatyka, kiedy pomyśleć, na co się gapi na tym sławetnym zdjęciu. Mój tyłek, mój! Rozumie to Pani?! Miał go do wyłącznej dyspozycji przez okrągłą dobę, mogłam ściągnąć majtki i pokazać mu go pod dowolnym kątem, zanimby zdążył o to poprosić, bo zawsze wyczuwałam, co ma ochotę zrobić, ale nie, nie wystarczyło mu to, musiał jeszcze skręcać sobie szyję za oknem i szpiegować mnie z ukrycia i aż płonął z niecierpliwości, czekając aż ten piekielny kostium uniesie się na tyle, żeby odsłonić pieprzyk na moim prawym pośladku. Rozumie Pani facetów? Ja nie. To przepaść bez dna, gubię się w niej.

Luanda, Angola. Obrzydliwość. Palmy, śmietniki. Odpływamy w stronę Przylądka Dobrej Nadziei, mijamy go w Dniu Niepodległości. Pamiętam, bo był to też dzień urodzin Fryderyka. Trzydzieści lat i bystre oczy, by zapuszczać żurawia pod spódniczki. Dałam mu prezent, kiedy dotarliśmy do Port-Elisabeth: dziesięć innych filmów, w tym *Marię Antoninę*, którą znał już na pamięć, i *Kobiety*. Przez następne dni i noce mówił tylko o Normie Shearer. Zupełnie oszalał na jej punkcie. W zeszłym roku spotkałam miss Shearer na przyjęciu, gdzie zabawiłam ledwie dziesięć minut, a zdążyłam od niej usłyszeć dwa uprzejme słowa. Zapyta Pani, cóż to za wydarzenie. A ja po tylekroć powtarzałam te dwa słowa, naśladowując, jak umiałam najlepiej głos jego uwielbionej, wypełniałam owych dziesięć minut

tyloma duperelnymi szczegółami, że aż do dziś budzę się zrana potem, kiedy najdzie mnie ten koszmar. W dodatku *Maria Antonina* z głową i całą resztą jest długa. Z pięćdziesiąt ton pudeł. Opróżniając z nich moją wannę, Bessie nabawiła się lumbago.

Pomijam East-London, Durban, Lourenço, Marques. Wszędzie palmy i śmietnik, zmieniały się tylko nazwy. Nie pamiętam już, na którym z tych zagubionych wybrzeży reszta zdecydowała ruszyć na safari, a Jicks skorzystał z okazji, żeby wyskoczyć do Ameryki, oczywiście samolotem. Fryderyk i ja pozostaliśmy na „Pandorze”, sami z załogą, i to były najwspanialsze chwile tej piekielnej podróży. Mógł do woli przechadzać się po pokładzie, rozmawiać z ludźmi, łowić z nimi ryby jak z kumplami. Czas, kiedy mi go zostawiali, spędzaliśmy pływając, jeżdżąc na nartach wodnych, schodziliśmy na ląd, żeby zjeść kolację w starej chacie, gdzie nie było nawet prądu. Osobiście zawsze lubiłam świece na stołach i w świątyniach. Kiedy byłam mała, wydawało mi się, że świadczą o bogactwie. Czułabym się bardziej onieśmielona w tej ruderze migoczącej setką płomyków niż u „Maxim'sa”. Nazywało się to „Wirujące Koło”. Właścicielem był pewien Francuz, którego szyja tkwiła uwięziona w metalowej obręczy i gdyby nie wąsy i wygląd półdzikiego odludka chroniącego się przed innymi na końcu świata, byłby podobny do filmowego Stroheima.

Nie sposób opisać strach, jakiego doznałam, gdy weszliśmy tam po raz pierwszy. Spostrzegłszy Fryderyka, facet natychmiast wyciągnął spod lady olbrzymi rewolwer, wyraźnie chcąc go zabić. Ścigał go wokół domu, strzelając, a za każdym razem, gdy pojawiał się biegnąc jak opętany przez izbę, Fryderyk krzyczał do mnie: „Uważaj, uważaj!” i wpychał mnie pod stolik, a sam skakał jak po rozpalonych węglach, i tak aż do następnego „wypadu” gospodarza. Kiedy ten opróżnił rewolwer, nastąpiła zmiana ról. Teraz Fryderyk ścigał jego, a był tym bardziej zajadły, że się wystraszył. Na ziemię przewracał mnie gospodarz, przedtem posługując się mną jak tarczą. Owego wieczoru pojęłam ogrom cierpienia i poczucia krzywdy, jakiego doznawać muszą nieszczęsne plasterki szynki, wciskane pomiędzy dwa kawałki chleba.

Zresztą ja jedna płakałam. Jeżeli dobrze zrozumiałam, facet był dawniej łowczym. Fryderyk poznał go w Charente, tuż po ucieczce. Po przedstawieniu, którego byłam świadkiem, spili się i padli sobie w ramiona. Nigdy nie powiedzieli mi, co takiego zaszło między nimi, żeby aż niszczyć moją garsonkę z białego lnu, a mnie samą posiniaczyć. Jakaś męska sprawa. Chciałabym wierzyć, że poszło o kłusownictwo. Nie mam zielonego

pojęcia o polowaniu, nie mogłabym skrzywdzić muchy, chyba żeby mnie ukąsiła, ale nie jestem aż tak głupia, jakby ktoś pomyślał, i wspominając ich niewyraźne miny, gdy trąciłam ten temat, podejrzewam, że zwierz, który ich poróżnił, był dorodną samicą w jedwabnych pończoszkach. Nigdy by się nie pogodzili, gdyby poszło o zajęcia.

Jednym słowem, te chwile kiedy tam kotwiczyliśmy, były mimo wszystko dobre. Nie pamiętam już nazwiska tego faceta ani miejsca – zatoka jakaś tam, gdzieś w Mozambiku, ale to, co podtrzymywało jego brodę, po francusku nazywa się minerwa i kiedy Fryderykowi przychodziła chęć skoczyć na łąd, pytał po prostu: „A może byśmy zajrzeli do Minerwy?” A kiedy nie mogli się dogadać co do wojny, de Gaulle'a i całego zamieszania, knajpiarz mówił: „Nerwujesz mi, nerwujesz”, i obaj parskali śmiechem, i bili się po udach, jakby nigdy nie słyszeli lepszego dowcipu. Ale mieli w zanadrzu jeszcze jeden równie zabawny. Siadając musiałam uważać na spódnicę i bluzkę, bo Minerwa nie przegapił okazji, żeby wpakować łapę przez grzeczność nie powiem gdzie. Wołał przy tym: „Mięciutkie, jak przepióreczki!” A Fryderyk, zamiast przywołać go do porządku, zaśmiewał się razem z nim i obaj trzymali się za brzuchy, i w najlepsze walili się po udach, podskakując przy tym tak, że aż trzęsła się cała chałupa, a ja bałam się, że się poduszą. Dno, powiadam Pani.

Jicks wrócił po trzech tygodniach, na moje urodziny, 11 sierpnia. Od trzech lat stałam na dwudziestu jeden, jak sobie życzył, ale miałam już dwadzieścia cztery. Dziś, po tych wszystkich idiotyzmach, straciłam prawie rachubę, ale wydaje mi się, że dwadzieścia pięć, do których się przynaję, mam już od dość dawna. Wracając do tematu, Fryderyk po prostu wyskakiwał ze skóry, i mogę Pani powiedzieć dlaczego. Z powodu Normy Shearer! Urodziła się 11 sierpnia, jak ja, w Westmount – dzielnicy Montrealu, ale roku nie chciał mi podać! I jak tu nie wierzyć w przeznaczenie? Za pieniądze, które wygrał w karty od Minerwy, kupił mi młode marmozety. Nazwaliśmy je Sheeta, chociaż był to samczyk, ale zwierzak uciekł, ledwie popróbował pokładowej kuchni i zorientował się, że wpadł w bandę naczelnych. Zniknął przed powrotem naszych myśliwych i prawdę mówiąc, świadomość, że jest wolny, przyniosła mi ulgę.

W gruncie rzeczy nic mu nie groziło. Pewnego wieczoru wysiedli gęsiego z pyrkającego hydrolotu, zmordowani, brudni, wychudzeni, ze zwieszonymi głowami i posępными minami. Przez miesiąc safari w sercu Tanganiki nie upolowali nic poza Bessie.

Nie wiem, jak to się stało. Oni sami nie bardzo wiedzieli. Podobno zmarnowali wszystkie naboje, żeby wypłoszyć z kryjówki antylopę, której nie wolno im było ustrzelić. Po gonitwie konnej znaleźli Bessie z nogami nafaszerowanymi ołowiem. Nieśli ją do najbliższego cywilizowanego osiedla w płachcie z płótna namiotowego, uszytej przez Toledo. Teraz nie-szczęсна dziewczyna leżała przykuta do łóżka szpitalnego w Dar es-Salam, daleko na północy. Stockammer zostawił jej dwa tysiące dolarów na powrót do domu, na Florydę, kiedy już wydobrzeje. Jicks powiedział, że właśnie tak należało postąpić. Toledo chciała, żebyśmy popłynęli do Dar es-Salam i poczekali, aż Bessie będzie mogła odjechać z nami, ale Jicks pogadał z nią na osobności, a kiedy wyszła, miała zaczerwienione oczy i nie upierała się już, żeby czekać.

Zakrętowniśmy więc nową hostessę, młodą, bardzo usłużną Murzynkę, której tylko głowa wystawała z pstrokatej tuniki i która była nie bardziej gadatliwa niż ja w *Eyes*. Znała wyłącznie włoski, a właściwie pewną jego odmianę, charakterystyczną dla dziewczyny z Abisynii mieszkającej w Mozambiku. Od załogi jachtu dostawała sporo czułych liścików, a mnie prosiła o ich tłumaczenie. Próbowалаm przekazać jej przy użyciu gestów, czego każdy z nich od niej chciał. Żal mi mimów. Na szczęście o tyle łatwiej mogłyśmy się dogadać, że śpiewka była wciąż ta sama. Z melancholijnym uśmiezkiem kiwała głową, wzdychała rozczulona i mówiła, co mam odpowiedzieć. Tu też nie było większych różnic. Na początku odpisywałam uprzejmie, na jachtowym papierze listowym, żeby wsadzili go sobie pod pachę albo popróbowali szczęścia z Chińczykiem, ale Murzynka otrzymywała coraz pilniejsze i bardziej szczegółowe oferty, w końcu więc ograniczałam się do pisania „gówno” przez całą kartkę, a ona podpisywała się pod spodem: „Diali”.

Nie dałabym głowy, czy nie uległa naciskom podczas rejsu przez Ocean Indyjski. Jej słownictwo roilo się od wstrząsających amerykańskich wulgaryzmów, a najbardziej interesowało ją, poza tym, kto jest na warcie, co zrobić, by zająć miejsce Toledo jako mojej sprzątaczkii i podbierać mi bieliznę, która pasowałaby do jej skóry. Zawsze wszystko odkładała na miejsce, czyste i starannie wyprasowane, nie w tym rzecz, ale można właściwie wykluczyć myśl, że Fryderyk ją przeleciał. Po pierwsze, poznałabym jego pismo. Po drugie, mówił po amerykańsku tak, jak ja gram na puzonie. Po trzecie, i jest to szczerą prawdą, jedyną Murzynkę, z jaką się zadał, szorował szarym mydłem, żeby straciła kolor.

Krótko mówiąc, uciekaliśmy z Afryki jak złoczyńcy, biorąc kurs na Seszele, Malediwy i Indie. I ani słowa o oglądaniu piramid! Jicks stwierdził, że równie dobrze, jeśli nie lepiej, będzie osadzić akcję filmu Stockammera w hinduskich świątyniach, że budowa dekoracji nie będzie wcale droższa, ba – raczej tańsza, i tak dalej. Ja zagram poszukiwaczkę przygód w szortach i sprofanuję posąg boga Kali, kradnąc z niego masę diamentów, a to na chleb dla mojego brzdąca, ale Rathbone albo Carradine, a może Bickford ze względu na terminarz, usiłując zagarnąć mą zdobycz, bezmyślnie wzniesi gniew świętego wulkanu, podkładając podeń dynamit. I zanim nieszczęsny Ray Milland zdoła naprawić unieruchomiony w samym sercu dżungli samolot, raz po raz ocierać się będę o śmierć i zagrozi mi nawet, że zostanę żywcem pogrzebana pod wrzącą lawą. I tu niepewność – czy umarłam, czy przeżyłam, okaże się dopiero na samym końcu – nakręcimy dwie wersje. Fru-Fru stwierdza, że Fru-Fru ma to w nosie, i odchodzi, żeby wrócić do swego potajemnego życia z Fryderykiem. Inni wieczór w wieczór, nawet przy pięknej pogodzie, przesiadują w salonie, wymyślając tytuł.

A oczywiście usiłują wybrać coś, co zawiera się pomiędzy czubkiem mojej głowy a końcami palców u nóg. Stockammer mówi, że ta cholerna kość, mięsień czy inny gnat, na który się zdecydują, musi mieć coś wspólnego z filmem. Jicks tego nie rozumie. Orzeł-czy-Reszka też nie, Esmeralda była w rozterce. Mathieu także. Koniec końców – niech mnie ustrzelą jak zająca, jeśli kłamię – porwali moje ciało na drobne kawałki, wrzucili je do kapelusza mistrza i co wyciągnęli? *Lips*. Genialne. Zgodnie uznali, że to będzie narkotyk następnego sezonu i gratulowali sobie, niczym staruszki, które wygrały właśnie parafialny konkurs na najlepsze ciasto. A Fru-Fru powiedziała, że ma to gdzieś, i że obchodzą ją tylko usta Fru-Fru, i żeby nie wpadło im do głowy, że mogą wyprawiać z nimi jakieś cuda, żeby lepiej pasowały do tej ich historyjki.

Mam ten fach w małym palcu, to nic trudnego. Przy takim tytule pismakowi, którego wynajmą, będą płacić chyba za liczbę pocałunków, jakie każe mi rozdzielić w ciągu tych osiemdziesięciu minut. Zaczyna się od Millanda, Carradine'a, Rathbone'a, Bickforda, Petera Lorre'a i Borysa Karloffa, potem trzeba dorzucić posąg boga Kali, ten, który ma płuć perłami, potem ściągnąć statystów, całą hinduską wioskę, żeby powitali wychodzących z płonącego samolotu bohaterów, w tym dziwacznie zachowującą się kapłankę, a potem pozostaje już tylko paść w objęcia krokodylom. Co ja opowiadam?! Ten łajdak każe mi całować 1 a w ę, pieprzony symbol, który ma mnie pochłonąć, ale że dla niego nigdy nic nie jest dość realistyczne,

zmusza mnie do powtarzania ujęcia, aż zamienię się w jakiś jarmarczny cud, coś w rodzaju Kobiety bez Ust (informacja o tym, jak je, znajduje się na klatce).

I czy wie Pani, co mnie ocaliło, dzięki jakiemu zwrotowi losu zdołałam umknąć tym potwornościom? Powiem Pani. Można było spodziewać się wszystkiego poza tym. Japończycy zbombardowali Pearl Harbor!

Nigdy nie widziałam, żeby Jicks uronił łzę, żeby poczuł się bezradny wobec jakichś wydarzeń, żeby był do tego stopnia zbity z tropu, żeby przez godzinę i czterdzieści minut wisiał na telefonie z Hollywoodem, a nawet nie zapytał, jak wczorajszy dzień wypadł w jego kinach. Nigdy aż do tego dnia.

Łza zabłysła w jego oku mniej więcej o dziewiątej wieczorem czasu lokalnego, kiedy podczas kolacji marynarz pochylił się nad nim i szepnął mu do ucha, co się stało. Potem zadzwonił do agencji prasowej. Potem zamknął się u siebie.

Nazajutrz, przy śniadaniu, był znowu sobą. Powiedział nam, że Japończycy to skurwiele, ale że na szczęście nasze lotniskowce nie znajdowały się w czasie ataku w rejonie Hawajów i że już teraz, nawet gdyby wojna miała potrwać dziesięć lat, on pewien jest zwycięstwa. Wpływaliśmy do Zatoki Bengalskiej. Powiedział, że trzeba zapomnieć o Kalkucie, która zresztą i tak jest brudna, hałaśliwa i nieciekawa. Skierowaliśmy się w stronę Singapuru i Filipin, żeby dotrzeć do domu.

Sądzę, że ta decyzja wszystkich ucieszyła, nawet jeśli nikt nie śmiał okazać radości w godzinie żałoby. Zapytałam Fryderyka, co o tym myśli. Nic nie myślał, nie miał pojęcia, z jakim przyjęciem spotka się w Ameryce. Nie miał paszportu ani żadnych innych dokumentów. Jeśli po tej długiej podróży miałyby gnić w więzieniu amerykańskim zamiast we francuskim, w otoczeniu nieszczęśników, którzy nie znali nawet jego języka, to niewiele by zyskał. Zwłaszcza że miał pewne wątpliwości, czy spodoba mu się amerykańskie żarcie.

Ale trzeba być głupcem, żeby martwić się na zapas. Nic nigdy nie dzieje się tak, jak się człowiek spodziewa.

Po pierwsze, Jicks nie chciał już występować pod szwajcarską banderą. Oświadczył: „Szwajcaria może chronić pieniądze, nie tchórza. Jestem Greko-Francuzo-Żydem i obywatelem Stanów Zjednoczonych, szcycę się moim pochodzeniem i ojczyzną”. Wszyscy więc zebrali się na pokładzie głównym, by być przy podnoszeniu gwiazdzonego sztandaru. Jicks powiedział, że pozostawimy również Krzyż Lotaryński, bo na pokładzie jest czworo Francuzów, więc przynajmniej w ten sposób można uhonorować

ich obecność. Nie umiem szybko liczyć i przez godzinę napsułam sobie krwi i prawie połamałam płaczące się palce ze strachu, że odkrył obecność Fryderyka, ale poza Mathieu, mną i kucharzem Jicks liczył jeszcze Esméraldę, która urodziła się w Roquefort, chociaż nie zdążyła rozsmakować się w tamtejszych serach, a ja byłam święcie przekonana, że wyszła prosto z penthouse'u przy Washington Square z dyplomem Vassarda w zębach.

Potem pamiętam już tylko desperacką ucieczkę przed Japończykami. Posuwali się znacznie szybciej niż my. Nim dopłynęliśmy do Singapuru, oni rzucili się na Hongkong, Tajlandię, Birmę, Malezję, atakowali Filipiny. Musieliśmy zmykać na południe. Jicks rozwiesił w salonie ogromną mapę Pacyfiku i Azji i powpinał w nią małe chorągiewki. Nie mam pojęcia o strategii, ale i bez tego zorientowałam się, że mrowisko żółtych, skośnookich istot rozrasta się z każdym dniem i wkrótce odetnie nam drogę na wschód, zmuszając do wzięcia kursu na Australię.

Tak właśnie się stało. Nowy Rok powitaliśmy w Darwin, ale nie mieliśmy serca do zabawy. Załadowaliśmy tyle paliwa i żywności, ile „Pandora” mogła pomieścić, uzbroiliśmy przedni i tylny most w potężne karabiny maszynowe i ruszyliśmy na Pacyfik, prześlizgując się obok Nowej Gwinei. Tuż przed nosem żółtych mrówek. Na Morzu Koralowym było gorzej. Ani trochę miejsca, nawet dla pontonu. US Navy poprosiła nas, żebyśmy popłynęli bawić się gdzie indziej, i musieliśmy wziąć kurs na południe.

Przybiliśmy do brzegów Nowej Kaledonii, żeby naprawić usterkę nie wiem czego. Tu też wszyscy szykowali się do wojny. Potem całymi tygodniami płynęliśmy wzdłuż Zwrotnika Koziorożca, a na wielkiej mapie w salonie sprawdziłam, że Japonce nigdy tu nie dotrą, chyba żeby zamierzali zająć Antarktydę i od dołu zaatakować Eskimosów. Zdarzało się od czasu do czasu, że jedno z ich „Zer” wyłaniało się z błękitnych przestworzy i zbliżało, by sprawdzić, czy stanowimy cel godny śmierci kamikadze. Wtedy na jachcie ogłaszano alarm, ktoś z załogi ostrzeliwał z karabinu maszynowego wroga, ten jednak zwykle oddalał się, nim dosięgły go kule.

W sumie raz w życiu udało mi się zobaczyć Tahiti. Spędziliśmy tam cały maj i czerwiec 42 roku, raz jeszcze z powodu silnika, i Fryderyk odważył się zejść na francuską ziemię, wprawdzie tylko nocą. Jeżeli miałabym polecić pani coś w Papeete, to właśnie życie nocne. Stosunkowo szybko znudziły mi się palmy i śmietniki w blasku księżyca, wołałam już siedzieć w domu i gapić się na jakiś durny film albo pleść o młodości i miłych chwilach spędzonych w Mozambiku.

Nikt z naszego jachtu nie przejawiał zresztą większego zamiłowania do turystyki. Jicksa pochłaniały sprawy wojny. Kazał oprawić zdjęcia MacArthura i Nimitza i powiesić je w jadalni. Przed każdym posiłkiem wznosił toast za ich zdrowie, a z jego oczu wyczytać można było wzruszenie i ślepe zaufanie. Esmeralda wyjaśniła mi kiedyś, że w ciężkich, ale podniecających chwilach widział w Dougu, w tej fajce i ciemnych okularach, ojca, którego nie miał, a w admirale wielkiego marynarza, którym sam chciałby być. Było to tak oczywiste, że aż wstyd, iż wcześniej na to nie wpadłam. Ale nie wstydziłam się ani trochę, bo po pierwsze, przywykłam, że Esmeralda traktuje mnie jak idiotkę, po drugie, dawno już zauważyłam, że wszyscy, od niej poczynając, wariują. Gdy płynęliśmy wzdłuż wybrzeży Sumatry, kazała mi przysiąc, że nie dopuszczę, by żywcem wpadła w ręce tych bezlitosnych, skośnookich zbrojców, gdyby przypadkiem nas pojмали. Wtedy miałam strzelić jej w łeb. Odgarnęła włosy i dokładnie pokazała mi gdzie. Zaciągnęła mnie do kajuty, wyjęła mały pistolet z kolbą z kości słoniowej i wyjaśniła, jak się nim posługiwać.

Nawet Orzeł-czy-Reszka wpadła w histerię. Już przedtem rzadko się do mnie odzywała, ale teraz nie mówiła ani słowa. Wie Pani dlaczego? Bo podzieliła się ze mną pewnym pomysłem – żebyśmy nosili kaski, a nocami pełnili warty przy karabinach maszynowych „na wypadek gdyby wśród nas znalazł się szpieg”. Domyśla się Pani, że musiałabym przełożyć moją odpowiedź na nieco stosowniejszy język.

Nim wyruszyliśmy w dalszy rejs, Jicks zebrał nas i bardzo poważny, uprzedził, że przed nami najdłuższy i najbardziej uciążliwy odcinek drogi. Będziemy płynąć bez przerwy, aż ujrzymy latarnię morską w San Diego w Kalifornii. Tysiące kilometrów głębi morskiej i żadnego wsparcia prócz naszej własnej odwagi i łaski Boga. Jicks niechętnie przystał, by zawinać do Honolulu i rozejrzeć się po sklepach. I tak zresztą nigdy tam nie dotarliśmy.

A oto zakończenie. Ale nim je opowiem, muszę wyjaśnić jeszcze sporo spraw: o utarczkach o byle głupstwo pomiędzy Fryderykiem a mną, o popołudniu, kiedy on siedział zamknięty w składziku pod pokładem, a ja cisnęłam pudła z filmami do morza, o nocy, gdy wyrzucił mnie z własnego łóżka, a ja spałam jak pies na dywanie i o całej masie innych zdarzeń, równie bolesnych co ulotnych. Powinnam opowiedzieć o czasie, który mija i pożera miłość, o nudzie, która stała się dla nas wrogiem nie mniej groźnym niż Japończycy. Ale po co? Każdy by zrozumiał, że coraz rzadziej kochał się ze mną.

Kiedy mężczyzna, który kochał się z Panią przez wiele miesięcy, na

wszelkie sposoby, zaczyna być znudzony, nie warto łamać sobie głowy nad powodem. Istnieją tylko dwa: albo znalazł sobie inną, albo od zbyt dawna nie miał innej. W zasadzie podejrzewałam wszystkie dziewczyny z jachtu. Ponieważ było ich tylko cztery, bez trudu odgadłam, która poderwała mi Fryderyka. Didi odpadała, już pisałam czemu. Orzeł-czy-Reszka, pomiędzy Mathieu z tyłu, Stockammerem z przodu, że scrabble'ami w rękach, krewetkami w gębie, kaskiem na uszach i lufą karabinu maszynowego gotowego do użycia, doprawdy tylko cudem mogłaby jeszcze dobrać się do kutasa mojego kochasia. O Esmeraldzie nie ma co nawet myśleć. Wróciłby wykastrowany. Pozostawała Toledo. Biedna Toledo, jakże wyrzucam sobie dziś me mordercze plany, tortury, jakim poddałam ją w myśli. Nie była mi rywalką, ale idąc jej tropem z bezwzględnością, jakiej nauczyłam się w harcerstwie, odkryłam obrzydliwą prawdę.

Pewnej nocy w czasie pełni, po sprzeczce, która wystarczająco usprawiedliwiała fakt, że Fryderyk nie przyszedł do mnie, wdrapałam się na górny pokład i zapukałam do drzwi kabiny hostess. Toledo spała, Didi także. Powiedziałam, że pomyliłam schody, i przeprosiłam. Pomyślały pewnie, że jestem pijana. Nie byłam, choć pocieszałam się dwiema butelkami szampana. Świetnie nad sobą panowałam i byłam zdecydowana odnaleźć łajdaka, bez względu na to, w którym kącie przeklętej łajby się zaszyl i z kim – babą, facetem czy zwierzęciem.

Ubrana w czarną koszulę nocną, zataczając się, obeszłam z tym zamiarem pokład kołyszącego się jachtu. Usiłowałam zaglądać do kajut przez okienka. Tylko jedna była oświetlona. Nim do niej dotarłam, otworzyły się drzwi. Ledwie zdążyłam uskoczyć w mrok. Musiała być jakaś druga, trzecia rano. Kabina należała do Orła-czy-Reszki.

Żarłoczne babsko było tak jak ja w koszuli nocnej, tyle że białej. W podwójnym oświetleniu – blasku księżyca i świetle z kajuty – wyglądała jak zjawa. Zobaczyłam, jak ta zjawa ogarnia ramionami Fryderyka, jak jej usta pożerają go i o mało nie padłam trupem, tak bardzo było to odrażające. Kiedy migdalili się na moich oczach, gryzłam palce, żeby nie zemdleć, żeby powstrzymać się od krzyku i łez. Wreszcie wypluła go. Miał na sobie zakardowy sweter, który mu ofiarowałam. Minał mnie, nie zauważając. Patrzyłam, jak znika na schodach.

Kiedy zebrałam dość sił, żeby wyjść z mroku, Orzeł-czy-Reszka zamknęła już drzwi. Zamierzałam iść do kajuty Esmeraldy i wziąć jej pistolet. Podniosłaby wrzask i obudziła wszystkich na łajbie myśląc, że napadli na nas Japończycy i że wybiła jej godzina, ale miałam to w nosie. Zanim

ktokolwiek zdołałby mnie powstrzymać, byłabym już o krok od dziwki i z rozkoszą życzyłabym jej, żeby smażyła się w ogniu piekielnym, kiedy już zabiję ją w tym samym łóżku, po którym tarzała się z moim kochankiem. Sześć kul w ciało tej mlecznej krowy. Wszędzie pełno krwi. Nie wymknęłyby się, nie pomógłby jej nawet kask.

Stojąc u drzwi Esmeraldy płakałam, nie widziałam nic przez okulary, wiedziałam tylko, że działając zgodnie z tym planem, na zawsze utracę Fryderyka. Aresztują go, poderzną mu przeze mnie gardło. Nie chciałam go stracić. Chciałam, żeby do mnie wrócił cały i zdrow. Musiałam z nim porozmawiać, powiedzieć, że mu wybaczam, że to nic, że kłopot tylko w tym, że ta poczwara jest na pewno zarażona jakimś choróbskiem, zakaźnym świństwem, ale już ja potrafię go zdezynfekować i więcej o tym nie wspomnimy.

Albo, powiadała sobie w duchu Fru-Fru o mało nie zjeżdżając ze schodów na uroczym zadku, dam mu do wyboru: ja albo śmierć, ale do tego trzeba było broni. Z tego właśnie, a nie żadnego innego powodu potłukłam szybę w korytarzu i chwyciłam ogromny przedmiot podobny do pistoletu i drugi podobny do naboju. Przy okazji rozcięłam sobie prawą dłoń. Blizna została mi do dziś. Jasne, że straciłam wtedy głowę.

Kiedy pchnęłam drzwi do schowka, zrobiło się nagle jak na początku podróży. Ubrany w koszulkę Lacoste'a i białe spodnie Fryderyk leżał na porwanych materacach, pomiędzy konikiem z karuzeli a pustą butelką po winie, którą przerobił na lampę. Wsparłszy brodę na dłoni, czytał książkę. Tak bardzo go kochałam, że nie byłam w stanie wydusić słowa. On, wytrzeszczając z przerażenia oczy, krzyknął:

– Fru-Fru! Błagam, odłóż to! To wyrzutnia rakiet! W dodatku, cuchnie benzyną!

Rozszalała, odpowiedziałam:

– Mam to gdzieś! Co czytasz?

Z wrażenia zapomniał. Zerknął na książkę.

– *Opowieść Artura Gordona Pyma.*

Uklękałam przy nim. Przysięgam przed Bogiem, który mnie zna, że nie zamierzałam już nikomu, a zwłaszcza Fryderykowi robić krzywdy. W blasku tej głównianej lampy był piękniejszy niż kiedykolwiek. A może piękno dostrzegamy w tym, co się nam wymyka. Zapytałam:

– Kto to napisał?

– Edgar Poe. Tłumaczenie Baudelaire'a.

– Widzisz, wszystko przede mną ukrywasz. Nigdy nie widziałam cię z książką.

Wziął mnie w ramiona. Całował mnie delikatnie, tak delikatnie, że zaczęłam mazać się jak idiotka, którą wciąż jestem. Żadne z nas nie wiedziało, że była to ostatnia minuta naszego wspólnego życia, że nigdy już się nie spotkamy.

Ze zwieszoną głową, smutnym głosem powiedział:

– To nie moja wina, że cię zdradziłem. Zmusiła mnie. W przeciwnym razie powiedziałyby o wszystkim. A wiesz, co by się stało. Albo wróciłbym do cytadeli na resztę życia, albo rzuciliby mnie do morza.

Wzniósł na mnie oczy – czarne i lśniące, naiwne i niespokojne, już po raz ostatni. Szepnął:

– Fru-Fru, widziałaś te wszystkie rekiny, które za nami płyną?

Widziałam je. Poglądziłam go po włosach. Zapytałam – bo jestem kretynką, kretynką, tak – kretynką i nigdy nie daruję sobie tego pytania:

– Od jak dawna to trwa?

– Widziała, jak wychodziłem z twojej kabiny.

– Kiedy?

– Nie pamiętam, kiedy opuściliśmy Nową Kaledonię.

To było jak cios poniżej pasa. Nie liczę szybko, ale bez przesady. Krzyknęłam:

– Nową co?... Okłamywałeś mnie przez ten cały...

Z oszołomienia, wściekłości, żalu, poderwałam się na równe nogi i oczywiście walnęłam głową w sufit. Jęknęłam, obolała:

– Cholera!...

W tej samej chwili z broni, którą trzymałam w ręku, wydobył się ogłuszający huk. Przez dwie, trzy, może cztery sekundy z rozdziawionymi ustami przyglądaliśmy się oboje – Fryderyk na siedząco, ja na stojąco, jak cholerna rakietka szamotała się we wszystkie strony po składziku, jak ognistym zygzakiem przeszywała przestrzeń, a potem cały świat wyleciał w powietrze.

Kiedy odzyskałam zmysły, owinięta w koc leżałam na dnie łódki, z głową na kolanach Toledo. Czułam się jak przepuszczona przez maszynkę do mięsa. Jicks siedział obok mnie. Patrzył, jak płonąca na środku oceanu „Pandora” oddala się. Panowała straszliwa cisza. Od Ameryki po Australię słychać było tylko regularny plusk wiosel. Dwie inne szalupy płynęły za nami w mlecznej mgle, jaką w mych pozbawionych szkieł oczach stała się noc. A potem Jicks objął mnie ramieniem i powiedział:

– Mamy szczęście. Gdyby zatopili nas Japonce, nie dostałbym odszkodowania.

Przed południem wszystkich nas wyłowił konwój statków transportowych, które płynęły do Kolumbii. Pożyczyli nam spodnie i pulowery. Policzylimy wszystkich ocalałych. Okazało się, że kiedy tonęła „Pandora”, zginęły dwie osoby – w tym Fryderyk. Dali mi zastrzyk nasenny.

To wszystko. Po powrocie do Stanów przez Bogotę przez wiele tygodni odbywałam rekonwalescencję w rezydencji Jicksa, nad basenem. Nie miałam śladu oparzenia, najmniejszej rany, poza rozcięciem na dłoni, tym od stłuczonej szyby przy wyrzutni. Nie czułam się ani źle, ani dobrze. Czułam tylko pustkę. Teraz mam to gdzieś, może Pani zrobić z tą relacją, co Pani chce, nie zaprzeczę niczemu, ale przed Panią nikt nie wiedział, jak doszło do wypadku, nawet Rachel Dee, moja koleżanka, która sprzedawała koszule Arrow w Westwood. Kolejna żaloszna podrywaczka.

We wrześniu wróciłam na plan. Byłam nawet zadowolona, przynajmniej na początku. Z filmu, który planowali podczas tej piekielnej podróży, pozostał tylko tytuł: *Lips*. Byłam tą pielęgniarką w Bataanie, która całuje w usta dzielnych GI-ów, nim pomrą od ran, i która odnajduje swe dziecko, gdy MacArthur ją odznacza. Potem kręciłam *Legs* i wszystkie te mdłe kolorowe bajki, w których wciąż zmieniam kostiumy, palę papierosy i śmieję się jak obłąkana z durnowatych dowcipów. Mogłoby równie dobrze wziąć gadającą lalkę, zagrałaby lepiej, i nie trzeba by wydawać tyle na okulary.

Jicks zafundował sobie dwa razy większy jacht, „Pandorę II”. Odkąd dwa lata temu odmówiłam wyruszenia z nim w następny rejs dookoła świata, łączą nas czysto zawodowe stosunki. Odkąd rok temu poślubiłam właściciela największej międzynarodowej sieci salonów piękności, rozmawia ze mną tylko za pośrednictwem mego impresario. Od dwóch miesięcy, czyli odkąd zostałam wdową, w dodatku bogatszą od niego, rozgłasza wszędzie, żeby mi powtarzano, że lansuje nową platynową blondynkę, jeszcze bardziej porażającą – domyśla się Pani niż kto – i że dziewczyna zbije majątek.

Ale ja go znam. Dopóki nie wykorzysta wszystkich wariantów tytułu z różnymi częściami mego ciała i nie umieści na koniec mojego tyłka na afiszu, nie grozi mi powrót do roli manikiurzystki w którymś z moich salonów.

Joko

Jestem nikim, zupełnie nikim.

Całe dzieciństwo przeżywam szczęśliwie z rodzicami w Jokohamie. Ojciec jest bardzo srogim japońskim mężczyzną i dyrektorem portu, a matka jest z Talcahuano w Chile i całymi dniami śpiewa i żartuje. Ojciec mawia: „Dosyć, kobieto bez rozumu!” Ale i on śmieje się zasłaniając usta i jest z niej bardzo zadowolony, bo to dobra kucharka. Dlatego moje oczy nie są tak skośne jak oczy moich ziomków. W szkole dziewczynki uparcie nazywają mnie Cielęce Oko, ale nie żywię do nich żalu, puszczam to mimo uszu.

Uczę się Pani języka, angielskiego, hiszpańskiego, a przede wszystkim rysunków, bardzo potulnie. Kiedy dobiegam siedemnastu lat, ojciec ustępuje matce i wyjeżdżam na rok do Paryża, żeby studiować w Akademii Sztuk Pięknych, i bardzo szczęśliwie żyję sobie pomiędzy Luwrem, bulwarem Saint-Michel i Sekwaną i wśród innych piękności. Kocham się w jednym koledze z Akademii, a potem w drugim bardzo ładnym, cii... Nigdzie nie uśmieiałam się tak jak w Paryżu. Odkąd rozstałam się z kolegami, jestem bardzo smutna, a kiedy czasami dostaję od nich pocztówki, płaczę jak beksa, ale przecież takie już jest życie, prawda?

W dwa lata później, kiedy mam już dyplom grafika, ojciec godzi się na prośby matki i wyjeżdżam na rok do Melbourne i Sydney, żeby wyszlifować angielski. Na nieszczęście, jest wojna, zabiera mnie japoński okręt, którym mam wrócić do domu. Bum! Storpedowany.

Przez wiele nocy i dni liczna grupka ludzi na szczątkach okrętu płynie przez ogromny ocean, jedząc łatwe do złapania drobne rybki i pijąc wodę deszczową. Wyrzucamy za burtę osierocone niemowlę, dwie stare kobiety i

trzech mężczyzn, którzy nie żyją. I jeszcze wielu innym braknie sił, i unoszą ich wysokie fale. Często płacząc zaszyta w jakimś kącie, myśląc o rodzicach i nie czuję nienawiści, ale pragnę, aby Amerykanów spotkała kara za to wszystko.

Na szczęście mam zdrowie po matce, której prababka żyje w Talcahuano w Chile i liczy sto dwanaście lat. Pewnej nocy dopływamy do brzegu i potem, w blaskach wschodzącego poranka widzę, że wyrzuciło mnie na łódź z wysokimi drzewami, których nazwy w Pani języku nie znam, a obok mnie leży na piasku sześciu marynarzy z mojej ojczyzny.

To pora palącego słońca. Nasze ubrania są podarte. W usmolonym kimonie mam tylko jeden rękaw. Moi towarzysze są jeszcze bardziej obdarcici i przerażeni naszym losem. Podaję ich imiona: Dowódca Joshiro, Tadashi, Akiro, Nagira, Kenji i Kimura. Przez wiele godzin leżą obolali w cieniu drzew i chodzą byle gdzie do wody, patrząc na kres oceanu, i podnoszą pięści, i krzyczą okropne słowa.

Następnego ranka Joshiro zbiera wszystkich i mówi do nich całkiem rozsądnie, potem układają na piachu wszystkie rzeczy z nieszczęsnego okrętu, których nie chciał ocean. Gęsiego idziemy na plażę w stronę wschodzącego słońca. Maszerujemy długo. W wielu miejscach natrafiamy na wodę pitną. Widzimy ptaki i ryby łatwe do schwytania i kraby, które żyją na lądzie i wchodzą na drzewa. Nie znam ich nazwy w Pani języku, ale są bardzo smakowite. Nasze oczy nie widzą na plaży ludzi ani znaku, żeby kiedykolwiek tu żyli. Jest dużo ogromnych bambusów i Joshiro śmieje się, bo możemy zbudować dom, żeby schronić głowy i czekać na pomoc. Nie myśli, żeby budować statek, to plan Tadashiego i Kenjiego, i Kimury. Mówi, że jesteśmy za daleko od wybrzeży zamieszkanymi przez naszych rodaków. Mówi: „Teraz jesteśmy żołnierzami i zatrzymamy dla naszej ojczyzny tę ziemię, którą dał nam los”.

Posuwamy się wzdłuż oceanu, a kiedy nasze oczy widzą znów zwałone na kupę piachu rzeczy z nieszczęsnego okrętu, słońce grzeje nam plecy. Wiemy już, że znaleźliśmy się na wyspie dużej jak pół dnia marszu. Wewnątrz nie widać żadnej góry, a tylko zieloną dżunglę, pełną krzyku ptaków, nawet nocą.

Następnego ranka zostaję na miejscu z Nagirą, najmłodszym, a inni idą gęsiego między wielkie drzewa. Nagira i ja dokładnie oglądamy wszystkie rzeczy z nieszczęsnego wraku i odkładamy na jedną stronę to, co dobre, a na drugą to, co zniszczone. W tym, co dobre, jest bujany fotel, skrzynka wypełniona spinaczami do bielizny i cała masa podobnych głupot, ale nie ma broni do polowania, ani jedzenia, ani skrawka materiału, żeby się

okryć. Z moich rzeczy znajduję tylko blok rysunkowy i suszę arkusze na piachu, a Nagira znajduje czapkę marynarską.

Nasi kompani wracają przed nocą. Widzą dużo zwierzyny łatwej do złapania i owoce, i wodę pitną, i są zadowoleni. Wspinają się na wielkie drzewa, ale ani śladu innych ludzi. Joshiro gratuluje nam – Nagirze i mnie, dobrej roboty, ale ogląda dokładnie to, co jest dobre, a potem mówi *kuso*, po naszymu „gówno”, i kopie bujany fotel.

W następne dni z żelastwa z nieszczęsnego okrętu robią narzędzia, przede wszystkim Joshiro i Tadashi, którzy mają bardzo zręczne ręce, i wycinają twarde drzewa i grube bambusy, żeby zbudować dom. Budują w sumie trzy tygodnie. Noszę drobne rzeczy i wodę do picia, bo jest bardzo gorąco, i robię jedzenie z ryb i krabów, i często pływam w oceanie, żeby wyłowić małże, wszyscy mi gratulują, bo robię bardzo dobre jedzenie, oczywiście jak na te warunki.

Dom jest zbudowany w miejscu, gdzie wyrzucił nas ocean, na samej granicy dżungli. Jest źródło pitnej wody tuż obok, a ta woda płynie bambusami, które najzmysłniejszy, Kimura, wyłobił i włożył jeden w drugi, i jesteśmy w cieniu drzew aż do wieczora, a piękny cypel z żółtych skał zatrzymuje za silne fale i nie puszcza ich na plażę. To bardzo praktyczny dom i bardzo mocny, chociaż wygląda jak buda. Jest duży na dziesięć moich długich kroków, szeroki na siedem i wystarczający dla wszystkich do spania, a z przodu ma ganek i schodki, żeby zejść na plażę. Pod domem jest tyle miejsca, że mogę tam stać. To dlatego, że ocean rośnie, ale teraz mogę się śmiać, bo nigdy nie jest tak rozgniewany, żeby zmoczyć nam choćby nogi, to praktyczne w porze deszczowej i do trzymania popsutych rzeczy z nieszczęsnego okrętu.

Nocą palimy światło w lampach z tłuszczem zwierząt i ryb, ale to cuchnie i zaczynamy palić alkoholem z drzewa. To pomysł najcwańszego, Kimury. Kimura umie robić alkohol ze wszystkiego i wszystko sadzić, i wszędzie znaleźć wodę, kiedy trzeba. Ja, Joko, robię maty do spania i zdobię gałęzie papierkami, żeby uczcić bogów tej wyspy i naszych zmarłych rodaków z nieszczęsnego okrętu. Zrobiłam okno i drzwi z kalki kreślarskiej, i dużo naczyń do jedzenia i picia, i śpiewam, kiedy zachodzi słońce, i jesteśmy tacy smutni, daleko od ojczyzny. Śpiewam piosenki z dzieciństwa i matczyne, i świńskie piosenki kolegów z Akademii Sztuk Pięknych w Paryżu, i tłumaczę słowa, a wszyscy świetnie się bawią.

Przez cały czas, jaki spędzamy na wyspie, moi kompani nie mówią mi nigdy nic niesmacznego ani wulgarnego. Chwalą mnie za pracę, dają mi

kwiaty i muszle i wszyscy mają na mnie wielką ochotę, ale szanują. Po krótkim czasie widzę, że bardzo cierpią z tej ochoty, kiedy tak chodzę po plaży albo pływam, albo leżę na macie. Żeby nie dopuścić do oplakanych w skutkach sporów i żeby zadowolić me żywe pragnienie seksu, daję jeden dzień w tygodniu każdemu z nich, siódmy pozostawiając sobie na wypoczynek. Nie mówię, z którym kompanem mam najwięcej przyjemności, bo złożyłam na brzegu oceanu, tam, gdzie kończyły się żółte skały, przysięgę, że nigdy tego nie powiem.

Każdego dnia, kiedy są w dżungli, nurkuję w wodzie, która oczyszcza, piórę zniszczone kimono, układam na patykach długie włosy, żeby być piękną, na ile się tu da. Nie chcę, żebym ja, Joko, szła do dżungli, bo tam są węże i złe duchy, które mogą mnie porwać. Są marynarzami i ufają tylko ogromnemu oceanowi.

Joshiro, dowódca i inżynier na nieszczęsnym okręcie, każe ściąć wielkie drzewo i wbijają je w piach na plaży, żeby wywiesić naszą flagę z kawałków pozszywanych koszul, wymalowanych krwią zwierzęcia, ale krew robi się czarna i najzmyślniejszy Kimura uzyskuje czerwień ze zgniecionych kamyków. Kiedy stoją wszyscy przed flagą, a ja za nimi, na piachu, Joshiro mówi: „Jesteśmy w strojach żebraków, nie mamy broni, ale żyjemy, a nasze życie należy do Cesarza, któremu winniśmy szacunek za zwycięstwo”.

Tak żyjemy wiele dni pod palącym słońcem, polując, łowiąc i śmiejąc się, a czasem bez powodu płacząc. Ja idę do domu, kiedy słońce zachodzi, i prowadzę za rękę mego kochanka, a inni zostają na zewnątrz i siedząc na piasku popijają w milczeniu alkohol Kimury albo opowiadają o szczęśliwym życiu marynarza. Potem jak minie zadowolenie z seksu, myślę o rodzinie i o naszym pięknym domu w Jokohamie, i marzę, żeby znaleźć się tam chociaż we śnie.

I tuż przed porą deszczową nadchodzi ten dzień, który nigdy nie zniknie z mej pamięci. Moi kompani idą do dżungli złapać dziką świnię, którą widzą wiele razy, i Joshiro kroczy pierwszy ze zrobioną własnoręcznie włócznią, a inni mają noże i splecione z trawy sznury. Najmłodszy Nagira w marynarskiej czapce idzie ostatni. Liczy dwadzieścia lat, jak ja.

Są daleko przez godzinę, nie dłużej. Myję naczynia po jedzeniu w oceanie. Wtedy słyszę z dżungli puk-puk-puk, prostuję się i znów słyszę puk-puk-puk, odgłos tej strzelby, która pluje wieloma nabojami i – nie wiem, jak to się nazywa w Pani języku, pistoletu maszynowego.

Długo nie słyszę nic i chodzę sobie po plaży, bardzo wystraszona, i wzywam duchy tej wyspy na pomoc moim kompanom. Wtedy widzę na

własne oczy Joshirę, który biegiem wypada z dżungli i krzyczy: „Oni wszyscy nie żyją! Nie żyją!” A ja, Joko, biegnę do niego i wkrótce jesteśmy razem, upadamy na piasek, a Joshiro płacze jak kobieta i mówi: „Wszyscy, o my nieszczęśni! Wszyscy zabić!” I widzę, że trzyma w ręku strzelbę, która dużo pluje.

Prawda jest taka, że idą gęsiego wąską ścieżką przez dżunglę, żeby złapać dziką świnię, i patrzą pod nogi, szukając śladów. Wtedy najmłodszy Nagira zauważa w trawie biało-czerwona kulkę papieru, która przyciąga jego oczy, i bierze ją do ręki. Już mówię, co to było: opakowanie po papierosach Lucky Stricke. Bardzo wystraszony Nagira rzuca dookoła wzrokiem i krzyczy: „Wróg! Alarm! Wróg!” A Joshiro, dowódca, widząc papier w jego ręce, mówi: „Zamknij się, durniu!” Jednocześnie tak jak Nagira rzuca wszędzie spojrzenia i inni robią to samo, i już Pani mówię, co widzą wszyscy nad głowami: nieprzyjacielskiego lotnika, który wisi wśród gałęzi wysokiego drzewa razem ze spadochronem, i jest z nim źle, ale jeszcze żyje. Wtedy moi kompani chcą się ukryć w trawie, bo wróg trzyma w ręku wycelowany w nich pistolet maszynowy, ale nieszczęściem nie mogą, a ja właśnie wtedy myjąc naczynia słyszę puk-puk-puk, a oni padają wszyscy, nie mając nawet czym się bronić. Przeznaczenie ochrania tylko Joshirę, który bardzo mocno rzuca włócznią we wroga, jak polując na wieloryby na Hokkaido, i wydaje okrzyk zwycięstwa, zabierając pistolet leżący w trawie, i z zadowolenia robi puk-puk-puk, bo przez całą tę rzeź, parę sekund, widzi śmierć wszystkich swoich towarzyszy.

Oto bolesna opowieść Joshiry, tak jak ją słyszę z jego ust, gdy leżymy na piachu. Przez długą chwilę pozostajemy tak, przygnębieni i pełni żalu, i myślę, że nigdy już się nie podniosę i nie będę szła po wyspie, i nie będę dalej żyła. Ale Joshiro odzyskuje siłę woli i mówi: „No, trzeba tam iść i zabrać ciała, zanim pożrą je zwierzęta”.

Tak z Joshirą wchodzę po raz pierwszy do dżungli. Kiedy docieramy oboje do miejsca tej jatki, płacząc bezradnie, dotykając dłońmi twarzy mych nieszczęsnych kompanów. Jeszcze poprzedniego dnia pieściłam Kenjiego na macie, a on doznał dużo rozkoszy w mych ustach i brzuchu, i mówił mi poezje, które układa, kiedy jest sam. A jeszcze przedtem najmłodszego Nagirę, który każe mi złożyć przysięgę, że zostanę jego żoną, kiedy już zostaniemy ocaleni i zabrani do ojczyzny. I Kimurę – najzmyślniejszego, który chce zobaczyć, czy małe ryżowisko, jakie uprawia, da pożywienie, kiedy nadchodzi pora deszczowa. I najsroźszego Tadashiego, który kocha się ze mną z zapalem i długo, żeby mieć zadowolenie. I Akirę, najstarszego,

który liczy czterdzieści osiem lat i którego nazywamy Popeye, nie mam pojęcia dlaczego, i który zaśmiewa się ze mną przez cały czas. Wszyscy, wszyscy leżą, jeszcze ciepło jak żywi, a na nich pełno krwi i ziemi. Cii...

Joshiro i ja wlecemy trupy za nogi z dżungli na plażę, a kiedy Joshiro pierwszy tam dociera, zawraca biegiem do mnie, bo nie mam dość siły, i pomaga mi. Potem wspina się na drzewo, gdzie wisi wróg, i odcina gałęzie, żeby spadł razem ze spadochronem. Mówi mi, co myśli – że ten człowiek został nocą zniesiony na wyspę przez wiatr, a jego samolot gdzieś daleko trafiony przez naszych rodaków, bo jeśli strąciłiby go tutaj, huk by nas obudził.

Naprawdę, dowiem się później, samolot wcale nie został trafiony, ale palił się mu silnik i spadł do wody blisko wyspy. Na nieszczęście ptaki i zwierzęta, które krzyczą nocą, przeszkadzają nam go usłyszeć.

Wróg jest Amerykaninem, porucznikiem, a na tabliczce ma napisane Howard J. Fairchild. Myślmy, że ma trzydzieści lat, jest wysoki i ma żółte włosy, i nie jest żonaty, bo bez obrączki. Jestem zadowolona, o ile to możliwe, że jego śmierć nie zadaje bólu kochającej żonie i może dzieciom. Joshiro mówi, że i jego zaciągniemy na plażę, chociaż zabił naszych, bo śmierć nie robi żadnych różnic pomiędzy nieszczęsnymi żołnierzami, i że dla nas to hańba porzucić jego trupa zwierzętom.

Tak robimy. Przed odejściem z tego przekłętą miejsca Joshiro bierze dwa pasy z nabojami, które nasz wróg miał na piersiach, i uważnie rozgląda się wokół drzewa. Znajduje dobry nóż, który upadł w trawę, i mówi: „Rozumiem, dlaczego ten człowiek nie może się uwolnić i zabić nas wszystkich we śnie.”

Potem, na plaży, biorę ubranie i buty wroga, a Joshiro idzie naciąć drzewa, żeby rozpalić duży ogień i zrobić wszystkim pogrzeb jak trzeba. Myję pitną wodą ciała naszych i wroga. Zanurzam się w morzu, bo i ja chcę być oczyszczona, potem czeszę włosy i nakładam kolory na policzki i oczy, żeby uczcić zmarłych. W zachodzącym słońcu Joshiro wciąga trupy na starannie ułożony stos, poci się bardzo i płacze wstydliwie, i wtedy widzę na własne oczy, że traci odwagę i rozsądek. Leży na piachu zwinięty w kłębek, płacząc i waląc rękami, i mówi: „To zbyt ciężko palić ciała mych dzielnych przyjaciół i młodego, niespokojnego Nagiry, to dla mnie za wiele, już nie mogę”.

A więc pocieszam go łagodnymi słowami i prowadzę do domu, i mówię mu, że los często kobietom każe urządzać pogrzeby mężczyzn, że wzniosł już dobry, wspaniały stos, niech teraz odpoczywa. Daję mu alkohol Kimury i mówię: „Jeżeli chcesz uczcić naszych kompanów, upij się, myśląc o dobrych

chwilach, które przeżyliście na wielkim oceanie i w ramionach waszych panienek, od Chin po Australię”. A on płacze i śmieje się równocześnie, potrząsa głową, a ja idę na zewnątrz i prawie przez całą noc biegam, zbierając i dorzucając dREW do ognia, a płomienie wzbijają się ogromne, i krzyczę do wszystkich: „Nie zapominam, nie zapominam, niechaj wasze dusze powrócą w góry”. Czasami przewracam się. I czasami mam twarz uwalaną w piachu i węgłu. Ale proszę tylko o wybaczenie i wstaję, i biegam bez przerwy, i robię dobry pogrzeb, jak na te warunki oczywiście.

Potem jeszcze przez dwa albo trzy tygodnie jestem sama z Joshirą. Siedzi do wieczora na bujanym fotelu, z pistoletem maszynowym na kolanach i pasami naboarów wokół torsu, myśląc o masakrze, i odzywa się tylko, kiedy chce jeść albo pić. Ja, Joko, chodzę każdego dnia do końca żółtych skał i rzucam do oceanu wiązanki, które robię z kwiatów. To tu rzucam wcześniej popioły ze stosu i starannie oczyszczam to miejsce na plaży, gdzie płoną nasi zmarli, i na wyspie nie ma już śladu nieczystości.

Idę sama do dżungli, szukając wszędzie kwiatów na wianki i śladów gryzoni, żeby zastawić sidła. Moje kimono nie ma już ani jednego rękawa i wlecze się z tyłu; do niego uszyłam ze spadochronu portki. Na plaży i w dżungli jest mi bardzo gorąco, a kiedy słońce zachodzi, mam futrzaną kurtkę Amerykanina. Buty są na mnie za duże, a Joshiro odmawia noszenia rzeczy wroga. Trzeba powiedzieć, że przez cały czas od chwili wyrzucenia na tę wyspę chodzimy boso. Wycinam sobie z butów dobre sandały, żeby chodzić do dżungli.

Tak to żyję – „na wojnie jak na wojnie”, i jeszcze żartuję, i robię dobre jedzenie dla Joshiry, a dom jest bardzo czysty. Niestety Joshiro jest smutny i milczący, całymi dniami buja swe ciało na ganku i nic nie robi, a nocą leży daleko ode mnie na macie mimo mego żywego pragnienia, żeby się kochać. Potem nie wie już, że Nagira i inni nie żyją, a ich prochy są w wielkim oceanie, i czasami beszta Nagirę, który nie zrobił, co mu rozkazano, albo mówi do Tadashiego, który chce budować łódź: „Myślę, że to dobra myśl, Tadashi, trzeba ją zbudować jutro i wrócić do domu”. To wszystko jest bardzo bolesne, po kilku dniach robi się zupełnie jak czterdziestoletnie dziecko i muszę na niego krzyczeć i prowadzić go na skraj dżungli, żeby wypróżnił brzuch.

I przychodzi pora deszczowa. Tego dnia, o którym mówię, masa wody spływa na dżunglę i na plażę, a Joshiro siedzi na ganku, wolno bujając swe ciało, zatopiony we własnym wnętrzu, a ja – Joko, myję podłogę w domu i mogę patrzeć na Joshirę przez otwarte drzwi. Nagle słyszę, że Joshiro jęczy

i na własne oczy widzę, jak spada z fotela i kona na podłodze ganku z toporem wbitym w krwawiące plecy, a fotel wciąż się buja, a mnie z przerażenia krzyk zamiera w ustach. Podnoszę się tylko i patrzę, jak bardzo wysoki mężczyzna w obszarpanym ubraniu żołnierza, z czerwonymi włosami i brodą idzie do naszych drzwi, a za nim drugi zachodni żołnierz, niższy, z żółtą brodą i w kapeluszu na głowie, jak Australijczycy, których spotykałam w ich kraju.

Wtedy cofam się szybko pod ścianę, a oni obaj spoglądają na mnie w milczeniu i widzą, że brak mi broni i siły, żeby ich atakować, więc pozbywają się srogich min i skłaniają głowy, żeby powitać mnie uprzejmie.

Mówią, kim są: australijski żołnierz piechoty William Collinson, lat dwadzieścia pięć, to ten z czerwonymi włosami, i australijski żołnierz piechoty Richard Benedict, dwadzieścia siedem lat, w kapeluszu i z żółtymi włosami. Tego dnia, o którym mowa, chcą przede wszystkim jeść, i dają im pożywienie, płacząc na widok nieszczęsnego, martwego Joshiry, a oni wyciągają topór, ale zostawiają trupa na podłodze ganku. Potem wloką ciało gdzieś, gdzie nie widzę, i zamykają drzwi, i mówią, żebym zdjęła kimono i że zachowam życie, jeżeli pozwolę im zrobić, co chcą. Mówię, że pozwolę im na to, kiedy obmyję ciało mego nieszczęsnego kompana i wyprawię mu stosowny pogrzeb. Są zadowoleni, że mówię po angielsku, chociaż słabo, ale muszą czekać do wieczora, a do pogrzebu deszcz musi ustać trochę, a oni chcą mnie bardzo, bo od wielu dni nie mieli kobiety. Wtedy proszę, żeby dali mi słowo, i obaj to robią, a ja daję im to, czego chcą. Jak nigdy przedtem cierpię, kiedy mnie biorą, zwłaszcza przy Czerwonych Włosach, który robi się bardzo gruby, kiedy we mnie wchodzi i rżnie z zapałem, zarzucając sobie na ramiona moje nogi, a mnie wstyd, że jęczę, i wstyd mi przed tamtym żołnierzem, który jest przy tym.

Kiedy już się zadowolili, patrzą uważnie na pistolet maszynowy i pasy z nabojami, które miał Joshiro, a ja im mówię, jaka była tu rzeź, a oni mi mówią szczegóły wypadku lotniczego. Prawda jest taka, że było pięciu ludzi w samolocie, lecieli z Australii na Hawaje, dwaj Amerykanie, dwaj Australijczycy i jeden brytyjski pułkownik, ranny, ale silnik stanął i próbowali lądować na tej wyspie. A wtedy, widząc, że się nie da, ranny przygrze w polo pułkownik rozkazuje im skakać na spadochronie, i tak właśnie robią. Samolot spada do oceanu po drugiej stronie wyspy. Jest noc i Bill i Dick gubią kolegów. Rankiem szukają ich w dżungli i na plaży. Wtedy ich oczy widzą nasz dom i mnie, i moich sześciu rodaków, zbyt licznych, żeby zaatakować ich z jednym toporem, więc wracają ukryć się tam, gdzie wylądowali na spadochronach.

Przez następne dni jedzą korzonki i owoce, bo są za niezdarni, żeby łąpać ryby, a kraby, które wychodzą na ziemię, budzą ich wstręt. Budują sobie schronienie z gałęzi, przestraszeni, że moi rodacy ich zauważą, a pewnego dnia postanawiają płynąć przez ocean do miejsca, gdzie spadł samolot. Po wielu pływaniach znajdują go pod wodą, głęboko na dwie minuty bez oddechu, i nie mogą tam dotrzeć. We wszystkich sprawach są mniej zręczni niż moi rodacy marynarze, nawet niż najmłodszy Nagira. Przez cały czas do dziś nie wiedzą o rzezi. Naprawdę nie chcą na nas napaść, tylko ukraść broń i żywność. Więc korzystają z szumu deszczu, żeby podejść pod dom, długo patrzą, i widzą, że Joshiro jest ze mną sam, i zabijają go toporem.

Tak to opowiadają dwaj nieprzyjacielscy żołnierze. Są niezadowoleni, że amerykański lotnik jest zabity, ale nie nienawidzą mnie, tylko potrząsają głowami, mówiąc *shit*, co u nich znaczy „gówno”, a potem mówią, że pomogą mi pochować Joshirę.

Rzeczywiście to robią. Kiedy noc jest ciemna, deszcz ustaje i niesiemy lampki na alkohol na piasek, żeby było widniej. Bill i Dick wycinają drzewa toporem i wznoszą stos, ja mówię, jak trzeba robić, a kiedy to robią, ja myję mego nieszczęsnego kompana i przemawiam do niego łagodnie, żeby jego duch był zawsze zadowolony wśród innych zmarłych z jego rodziny albo przyjaciół marynarzy, jeżeli tak woli, i żeby zmylić jego strach, przekazuję mu wiadomości dla Nagiry i Kimury, i innych kompanów.

Potem Bill i Dick kładą jego ciało na stosie razem z dzidą, którą sam zrobił, i dużą butlą alkoholu Kimury, a ja, Joko, obmywam się w oceanie i maluję twarz bielą i czerwienią, z czernią wokół oczu, i robię te wszystkie inne bardzo bolesne rzeczy. Przez długą chwilę stos nie chce się rozpalić, bo jest zmoczony od deszczu, ale potem płomienie buchają wysoko, a ja biegam dookoła pilnując, żeby ogień dobrze się palił. Dwaj wrogowie siedzą na schodkach przed domem, cisi i pełni szacunku dla obrzędu, a potem usypiają, a kiedy ogień dogasa, jest prawie dzień i mogę uciec, ale dokąd?

Tego ranka, o którym mówię, Bill i Dick pomagają mi zanieść prochy na koniec żółtych skał, a ja starannie sprzątam plażę i ganek, żeby zmyć nieczystość. Potem oni chcą opuścić flagę mego kraju, która jest na ściętym drzewie. Mówię: „Ja, Joko, nie mogę wam przeszkodzić, jestem tylko dwudziestoletnią kobietą, sama w waszych rękach, to dlatego oddałam się wam nie gryząc i nie drapiąc, i nie nienawidząc, ale jeżeli opuścicie flagę, nie będzie porozumienia”. Rozmawiają daleko ode mnie i w końcu czerwonołłosy Bill mówi: „Zgoda, zaraz zacznie znowu padać, ta szmata na

nic nam się nie zda. Jeżeli chcesz, to ją zostawimy”. Mówi to inaczej, ordynarnie, nie znam takich słów w Pani języku, ale flaga mojego kraju powiewa na wyspie przez cały czas, jaki z nimi spędzam.

Potem pada przez ponad tydzień i siedzimy w domu, czy bungalowu, nie wychodząc na dwór. Chociaż wrogowie i nie tak inteligentni i spokojni jak moi rodacy, są dobrymi kompanami. Nigdy nie mówią mi przykrych słów ani nie biją. Mamy dużo jedzenia i uczę ich gier, które znam, takich z małymi kamykami, a oni czasami się śmieją, a czasami warczą jak zwierzęta w klatce. Różną mnie obaj, w noc i w dzień, czasami obaj jednocześnie, a mnie wstyd, że mam z tego zadowolenie, ale potem gwizdzę na to. Prawda jest taka, że po niewielu razach są wściekli i nie chcą już robić tego razem, i kiedy jestem z Dickiem, ten drugi idzie na ganek, zamykając mocno drzwi i mrużąc pod nosem brzydkie słowa, a kiedy jestem z Billem, Dick patrzy na nas specjalnie drwiącym okiem i mówi przez cały czas: „Źle rządzisz, pewnie lepiej by sobie dogodziła własnym palcem”.

W końcu nadchodzi pierwszy dzień bez deszczu. Idę z nimi do mokrej dżungli, z liści spadają zimne krople, a Bill i Dick mają na sobie zniszczone ubrania żołnierskie, a ja koszulę zabitego Amerykanina i marynarską czapkę Nagiry na głowie, i tak idziemy do ich kryjówki. To plaża podobna do naszej, ale bez żółtych skał, i fale są tu bardzo silne. Odcinamy i związujemy sznury od spadochronów, zrobione z nowych i bardzo mocnych włókien, a oni owijają tę linę wokół mego ciała i idą do oceanu. Płyną za mną wśród bardzo silnych fal, a potem ocean robi się spokojniejszy i wskazują mi miejsce, gdzie spadł samolot. Płynę sama pod wodą i widzę samolot, i schodzę szybko ku niemu, a on ma przełamane jedno ze skrzydeł i rozglądam się uważnie dookoła. Ocean nie jest tu taki głęboki, jak powiedzieli mi Australijczycy, a ja jestem dobrym nurkiem, bez przesady oczywiście. Tym razem widzę na swe oczy, gdzie można zaczepić linę, ale widzę też, że w samolocie jest woda i wiem, że Bill, który wymyślił, żeby wyciągnąć maszynę, źle ocenia nasze siły.

Kiedy wypływam, mówię im o tym, a oni są bardzo niezadowoleni i zamyśleni, bo mieli nadzieję uratować radio i powiedzieć swoim rodakom, gdzie są. Potem idę znów pod wodę i wchodzę do samolotu przez dziurę przy złamanym skrzydle. Widzę na własne oczy martwego pilota, a także pułkownika, i przeganiam, głośno krzycząc pod wodą, liczne ryby, które ich jedzą, i widzę, że są zjedzeni do kości, i widzę rzeczy z samolotu, które mogą się przydać, ale nie widzę radia, i brak mi powietrza. Więc wypływam

bardzo szybko, a kiedy jestem na wierzchu, zwracam jedzenie, które przedtem zjadłam, i wciąż widzę ryby na ciałach nieszczęsnych wrogów, i długo leżę, nie mogąc nic powiedzieć. Potem mówię tylko, że pilot i pułkownik nie żyją i że ani śladu radia. Wtedy po raz trzeci Dick i Bill zachęcają mnie, żebym wróciła do samolotu, a Dick rysuje na piachu, gdzie jest radio, no i znów idę. Widzę na me oczy wszystkie aparaty, które kierują samolotem, i wiem, że mogę wziąć radio może po trzech nurkowaniach, ale szybko i rozważnie myślę, tak jak umiem, i postanawiam – nie powinnam pomagać wrogom w uprzedzeniu ich rodaków.

Potem mówię Billowi i Dickowi, że radio jest razem z innymi aparatami i że nie mogę go wziąć, nawet gdybym schodziła pod wodę tyle razy, ile mam włosów na głowie. A oni mówią *shit* i są niezadowoleni, i wreszcie chcą, żebyśmy wrócili do bungalowu i pomyśleli nad sposobem wydobycia samolotu. Naprawdę myślą tylko o jedzeniu i spaniu, i spierają się o drobne sprawy, i chcą się ze mną kochać, żeby obaj byli zadowoleni, a przez cały czas, kiedy tak robią, życie mija, a deszcz pada. Ja, Joko, nie chcę mówić rzeczy przykrych dla nikogo, ale widzę dużo razy, że mężczyźni z Zachodu mają długie nosy, a krótką cierpliwość. Dmucha Pani, a oni boją się, że to wiatr wieje, i zmieniają zdanie. Ale to nie zawsze, później znam jednego bardziej upartego niż osioł.

Przez inne dni i noce zostajemy w domu, wychodząc na deszcz tylko po to, żeby opróżnić brzuchy, a raz Dick widzi na swoje oczy pod domem skrzynkę pełną spinaczy do bielizny. Wtedy śmieje się i mówi do czerwonołosego Billa, żeby poszedł na ganek, bo on ma dużą chęć mnie rznąć. Ja, Joko, jestem przedtem rżnięta przez każdego z nich i nadymam się, chociaż wołę Dicka, bo jest mniej gruby i ma miękką skórę, i pachnie lepiej niż Bill, a Bill robi to mocno i bez respektu dla mojego ciała. Wtedy Dick mnie zachęca i pieści, i w końcu mnie też się chce. Rozbiera mnie z koszuli i spodni i kładzie na macie, i daje mi zadowolenie bardzo gwałtowne i długie, dzięki sekretowi, który poznał w pewnym takim domu na Borneo, a przez cały czas, kiedy mi to robi, zapominam się wstydzić, i krzyczę, i drgam całym ciałem, jak może sama Pani wie, więc milknę. Mówię tu tylko, że trzeba siedmiu spinaczy do bielizny.

Potem Bill wraca i jest bardzo zły na kompana, bo słyszy moje zadowolenie. Na wszystko, co mówię, wzrusza ramionami i nazywa mnie dziwką albo japońską kurwą. Wtedy Dick mówi: „Dosyć dogadywania Joko, dobra jest dla ciebie, kiedy chciałbyś wsadzić byle gdzie tego grubego kutasa!” A

Bill mówi: „Chcesz, żebym ci powiedział, gdzie go wsadzam? W jej japoński tyłek, tak, i dość głęboko, żeby jej wyszedł ustami i żebyś ty mógłssać czubek!” Wtedy Dick wali go zaciśniętą pięścią w głowę, a potem biją się w domu, a ja krzyczę, żeby przestali. Na nieszczęście Bill jest silniejszy i to Dick leży na podłodze cały we krwi. Wtedy Bill mówi: „Ty skurwielu, teraz pokażę ci, jak wchodzę w tyłek twojej gejszy!” I rzuca mnie brutalnie na kolana i przygina trzymając za ramiona, i chce mnie tak rznąć, jak wiele razy przedtem, ale tym razem musi mnie zabić na śmierć, żeby to zrobić, bo krzyczę nienawistnie i płaczę: „Bądź przeklęty ty i twoja rodzina, i wszyscy twoi angielscy rodacy!” Wtedy uspokaja się i zawstydzają, a ja mogę się wyprostować i obmyć nieszczęsnego Dicka. Potem nigdy nie mówią do siebie ani słowa, a ja, Joko, kiedy Czerwonowłosa jest ze mną za blisko, mówię: „Tak, spróbuj wejść do mych ust, a pokażę ci siłę moich zębów!” Wtedy Bill zostaje niezadowolony na ganku, ale nigdy już nie dobiega się do mnie, złożyłam obietnicę.

Wtedy przychodzi ten dzień bez deszczu i idą obaj z domu, na piach, a ja robię jedzenie i słyszę ich pełne nienawiści głosy. Idę na schody, mówię, żeby się nie bili, ale oni mają twarze srogie i blade i kręcą się po piachu, patrząc na siebie, a każdy ma w garści nóż i nie słuchają Joko. I próbują z nienawiścią zabić jeden drugiego, a ja krzyczę, a potem płaczę siedząc na schodach i nie chcę widzieć, i nie chcę, żeby umarli, zwłaszcza Dick, słabszy, ale w końcu Dick umiera, a Bill krwawi, bo nóż wbił mu się w brzuch.

Cały czas, kiedy Bill żyje, jest ze mną na plaży, a ja mówię bogom tej wyspy, żeby pozostawili mu życie, że dosyć już umarłych, żebyśmy byli z nimi w pokoju, chociaż strasznie im przeszkadzamy, bo tu jesteśmy. Jestem z Billem w ramionach tak długo, aż noc jest czarna i spada deszcz, a on w końcu mówi: „Nieszczęsna Joko, taka jest dla mnie dobra, a ja zawsze byłem dla niej zły. I nieszczęsny mój przyjaciel, którego zabiłem w szale. Jakże Chrystus miałby odpuścić mi ten grzech?” A ja, Joko, kołyszę łagodnie jego głowę w ramionach i wzywam Chrystusa, i mówię, że powinien zapomnieć o tym grzechu, bo jesteśmy tu ludźmi z dala od swych matek i tylko wojna jest zła, ale może deszcz robi za dużo hałasu, żeby Chrystus usłyszał, nie wiem.

W dniach, które nadchodzą, nie mogę urządzić pogrzebu moim australijskim kompanom i przysypuję ich piachem, żeby ochronić ich ciała, a potem długo płaczę i wyrzucam sobie bardzo, że nie dałam Billowi zadowolnić się mną i dlatego on nabrał nienawiści.

W końcu następnego dnia deszcz jest mniej ulewny i wznoszę stos, i

robię pogrzeb. W nocy kończę i jestem zimna i chora. A potem choruję przez wiele dni. I czasami me oczy widzą Joshirę albo Kenjiego, albo najmłodszego Nagirę, a ja proszę o wybaczenie, że każę im czekać na strawę i mówię, że wstanę. A czasami widzę siebie na tej wyspie samą, leżącą w domu, słyszę deszcz na zewnątrz i boję się, że tak umrę wśród jedzenia, które zwracam, wśród nieczystości mego opróżnionego brzucha. Ale nie umieram, a potem wiem, że nigdy nie umrę.

Tak kończy się pierwsza część mojej historii na tej wyspie.

Kiedy wraca pora sucha, jestem zadowolona, chodzę po piasku i rozbiegam się do naga, żeby czuć słońce i oczyścić me ciało w wielkim oceanie. Łapię ryby i kraby, i małże do jedzenia, żłobię bambusy jak Kimura, żeby powstrzymać ataki deszczu i ściągnąć pitną wodę do domu. Wszędzie jest pełno dobrej wody, a ja poprawiam kanały prowadzące na ryżowisko Kimury i robię dwa dobre zbiorniki z australijskich spadochronów.

Tak pracuję, żeby zapomnieć, że jestem sama przez tych wiele tygodni, i tylko słońce praży, a ptaki krzyczą w dżungli. Czasami idę do dżungli z pistoletem, ale boję się rozgniewać znowu duchy hałasem i wołę zastawiać sidła na gryzonie. Codziennie sprzątam do czysta bungalow, jakbym czekała na moich rodaków, wracających z wyspy i zadowolonych z mojej pracy. I jeszcze rysuję wszystkich kawałkami upalonego drewna na białym papierze, tak jak ich pamiętam, i wciąż idiotycznie płaczę, a moje łzy plamią rysunki. I często idę do końca po żółtych skałach rzucić na wielki ocean wianki, które plotę z kwiatów, żeby uczcić wszystkich moich zmarłych kochanków.

Wtedy nadchodzi ten dzień, który wielki ocean wybiera, żeby zgotować mi nowy los. Stoję wyprostowana na żółtych skałach, a na sobie mam koszulę Dicka. Kiedy zamykam oczy i skłaniam głowę, żeby wezwać duchy, słyszę hałasy, więc odwracam głowę. Wtedy widzę moimi oczyma coś, co porusza się w wodzie, kierując ku plaży, ale za daleko ode mnie, żebym wiedziała, co to takiego. Ukrywam się więc pod skałami i widzę dwóch pływaków, jednego z przodu i bardziej zręcznego w pływaniu. Wtedy myślę, że zostawiłam pistolet maszynowy na ganku domu i że muszę bieć, żeby go wziąć przed obcymi, bo nie wiem, czy są rodakami, czy wrogami.

Tak robię i mówię bez przechwalania się, że biegam szybko, bo jak na Japonkę jestem wysoka. Niestety, jestem wiele kroków od bungalowu, a pierwszy pływak ma bliżej. Chociaż zmęczony, wstaje i widzę, że w rzeczywistości jest to kobieta z Zachodu i też idzie do domu. Wtedy myślę głupio. Nie biegnę prosto na ganek, żeby wziąć broń, idę z boku ku skrajowi

dżungli, żeby mnie nie widzieli. Nigdy dość na siebie nie nakrzyczę za tę głupotę. Potem jeszcze biegnę, ale kobieta idzie ze zdecydowaniem, powstając za każdym razem, kiedy przewraca się na piasek, i dociera do schodów. Drugi pływak to mężczyzna bez sił po długim pływaniu. Posuwa się po piachu na kolanach i rękach. I wtedy, podczas gdy biegnę patrząc na niego, ta kobieta bierze pistolet i opada na fotel Joshiry, i widzę, że broń przepadła dla mnie, i rzucam ciało w wysokie trawy, żeby się ukryć.

Tak to się stało, a trwało krócej niż dwie minuty. A ja, Joko, która żyję na tej wyspie od wielu, wielu miesięcy z rodakami, z dwoma Australijczykami, a potem zupełnie sama, w niespełna dwie minuty zostaję bez dachu nad głową, bez kurtki Amerykanina i zapasu wody, i żywności, i mojego bloku rysunkowego, i broni, i wszystkich moich rzeczy, i jestem jak kłoszard, który nie biegnie dosyć szybko, i głupio myśli, i *kuso, kuso, kuso*, „gówno”.

Opisuję kobietę, bo widzę ją moimi oczyma co dnia przez długi czas: bardzo wysoka, o surowej twarzy, oczach barwy dżungli, ciemnych włosach do ramion, pięknym ciele, bardzo sprytna, bardzo energiczna we wszystkim, w pływaniu szybka jak ja, dobra w biegu, w robieniu jedzenia, w sprzątaniu w domu, bardzo czysta koło siebie, Francuzka.

Mężczyznę, też Francuza, opiszę krócej, bo widzi go Pani na własne oczy przede mną, to on ten bardziej uparty od osła.

Oczywiście, kiedy patrzę ukryta wśród traw na dwoje obcych, tym razem niezadowolona i wystraszona, widzę ich obdartych. Kobieta jest w długiej do ziemi, zniszczonej nocnej koszuli, zmoczonej w oceanie, oblepiającej jej piersi, brzuch i całe ciało, które wygląda jak nagie, a jej włosy zwisają byle jak. A on ma ubranie w strzępach i idzie po plaży na kolanach i rękach, jak wielki zmoczony kot. Wtedy ona mówi, trzymając wymierzony w niego pistolet: „Zostań, gdzie jesteś!” A potem mówi: „Jeżeli musimy tu przetrwać jakiś czas, to pamiętaj, że ja mam to w garści!” Nie potrafię dokładnie przypomnieć sobie jej słów, ale wtedy naciska na spust – ta-ta-ta-ta-ta, i widzę, jak piasek podskakuje w wielu miejscach koło mężczyzny. A on we wzburzeniu pokazuje ręką naszą flagę na ściętym drzewie i krzyczy: „Cholera! Nie widzi pani? Japońce są na tej wyspie!” A ona unosi ramiona i odpowiada, mówiąc do niego jak do robaka: „Dziwiłabym się, gdyby to była prawda. Kiedy gdzieś są mężczyźni, każda kobieta to wyczuje, choćby po zapachu”. I z nienawiścią: „A ty śmierdzisz!”

Nieszczęsny pływak ociera ręce o ubranie i patrzy na nią jak skarcone dziecko, ale nie znajduje słów, żeby się bronić. Wtedy ona obrzuca wszystko oczyma i siedząc w fotelu Joshiry mówi: „Za czysto tu. Myślę, że w

tym domu mieszka kobieta i że w tej chwili ukryła się i patrzy na nas. A jeśli tylko patrzy, to znaczy, że nie ma broni”. Uderza ręką w ta-ta-ta i mówi zadowolona ze swego bystrego rozumu: „Jedyna, jaką miała, kiedy przyplłynęliśmy, to ta!”

Od tego dnia nad wyspą nie ma już naszej flagi, a ja, Joko, idę do dzungli. Macham ręką na bungalow i wszystkie dobre, praktyczne rzeczy w środku. Mam ze sobą tylko koszulę Dicka i spodnie ze spadochronu, i kawałek spadochronu na czoło, żeby przytrzymać włosy. Chodzę z bosymi nogami i ostrożnie patrzę, gdzie staję, bo są tu węże. Wtedy idę z drugiej strony, gdzie jest kryjówka Australijczyków, i rzucam na nią nowe liście, żeby się tu przespać. W tę pierwszą noc myślę, jak mogę najpilniej, i moje zdanie jest takie, żeby nie atakować bez broni obojga Francuzów jednocześnie. Moje zdanie jest, żeby czekać i ufać, że bogowie tej wyspy dadzą mi swą łaskę, bo mieszkam tu dawniej niż tamci.

Nie pamiętam, czy Francuzi są wrogami mojej ojczyzny, czy nie. Kiedy zostawiam Australię i płynę nieszczęsnym okrętem, nie troszczę się o wojnę w Europie, uważam tylko, że Anglicy i Amerykanie to nasi wrogowie. Ale tego wieczoru myślę, że Francuzi też, bo mężczyzna mówi w taki sposób o Japończykach. Oczywiście jestem bardzo smutna, że to wrogowie, bo lubię Francuzów bardziej niż wszystkich innych, ze względu na Akademię w Paryżu i kolegów, i miłe panie z pensjonatu dla zagranicznych studentek na ulicy Soufflot. Wtedy składam przysięgę, że jeśli bogowie dadzą mi zwycięstwo nad złodziejami mego domu, nie zabiję ich, znajdę tylko podstęp, żeby ich złapać.

Dzień potem idę po plaży Australijczyków i myślę wrócić do samolotu i znaleźć w nim inną strzelbę. Ale boję się trupów zjedzonych przez ryby i że zobaczę ich kości i głowy, i że strasznie obrażę duchy oceanu. Nie wiem, mało znam się na tych rzeczach. Więc wzywam wielki ocean i mówię, że jeśli jest urażony, bo schodzę do jego głębi i niepokoję zmarłych, to niech mi to powie przez znak. Mówię, że nurkuję przy brzegu i biorę małża, i jeśli jest w nim perła, nie powinnam iść, ale jeśli nie ma perły, ocean zgadza się, żebym szukała w samolocie. Tak robię, nurkując krótko i biorę małża. Potem otwieram go, uderzając kamieniem i wewnątrz jest piękna, lśniąca perła. Wtedy dziękuję wielkiemu oceanowi, że dał mi znak, i porzucam mój pomysł.

Tego dnia, o którym mówię, i w wiele innych, kiedy słońce jest nisko, podchodzę do skraju dzungli z drugiej strony Wyspy i dobrze ukryta w

trawie i cicha długo patrzę na Francuzów i słucham ich słów, osuwając się z Pani językiem. Niewiele się dowiaduję, bo powtarzają wciąż to samo. Mężczyzna, któremu na imię Fryderyk, jest przywiązany za ręce i nogi linami od spadochronu, a po piasku może zrobić za mało kroków, żeby biegać, ale robi tak, jakby to było nic być przywiązanym, śmieje się i mówi: „Biedna kretynko!” A ta kobieta, której na imię Esmeralda, stoi w płytkiej wodzie z koszulą nocną uniesioną i związaną w kroku jak majtki i strzela byle gdzie z pistoletu, żeby zabić ryby, a potem wychodzi na piach z przywiązanymi do pasa może trzema bardzo poszarpanymi rybami i mówi, idąc z dala od nieszczęsnego mężczyzny: „Żałosny dureń!”

Nie widzę, co robi z nim nocą w domu, ale myślę, że wiąże go, kiedy idzie spać. Raz widzę, że przywiązuje do jego nóg wielki kawał naszej nieszczęsnej łodzi, i teraz kiedy chce przejść się po plaży, musi wlec ciężar ze sobą. A innym razem wiąże materiał ze spadochronu na oczach mężczyzny i mówi: „To cię nauczy tak na mnie patrzeć”. Potem kładzie pistolet maszynowy na piachu i rozbiera się z koszuli nocnej żeby nacieszyć się pływaniem, i mówi: „To takie przyjemne, drogi Fryderyku, pływać nago!” Ale w inne dni jest tylko przywiązany jak za pierwszym razem, a ona burczy nie gniewając się naprawdę. Mówi: „I mnie smuci, że cię tak trzymam. Jeżeli będziesz spokojny i nie będziesz próbował zabrać mi broni i dasz mi słowo, może będziesz wkrótce wolny”. Ale i on pluje tylko ustami w piach, żeby pokazać pogardę, i mówi: „Pewnego dnia sam się uwolnię, a ciebie przywiążę i oddam ci po stokroć to, co teraz robisz”. Prawda jest taka, jak myślę, że jeżeli gdzieś jest dwóch Francuzów, to nigdy nie mogą się ze sobą zgodzić.

Przez te wszystkie długie dni zła kobieta nie oddała się od domu dalej niż na sto kroków, a pływa wzdłuż plaży, nigdy ku końcowi oceanu. Często patrzy na skraj dżungli, odwracając szybko głowę, jakby miała nadzieję, że mnie zobaczy na własne oczy. Robi jedzenie tylko z ryb i małży, a raz też z głupiego gryzonia, który wyłazi z dżungli. I zawsze jej jedzenie ładnie pachnie, i mam na nie ogromny apetyt.

Potem Fryderyk pracuje na ryżowisku Kimury z drugiej strony domu; jest niezręczny z rękami związanymi z przodu, ale bierze ryż i starannie robi kanaliki dla wody. Teraz na rękach i nogach ma kajdanki, które ta niesamowita kobieta robi ze stalowego drutu z nieszczęsnego okrętu, bo raz Fryderyk pali liny od spadochronu, które wiążą jego ręce, i prawie ucieka.

Często ten mężczyzna siedzi na piachu z miseczkami, bambusami i

lampami, które Kimura miał do robienia alkoholu, i widzę, że nie może zrozumieć, jak Kimura robił z tym wszystkim, i tylko mówi do siebie: „Piekielna maszyna! Stracę dni i noce, jeśli trzeba, ale rozgryzę cię!” I to prawda, że w końcu odkrywa tajemnicę i robi alkohol z drewna do lamp i z tłuczonego ryżu do picia. Potem pije trochę jeszcze gorącego, a ja śmieję się w duchu, bo jego twarz pokazuje, że to złe, ale ta kobieta podchodzi nie dalej niż na dziesięć kroków, ciekawa i gardząca, i wtedy on z zadowoleniem młaska ustami i mówi: „Bardzo dobre! Nigdy nie piłem lepszego!”

Pewnego dnia w końcu, idąc ukryć się w trawie, żeby patrzeć na Francuzów, widzę mymi oczyma, że ta kobieta jest dość śmiała, by wspiąć się na żółte skały, i mówię do siebie: „No, kochana, biegniesz teraz szybciej niż ja, kiedy jestem na tych skałach, ale ciekawe, czy jest rewanz”. Mężczyzna siedzi na piachu, odwrócony do mnie plecami, a ja idę za dom jak wąż. Potem jestem poza zasięgiem ich oczu i cicho wspinam się rękami i nogami na bambusy i wchodzę przez okno, które patrzy na dżunglę. I wtedy wiem, że jestem bez mózgu i pyszałek, bo ta przeklęta kobieta rozwiesza po całym domu dzwoneczki z pociętych metalowych pudełek, a one są jak pajęczna sieć. Kiedy już wpada się do tej pułapki, nie wychodzi się bez jeszcze większego hałasu.

Biorę oczywiście wszystko, co mogę unieść w rękach, nim Francuzka nadbiega z krzykiem, żeby mnie zabić. Biorę kozuszaną kurtkę Amerykanki i jego butelkę z żelaza obszytego płótnem z napisem US i naczynia, które robię po wylądowaniu na wyspie, i rozglądam się szybko, żeby zobaczyć noże żołnierzy i topór, ale ich nie ma albo są dobrze schowane. Wtedy jestem blisko śmierci, bo ta kobieta wpada do bungalowu czy szopy, właśnie kiedy uciekam przez okno spadając z wysoka, i krzyczy: „Nie ruszaj się! Nie ruszaj się, bo cię zabiję!” A ja rzucając ciało w wysokie trawy, ze wszystkimi zdobyczami, a ona pluje z pistoletu, ta-ta-ta, byle gdzie po liściach dżungli, wiele razy, a moje serce szaleje i obiecuję sobie, że nigdy nie wrócę do tego domu nie zaproszona. Nawet kiedy jestem daleko i w spokoju, drzę całym ciałem ze strachu.

Ale tego dnia, o którym mówię, zanim słońce zachodzi, widzę własną śmierć jeszcze raz. Zła kobieta gniewa się, że uciekam, i idzie przez dżunglę ponad dwie godziny po moich śladach i przychodzi na plażę Australijczyków. Nie wierzę własnym oczom, może Pani też nie, ale tak jest. Wspina się na palce, ma w rękę pistolet, a na torsie skrzyżowane pasy z nabojami, a ja leżę w kryjówce, którą zrobiłam z liści, i bardzo szczęśliwie ona mnie nie widzi i nie idzie w moją stronę. Ale widzi plażę, zdeptany przeze

mnie piasek i krzyczy: „Po co się dalej chować? My Francuzi nie zabijamy kobiet! Jeśli położysz ręce na karku i przyjdiesz do mnie, dam ci dobre jedzenie i dość wody, i będziesz traktowana godnie, jak jeniec!” I także mówi łagodne słowa, ale wiem, że jeżeli tylko wychylę nos, chociaż krótki jak u wszystkich moich rodaków, zabije mnie krwawo, może setką nabożów, i zostawi moje ciało na pastwę bestii, a przedtem napluje mi w twarz. Więc się boję i milczę jak kamień, i modlę się do duchów wyspy, żeby Francuzka nie weszła na moją kryjówkę.

Stoi długo, rozglądając się po plaży i dzungli i kręci się powtarzając po angielsku i francusku: „Jesteś tu? Odpowiedz! Jesteś tu?” W końcu traci cierpliwość i mówi: „Uparta Japonko, pokażę ci, co zrobię, kiedy cię złapię!” I z nienawiścią pluje ta-ta-ta-ta z pistoletu po liściach. Na szczęście nie zabija mnie. Wzrusza ramionami i wchodzi w dżunglę, żeby wrócić do siebie. A jajaj, ta kobieta ma zły charakter!

Potem to pora palącego słońca i Francuzi prawie całymi dniami siedzą w domu. Kiedy wychodzą, widzę mymi oczyma tego mężczyznę, nędzniejszego niż beański pies. Rośnie mu broda i włosy, a za jedyne ubranie ma spodnie ucięte nad kolanami. Skórę ma ciemną od słońca, a włosy pożółkłe. Siedzi na piachu jako więzień i patrzy na koniec oceanu, a czasem śpiewa sobie melodię, bardzo cicho, a słów nie mogę usłyszeć. Lubię go i boję się, że traci rozum jak Joshiro, ale jednego razu pokazuje, że ma rozum w porządku. Jest na plaży ze związanymi nogami, żeby robił drobne kroczki, i ze związanymi z przodu rękami, i zaczyna pracę w piasku. Znad swojej trawy nie widzę, co robi, ale ta kobieta ze schodów też nie, bo mówi: „Fryderyku, co robisz?” A on na to: „Jeśli ktoś cię zapyta, powiedz, że nie wiesz”. I wtedy, zanim słońce zachodzi, a ona krzyczy, żeby wszedł do domu, pracuje dużo i starannie, i chodzi, szuka kamieni i gałęzi zdatnej do oczyszczenia i spłaszczenia piachu, a ja zaczynam rozumieć i moje serce bije szybciej, bo boję się, że ta kobieta też już wie.

Potem, kiedy są oboje w oświetlonym lampami domu, idę jak wąż do tego miejsca plaży. Wtedy widzę mymi oczyma to, czego się domyślam – maleńki ogródek jak w moim kraju, i oczywiście jeśli moi rodacy patrzą na ten ogródek, śmieją się, ale ja nie. Wierzę, że ten nieszczęsny człowiek mówi: „Wiem, że patrzysz na mnie z dzungli, więc robię ten skromny ogródek dla ciebie”. Wtedy palcem piszę na piasku: JOKO, tuż przy ogródku, i kładę smakowity owoc, który mam w koszuli, i szybko uciekam.

Dzień potem przychodzę w trawy przed słońcem i kiedy związany Fryderyk wychodzi z domu, idzie patrzeć na ogródek, jakby nie wiedział, co

robić. Wtedy widzi moje imię i podnosi owoc. Zaciera moje imię nogą, plecami odwrócony do złej kobiety, a potem, kiedy siedzi daleko od niej jedząc owoc, ona pyta: „A co to, gdzie znalazłeś ten owoc, który jesz?” A on nie patrzy w jej stronę i mówi spokojnie: „To nie owoc, to coś, co wycinam sobie między nogami”.

Innego dnia, kiedy siedzą w cieniu domu przez długie godziny żaru, zapominam o strachu i podchodzę jak wąż, żeby ich słuchać. A potem wstaję cicho i patrzę przez szpary między bambusami, żeby ich widzieć. Mają dwa posłania albo materace, jak na Zachodzie, zrobione z materiału ze spadochronu i suchej trawy, a fotel Joshiry stoi teraz w domu. Najczęściej to kobieta siedzi w fotelu z ta-ta-ta przewieszonym z tyłu, a on leży na plecach na materacu, związany. Mówią, żeby zabić nudę, i są rzeczy, których nie rozumiem, ale to większe zadowolenie dla mnie, niż siedzieć samej w dżungli. W następne dni też przychodzę, i we wszystkie inne.

Nie mówię, że jestem nieszczęśliwa. Buduję większe i praktyczniejsze schronienie w głębokim miejscu dżungli, gdzie jest dużo wody, kiedy kopać ziemię, i jem owoce, ryby, małże, ale ani gryzoni, ani krabów, bo jeśli rozpalę ogień, zła kobieta wie po dymie, gdzie jestem. Ta kobieta nosi kurtkę lotnika, nim ją zabieram, i znajduję w kieszeni grzebień, który najmłodszy Nagira robi do moich włosów, i bardzo ładny naszyjnik, który ona robi z muszelek. Teraz mam zawsze grzebień przy sobie i noszę naszyjnik. Mam też tnące narzędzie Tadashiego, niedobre do zabicia Francuzki, ale bardzo użyteczne do jedzenia, i dzidę z bambusa, żeby polować na ryby. Wokół tej wyspy znam wszystkie plaże i miejsca, gdzie chowają się pyszne ryby, a raz biję się z rekinem, który chce moich ryb, ale blisko plaży on i jego bractwo są mało zwinni i bardzo boją się hałasu. Najniebezpieczniejsze są węże, ale i one boją się, i jeżeli nie mają gniazda tam, gdzie się mieszka, łatwo je przegonić. Jeżeli mają gniazdo, można mieszkać, ale tylko kiedy życie jest zbyt gorzkie i ma się go dosyć.

Ja, Joko, kiedy mam dość, bo ciągle sama, idę zobaczyć Francuzów w domu, stojąc w cieniu bambusów. Przez ponad cztery godziny jestem jak w teatrze, sama mam tylko oddychać. Po niewielu dniach rozumiem, dlaczego kobieta wiąże Fryderyka, kiedy przybywają na wyspę. Prawda jest taka, że nie znają się nigdy przedtem. On jest zbrodniarzem, który uciekł z więzienia w swoim kraju i chowa się na statku, a ona widzi go pierwszy raz, kiedy statek płonie i idzie na dno, a on nocą czepia się odłamanego kawałka kadłuba, tego samego co ona. Potem przez trzy dni są na wielkim oceanie

i widzą wyspę, i płyną, i Esmeralda zabiera broń głupiej dziewczynie.

Wiele razy Fryderyk mówi, że jest w więzieniu za zbrodnię, której nie popełnił, ale ona wzrusza ramionami. Woli poprosić o wybaczenie, kiedy są uratowani, niż umrzeć jak pewna wieśniaczka na południu Francji. Jeśli jej wierzyć, ta wieśniaczka zabija się, bo Fryderyk ją gwałci, a jej wstyd. Fryderyk mówi: „Nigdy w życiu!” Ja, Joko, jestem niczym, żeby sądzić te rzeczy, ale myślę, że Fryderyk mówi prawdę, bo ta historia jest bez sensu. Tyle razy rżnęli mnie Australijczycy, a ja dawałam im tylko po to, żeby ocalić życie. Chociaż wstydzę się, że nie potrafię powściągnąć zadowolenia z nimi, nigdy nie przychodzi mi myśl, żeby się zabić. Jeżeli powinnam kogoś zabić, to dwóch Australijczyków, a zwłaszcza czerwonołosego Billa, ale chowają przede mną cały czas ta-ta-ta i noże, w dodatku płaczą, kiedy Bill umiera, i krzyczą na siebie bardzo za bójkę, bo gdybym mu dała, nie byłby zły. Ale może francuska chłopka, chociaż w moim wieku, jest młodsza wobec szaleństwa i nieszczęść wojny. Albo może powinnam uwierzyć w opinię Billa, że jestem japońską kurwą.

Bardzo szczęśliwie Francuzi mówią często o innych rzeczach niż te ma-tactwa. Esmeralda mało, potem powiem, o czym, ale Fryderyk opowiada o swoim dzieciństwie i życiu, nim idzie do więzienia, i o pięknych kobietach, które kocha. I mówi, że jego babka bardzo dobra, a matka podle porzucona, kiedy on ma tylko sześć lat, a jego żona Konstancja też bardzo dobra i piękna, i że pamięta o nim. I też o czasach, kiedy walczy dla tej Joanny d'Arc, a ja, Joko, boję się, że przekłęci Anglicy ją zabiją, i tylko powstrzymuję okrzyk zadowolenia, kiedy Fryderyk ratuje jej życie. Nie jestem *baka*, po waszemu głupia, i rozumiem że historia jest może nieprawdziwa, ale kto wie? Pewnego dnia pytam wielki ocean, a on odpowiada, że nikt nie wie. Ocean mówi mi, że jeśli Anglicy spalą inną, to nie pierwszy i nie ostatni raz są kłamcami.

Często w moim schronieniu, kiedy sen długo nie nadchodzi, widzę w myślach chwile, o których mówi Fryderyk, zwłaszcza chwile żartów. Na przykład kiedy jest młodym studentem Sorbony i kocha się w studentce prawa, którą może Pani zna. Tyle że w myślach zawsze zastępuję tę Francuzkę, która jak Pani ma na imię Marie-Martine, przeze mnie, Joko, kiedy mieszkam w Paryżu. Opowiem Pani tę historię.

Raz, kiedy chcę iść z moim ukochanym Fryderykiem, a jest noc i drzwi w internacie dla dziewcząt są zamknięte, myślę, że wyjdę na zewnątrz przez okno, ale niestety jest bardzo wysoko i nie mogę, i mój ukochany

sprowadza na rue Soufflot wielki czerwony wóz strażacki z wysoką drabiną. A dowódca strażaków mówi: „Ależ, mój chłopcze, nie widzę śladu ognia!” A Fryderyk mówi: „Nie może go pan widzieć, ja i moja japońska ukochana trzymamy go w ukryciu, ale to bardzo silny ogień, który chcemy ugasić”. Wtedy dowódca strażaków rozumie i mówi: „Biedna Francja! Zgoda na ten raz, ale jutro kupi pan drabinę za własne pieniądze albo powie pan swej japońskiej narzeczonej, żeby zamieszkała na parterze!” Potem wszyscy w internacie wiedzą, że ukrywam ogień pod sukienką i jeśli dyrektorka pisze do moich rodziców, to lękam się, że serce mego ojca pęka.

Nie chcę znowu niepokoić ogromnego oceanu, żeby wiedzieć, czy ta historia jest prawdziwa jak tamta, bo i ogień jest innej miary, ale jeżeli ma Pani władzę nad losem, żeby dać mi dzisiaj odpowiedź, jestem bardzo zadowolona i pełna szacunku.

Wymówka byłaby łatwa, bo w tych latach, kiedy uczyłam się w Paryżu, na wydziale prawa z pewnością studiowało wiele Marie-Martine, nie byłaby ona jednak właściwa wobec szczerości mojej japońskiej respondentki. Odpowiem więc, że w historii jest wiele, jeśli nie cała prawda. Internat, w którym mieszkałam, znajdowała się na rue Grenelle, wóz strażacki nie został wezwany, a tylko tamtędy przejeżdżał, a ja znalazłam się na parapecie okna na trzecim piętrze w tak żalnym położeniu, że dzielni chłopcy nie mogli postąpić inaczej, ale gdyby ojca poinformowano o moich kłopotach, nie sądzę, żeby przyprawiło go to o utratę apetytu czy snu, był już bowiem zbytnio zaabsorbowany własnymi. Wszystko to nie ujmuje rzecz jasna zasług temu, który pchał swą ukochaną do takich wyczynów.

(Nota Marie-Martine Lepage, obrońcy sądowego)

Jest wiele innych bardzo ciekawych momentów w opowieściach Fryderyka, zwłaszcza kiedy ucieka z więzienia i jest z nową żoną innego mężczyzny i kiedy gra na fortepianie w luksusowym domu kobiet, wyperfumowanych i ubranych w piękne suknie, i kiedy straszy podłą nauczycielkę, żeby ją ukarać. Jeden z momentów, który mam zawsze w pamięci, kiedy leżę sama w mojej kryjówce z liści przy lampce, którą zrobiłam i dobrze chowam, żeby nie widzieli jej z zewnątrz tamci, to ten, kiedy potem mieszka prawie przez rok z dwiema siostrami urodzonymi jednego dnia, które sprzedawały lód do jedzenia *ice-cream*, bo jest z nimi dokładnie tak, jak ja z dwoma Australijczykami, tyle że trudniej mężczyźnie zadowolić dwie

kobiety, oczywiście z pewną różnicą. I myślę też często, nie mogąc się powstrzymać, o chwili, kiedy ta aktorka, której na imię Fru-Fru i która jest niezrównanie piękna, je w wielkim pokoju jadalnym, na statku, a wszyscy wokół niej siedzą w pięknych strojach, a Fryderyk ukrywa się pod stołem, a ona boi się, żeby tamci nie zauważyli jej zadowolenia. Ale jestem na tej wyspie bez nikogo przez długie miesiące. Chociaż zastępuję w myślach tamtą kobietę przez Joko i pieszczę sama siebie, moje pożądanie staje się zbyt bolesne. Więc kiedy mogę, odpycham je, mówiąc sobie rzeczy przykre albo kpiąc z siebie.

Prawda jest taka, że dla mnie przygody Fryderyka są bardzo piękne, a dla Esmeraldy paskudne. Esmeralda liczy dwadzieścia siedem lat. Nim była z przyjaciółmi na tym statku, leczy rozumy ludzi i jest bardzo dumna, że umie je leczyć. Tak, kiedy ona buja swe ciało na fotelu spoglądając srogo, Fryderyk leży na materacu i opowiada dzieciństwo wśród kolegów z Marsylii we Francji. I wtedy wchodzi z kolegami na dach tego domu, gdzie matki prowadzą dzieci, i patrzą wszyscy przez okno w dachu. W tym dużym pokoju matki siedzą, a kiedy dziecko płacze żałośnie, matka rozpina suknię i daje mu jeść. Wtedy inne dzieci też tak chcą i wszystkie matki odsłaniają swe piękne wezbrane mlekiem piersi, i koledzy Fryderyka bardzo lubią patrzeć, a nawet małe dziewczynki, które z nimi przychodzą. Bardzo dobrze rozumiem Fryderyka, będąc też kiedyś dzieckiem, bo wtedy też lubię patrzeć na dzieci, które z apetytem ssą piękne piersi matek. Wtedy Fryderyk mówi, zapominając o latach, które odtąd mijają: „A one ssą, ssą łobuzy, jakby ich życie było zagrożone, gdyby tego nie robiły”. I nawet przez nędzną dziurę w bambusach byle japońska idiotka może ujrzeć w jego twarzy, że ta myśl wielce go cieszy.

Niestety Esmeralda wstaje, ubrana w zniszczoną, pozszywaną raz przy razie koszulę nocną, i chodzi z jednego końca chaty na drugi, i jest oburzona, i ani trochę zadowolona. Mówi: „Tak, dokładnie tak myślałam od samego początku. Jak ogromna część mężczyzn, jesteś opóźnionym dzieckiem, podglądaczem, i – tu słowo, które poznają potem – mizogynem!”

Wtedy Fryderyk siłą pleców siada na materacu i mówi ze śmiechem: „Ja? Mizogynem?” A ona: „Tak, właśnie ty. Wszyscy podglądacze są mizogynami! Są zainteresowani ciałem kobiecym tylko dla niego samego; jest ono dla nich wyłącznie cielesną strawą zaspokajającą ich głód. Już od dziecka!” Fryderyk krzyczy głośniejszym głosem: „Co ty opowiadasz! Więc oseski – dziewczynki nie ssą mleka?” A ona stoi, patrzy na niego z góry i

mówi: „Błazen! Nie mówię o głodzie mleka! Ale o tym nieczystym i podstępny głodzie, który kobiety widzą zawsze w waszych oczach!” I Fryderyk jeszcze głośniej krzyczy: „To kłamstwo! Wiesz, co napisał Szekspir? *Oczy to szaleńcy serca! A on nie jest byle jarmarcznym znachorem!*”

Ja, Joko, nie lubię sprzeczek i czuję się wtedy też podglądaczką, cenię oczywiście Szekspira, chociaż jest Anglikiem, ale widzę, jak ta kobieta odwraca się smutna, słaba i pokonana, bierze ta-ta-ta i idzie na swój materac czy legowisko, a kiedy już leży wyciągnięta, mówi: „Nienawidzę podglądaczy, rozumiesz? Przerażają mnie!”

Przez długą chwilę nie mówi i Fryderyk szanuje jej milczenie. Potem to ona mówi: „Popatrz, kiedy byłam młodsza, marzyłam, żeby zostać mistrzynią w tenisie”. I jeszcze przez chwilę milczy. Fryderyk podnosi się i chodzi małymi krokami, z powodu tych żelaznych więzów i dlatego, że nie chce przeszkadzać Esmeraldzie. A ona mówi: „Tego dnia, który położył kres mym snom, walczyłam w turnieju w pewnym pałacu na Riwierze...”

Nie mogę niestety opowiadać jak ona, bo zapominam słowa w Pani języku, więc opowiadam po swojemu, ale niech Pani pamięta, że ona mówi skromnie i łagodnym głosem.

A więc licząc osiemnaście lat jest dobrą graczką, często chwaloną, ubraną w ładną białą sukienkę do tenisa, krótszą niż do kolan, a na korcie ma przeciwniczki szwedzkie, norweskie lub z innych krajów. Przed walką rzucają piłki, żeby rozgrzać ciała, a Esmeralda gniewa swoje, żeby chwycić piłkę na ziemi, i słyszy śmiechy. Jest dużo ludzi z tego hotelu, bardzo eleganckiego na Riwierze, którzy przyszli popatrzeć na walkę, i bardzo poważny sędzia, który siedzi na bardzo wysokim fotelu. Więc Esmeralda uderza rakieta i przy każdym uderzeniu skacze w górę albo pochyla się, a ludzie się śmieją, a nawet biją w dłonie, żeby okazać uciechę. Więc ona zastanawia się, dlaczego ci wszyscy ludzie tak się nią interesują, i nachodzi ją pewna szalona myśl. Więc maca ciało ręką i okazuje się, że myśl nie jest wcale szalona: kiedy jej sukienka idzie w górę, odsłania gołe pośladki! Jak ta rzecz się stała, jak mogła zapomnieć tego dnia, żeby włożyć majtki, nie umie nigdy wytłumaczyć. Oczywiście to dla niej bardzo ciężki cios. Chce dalej walczyć, bo jest dumna i ma silną wolę, i wolną ręką osłania się, ratując godność, ale ludzie śmieją się cały czas głośno, nawet jej przeciwniczka, więc biegnie, żeby ukryć się w hotelu, a oczy ma pełne łez i nigdy już nie stawia nogi na korcie tenisowym.

Oto nieszczęsna opowieść Esmeraldy, kiedy leży w chacie. Milknie zasłaniając oczy ramieniem, a bardzo zadumany i rozumiejący je) smutek

Fryderyk idzie po podłodze małymi krokami, a ręce ma związane na plecach i mówi: „No, no, no. Ale dlaczego wciąż cierpisz, rozpamiętując tę chwilę? Bez żadnej potrzeby blokujesz się. Życie jest długie i niesie pocieszenie. Raz pokazałaś wszystkim tyłek, no i co z tego? Jesteś roztargniona, no i co?”

Wtedy, jeszcze płacząc, Esmeralda drwiąco wzdycha i mówi: „Mówisz o roztargnieniu! Zapomnieć o majtkach!” I nie może powstrzymać się od hałaśliwego śmiechu, razem z Fryderykiem, a ja, Joko, też się śmieję, zasłaniając usta. Potem milczę bardzo długo, a Fryderyk siedzi w fotelu i buja się i jest bardzo gorąco. Wreszcie ona ociera oczy i siada, i mówi cicho: „Dziękuję ci, Fryderyku. Czuję ogromną ulgę, że mogłam ci się zwierzyć i że ze mną rozmawiasz”.

Tego wieczoru, o którym mówię, i przez następne dni są między sobą spokojni, dobrzy znajomi. Ona goli zarost Fryderyka amerykańskim nożem, dobrze naostrzonym na kamieniu, a on wygląda młodziej i ładniej. Ma ze trzydzieści dwa lata. Kiedy słońce schodzi niżej i idą na dwór, uwalnia czasem od kajdanków jego ręce i nogi, żeby mógł pływać w oceanie i rzucać wodą w żartach. Czuwa nad nim z plaży z pistoletem maszynowym, ale on nie próbuje atakować ani uciekać, a kiedy ona każe mu wyjść z wody i odwrócić się, żeby go związać, wzrusza ramionami i bez złości robi, co ona chce. Wiąże go też, kiedy chce iść do dżungli, żeby zabić gryzonia albo zebrać owoce. Wbija w piach dwa duże pieńki, żeby umocować jego kajdanki, i trzymać go tak leżącego, ale też osłania go od słońca płótnem ze spadochronu.

Niestety, kiedy ona idzie do dżungli, muszę uciekać do kryjówki, bo teraz jest przebiegła i wprawna w ta-ta-ta, i jeśli mnie zobaczy na oczy, to jestem trup, może nawet od jednego naboju. Raz zabija dziką świnię, dość dużą, na wiele dni jedzenia, a słyszę tylko jeden strzał. Moim zdaniem chce zostawić Fryderyka na plaży, przywiązanego do pnia, i udawać, że idzie głęboko do dżungli, i szybko wrócić, kiedy tam jestem, żeby go uwolnić. Jestem bardziej *baka* niż ona.

Pewnego rana czuję też zza trawy woń jej jedzenia i to bardzo dobrą woń jajek smażonych na boczku dzikiej świni. Potem patrzę starannie, gdzie idzie do dżungli, bo wiem, gdzie są wszystkie jajka ptaków na tej wyspie, i tam, gdzie ona idzie, robię pułapki z bambusów i lin, i drzew, które łatwo zgiąć. Trzeba dużo dni, żeby zrobić linę i naszykować pułapkę. Z nożem Dicka albo Billa byłoby oczywiście szybciej, ale może wtedy kłamałabym swą obietnicą, że nie zabiję, i skoczyłabym na kark Francuzce,

żeby poderżnąć jej gardło. Mówię to oczywiście żartem, chociaż to mało śmieszne. Naprawdę nie chcę zabić tej kobiety ani żebym była zabita przez nią. Chcę ją złapać, żeby zabrać broń i mężczyznę.

Tak widzę rodzenie się i umieranie dni, a każdy jest wypełniony pracą, żeby zabić samotność, i chwilami podglądaniem życia Francuzów. Ale każdy dzień zbliża też porę deszczową i bardzo boję się, że będę musiała zostać w tym nędznym ukryciu z liści i że zabraknie mi jedzenia, a potem Esmeralda znajdzie mnie w błocie, obżartą przez dzikie świnię.

Więc raz pływam przed plażą Australijczyków, a słońce jest poranne, i przychodzi mi ta myśl, że jest wiele ptaków nad dżunglą, a płaczą, jakby niepokoił je jakiś myśliwy, ale przecież nie słyszę ta-ta-ta, ja jestem w wodzie, a Fryderyk związany. Więc zakładam tylko koszulę Dicka i biegnę szybko do dżungli. Niedużo czasu mija, a słyszę dużo hałasu w liściach drzew i gniewne krzyki, i idę tam. Wtedy drzę z zadowolenia, widząc mymi oczyma to, co widzę, i wykrzykuję triumfalnie: Esmeralda wisi za nogi w górze młodego drzewa, które przyginam może trzy dni wcześniej, i bezradnie potrząsa ciałem, żeby uwolnić się z mojej pułapki. Umieszczam linę tej pułapki z mocnych traw przed jednym gniazdem, a ta kobieta chce zabrać jajka, i już leci w górę, dobrze złapana i krzyczy.

Wtedy podchodzę spokojnie do niej, bez strachu przed jej ta-ta-ta, bo nie ma go w rękę. Ma zupełnie czerwoną, przekrzywioną twarz i patrzy wywróconymi wielkimi oczyma, i przestaje trząść ciałem. Mówi: „Kim jesteś, do diabła?” Mówię z zadowoleniem: „Joko”. Szybko biorę z trawy ta-ta-ta. Potem mówię: „Jeżeli jesteś spokojna, nie zabijam nikogo. Nikogo!” Podchodzę do jej pleców i odczepiam pas z nabojami i zostawiam tę pełną pychy kobietę z myślami o zmianie charakteru.

Biegnę do dżungli i wreszcie na plażę, gdzie jest dom. Fryderyk leży na piachu, ręce i nogi ma przywiązane do pni, i jest osłonięty płótnem przed palącym słońcem, ale jest mu bardzo gorąco. Kiedy jestem przed nim, patrzy ze zdziwieniem, a potem zamyka oczy i mówi: „Cholera! To nie może być prawda!” Wtedy mówię: „Zrobiłam więźniem złą kobietę!” Otwiera oczy, jeszcze bardziej zdziwiony, i mówi: „Bądź milutka, Joko, uwolnij mnie szybko z tych więzów”. Myślę dużo biegnąc przez dżunglę. Toteż odpowiadam: „Moim zdaniem nie mogę cię uwolnić. Jesteś Francuzem, jak ona, i potem ją uwalniasz, a ja jestem więźniem. Muszę wiązać ją i ciebie też”.

Wtedy mówi do mnie łagodnie, obiecuje nigdy nie robić nic przeciw mnie, i raz po raz prosi, żeby go uwolnić. Nigdy, odkąd żyję, nie widzę tak

pięknych oczu w mężczyźnie i twarzy też, ale opieram się silnie, by nie zmienić zdania. Idę do domu wziąć wody w miskę i daję mu pić, a potem zwilżam mu szyję i tors, żeby miał mniej gorąco. Wtedy nie mogę się powstrzymać i całuję jego usta. I całuję go długo, i wreszcie on też mnie całuje, oczywiście podstępnie, bo myśli, jak się tu uwolnić, ale potem jestem bez tchu, cała wstrząśnięta i pałają mi policzki. Więc mówię, spuszczać skromnie oczy: „Proszę o wybaczenie, ale od pory deszczowej jestem wszystkiego pozbawiona i bardzo pożądam, żeby mieć mężczyznę”. Więc rozpinam koszulę z przodu i naga stoję nad nim na kolanach po obu stronach jego ciała. Rozpinam też jego krótkie spodnie, a on ciągnie więzy mówiąc: „A co ty wyprawiasz? Oszalałaś?” Nie słucham, co mówi potem. Jasne, że chce mi uciec i dokuczyć kpinami, i specjalnie powstrzymać się od rośnięcia, ale ja wiem, jak zrobić, żeby kochanek rósł, ciii... Więc żłobię piach kolanami, żeby czuć tego mężczyznę głęboko we mnie, i ruszam się jak na wspaniałym koniu, i mam dużo zadowolenia wiele razy. I oczywiście mówię wtedy słowa szaleństwa, ale po japońsku, i on nie może rozumieć. Nawet kiedy jest pokonany, zadowolam się jeszcze długo i całuję go z zapalem. W końcu jestem bez sił i leżę na nim, a całe moje ciało jest zlane potem, nawet włosy na twarzy. Ojoj, nigdy przedtem nie robię tego ze związanym kochankiem, ale to tak dobrze!

Tego samego dnia, kiedy uwalniam Esmeraldę z pułapki, jest bez ducha, wygląda prawie, że umarła od długiego wiszenia za nogi. I oczywiście besztam się za bezmyślność, ale wlokę ją na plażę i do domu, a po jednej tylko nocy jest całkiem żywa i wciąż tak samo podła.

Potem przez bardzo wiele miesięcy, mając dwa razy porę deszczów, jesteśmy razem na tej wyspie, czasem dobry kompani, czasem mniej, a nigdy nie widzimy naszymi oczyma statku na wielkim oceanie ani samolotu na niebie. Nie wiemy nic o wojnie, bo może jest skończona i moi rodacy zwycięzcy albo i nie. Wciążam flagę mego kraju nad plażę, poprawioną dobrze czerwienią, bo Esmeralda przedtem ją niszczy do mycia chaty, i starannie pilnuję więźniów, trzymając ich na muszce pistoletu maszynowego.

Prawda jest taka, że po pierwszej porze deszczowej żałuję, że to nie ja jestem więźniem. Oboje, chociaż związani, odpoczywają na plaży, i idą do wody, i jedzą z ochotą moje jedzenie, i grają w karty z mojego kartonu do rysunków, a ja muszę obcinać brodę Fryderyka i biegać od jednego do drugiego, kiedy są oddzieleni, tylko dlatego, że Esmeralda chce siusiu, i po sto razy każde woła, żeby zdjąć więzy, bo coś potrzeba, jak na przykład podrapać

się w ucho, i po sto razy ich uwalniam, i po sto razy więżę. To nie wszystko. Jeśli się spierają, nie wiem już, gdzie biec i co robić. I cały czas muszę tak biegać. Żeby iść do dżungli po jedzenie, żeby dodać drzewa do ognia, żeby się umyć w oceanie, zanim się obudzą, żeby wynieść brudy na zewnątrz, kiedy śpią. I muszę też myć dom i szukać pitnej wody, i ciąć drzewa toporem. Dni nie są dość długie, a nocą śpię lewym albo prawym okiem, ale nigdy na oboje oczu razem.

Fryderyk ma często wielką ochotę na mnie i prowadzę go za dom, żeby Esmeralda nas nie widziała, bo jednej nocy się budzi i widzi nas razem, i krzyczy, żebyśmy przestali. Ale ja jestem blisko zadowolenia i nie chcę przestać. A wtedy ona mówi: „Zepsuta świnio, czy tak dobrze być maltretowaną przez wieprza?” I wiele innych złośliwych rzeczy, które Fryderyka rozśmieszają, a ja tracę od nich zadowolenie. Nawet pod domem, kiedy słyszy moje krzyki, bo jestem hałaśliwa, a poza tym pokazuję Fryderykowi siedem spinaczy do bielizny, wali kajdanami o podłogę wołając: „Joko, żyjesz? Czy poderznął ci gardło? No, odpowiedz! Boję się, kiedy słyszę te straszne krzyki!” Obiecuję jej, że nigdy nie dam jej nic do picia ani jedzenia, jeśli nadal będzie mi dokuczać, i potem zostawia nas w spokoju.

Nie wiem, czy zanim robię ich więźniami, ona zgadza się spać z Fryderykiem. Moim zdaniem kilka razy się godzi, bo są dni, kiedy są dobrymi kompanami, ale nie widzę ich razem na moje oczy. Więc pytam Fryderyka, a on mówi: „Konwencja genewska zabrania wymuszania zeznań od jeńców”. Więc pewnego dnia widzę Esmeraldę samą na żółtych skałach i pytam, a ona odpowiada: „A cóż ty myślisz? Że mężczyzna i kobieta mogą tak długo być razem, dzień i noc, i że nic się nie stanie? Tak myślisz?” Mówię nie, jeśli ja jestem tą kobietą, bo często mam dużą ochotę na mężczyznę, ale nie wiem jak ona. A ona mówi: „Sama sobie odpowiedz, czy jestem kobietą, czy czym innym”. Potem patrzy na mnie długo i widzi, że jestem milcząca i niezadowolona z jej odpowiedzi, i w końcu odwraca oczy na wielki ocean i mówi: „Zgodziłam się wiele razy, a pierwszy był też pierwszym, kiedy byłam tak z mężczyzną. Może chcesz znać dokładną liczbę i sposób, i kto kogo zachęcał, czy też zaspokoiliś już ciekawość?” Wtedy widzę, że w jej oczach są łzy, i milczę.

Potem, kiedy idę do dżungli, boję się jeszcze bardziej, że Fryderyk słucha łagodnych słów rodaczki, że ona zgadza się z nim kochać, żeby tylko uciekł z nią daleko, i wtedy jedno uwalnia drugie, i we dwoje są przeciw mnie. Więc więżę ich razem i na stojąco, twarzą w twarz, ze skrępowanymi nogami i ramionami, i mogą poruszać się po piachu z dużym trudem.

Jestem dość zadowolona tak ich widząc, bo wyglądają jak para głupców, ale może pani myśli, że przestają się pieklić? Esmeralda robi złą minę, kiedy jej ciało haniebnie dotyka ciała Fryderyka, tylko przez cienką tkaninę, i mówi: „Chciałabym ujrzeć cię martwego! Słyszysz? Martwego!” A on mówi śmiejąc się: „Ale dlaczego nie poleżymy sobie spokojnie na piasku, aż Joko wróci?” Wtedy ona krzyczy: „Dobrze wiesz dlaczego!” A on z niewinną miną odpowiada: „Ależ to nie moja wina!” To jest niekontrolowane!” A ona odwraca twarz od jego twarzy, pełna nienawiści, a kiedy przychodzę z dżungli, może godzinę później, leżą na piachu, a ona jest czerwona i oskarżycielska, że specjalnie ociera się o nią, i błaga mnie o oddzielenie od niego.

W końcu pewnego dnia przy prażącym słońcu już nie mogę. Owijam strzelbę, naboje, noże i topór – całą broń, w płótno ze spadochronu i idę wykopać dziurę w dżungli. Potem przychodzę do nich i mówię: „Teraz już dosyć. Jeśli mnie zabijecie na trupa, to trudno”. I uwalniam każdemu rękę i nogi. Są oboje cicho i mają okrągłe oczy, a ja mogę w końcu położyć się na piachu i odpocząć. Wtedy Fryderyk mówi mi: „Dobrze. Teraz widzisz, że jeśli coś obiecuję, nic nie zmienia mego słowa”. I zadowolony idzie popływać w oceanie, a Esmeralda podchodzi i podaje mi rękę, i też idzie. Potem pływamy razem i śmiejemy się dużo. Ja, Joko, pływam najszybciej, a Esmeralda bardzo mało za mną, a Fryderyk zawsze ostatni. Ale on mówi: „Nie przywykłem tak jak wy, pewnego dnia będę mniej leniwy”. Wieczorem zostawiając Esmeraldę w domu idę z nim, a on niesie mnie na barana, na tamtą plażę. Słońce jest całe czerwone nad wielkim oceanem, a on zdejmuję ze mnie koszulę, całując me ciało, i bierze mnie na piasku, a jego przekłete kajdany nareszcie nie drapią mej skóry.

W dniu potem widzę, że moja myśl ukrycia broni nie jest dobra, bo broń jest przydatna, a oni i tak mogliby mnie zabić. Więc prowadzę Fryderyka do miejsca, gdzie ją zagrzebuję. Wtedy dzielimy broń na troje. Jeden nóż dla każdego, mnie zostaje ten po amerykańskim lotniku, topór jest dla Fryderyka, a ta-ta-ta dla tego, kto poluje. Tyle że mało jest już nabojów w paśmie, i zostawiamy je tylko na dzikie świnię.

Co mówić o tych długich dniach? Jestem bardzo zakochana z Fryderykiem, ale Esmeralda też trochę, i rozumiem, że to powód jej sprzeczek z nim albo ze mną. Niektóre rzeczy, których nie powinnam widzieć, wolę widzieć dokładnie. Więc mówię do Esmeraldy: „Jeżeli chcesz mężczyznę, wiem, że możesz go brać za moimi plecami. Jeśli podzielimy go na dwa

toporem, nic nie zyskamy, bo on wtedy jest smutny, że jedna ginie dla jego miłości, i cały czas jego umysł jest tym zajęty. Nie myślisz, że powinniśmy zrobić mądry podział?” A Esmeralda mówi: „Cieszę się, że tak mówisz, bo chciałam powiedzieć to samo, ale się nie odważyłam”. Potem myślimy razem, jak podzielić się sprawiedliwie Fryderykiem. Opowiadam, jak dzielę dni na moich rodaków po wylądowaniu na tej wyspie. Jest bardzo zdziwiona, że mogę każdego dnia zadowolić innego mężczyznę, i śmieje się, zasłaniając usta: „Nie wierzę własnym uszom. Ale jak mogłaś?” Mówię, że tylko jeden trafiał do mego serca, ale inni to też biedni mężczyźni i myślę, jako jedyna kobieta, że nie mogę odmawiać im rozkoszy jak jedzenia i picia. Bo potem mogą tracić rozum i zabić tego, który zadowala się mną jedyny, a ja jestem rżnięta wbrew mej woli.

Ale mamy tę samą opinię, Esmeralda i ja, że ten układ dzielenia dni nie jest dobry. Jeśli Fryderyk zmęczy się trzy dni z jedną, nie tknie drugiej, a po trzech dniach znów jest wypoczęty i tę samą znowu zadowoli. Śmiejemy się dużo, myśląc o tym, a potem jesteśmy smutne, nie wiem dlaczego. Wtedy Esmeralda mówi: „Może nie powinniśmy tak mówić. Może starczy uzgodnić, że Fryderyk idzie ze mną albo z tobą, i że będziemy dobrymi kompanami w niedoli”.

Taki układ zawieramy i dotykamy swych dłoni, a potem kiedy widzę, że idą razem, staram się znaleźć sobie pracę i zapomnieć, że się zabawiają, a Esmeralda tak samo robi przez długi czas. Zmieniają się tylko małe rzeczy. W domu albo na plaży nic sobie nie robi z Fryderyka i rozbiera się do naga. A czasami, kiedy on jest zajęty małym ryżowiskiem albo robieniem alkoholu do lamp, ona podchodzi do niego i mówi łagodnie, i całuje go szybko w szyję. A czasami płacze patrząc na mnie, kiedy we trójkę jemy posiłek, i nie rozumiem powodu, a nie chcę pytać.

Bardzo szczęśliwie są inne zajęcia niż te sprawy, nawet na tej wyspie. Idziemy razem na plażę Australijczyków i pływamy we troje, żeby wejść do samolotu. Teraz Fryderyk pływa najszybciej i jest dobrym nurkiem, i ma w płucach duży zapas powietrza, i wcale się nie wstydzi przeszkadzać zmarłym. Wyciągamy dużo rzeczy z samolotu, ale nie radio. Fryderyk widzi szybko, że jest nic niewarte. Bierzymy torby żołnierzy z ubraniami, inne naboje do ta-ta-ta, butelki i pełną konserw skrzynkę, inną z gumą do żucia i papierosami, i zmoczonymi wodą ciastkami, i hamak do spania, i bańki z oliwą, i jeszcze spadochrony, i narzędzia do mechaniki. Zdanie Fryderyka jest takie, że trzeba wziąć benzynę ze zbiorników samolotu i

robimy dużej długości wyżłobiony bambus, i przez cały czas, kiedy żłobimy i składamy bambusy, przez ponad trzy miesiące, Esmeralda i ja widzimy we Fryderyku człowieka pracowitego i cierpliwego w swej myśli, jakiego nie widzimy jeszcze nigdy w życiu. Mówi: „Jeżeli chcę dość długo, to mogę”. Tak uczą księcia Chrystusa w Marsylii, we Francji. Więc mówię żartując z Esmeraldą: „A jeśli chcesz zrobić cały samolot, możesz?” A on mówi: „Śmiecie się, ile chcecie. Pewnego dnia właśnie to zrobię”.

Robi to dokładnie przed drugą porą deszczową, którą razem oglądamy.

Po pierwsze, bierze benzynę. Żeby ją trzymać, żłobimy zbiorniki w piachu, a na dno kładziemy spadochrony. Potem bierze silnik samolotu, a ciągniemy go na linach ze spadochronu, ciągniemy wszyscy troje, a Fryderyk jest pięć tygodni przy rozkładaniu wszystkiego, dokładnym czyszczeniu benzyną i natłuszczaniu olejem i robieniu mniejszego silnika, który nie działa. Więc zaczyna od nowa, jak robi z alkoholem Kimury, a ja często przychodzę patrzeć, jak pracuje z ramionami i torsem uwalanymi w czarnym smarze, i nie znam całego jego pomysłu, ale wzywam duchy tej wyspy, jeśli nie starcza Chrystusa, żeby mu pomagały.

W końcu jesteśmy pewnego dnia we dwie kobiety blisko domu i daleko słyszymy głośny huk silnika, a on zatrzymuje się i znowu zaczyna, a my biegniemy na plażę Australijczyków. Kiedy przychodzimy, słońce czerwieni się za drzewami, i jest niesłychanie pięknie, a my porażonymi oczyma widzimy ten samolot, a z niego wszędzie leje się woda, a on wysuwa się z oceanu za dziób i całe skrzydło. A ciągnie go na brzeg dymiący silnik Fryderyka, na kole i łańcuchu, i linach ze spadochronów, a my z Esmeraldą skaczemy z radości i wykrzykujemy zwycięstwo.

Lubię myśl o tym dniu. Lubię widzieć w pamięci Fryderyka klęczącego na piachu, jego twarz wybrudzoną tłuszczem i niepowściągnięte łzy, kiedy bije pięścią w piach tej wyspy i krzyczy: „Do cholery! Udało się! Udało!” I widzieć też Esmeraldę i mnie, jak padamy na niego i całujemy go, a potem jesteśmy tak samo ubrudzone jak on. Wtedy patrzymy na tę wielką rzecz z żelaza, zatopioną dotąd w niezbyt głębokiej wodzie, a ja mówię: „Może Fryderyk chce teraz zmusić to do latania w powietrzu?” A oni oboje śmieją się i udają, że chcą mnie pobić na piachu, ale na żarty. Potem wracamy do domu i myjemy jedno drugie mydłem znalezionym w torbach żołnierzy. Jemy razem i pijemy alkohol z ryżu, żeby uczcić ten dzień i krzyczymy: „Niech diabli wezmą wojnę!” A Fryderyk opowiada z dumą, że wie tylko trochę o mechanice od swego drugiego ojca, szofera, mówi, że długo walczy

z upartym silnikiem, i jak zastępuje benzynę powietrzem w zbiorniku samolotu. Potem rozbiera Esmeraldę z żołnierskiej koszuli, a ona zapomina o wstydzie przy mnie, i patrzę przez cały czas, jak on ją rżnie, tak inną i jękliwą, a potem on bierze także mnie. Lubię myśl o tym dniu.

Niestety, kiedy się budzimy, czeka nas przykre zdziwienie. Wielki dym wznosi się w niebo z drugiej strony tej wyspy, a kiedy przybiegamy na plażę Australijczyków, wszystko jest zniszczone przez bardzo wysoki ogień. Chociaż jest zbyt gorący, żeby podejść blisko, przeszkadzamy mu pochłonać dżunglę i wciąż bierzemy wodę z oceanu i rzucamy ją na drzewa. Wieczorem, kiedy ogień gaśnie, samolot jest już tylko poskręcanym żelazem i tracimy wszystko, benzynę i silnik, wszystko. Nigdy nie wiemy, jak zapala się ogień. Może Fryderyk rzuca papierosa camela, kiedy odchodzimy. Może gorący motor zapala liny albo kawałek drewna. Moje, Joko, zdanie jest, że bardzo przeszkadzamy duchom zmarłych w samolocie i że duch wielkiego oceanu, który przedtem daje mi znak, zapala ogień.

Jeszcze całą noc mówimy wszyscy troje i Fryderyk jest bardzo przybity, że traci benzynę i skorupę samolotu, bo jeszcze dzień wcześniej myślał zrobić ze wszystkiego łódź z silnikiem i uciec z wyspy. Kiedy Esmeralda pyta, czy uciekamy z nim, mówi: „Nie, bo jeślibym umarł, umarłybyście i wy obie. Rozsądek wskazuje, że powinienem sam spróbować dotrzeć na Wyspy Bożego Narodzenia, potem zostałybyście ocalone. A jeślibym umarł na oceanie, pozostałybyście przy życiu.”

Ale Fryderyk nie jest nigdy złamany za długo. Jego zdaniem Wyspy Bożego Narodzenia są daleko na dwa tysiące kilometrów na zachód, bo to ostatnie pozycje ich statku, kiedy tonie. Może zdoła dotrzeć tam inaczej. Zdaniem moim, Joko, jest tak, że moi rodacy są dobrymi marynarzami, zwłaszcza Joshiro, dowódca, dokąd ma jeszcze rozum, i jeżeli Joshiro mówi, że nie możemy przy sześciu doświadczonych ludziach płynąć, jak mógłby sam Fryderyk? Na co Fryderyk odpowiada: „Mówiłaś mi kiedyś, że Joshiro nie chciał budować statku, bo blisko nie ma ziemi zamieszkaanej przez waszych rodaków. Nigdy nie mówiłaś, że uważał za niemożliwe dotarcie do Wysp Bożego Narodzenia. A ja nie powiedziałem, że można stąd dotrzeć do Japonii”. Muszę przyznać, że to prawda. Wtedy Fryderyk mówi: „Pomyślmy o tym po porze deszczowej. Dokąd będzie nas trzymała w tym domu, cieszymy się naszym losem”.

Tak też robimy, jedząc pożywienie i grając kamykami i kartami, i mówiąc o naszym życiu. Esmeralda robi instrument muzyczny z bambusa i

śpiewamy wymyślone piosenki. Uczę moich kompanów japońskiego, ale oni myślą, że jest za trudny, potem ich już nie uczę. Noce śpimy razem, najczęściej przy hałaśliwym deszczu. Pokazujemy Esmeraldzie siedem spinaczy do bielizny, a ona wychodzi ze skóry, a potem jest zawstydzona, ale kiedy się budzimy, szepcze mi na ucho, że jest zadowolona. Bardzo dobrze wie dni, kiedy robi się dzieci, ja nie tak dobrze, więc mnie poucza często w żartach i mówi: „W tym dniu, Joko, nie trzeba niczego dawać Fryderykowi”. Ale ona też jest kobietą bardzo dobrą dla niego i dla mnie, i nigdy nie zwraca uwagi na rzeczy drobne, i bardzo zdecydowanie dba o dom. Fryderyk ma żywszy i bardziej zmienny charakter. Czasem jest wesołkowaty i delikatny w słowach. A czasami siedzi w kącie i nadyma się, a ja i Esmeralda nie wiemy, co mówimy wcześniej, że jest taki niezadowolony. Prawda jest taka, że on sam nie wie, czuje rzeczy lepiej, niż je rozumie. Czasem też pijąc za dużo tego alkoholu, który robi, żeby oszukać to nieszczęście bycia daleko od domu, opowiada śmiało i splątane marzenia – że rusza na wielki ocean, że jest zwyciężcą, że cierpliwie i odważnie robi tak dobre rzeczy, że wszyscy już widzą na własne oczy, że jest ogromnie zdolny, i w końcu mówi zawsze: „Tylko was nudzę!”

Kiedy słońce wraca na tę wyspę, pływamy znowu i przeżywamy kolejne dni, ale najlepsze, co w nas jest, pozostało daleko, a my mamy tylko smutek zapomnienia. Nie chcę mówić, jak pierwsza traci nadzieję Esmeralda, a potem ja też. Chcę opowiedzieć tylko ostatnie chwile, kiedy jesteśmy trójką kompanów na tej wyspie.

Długo przedtem Esmeralda dużo mówi o ogniu na plaży Australijczyków, bo jest bojąca, że ja i Fryderyk myślimy, że to ona go zapala, ale mówi mi, że to nie ona. Potem mówi, że może wtedy chce go zapalić, żeby Fryderyk nie uciekał na ocean, i tak nikt nigdy nie wie, co ona robi tej nocy po tym, jak Fryderyk ciągnie samolot.

Wtedy Fryderyk jej mówi: „Wiem dobrze, kto zapalił ogień i dlaczego. Możesz być spokojna”. I oczywiście ja myślę, że on myśli, że to ja. Mówię: „Jak mogłabym to zrobić? Zostaję całą tę noc w twoich ramionach i nie wychodzę ani razu poza dom”. A on odpowiada: „Czy powiedziałem, że to ty? Czy uważasz mnie wciąż za *teki*? To znaczy – za nieprzyjaciela. Mówię, że nie, i biegnę daleko od nich, żeby nie słyszeć głupstw bolesnych dla wszystkich.

Potem Esmeralda chce, żebyśmy wzięli do chaty płótno z jednego spa-dochronu Australijczyków, żeby naciągnąć je na linę. W ten sposób jest od nas oddzielona, kiedy jestem z Fryderykiem. On mówi: „Zróbmy, jak chce”, i tak robimy.

Potem ona już nie chce, żeby Fryderyk chodził na jej stronę i widział ją nagą. On wzrusza ramionami i mówi: „Kiedy znowu zechcesz, powiedz”. I nie chodzi na jej stronę.

Potem, na plaży, ona jest sama i smutna, i śpiewa cicho, jak kiedyś on, kiedy był przywiązany. Na każdą rzecz, którą mówię, odpowiada: „Nie mam do ciebie żalu, Joko. Tak jest mi dobrze”. A raz Fryderyk rozmawia z nią, siada obok niej na piasku, a ona opiera na nim głowę i płacze. Nie słyszę ich słów, będąc daleko.

Potem w nocy, kiedy ona śpi z drugiej strony płótna, a ja mam dużą ochotę, żeby on mnie rznął, kiedy Fryderyk leży na mnie albo ja na nim, Esmeralda mówi przez sen. Wiem, że robi to specjalnie, bo i ja mam czasem koszmarnie sny, ale nigdy nie opowiadam ich tak dobrze moimi ustami, kiedy trwają, ani tak dokładnie jak to: „Mój Boże, jestem na wielkim przyjęciu! I wszyscy mężczyźni na mnie patrzą! Mój Boże, moją piękną suknię przytrzasnęły drzwi, a ja zapomniałam włożyć majtki! Widzą mnie! Wszyscy widzą moje gołe pośladki!” Mówię niezadowolona do Fryderyka: „Nie słuchaj, proszę cię, nie słuchaj!” Ale niech Pani sama spróbuje kochać się z kimś przy takich gadkach, to nie takie zabawne.

Innego dnia Fryderyk je z apetytem małże, które zbieram w wodzie. I, jak często, znajduje perłę. Jesteśmy wszyscy troje w chacie, Esmeralda leży w hamaku. Wtedy on mówi: „Joko, masz dużo tych pereł?” Idę do miejsca w podłodze, gdzie ukrywam moje bogactwa, i wyciągam worek zrobiony ze skarpety Akiro zwanego Popeye, kiedy lądujemy na tej wyspie. I potrząsam mocno workiem, żeby pokazać wagę, a potem otwieram przed Fryderykiem, a on widzi na swe oczy te wszystkie piękne perełki, które trzymam dla moich rodziców albo dla dobrego męża, albo dla kogoś innego, nie wiem. Wtedy on mówi bardzo zdziwiony: „Cholera! To może być warte tyle samo co spadek po mojej babce!” A ja mówię: „Daję ci trzy perełki za każdy raz, kiedy całujesz tak dobrze moje usta, a pięć, kiedy całujesz tak dobrze czubki moich piersi, a dziesięć, kiedy zgadzasz się być pięknym koniem, a wszystkie za jeden, kiedy tego chcesz, a nic mi nie robisz, bo one są twoje”. Wtedy on śmieje się i ja też, ale Esmeralda mówi: „A co to za spadek po babce? Nigdy mi o tym nie wspominałeś?” I jest cisza, a Fryderyk odpowiada: „To nie twoja sprawa”. I je bez słowa małże.

Wreszcie przychodzi ta noc. Kochamy się z Fryderykiem po mojej stronie, a Esmeralda gada przez sen, żeby nam przeszkadzać. On robi, jakby nie miał uszu, a ona rozumie z moich zadowolonych jęków, że może śnić

wszystkie głupoty, a ja mam to w nosie. Wtedy wymyśla to, chociaż może słowa nie są dokładne: „Mój Boże, jestem w wiejskiej chacie, a moi rodzice pojechali do miasteczka na zabawę! Ten niebieski żołnierz drze rękami moją sukienkę i rzuca mnie na podłogę! Och, teraz maca moje piersi i nagie pośladki! Mój Boże, on wchodzi w me ciało i zaspokaja się mną! To zbyt bolesne! Me ciało jest zbyt zbrukane! Chcę umrzeć! Mój Boże, wybac mi, skaczę!” A przez cały czas tego szaleństwa Fryderyk też krzyczy: „Przestań! Nie masz prawa! Przestań albo wstanę i zmuszę cię do milczenia!”

Oczywiście odsuwa się ode mnie i siedzi na materacu z głową w dłoniach, podczas gdy Esmeralda niby to budzi się i mówi: „Och, cóż za potworny sen!” Wtedy ja, Joko, mówię do Fryderyka: „Ty idioto! Rozumiesz dobrze, że ta kobieta nie śni, ona mówi specjalnie, żeby nam przeszkadzać!” A on odpowiada: „Nawet przez sen nie ma prawa!” A do niej krzyczy: „Słyszysz?! Nie masz prawa!” Wtedy ona śmieje się i mówi zza płótna: „Ależ mój drogi, to niekontrolowane!”

Taka jest głupota ludzka na tej wyspie czy gdziekolwiek indziej. Fryderyk wstaje błady i mówi: „Dziwka!” A potem nigdy, dobrze Pani słyszy, nigdy nie odzywa się do nikogo ani razu, ani do mnie, ani do niej.

Mówię Pani teraz, co robi, milczący jak człowiek bez języka, przez wszystkie dni, wszystkie tygodnie: wycina bambusy i drzewa toporem. Kiedy jest zmęczony, pali papierosa i pije wodę albo alkohol z owoców. Czasami pływa w oceanie. Sam.

Idę do niego. Mówię: „Ja, Joko, nie robię nic przeciw tobie i jestem nieszcześliwa, że do mnie nie rozmawiasz. Błagam, mów ze mną”. Nic. I Esmeralda prosi, żeby wybaczył jej błąd, a ja słyszę na własne uszy, co mówi, nawet daleko, a jej słowa są skromne i piękne, i sprowadzają łzy do moich oczu. A on nic. Tnie bambusy.

Pamięć urazu w tym mężczyźnie jest tak samo długa, jak jego cierpliwość. Często idę do niego, kiedy wycina toporem, na twarzy i całym ciele spływając potem. Kładę na ziemi żywność, ale on jej nie je. Robi jedzenie z owoców i korzonek, i małży, i czasem jajek z dżungli. Śpi na piachu pod chatą. Jego broda rośnie i włosy tak samo. I widzimy, że składa razem bambusy, i wiąże je mocnymi linami, i że buduje ścianę innego domu blisko żółtych skał. Potem buduje podłogę. Potem dużą matę z dobrze ściśniętych traw. Mówię do Esmeraldy: „Kiedy kończy dom, idziemy tam co noc pokazać mu swe ciała i tańczyć jak w filmie, a on kocha nas jak kiedyś”. Ale żyję długo z Fryderykiem, a nie znam go.

Pewnego wieczoru siedzi zamyślony na piachu, paląc papierosa, patrząc na czerwone słońce na granicy oceanu. Idę spać. Rankiem idę do dżungli złapać ptaka albo gryzonia. Wracam, kiedy słońce jest wyżej. Nie widzę już mymi oczyma budowli Fryderyka na plaży. Ale widzę wciągniętą na ścięte drzewo razem z moją flagą flagę Francuzów – niebiesko-biało-czerwoną z czteroramiennym krzyżem i cieszę się, że Fryderyk mówi mi w ten sposób, że zawieramy pokój. Moje nogi są słabe, a serce szaleje, kiedy biegnę do baraku.

Wbiegam po schodach. Wchodzę do środka. Esmeralda jest sama, ubrana w żołnierską koszulę, oczy ma zaczerwienione, ale włosy uczesane. Stoi przy oknie. Mówi mi: „Biedna Joko, biedna idiotka. On nie robił domu, robił łódź z żaglem. A teraz jest daleko”.

Wtedy biegnę na zewnątrz i rzucam oczyma po całym oceanie. I nie chcę wierzyć. Więc idę po piachu i krzyczę. Krzyczę Fryderykowi, żeby wracał. I znowu biegnę do domu. Esmeralda jest wciąż przy oknie. A ja kręcę głową, żeby powiedzieć, że nie wierzę. Mówi: „Patrz!” I pokazuje ręką miejsce, gdzie chowam torbę pereł, i wyjętą deskę.

Wtedy idę na ganek, zupełnie zagubiona, i krzyczę wielkiemu oceanowi, żeby kazał wrócić Fryderykowi. A potem siedzę w fotelu, płacząc i nie mogę się powstrzymać, a Esmeralda staje za mną i kładzie ręce na mych ramionach, i mówi łagodnie: „Nie płacz, nie płacz, Joko. Przeżyjemy. Kobiety zawsze przeżywają. Później będziemy mogły spokojnie o nim pomyśleć i będziemy pamiętały tylko, że nas kochał i ruszył po pomoc”.

Tak kończy się moja historia na tej wyspie.

Jest oczywiście druga część, ale myślę, że mało interesująca dla Pani. Więc powiem szybko. Esmeralda i ja żyjemy jeszcze razem cztery tygodnie, a potem krążownik amerykański zabiera nas z wyspy. Kiedy pytamy, kto przysłał pomoc i gdzie teraz jest, kapitan nie wie. Krążownik jest w drodze na Hawaje i przez radio nadchodzi rozkaz, żeby po nas płynął. Wojna jest przegrana dla moich rodaków, a mój biedny kraj zraniony, jak wszyscy wiedzą.

Potem jestem długo przesłuchiwana w San Francisco względem śmierci amerykańskiego lotnika i dwóch Australijczyków, i mówię, co wiem. Podpisuję wiele papierów i żyję wolna w Los Angeles z Esmeraldą, która poręcza za mnie. Czas, jaki z nią jestem, to prawie cztery miesiące, ale jest ciągle bardzo dobra i traktuje mnie hojnie, i podli ludzi mówią za naszymi plecami, że jesteśmy kochankami, ale ona gwizdże na to.

Potem jestem uznana za niewinną morderstw i opuszczam tę wspaniałą

towarzyszkę, obiecując szybko wrócić, i wreszcie wracam do mojego kraju samolotem, mając prawie dwadzieścia pięć lat.

Dobry los sprawia, że mam jeszcze matkę i ojca żywych, i też tę babkę przed babką mojej matki, która liczy teraz sto szesnaście lat. Pewnego dnia piszę do niej list do Talcahuana w Chile. Odpowiada, używając czyjejś ręki, bo nie uczy się nigdy pisać: „Widzę, jak moje przyjaciółki z dzieciństwa umierają jedna po drugiej. Nikt już o nich nie wie. Nikt nawet nie kładzie kwiatów na ich grobach. Więc nie jestem głupia. Nie umieram”.

Toledo

Powróciwszy na Florydę po tym absurdalnym zatonięciu „Pandory”, odnalazłam Bessie już wyleczoną z afrykańskich ran. Próbowaliśmy przez pewien czas prowadzić restaurację rybną w Keywest. Niestety, była to kolejna katastrofa. Jednak rozstałyśmy się w przyjaźni, a ja zaangażowałam się do marynarki jako pielęgniarka.

W ostatnim dniu wojny przebywałam w szpitalu w Zatoce Bengalskiej o sto kilometrów od Rangunu w Birmie.

Miałam dwadzieścia siedem lat i stopień równorzędny chorążemu.

Przedtem zawsze byłam na Pacyfiku. Płynęłam z flotą, która miała odbić Filipiny, i na Iwo Jimę. Widziałam powrót ciężarówek pełnych rannych i zabitych.

W Birmie, po tym wszystkim, mieliśmy wrażenie życia w pokoju. Brytyjczycy zajęli Rangun i oczywiście prawie cały kraj. Z pięciu wielkich namiotów, składających się na nasz szpital w delcie Irawadi, trzy stały puste. Pozostający tam jeszcze rekonwalescenci byli w większości lotnikami, marynarzami amerykańskimi, którzy wspierali aliantów podczas ofensywy zimowej. Czekali na powrót do ojczyzny.

Kapitulacja Japonii skwitowana została krzykiem radości, ale nie przyspieszyła ich odjazdu, wprost przeciwnie. Liczba kombatantów czekających na repatriację w różnych zakątkach świata była ogromna. Mówiono nam, żebyśmy uzbroili się w cierpliwość, że to tylko kwestia dni. Najmniej pesymistycznie usposobieni liczyli te dni na 365 tego roku.

Była połowa sierpnia, środek monsunowego lata. Czy padało, czy nie, ubrania lepiły się do ciała. Nawet deszcz był ciepławy i wstrętny. Odnogi

rzeki unosiły żółte błoto z gór, a czasami utopione bawoły, i wyrzucały je w pobliżu obozu.

Wtedy właśnie przywieziono tego człowieka pod kroplówką, o którym nie wiedzieliśmy nic poza tym, że jest całkowicie wyczerpany i mający po francusku.

Doktor Kirby, który kierował naszą palcówką, zbadał go i kazał przewieźć do jednego z pustych namiotów, tego który nazywaliśmy „Carlyle”, jak pałac w Nowym Jorku. Inne nazywały się „Plaza”, „Delmonico”, „Pierre” i „St. Regis”. Jako jedyna mówiąca po francusku, zostałam wyznaczona do opieki nad pacjentem.

Zatopionego w głębokim śnie, umieściliśmy go pod moskitierą, potem zawiesiłam na łóżku kartę informacyjną. Kiedy dwaj noszowi odeszli, doktor Kirby powiedział:

– Dopóki nic nie wiemy o tym człowieku, proszę do niego nikogo nie dopuszczać, Toledo. A gdyby próbował uciec, proszę podnieść alarm.

– W tym stanie?

– Och, jest twardy – powiedział Kirby. – Jeżeli wierzyć w jego majaki, pokonał cały Pacyfik na tratwie.

Odprowadziłam go aż do drzwi. Tam oddał mi nie większy niż moja dłoń woreczek z płótna koloru khaki.

– Miał to zawieszona na szyi – powiedział. – Wewnątrz jest drugie zawiniątko. Zdaje się, że to stara skarpeta wypełniona perłami. Niech pani je przeliczy w wolnej chwili. Jest przy nich zaświadczenie US Air Force z wyspy Jarvis. Dowcipnisie wpisać dokładną liczbę pereł.

Przed wyjściem zwrócił oczy na śpiącego Francuza i dodał:

– Czego to człowiek nie zobaczy na tej wojnie!

Później przeliczyłam perły. Długo to trwało. Było ich 1223. Liczba wpisana przez wojskowych opiewała na 1224. Może się pomyliłam, ale równie dobrze mogło się to przydarzyć sierżantowi J.K. Dawnowi, który liczył je przede mną. W każdym razie nie umiałam sobie wyobrazić osobnika, który by mógł ukraść jedną jedyną perłę na naszyjnik dla ukochanej.

Przez pięć dni opiekowałam się nieznajomym zgodnie z udzielonymi instrukcjami. Ogólnie sprowadzało się to do przedłużania snu i pilnowania kroplówki. Nocą, żeby uniknąć wielokrotnych spacerów, sama też spałam pod namiotem położonym najdalej ze wszystkich od mojej kwatery. Przez resztę czasu pracowałam z innymi pielęgniarkami, a czasem chodziłyśmy zanurzyć się w morzu pomiędzy dwiema silnymi falami, ale nie udawało nam się ochłodzić.

Pewnego ranka, kiedy jadłam w mesie śniadanie, doktor Kirby usiadł na wprost mnie z kawą. Powiedział:

– Otrzymałiśmy kilka informacji o tym Francuzie. Na Jarvis wylądował samolot cargo, lecący do Rangun. Nie wiedzieli, co z nim zrobić, więc przysłali go nam. Helikopter zabrał go z tratwy na pełnym morzu. Dryfował nieprzytomny wokół jakiejś wysepki.

– I nikt nie wie, kim jest?

– Może sam nam to powie. Dajmy mu się ocknąć.

Mężczyzna spał do wieczora. Wielkie wiatraki pod płótnem namiotu nie były w stanie ochłodzić powietrza. Zdjęłam drelichowy mundur. Pociłam się w białym fartuchu, najcieńszym, jaki zdołałam znaleźć.

Kiedy otworzył oczy, stałam plecami do niego i pochyłona nad sąsiednim łóżkiem przebierałam leki, żeby uporządkować apteczkę. Nagle usłyszałam za sobą jego słaby, lecz wyraźny głos:

– Toledo!

Odwrociłam się podskakując. Patrzył na mnie zza moskitiery ze zdziwionym uśmiechem. Ale z nas dwojga to ja byłam znacznie bardziej zdziwiona:

– Pan mnie zna?

– Widywałem panią na „Pandorze” – odpowiedział.

Odsunęłam tkaninę, żeby mu się lepiej przyjrzeć. Nie mogłam go rozpoznać.

– Pan też był na „Pandorze”?

– Ukrywałem się – odpowiedział, wciąż uśmiechnięty. – Ale ciii...

A więc to ten. Na jachcie co rano sprzątałam u miss Fru-Fru. Musiałabym chyba być ślepa, żeby nie zauważyć, że potajemnie darzyła względami jakiegoś mężczyznę, ale podejrzewałam raczej kogoś z załogi albo tego aktora, który z nami płynął. W każdym razie nie lubię wtykać nosa w cudze sprawy. Można przy okazji oberwać po łapach.

– Co za niespodzianka! – powiedział Francuz. – Wie pani, Toledo, wcale się pani nie zmieniła!

Usiadł nierozważnie, więc ułożyłam go na nowo. Potem wpychając mu termometr do ust, powiedziałam, że każdy byłby wstrząśnięty, gdyby poznano go po siedzeniu, i że będzie mi to musiał wyjaśnić w najbliższych dniach. A poza tym, że mój przydomek wziął się od miejsca urodzenia – Toledo w Ohio, ale naprawdę nazywam się Jennifer MacKeena. Ponieważ temperaturę miał, jak na swój stan, nadspodziewanie normalną, zapytałam, jak się nazywa.

– Maurycy – odpowiedział. – Może pani mówić do mnie Momo albo Riri, jak wtedy, kiedy byłem dzieckiem, ale teraz już mi się to nie podoba.

– Maurycy, i co dalej?

– Maurycy Maurycy. W tym cała zabawa. Może pani mówić o mnie Momo Riri albo Riri Momo, i tak, i tak to ja.

– I jest pan Francuzem.

– Wolnym Francuzem. General de Gaulle i tak dalej.

Powiedziałam mu, że cała Francja jest wolna, że Niemcy skapitulowały na wiosnę, a Japonia w dniu jego przybycia.

– Gdzie jesteście? – zapytał.

– W Birmie. Jeden z naszych samolotów zabrał pana z Pacyfiku.

Wtedy dostrzegłam błysk przerażenia w jego oczach. Chwycił mnie za rękę i krzyknął:

– Cholera, jak długo tu jestem?

– Od tygodnia.

– Tam, na wyspie, zostały dwie kobiety, zupełnie same! Trzeba kogoś zawiadomić, trzeba po nie jechać!

Tak oto dowiedziałam się tego wieczoru, że miss Esmeralda żyje. Doktor Kirby wezwał z Rangunu dwóch oficerów, którzy przesłuchiwali Maurycyego przez ponad godzinę.

Wychodząc z namiotu jeden z nich powiedział do mnie:

– Albo ten żabojad kompletnie ogłupiał od waszych zastrzyków, albo świat kręci się na odwyrtkę, a nikt tego nie zauważył. Podobno pani też była na tej głównianej łajbie, kiedy poszła na dno?

Potwierdziłam fakt zatonięcia „Pandory” i zaginięcie młodej psychoanalityczki z Los Angeles.

– Gdzie?

– O około tysiąc mil na południowy wschód od Wysp Bożego Narodzenia. Płynęliśmy do Honolulu.

– Jezus Maria! – zawołał oficer. – Ta historia jest najbardziej nieprawdopodobna ze wszystkich, jakie słyszałem w życiu!... Spinacze do bielizny!

I wyszedł zbulwersowany razem z kolegą.

Kiedy zaniósłam Maurycemu prawdziwy posiłek: befsztyka i purée z groszku, sałatkę owocową z puszek – zjadł z apetytem. Przez ostatnie dni spał dość dużo, żeby poprzednia senność ustąpiła. Mówił długo, ale bardzo niewiele o tym, co przeżył po zatonięciu jachtu. Powiedział tylko, że widział Esmeraldę żywą, a zostawił ją w towarzystwie pewnej niezwykłej Chilijki, dawnej studentki Akademii Sztuk Pięknych w Paryżu, znającej

jako tako francuski. Co do reszty, to obiecano mu wyrwać język, gdyby pisał słówko o całej sprawie.

Opowiadał mi długo o swym dzieciństwie w Marsylii, we Francji, o babce, którą bardzo kochał, o szkole jezuitów, gdzie się wychował. Opowiedział mi też o obrączce, którą miał na palcu. Ożenił się z najpiękniejszą i najlepszą kobietą, o jakiej może śnić mężczyzna, ale los rozdzielił ich przed dwunastu laty i myśl, że ona wciąż czeka, jest dla niego zbyt bolesna. A jednak chciałby jej coś posłać. Wtedy właśnie zapytał o perły.

Pokazałam mu perły i szczerze powiedziałam, że jednej brak. Nie liczył ich, ale liczył się z tym, że w drodze z Jarvis do Rangunu jakiś złodziej mógł zabrać wszystko albo przynajmniej okazałą część. Umieściłam woreczek pod jego materacem i uznaliśmy sprawę za zamkniętą.

Potem poszłam spać do tego samego łóżka co zwykle, tuż przy wejściu do namiotu. W poprzednie noce spałam nago, nie mogąc znieść nic poza moskitierą, ale teraz kiedy oprzytomniał, w jego obecności nie mogłam oczywiście zdjąć fartucha. Obiecałam sobie przynieść parawan i położyłam się w ubraniu. Jeszcze długo słyszałam, jak mówi.

W ciemnościach zapytał:

– Śpi pani, Toledo?

– Głęboko.

I zaczął od nowa. Wszystkie filmy, jakie widział u miss Frou-Frou. Upał. Pewne miejsce w Mozambiku zwane „Wirujące Koło”. Małpka, która uciekła na drzewo.

Ranikiem spał spokojnie. Poszłam wziąć prysznic i wypić kawę. Kiedy wróciłam, nie było go. Już biegłam, żeby zaalarmować innych, gdy go ujrzałam, jego albo kogoś bardzo podobnego, tyle że stojącego, więc podeszłam bliżej. Owinął się prześcieradłem, żeby osłonić nagie ciało. Jego długie włosy rozwiane przez uporczywy monsun oblepiły twarz tak, że widziałam tylko jedno oko.

– Czy pan oszalał? – odezwałam się.

– Na pewno, skoro znalazłem się w takim miejscu! To ma być Birma? Można by pomyśleć, że Saintes-Maries-de-la-Mer w dzień po Potopie.

Zmusiłam go, żeby wrócił do łóżka. Czułam, że groźby nie zdałyby się na nic. Wytłumaczyłam mu, że jeśli nie będzie zachowywał się rozsądnie do chwili przybycia swych rodaków, którzy wyjaśnią jego sytuację, ja na tym ucierpię. Zostanę zdegradowana, wylana z marynarki. Przez kilka sekund patrzył na mnie oniemiały, aż wreszcie zauważył, że noszę mundur

i nie spuszczać ze mnie pełnych niedowierzania oczu, zapytał kpiąco:

– Jak to możliwe, żeby kobieta tak się wystroiła? Przecież jest pani ładna i zgrabna!

Wieczorem, gdy zobaczył mnie w fartuchu, westchnął cicho, nic poza tym.

Przyniesiono parawan. Ustawiłam go przed swoim łóżkiem. Kiedy przyszła pora kłaść się spać, już po niezliczonych partiach warcabów, zgasiłam lampę Maurycego. W kąciку zdejmowałam skąpe odzienie, jakie na sobie miałam. Wtedy usłyszałam jego głos:

– Toledo, niech i pani zgasi lampę. Widzę pani cień na parawanie, a to gorsze od wszystkiego.

Jeszcze długo rozmawialiśmy w ciemnościach, leżąc w łóżkach, które dzieliła odległość piętnastu kroków. Rozśmieszył mnie, ale to bardzo szczególne uczucie leżeć nago i śmiać się razem z obcym mężczyzną pod ogromnym, zatopionym w ciemnościach namiotem. Mam na myśli to, że jeśli on nawet nie może Pani zobaczyć, to jest Pani niespokojna, a jednocześnie śmieje się Pani głośniej niż zwykle i z byle czego.

Nazajutrz pijąc kawę przyłapałam się na tym, że obserwuję własne odbicie w szybie mesy, co oczywiście zdarzało mi się często i zwykle nie przywiązywałam do tego wagi, tym razem jednak zrozumiałam, że zaczynam się zakochiwać.

Odkąd wstąpiłam do marynarki, miałam trzech kochanków. Pierwszym był pewien lekarz, kapitan, jeszcze podczas stażu w San Diego. Wywarł na mnie duże wrażenie. Drugi, chorąży świeżo po szkole, złamał nogę robiąc Bóg wie co z wartownikami. Nie przestawał powtarzać, kiedy usiłowałam z zachowaniem najwyższej ostrożności usadowić się na nim odpowiednio w łóżu boleści: „Uważaj! Uważaj! Moja noga”. Najwyraźniej wyżsi stopniem nie byli dla mnie i wykazywałam tendencję spadkową, bo trzeci był już tylko prostym marynarzem rodem z Teksasu. Spędziłam z nim ledwie jedną noc przed zawinięciem do Leyte, i tylko dlatego, żeby zrobić jak pielęgniarka, z którą się przyjaźniłam, i zapomnieć o wojnie. Ale nie zapomniałam tej dziwnej pustki, która ciąży na sercu, gdy jest się zakochanym.

Tego dnia szłam więc do Carlyle w stanie ducha nietrudnym do wyobrażenia. Maurycy tymczasem stał się wyjątkowo męczący. Zupa była niesmaczna. Ryba niejadalna. Chciał, żebym mu obcięła włosy. Potem narzekał, że są za krótkie. Przez cały czas przy goleniu brody trzymał zaciśnięte pięści, jakby przechodził tortury albo zamierzał mi przyłożyć, gdybym go

skaleczyła. Potem uznałam, że jak na Francuza jest całkiem niezły, a on na to, że nigdy nie widział nikogo równie paskudnego, ale oczywiście dodał, iż jego noga nie powstała nigdy w Ameryce. W końcu miałam tego dosyć. Powiedziałam:

– A czegoż to pan chce ode mnie? Nikt tu nie śmiał odzywać się do mnie w ten sposób! Jeżeli się panu nie podoba, to może pan to zrobić sam!

Stałam w nogach jego łóżka. Zaczęłam głupio płakać, jeśli w ogóle można płakać mądrze. Uciekłam przekonana, że czytał we mnie jak w otwartej księdze. Nie pokazywałam się przez cały wieczór. Poprosiłam koleżankę, żeby zaniósła mu kolację z dodatkiem, jeśli się uda, pewnej mikstury, która uwolni nas od niego na parę godzin, a w nocy miał go pilnować strażnik.

Sama wróciłam na noc do swej kwatery, gdzie koleżanki otoczyły mnie serdecznością i gdzie mogłam spać naga jak mnie stworzył Bóg. W dodatku po uronieniu kilku łez, które towarzyszyły wewnętrznym rozważaniom typowym w tego rodzaju sytuacjach, spałam jak królowa.

Nazajutrz ta sama kara, ten sam powód. Obiad podała mu Paddy – ciemnowłosa, niziutka kuleczka z aparatem na zębach i usposobieniem dobermana, któremu właśnie obcięto ogon. Nie знаła ani jednego słowa po francusku, pewnie nawet tych, których można nauczyć się z karty dań każdej przyzwoitszej restauracji. Kiedy zapytałam o Maurycego, powiedziała:

– Miło na niego popatrzeć, ale w głowie ma pustkę. Na próżno groziłam, błagałam, wyzywałam od skurwysynów – uparł się, że keczupem wypisze na kołdrze „Toledo”.

Nie muszę mówić, jakie to na mnie wywarło wrażenie. Obiecałam jednak, że każę mu czekać aż do kolacji. Zajmowałam się wszystkimi i wszystkim, byle nie nim. Potem zaczęłam się pucować i zatonełam w pianie z mydła, pasty do zębów i szamponu. Opilałam i pomalowałam paznokcie u rąk i nóg. Zmieniłam fartuch, czepek, majtki, sandały i dezodorant.

I tak w promieniach zachodzącego słońca zasnutego lekką mgłą, zachwycająca, jasnowłosa lalczka, świeżo wyjęta z opakowania niosła niegrzecznemu chłopcu to, co kuchnia miała najlepszego dla jego francuskiego podniebienia: zupę sojową z ostrą papryką, stek wołowy, zapiekany makaron, szarlotkę i piękną orchideę, by stworzyć przyjazną atmosferę i dodać całości elegancji.

Gdyby ktoś mógł czytać w duszy tej lalki, zakładając oczywiście, że miała duszę, oto czego by się dowiedział: ona wchodzi do namiotu; on,

oszołomiony jej urodą, błaga o wybaczenie. A potem, niech się dzieje, co chce. Pomimo wszystkich różnic, tego wszystkiego, co słyszała po tysiąc-kroć, kiedy jeszcze dumnie przechadzała się po Toledo w Ohio, mimo *French, they are a funny race, parlez-vous?*, oddałaby mu się na skotłowa-ny łóżku, w przenikającej wszystko wilgoci monsunu.

Nic nie jest nigdy takie dobre ani takie złe, jak się spodziewamy – sam to powtarzał.

Kiedy weszłam, odwrócił się, skrzyżował ręce, wsparty na dwóch poduszkach. Dąsał się. Udałam, że gwizdzę na to. Chciałam postawić tacę przed nim. Odsunął ją. Niech i tak będzie. Zostawiłam posiłek na sąsiednim łóżku i wyszłam.

W nocy wróciłam. Nie byłam już laleczką. Byłam zmokłą pielęgniarką, która robi obchód w deszczową noc i wciąż nie jest w stanie pojąć męż-czyzn. Zapaliłam lampę nad nim. Nie tknął kolacji. Nie spał. Patrzył na mnie smutnymi oczyma, nakryty poplamionym keczupem prześcieradłem tylko na tyle, by ukryć, że wyszedł już z wieku dziecięcych grymasów. Powiedziałam:

– Szef kuchni będzie niezadowolony. To Murzyn z Waszyngtonu, sztywniak, który zazdrośnie strzeże swego terytorium. Jest jeszcze wyższy od pana i nie zdziwiłabym się, gdyby panu dołożył, kiedy stanie pan na nogi.

Maurycy wzruszył prawym czy lewym ramieniem, nie pamiętam. Nawet się nie uśmiechnął. Powiedział:

– Nie wie pani, co to znaczy, Toledo! Całe lata wojny bez kobiety!

– Wszyscy, którymi się zajmowałam, powtarzali to samo.

– O nie, nie wie pani, co to znaczy.

– Ale przecież nie był pan sam na tej wyspie?

– Na jakiej wyspie? – zapytał. – Nie spędziłem tam nawet godziny. Zdążyłem tylko rozpoznać Esmeraldę i obiecać obu, że ktoś po nie przy-plynie. Nadciągał tajfun.

Wyciągnął rękę, żebym podeszła bliżej. Ujęłam jego dłoń. Jego druga ręka wśliznęła się pod mój fartuch. Odepchnęłam ją łagodnie.

Powiedziałam:

– Jest pan nierozsądny, Maurycy. Dlaczego pan nie jadł?

Uniósł się nieco, a w jego oczach zobaczyłam wściekłość graniczącą z obłędem:

– Jeść? A po co? Wie pani, co mnie czeka, kiedy opuszczę to miejsce? Pluton egzekucyjny!

Nabrał tchu i głuchym głosem rzucił:

– Jestem dezterterem!

Aż przysiadłam. Przycupnęłam na brzegu jego łóżka, mniej więcej na wysokości jego kolan. Powiedziałam:

– Ależ to niemożliwe!

– De–zer–te–rem!

Długo nie byłam w stanie wydobyć z siebie głosu. Patrzyłam na niego. Zwiesił głowę. Znow ujęłam jego dłoń i zapytałam cicho:

– Czemu pan zdezerterował?

– Właśnie! Bo nie pamiętałam już nawet, jak wygląda kobieta!

Świetnie grał komedię, ale jego dłoń zaciskała się na mojej, a w nieprawdopodobnie czarnych oczach, okolonych rzęsami tak długimi, jakich nigdy nie widziałam, błyszczały łzy. Cóż, patetyczna scenka. On cały był patetyczny, a moje serce przepęniały niepokój i litość. Szepnęłam:

– Czego pan chce?

Wzruszył smętnie lewym ramieniem, może zresztą prawym, w każdym razie tym samym co poprzednio.

– Dobrze pani wie, czego chcę – powiedział odwracając oczy. – Ale nie będę nawet próbował pani tknąć.

Zadając pytanie miałam pewne wyobrażenie o tym, co mogłoby sprawić mu przyjemność. Teraz nie rozumiałam już nic poza tym, że jestem idiotką.

Na wszelki wypadek wstałam. Jego oczy znow na mnie spoczęły. Nie trudno było z nich wyczytać, że zaczął robić to, czego chciał, i że teraz czeka na ciąg dalszy, ale ta wiedza nie uczyniła mnie mądrzejszą. Po długich sekundach przypatrywania się sobie, sekundach, przez które nawet nie drgnęłam, czułam się tak zażenowana, że powiedziałam:

– To pana bawi? Bo mnie nie!

I pobiegłam na dwór odsłaniając połę namiotu pełniącą rolę drzwi. Odwróciłam się jeszcze i rzuciłam:

– A powiedział pan naszym oficerom, że jest pan dezterterem?

Wzruszył ramionami, tym razem i lewym, i prawym.

Biegłam po deszczu aż do swej kwatery. Dwaj żołnierze i lekarz rozmawiali w drzwiach baraku. Zapytali o nastrój zabojada. W tak małym jak nasz obozie wszyscy natychmiast dowiadują się o każdym drobiazgu. Mijając ich powiedziałam: „W porządku, w porządku”. Ale nie sądzę, żeby mi uwierzyli.

Nazajutrz i przez kolejne dni byłam niczym sfinks. Chodziłam do Maurycego w mundurze polowym, czysto służbowo. Wpychałam mu termometr

do ust. Nie odzywałam się ani słowem. Temperaturę miał normalną, ciśnienie niezłe, oczy tak samo białe jak zęby, męskość skromnie osłoniętą prześcieradłem. Kiedy je ściągałam wyłącznie po to, żeby rozłożyć czyste, patrzyłam na niego ze złością, a on trzymał materiał kurczowo, jakby obawiał się wystawić na szwank honor Wiecznej Francji. Drwiłam sobie z tego. Wychodziłam zabierając brudną pościel.

Ale nocami – *Panie, uczyniłeś je zbyt długimi* – śpiewał Armstrong. Popłakiwałam. Robiłam sobie wyrzuty. Szczególnie za to, że nie rozumiałam, o co prosi Maurycy, kiedy stałam przed nim. A przecież było to jasne i pewnie wcale nie trudniejsze, niż kiedy robiłam to za parawanem. Czyż nieco wcześniej nie byłam zdecydowana oddać mu znacznie więcej?

Może nie jest konieczna opowieść, co wydarzyło się trzeciej nocy, ale napiszę o tym mimo wszystko.

Po dokładnym zamknięciu namiotu raz jeszcze postawiłam mu na kolanach tacę z kolacją. Powiedziałam dość ostro, żeby sobie dopomóc i odważyć się na niego spojrzeć:

– Zje pan, jeśli to zrobię?

Wzniósł na mnie ufne spojrzenie. Brodą dał znak, że obiecuje.

Cofnęłam się o trzy kroki, wbijając wzrok w wymyślony horyzont, tak jak uczono mnie w San Diego. Prosta jak szpada, zdjęłam pas i rozpięłam najpierw jeden guzik na piersiach, potem jeszcze dwa. Już ze dwadzieścia razy przeżywałam tę scenę w tym, co u mnie pełnić musi rolę mózgu, ale wstyd wziął górę – nie byłam w stanie posunąć się dalej. Zwróciłam na niego oczy. Wziął talerz i szybko przełknął łyżkę purée.

Słyszałam szmer wentylatorów. Pociłam się. On patrzył na me piersi za rozchylonym fartuchem, jakby nigdy nie widział piękniejszych, delikatniejszych. Zdobywając się na odwagę, drżącymi palcami rozpięłam czwarty guzik, potem, pospiesznie, ostatni, do którego musiałam się nachylić.

Nie zgadnie Pani, co powiedział, kiedy, oniemiała i pewnie szkarłatna, rzuciłam fartuch na ziemię. Nie błagał, jak w mych nocnych rojeniach, bym zdjęła resztę ubrania – pożyczone od jednej z pielęgniarek majtki, których ogromną zaletę stanowiła zdobiąca je koronka.

Szepnął:

– Cicho bądź!...

I rzucił się na poduszki, nagle bujając wzrokiem gdzieś w dali i gdyby tylko oparł wierzch dłoni na czole i zakaszłał, wielu uwierzyłoby, że to Greta Garbo.

To pomogło mi się rozluźnić. Z własnej inicjatywy, z nagle odzyskanym wdziękiem zsunęłam nad kostki pożyczone od koleżanki majteczki, a fakt, że utknęły na granicy pantofelków i że zataczałam się z lekka pozbywając się ich, rozbawił mnie. Zależało mi naturalnie na pozostaniu do samego końca w pantoflach, bo obcasy podnoszą walory nóg, ale muszę wyznać, że to nie zachęcało Maurycego, by dotrzymać słowa i nawet mnie nie tknąć. Należałam już do niego, a wciąż nie rozstałam się z pantoflami. Z czepkiem zresztą też nie.

O tak, byłam zakochana po uszy. Ale było to niczym w porównaniu z tym, co bardzo prędko miało się ze mną stać. Kochałam jego umysł, jego wrażliwość, duszę, po prostu wszystko. Ale to, co ze mną robił, co zrobił, nie da się wyrazić.

Dotąd byłam zawsze w zgodzie z sobą samą, nie wiedziałam, co to frustracje i urojenia, innymi słowy, byłam spokojna i zrównoważona. Nie wiem, czy inni w obozie dostrzegli tę przemianę, czy byli zaskoczeni, rozbawieni, czy może zaszokowani. Nikt nie czynił mi żadnych uwag. Wiem tylko z pewnością, że moje krzyki mogłyby postawić na równe nogi całą marynarkę.

W drugim dniu września, a więc w dniu podpisania pokoju, Maurycy otrzymał mundur, trochę bielizny i buty. Doktor Kirby przeprowadził z nim długą rozmowę. W oczekiwaniu na rozkazy od swoich zwierzchników Kirby zdecydował, że Francuz pozostanie pod moim nadzorem, pod warunkiem jednak, że nie będzie opuszczał „Carlyle”, mając prawo jedynie do codziennego spaceru po plaży.

Mnie powiedział:

– Niech sobie pani radzi, jak chce, bylebym nie słyszał o nim aż do wyjazdu.

Któregoś dnia z Jarvis dotarły przez Rangun wiadomości. Przekazano mi je. Pobiegłam do Maurycego. Zabawiał się właśnie, waląc pięściami w wypełniony piachem worek marynarski, który zwisał pod sufitem. Miał na sobie spodenki khaki i pocił się jak mysz.

Powiedziałam:

– Znaleźli twoje przyjaciółki na Pacyfiku. Są w drodze do San Francisco.

Był zadowolony, ale zbyt zziębnięty, żeby mówić. Sięgnął po ręcznik i otarł twarz i tors. Dodałam:

– Miss Esmeralda utrzymuje, że spędziłaś na wyspie prawie trzy lata.

Cisza.

– Poza tym mówiłeś mi, że ta druga jest Chilijką. W telegramie piszą o Japonce.

– Chilijką czy Japonką, co za różnica?

Naciągnęłam palcami powieki, żeby mu pokazać różnicę.

– Posłuchaj – powiedział. – To fantastyczna dziewczyna. Nie chciałem, żeby miała problemy z twoimi rodakami.

Usiadł i odwijał bandaż, które zakładał na ręce, kiedy brał się do bokowania worka.

– Zresztą – powiedział – ona nie ma nawet skośnych oczu. Zapewniam cię, że piekielnie przypomina Chilijkę.

– Spałeś z obydwoma, prawda?

Spojrzał na mnie, zrozumiał, że wszystko będzie lepsze od milczenia i, zajęty bandażami, odpowiedział:

– Wiesz, trudno się było połapać.

Następnej nocy, kiedy byliśmy razem w jego wąskim łóżku, przyszło mi na myśl inne pytanie:

– Jeżeli od zatonięcia jachtu byłeś cały czas na tej wyspie, to jakim cudem zdążyłeś zdezerterować?

– Jak myślisz, po co ukrywałem się na „Pandorze”?

– Żeby robić te wszystkie ohydziejstwa z miss Fru-Fru.

– Nie – odpowiedział. – Zbiegłem z fortecy wojskowej. To oznacza, że byłem wciąż żołnierzem.

Wtedy wyznał mi, że został skazany na dożywocie za czyn, którego nie popełnił. Kiedy powiedział, jakie przestępstwo mu zarzucano, wiedziałam, że nie mógł być winien.

Przejrzałam regulamin amerykańskiej marynarki, ale nie natrafiłam na nic, co odpowiadałoby sytuacji Maurycego. Skoro nadarzyła się okazja, zapytałam pewnego pilota z „Delmonico”, rannego nad Arakanem, jak postępuje się u nas z więźniem skazanym przez sąd wojskowy, gdy ucieka w czasie wojny. Pilot nazywał się Jim albo Jack Forsy the i pochodził z Wirginii. Odpowiedział:

– Kula w łeb. A jeżeli chcą zaoszczędzić kul, wysyłają delikwenta na pierwszą linię i nigdy już stamtąd nie wraca. Tak czy inaczej, kula.

– Jest pan pewien?

– Jak tego, że jestem synem mojej matki.

– Ale jeśli odnajdą go dopiero po wojnie?

– Kula w łeb. I nikt już nie myśli o oszczędzaniu kul.

Szczęściem dla mnie, bo inaczej całkiem bym się załamała, Maurycy

nie starał się już wzbudzić mej litości, ciągle mi przypominając, jak niewiele życia mu zostało.

– Zanim sobie przypomną o moim istnieniu, upłynie trochę czasu – powiedział. – A poza tym i tak już dosyć ludzi zginęło, wszyscy są tym zmęczeni.

Wykorzystywał chwile, kiedy słońce wychodziło zza chmur, na długie spacerować po wyludnionej plaży. Poza zasiekami obozu ciągnęło się zalane wodą ryżowisko, a w dali zieleniły się drzewa. Nigdzie żadnej wioski ani pagody, nic, co przypominałoby mu, że jesteśmy w Birmie. Patrzył na to wszystko i mówił:

– Woda jest wszędzie taka sama. Wiesz, że prawdopodobnie pochodzimy od dziwaczkich zwierząt, które wyszły z wody? Jestem spod znaku Raka. To znak wody, jedyny rządzony przez księżyc w Zodiaku. A ty?

– Ryby.

– Podobasz mi się – powiedział.

W rzeczywistości najbardziej lubił Byki. Jego żona była Bykiem, podobnie wielu przyjaciół. Ja sama nigdy przedtem nie zastanawiałam się nad tym.

Chodziliśmy tak po plaży. Czasami kąpaliśmy się. Niestety rzeka niosła wiele nieczystości i szczątków. Byłam mniej opalona niż on, a pupę miałam bielszą niż resztę ciała i wstydziłam się tego. O tym też nigdy przedtem nie myślałam.

Potem była pamiętna noc Czu-Janga. Jeszcze na początku września. Wszystko, o czym opowiadam, stało się bardzo szybko.

Jak zwykle o zachodzie słońca przyniosłam Maurycemu kolację. Kiedy jadł siedząc przy stoliku, który kazałam przynieść, całowałam jego kark, wsuwałam rękę pod spodenki khaki, słowem nękałam go, jak mogłam. Mięśnie ramion i pleców miał potężne po bokowaniu worka z piachem, nastrój pogodny. Powtarzał: „Toledo, przestań, co ty wyrabiasz!”, ale nie udawało mi się na serio go rozgniewać.

Nagle usłyszeliśmy bijący w dali dzwon kuchenny. Maurycy przerwał jedzenie, wsłuchując się weń z jakimś przerażeniem, a jego oczy były wytrzeszczone, jakby wyrwał się z koszmarne go snu.

– Co to takiego?

Zaskoczyła mnie jego reakcja, ale faktycznie ten dzwon odzywał się bardzo rzadko. Był pewnie używany, kiedy przed nami w obozie stacjonowali Brytyjczycy. Powiedziałam:

– Nic. To szyfr. Oznacza, że Czu-Jang przyjeżdża z Rangun, żeby pograć w karty.

– Kto taki?

– Czu-Jang. Nazywamy go Chińczykiem-Który-Nas-Okrada. Nikomu jeszcze nie udało się go pokonać.

Maurycy wstał patrząc na wejście do namiotu. Oddychał głęboko, być może starając się pokonać lęk, który go ogarnął. Zapytał:

– Wysoko gra?

Nie miałam pojęcia, bo te partyjki, podczas których nasi żołnierze dawali się oskubywać, niewiele mnie obchodziły. Zobaczyłam, jak jego spojrzenie przesuwa się w stronę materaca, pod którym ukrywał perły.

Szepnęłam:

– O nie! Tylko nie ty!

Teraz opiszę Pani, jak w sześć godzin później wyglądał „Carlyle”. Dym papierosów przyćmiewał światło lamp. Na dworze padało i był to jedyny dźwięk, słyszalny w namiocie. Zatrzymano wentylatory, żeby nie przeszkadzały graczom. Stolik w głównej alejce otaczał tłum milczących jak zakłęci widzów. Byli tam dwaj NP, którzy nie mieli służby, trzy pielęgniarki, amerykańscy i angielscy rekonwalescenci, w sumie około piętnaściorga spoconych, rozchełstanych ludzi, siedzących a to na krzesłach, a to na pobliskich łózkach.

Po jednej stronie stołu siedział Czu-Jang. Ogolona głowa, czarne, przepaściste oczy, mundur chińskiego generała, rysy twarzy zamarłe, nieprzeniknione. Tuż obok ta, która zawsze towarzyszyła mu, gdy przyjeżdżał zgarnąć nasze pieniądze, Czeri-Czen, młoda, wyniosła i prześliczna Chinka w jedwabnej sukni z długim rozporkiem, która stała niemal bez ruchu, tylko czasem unosząc do ust długą, chińską cygarniczkę.

Po drugiej stronie stolika, w beżowych spodniach i hawajskiej koszulce pożyczonej od marynarza z „Plazy”, Maurycy delikatnie wysypywał perły na szalkę małej, złoczonej wagi, aby wyrównać stawkę przeciwnika. Na początku partii Czu-Jang nie miał pereł. Stawiał jedenaście dolarów za jedną. Teraz to on miał ich więcej, a stawkę podnosił przy każdym rozdaniu.

Rozgrywali bardzo subtelną partię: talia kart leżała pomiędzy nimi i każdy brał kolejno to, co było na wierzchu, a wygrywał ten, którego karta okazywała się mocniejsza.

Sprawa komplikowała się, kiedy wyciągali dwie równe karty. Maurycy wykrzykiwał triumfalnie: „Bitwa!”, ale Czu-Jang nie mówił nic. Nigdy nie okazywał emocji. Potem raz jeszcze sięgali po karty, bardzo wolno, żeby rozwścieczyć przeciwnika i pokazać, jak są przebiegli, a Czu-Jang odwracał swoje i zgarniał perły, nie interesując się nawet tym, co wyciągnął Maurycy.

Do trzeciej rano Czu-Jang przegrał najwyższą sześć partii. Znany był z tego, że nigdy nie przegrywa więcej niż siedem bez względu na to, jak długo trwa gra. Ponieważ talię zbierano po zakończeniu partii, nigdy nie brakło kart. Wydawało mi się logiczne, że ta partia potrwa, aż Maurycemu zabraknie pereł. Pomiędzy rozdaniem ocierał wierzchem dłoni pot z czoła, wypijał łyk wódki ryżowej, pociągał papierosa i zaglądał do starej skarpetki z resztą pereł.

O świcie nie miał już nic. Położył trzy ostatnie perełki na wagę. Czu-Jang uczynił to samo i wyciągnął waleta. Maurycy rzucił siódemkę.

W namiocie rozległ się pełen współczucia szep. Jeszcze straszliwsza była chwila, gdy Chińczyk postawił perełki za starą skarpetkę i wygrał także ją.

W czasie tej ciągnącej się godzinami gry wiele osób poszło spać. Ci, którzy wytrzymali dotąd, wstali, aby uczynić to samo. Byli to dwaj Brytyjczycy i trzech Amerykanie, z których jeden, sierżant Wilkinson, przytrzymał śpiącą na jego ramieniu moją koleżankę, Wirginię Cosentino. Siedziałam blisko Maurycego. Odurzony wódką, tytoniem i zmęczeniem, wpatrywał się uporczywie w szczupłe dłonie Chińczyka, gdy ten przekładał perełki do skarpetki. Nagle wyprostował się, a w jego oczach zabłysły łyżki wściekłości. Wykrzyknął:

– Zostaw to! Nie powiedziałem, że gra jest skończona! Mam jeszcze spadek po babce!

Otoczyła go ramieniem i zrozpaczona powiedziałam:

– Opanuj się, Maurycy, błagam cię, nie rób tego!

Odepchnął mnie. Patrzył na Czu-Janga gniewnie i wyzywająco. A oczy Czu-Janga były jak dwie nieprzeniknione szczeliny. Wtedy Czeri-Czen pochyliła się, by szepnąć kilka słów do ucha swego przyjaciela. Szczeliny zwężyły się jeszcze bardziej, ale Czu-Jang, opierając się wygodnie o plecy krzesła, zapytał po francusku:

– Czy mój godny przeciwnik powiedział: s p a d e k ?

Nawet nie rozumiejąc słów ci, którzy odchodzili, zawrócili do stołu. Maurycy nalał sobie wódki i wypił ją. Zapalił papierosa, westchnąwszy wypuścił kłęb dymu. Odezwał się, a jego oblicze stało się zadziwiająco spokojne:

– Kiedy byłem mały, w Marsylii, moja babka chodziła zawsze w czerni, nawet latem, bo do samego końca chciała nosić żałobę po dziadku...

Tłumaczyłam mym rodakom i dwóm Brytyjczykom.

– Był dzieckiem. Jego babka była wdową...

Ona też była biedna, ciągnął ów młodzieniec, który znalazł się tak daleko od domu, i żeby zarobić parę groszy, chodziła od drzwi do drzwi po całej dzielnicy Belle-de-Mai. Niezmordowanie wędrowała po piętrach, jedną ręką wspierając się o poręcz, w drugiej niosąc torbę i czarny parasol, z którym się nigdy nie rozstawała.

Przyciskała dzwonek. Nim nabrała tchu, a jej serce zaczęło bić spokojniej, drzwi otwierały się, a stał w nich mężczyzna w bieliźnie, za nim zaś kobieta w szlafroku. I mężczyzna, któremu przeszkadzono w czytaniu gazety, mówił do babki:

– Niczego nam nie trzeba!

– Tym lepiej – odpowiadała – bo i ja nie mam nic do sprzedania. Ale jeśli macie wszystko, to może i puste tubki po paście do zębów. Zajmuję się odzyskiwaniem opakowań.

Czasami mężczyzna burczał, że nikt w tym domu nie myje zębów, ale kobieta trącała go łokciem i, chciał nie chciał, szedł poszukać. A gdy babka została sam na sam z kobietą w szlafroku i wsparłszy się plecami o ścianę patrzyła na nią, ta proponowała:

– Jeżeli pani chce, to zamiast wyrzucać tubki, będziemy je dla pani odkładali. Wystarczy, jeśli zajrzy tu pani czasem.

Tak oto po paru tygodniach babce łatwiej było napełnić torbę. Potem sprzedawała zbiór po cenie ołowianego złomu. To niby nic, ale proszę posłuchać dalej.

Wdrapywała się dzielnie po coraz nowych schodach, otwierały się przed nią nowe drzwi, a za jednymi stał emeryt w szlafroku, trzymając już w ręku puste tubki. I gdy wkładała je do torby, gratulując mu dbałości o higienę, mężczyzna przestępował z nogi na nogę, by w końcu przemówić nieśmiało:

– Jesteśmy teraz samotni, pani Isolo, a ja mam dobrą emeryturę z Kolei. Czemu nie mielibyśmy się pobrać?

Babka poskromiła go wzrokiem, zaczerwieniona po uszy, i odpaliła:

– Za kogo mnie pan bierze!? Jestem żoną jednego mężczyzny! Nikt nigdy nie zarzuci mi, że obejrzałam się za innym!

I ruszyła po schodach, by jak najszybciej uciec od osobnika tak nikczemnego, ale emeryt, przerażony, że uraził wdowią godność, nie dawał za wygraną:

– Błagam, niechże pani tak nie odchodzi! Może mam jeszcze coś, co się pani przyda!

I wyciągał dwie puste butelki po winie, wskazując ołów, otaczający szyjkę. Babka zrywała ołów i wtykała go do torby, mówiąc:

– Wszystko się przyda! Moja praca to odzyskiwanie starych opakowań.

Stopniowo jej teren łowiecki rozciągnął się na bulwar Longchamp, ulicę Saint-Ferréol, Prado, całą Marsylię. W cieniu i w słońcu, idąc po jezdni ciągnęła teraz wózek. Przemierzała drogę nie patrząc na innych, z oczyma utkwionymi przed sobą, z czarnym parasolem przyczepionym do wózka. Była niczym mrówka.

Kiedy uciekłem z internatu, do którego matka musiała mnie oddać, po tym jak porzucił nas ten dzikus mój ojciec – ciągnął młodzieniec odchrząknawszy, by ukryć wzruszenie – to właśnie u niej się schroniłem.

Mieszkała wtedy przy bulwarze National, na pierwszym piętrze, w mieszkaniu, które długo należało do mojej matki, i gdzie przyszedłem na świat. Była tam kuchnia, pokój i drugi, wąziutki pokoik, gdzie wciąż jeszcze stało moje łóżeczko.

Dnie spędzało się w kuchni. Był tam duży zbiornik na wodę pitną nad zlewem i okno wychodzące na bulwar. To z tego okna wyrzuciłem na chodnik płonące papierki, nim trafiłem do internatu. Nie wiem, czemu robiłem takie rzeczy, wiecie równie dobrze jak ja, że trudno wytłumaczyć samemu sobie pewne impulsy, które odczuwało się tak silnie mając pięć, sześć lat, i że nie sposób ująć je w słowa. A ja właśnie nie znajdowałem innego języka prócz tych płonących papierków, które wprawiały przechodniów w przerażenie.

Pamiętam, że tego popołudnia, kiedy do niej przyszedłem piechotą z Trois-Lucs, co dla mnie stanowiło szmat drogi, w pierwszej chwili zobaczyła we mnie tylko usmolonego i głodnego wnusia. Wyszorowała mnie w miednicy, otuliła dużym ręcznikiem i usadowiła przy stole nakrytym woskowanym obrusem. Kiedy zajadałem z apetytem polentę obficie polaną sosem z mięsem i parmezanem, usiadła koło mnie i po chwili, przez którą przyglądała mi się z czułością i bólem, powiedziała:

– Biedne maleństwo, co my z tobą zrobimy? Co z ciebie będzie?

Odpowiedziałem prawdę:

– Nie wiem.

– Ale czego byś najbardziej chciał?

Namyślałem się przez chwilę, a potem rzuciłem bez przekonania.

– Może zostanę doktorem?

Szykowała mi banana ugniecionego z cukrem.

– To żaden zawód – powiedziała. – Wzywają cię w dzień i w nocy, jesteś niewolnikiem ludzi. Nie, nie o tym powinieneś myśleć.

Patrzyliśmy na siebie bez słowa przez dobrą minutę. Było coś, co

chciałbym może robić, boks. Duzi chłopcy dokuczali mi, bo moi rodzice byli makaroniarzami, a tak dałbym im do wiwatu nie czekając, aż babka przyjdzie mi w sukurs z parasolem. Niestety nie mogłem powiedzieć, że chcę być bokserem, bo i tak ledwie się gdzieś zadrasnałem, a opowiadała o tym sąsiadkom przez tydzień. Toteż powiedziałem:

– To trudno! Chciałbym opowiadać historie!

Była już stara, nie od razu zrozumiała.

– Jak to, opowiadać historie?

Sięgając po talerz z bananem powiedziałem:

– Po prostu! Takie jak w kinie! Dobrze wiesz!

Babka nie była w kinie od czasów Pearl White, ale widziała plakaty na ulicach, nie była głupia. Zapytała stropiona:

– A można z tego wyżyć?

Odpowiedziałem prawdę:

– Nie wiem.

Westchnęła. Wstała i podeszła do szafki w kuchni. Wróciła z kartonowym pudełkiem po cukrze z rafinerii Saint-Louis, postawiła je przede mną i otworzyła wieczko.

Pudełko było pełne starannie poukładanych w kupki banknotów. Każda kupka była przewiązana gumką. Tych pieniędzy było dużo więcej, niż kiedykolwiek widziałem. Odetchnąłem głęboko i zapytałem:

– Babciu, powiedz, ile masz takich pudełek?

– Dziewięć – odpowiedziała z dumą. – A jak pożyję dość długo, będę miała drugie tyle! To będzie twój spadek!

Pochyliła się nade mną i ucałowała. Ładnie pachniała wodą, której zawsze używała, nie znam nazwy.

– Dzięki temu – szepnęła cichutko, bo to był nasz sekret – będziesz mógł opowiadać, co zechcesz, nigdy nie zostaniesz niczym niewolnikiem!

Widzę ją jak żywą – w czarnej, codziennej sukience, z siwymi włosami zebranymi w koczek, zadowoloną, że tak mądrze zdecydowaliśmy, co robić.

– Teraz coś ci poradzę – dodała zamknąwszy pudełko. – Kiedy będziesz duży i będziesz jak każdy chłop, nawet i twój biedny dziadek, uganiał się za kobietami, uważaj, zanim którąś wybierzesz. Twój spadek może trafić tylko w ręce tej, która zamknie ci oczy!

Maurycy zamilkł, patrząc smutno na dno szklanki. Wszyscy wokół stołu byli wzruszeni jego opowieścią, nawet ci, którzy słyszeli tylko moje tłumaczenie.

A potem Czeri-Czen pochyliła się i szepnęła parę słów do ucha Chińczyka, który kradnie nam wszystko. Ten zaś rzekł łagodnym głosem:

– Może mój dzielny przeciwnik zechce wskazać, gdzie znajduje się dziś zawartość owych pudełek po cukrze?

– W banku – odpowiedział Maurycy. – Ma się rozumieć, szwajcarskim.

Czu-Jang podniósł szparki oczu na swego anioła stróża. Dziewczyna opuściła długie jak wieczność sztuczne rzęsy na znak aprobaty.

– Zgoda – powiedział. – Zagramy więc o cały spadek oszczędnej i hojnej babki.

I przesunął na środek stołu pełną perłę starą skarpetę.

Maurycy jako pierwszy sięgnął po kartę. Stałam za nim i serce o mało nie wyskoczyło mi z piersi, gdy ją ujrzałam, bo to był as karo. Rzucił ją triumfalnym gestem przed oczy Czu-Janga. Wokół rozległ się szmer, a Wirginia Cosentino nie zdołała powstrzymać się od bicia brawa i głośnego wyrażenia radości.

Tylko Chińczyk i Chinka pozostali niewzruszeni. Czu-Jang starannie ułożył swą kartę na asie Maurycego. To był as pik.

– Bitwa! – powiedział po raz pierwszy tego wieczoru.

Wyciągnęli jeszcze raz po karcie. Zobaczyłam tę, która przypadła Maurycemu, gdy i on na nią patrzył, a wszyscy obecni odczytali z naszych twarzy, że była zła. Zdesperowany rzucił siódmkę, generał zaś – dziesiątkę.

Czu-Jang nie tracił czasu na próżne pocieszenia. Wyciągnął z kieszeni munduru notes i pióro. Na zewnątrz był już dzień. Nie padało. Ujrzałam, jak przybity Maurycy pisze pierwsze słowa kwitu dłużnego.

Nie wytrzymałam. Krzyknęłam:

– Nie! Francuz ma jeszcze co postawić.

Zrywając czepek z oczyma pełnymi łez i wyzywającymi, ruszyłam w stronę łysego chińskiego generała.

– Mnie!

Nie sposób opisać zdumienie innych. Wirginia Cosentino uczepliła się mego ramienia, niezdolna wydusić słowa. Maurycy wstał, by mnie zatrzymać. Uwolniłam się od nich zdecydowanymi ruchami i spojrzałam Chińczykowi prosto w twarz. Opierając się o plecy krzesła ułożył dłonie płasko na stole i powiedział:

– Nie jestem zainteresowany!

Podbiegłam do szafki aptecznej. Wróciłam i cisnęłam na stół siedem spinaczy do bielizny. Siedem zwyczajnych, drewnianych spinaczy, które wzięłam zza kuchni, gdzie na sznurach suszyły się prześcieradła. Proszę

nie oczekiwać ode mnie wyjaśnień, co robi się z takimi spinaczami.

Zdumienie ustąpiło miejsca przerażeniu. Tylko Maurycy usiadł zasłaniając twarz dłońmi, a Czeri-Czen pochyliła się znowu do ucha swego towarzysza. Gdy mówiła, skierowane na mnie oczy Chińczyka robiły się coraz węższe, aż zamieniły się w dwie czarne szpary w kamiennym obliczu.

W końcu Czu-Jang zebrał spinacze obiema rękami i bez słowa pchnął je na środek stołu.

Stałam za Maurycem. Zacisnęłam palce na jego ramionach. Czułam, jak stopniowo odzyskuje odwagę i prostuje się. Panowała tak głęboka cisza, że słychać było śpiew ptaków nad ryżowiskiem.

W talii pozostało niewiele kart. Dokładnie cztery. Chińczyk wykonał ruch, jakby chciał zebrać te, które zostały już odkryte, ale siedzący ze spuszczoną głową Maurycy powstrzymał go gestem ręki.

Potem prostując się nagle, powiedział spokojnym głosem:

– Ty pierwszy. To twoja kolej.

Chińczyk wziął kartę, Maurycy wyciągnął swoją i spojrział na nią od dołu, tak żebym nie mogła zobaczyć. Chińczyk miał dziesiątkę.

Wszyscy wstrzymali oddech.

Wtedy Maurycy, zamiast pokazać kartę, położył ją wierzchem do stołu. Patrząc w oczy przeciwnika powiedział cicho, z pewnego rodzaju okrucieństwem:

– Moja karta jest lepsza. Odzyskałem spadek. Ale jeśli chcesz, wyciągnę następną i postawię na nią wszystko.

W grze były już tylko dwie karty. Czu-Jang wysłuchał tego, co szeptała mu do ucha Czeri-Czen. Wielokrotnie skinął podbródkiem.

Potem powiedział:

– Mój przeciwnik, jestem o tym przekonany, nie uciekłyby się do tak dziecinnych strachów, nie znając konsekwencji swych słów. Wolno mi zapytać, czy rzekł naprawdę: wszystko?

– Nie przesłyszałaś się – odpowiedział Maurycy.

Wtedy Czu-Jang wysunął z prawego rękawa długi przedmiot z czarnej laki. Nim ulokował go na środku stołu, pomiędzy sobą a Maurycem, rozłożył ów przedmiot i naszym oczom ukazała się brzytwa.

Tym razem publiczność odruchowo cofnęła się. Tylko ja nie zrozumiałam, o co chodzi, i wciąż trzymałam Maurycego za ramiona.

– Wszystko kontra wszystko – powiedział wolno Czu-Jang. – I pieniądze,

i rozkosze cielesne, i nasze nędzne życie są niczym w porównaniu z pięknem gry.

Błagałam: „Nie, Maurycy, nie!”, ale odsunięto mnie od niego. Dotykając paznokciami wierzchu karty, powiedział do Czu-Janga:

– Wydaje mi się, że za dużo mówisz, generale. Na co czekasz? Grajmy!

Chińczyk wyciągnął rękę, zawahał się, wziął kartę, która mu przypadła. Przez chwilę wpatrywał się w nią, ale jego twarz nie zdradzała rodzaju odczuć, jakich doznawał. W końcu rzucił na stół waleta pik.

Teraz wszystkie spojrzenia zwróciły się na Maurycego, ale również on nie zdradzał swych uczuć. Miał twarz człowieka, który patrzy w oczy przeznaczeniu. A jeśli zabluffował? Wszyscy zadawaliśmy sobie to pytanie, a Czu-Jang i Czeri-Czen nie mieli co do tego najmniejszych wątpliwości.

Spokojnie odwrócił kartę: to była dama kier!

Z radości wszyscy zaczęli się całować. Sierżant Wilkinson zagrał na harmonijce *boogie*. Wirginia Cosentino tańczyła z jednym z naszych, ja z Brytyjczykiem.

Maurycy siedział, wsparłszy brodę na rękę. Jego hawajska koszulka była mokra od potu.

Generał Czu-Jang wstał bez słowa. Założył kepi, zabrał ze stołu brzytwę i odszedł charakterystycznym dla siebie krokiem. Zatrzymał się tylko na chwilkę przy wyjściu z namiotu i nim zniknął, odetchnął głęboko poranym powietrzem.

Nikt nigdy nie dowiedział się, co się stało z Chińczykiem-Który-Nas-Okradał. Być może popełnił samobójstwo, być może nie. Są w delcie Irawadi w Birmie tacy, którzy utrzymują, że to on zadenuncjował francuskiego zbiega.

Ostatni obraz, jaki zachowałam z tej straszliwej nocy, to Czeri-Czen nieruchomo stojąca za stołem, jakby na wszystko obojętna. Wyprostowana, w jedwabnej sukni z długim rozporkiem, patrząca dużymi, zagadkowymi oczyma na Maurycego, na pozór zajmowała się wyłącznie paleniem papierosa.

Przez następne dni wszyscy mówili tylko o repatriacji. Każdy miał własne źródło informacji i roznosił pogłoski, ale upłynął tydzień, potem następny, a nic nie wskazywało na to, by ktokolwiek o nas pamiętał, tyle że ja i reszta pielęgniarek dostałyśmy formularze do wypełnienia.

Paddy była jedyną, która chciała pozostać w marynarce. Nie miała ani rodziny, ani chłopaka, a w zaufaniu wyznała mi, że po Guadalcanal zaokrętowano ją wyjątkowo na trałowiec, i że przez całe trzy tygodnie żaden facet nie grymasił ani na jej zadek, ani na aparat, który nosiła na zębach. Potem dostałam od niej widokówkę z pieczętką jednostki wojsk okupacyjnych z Tokio. Napisała tylko jedno zdanie: *Nurzam się w rozpuście.*

Jeśli idzie o mnie, to nim ujrzałam, jak me osobiste źródło rozpusty przybywa na noszach, myślałam o powrocie na Florydę i nowym przedsięwzięciu handlowym z Bessie Duncan, moją koleżanką z „Pandory”. Przy moich oszczędnościach i odprawie po wystąpieniu z marynarki mogłybyśmy dostać kredyt na kupno jachtu i wozić turystów na połów dużych ryb. Albo otworzyć kubański dancing, albo wydawać pismo z drobnymi ogłoszeniami, albo sprzedawać hot-dogi na plaży. Teraz nie miałam pojęcia, co będę robić.

Nie wyobrażałam sobie, że mogę wrócić do Ameryki, pozostawiając Maurycego jego losowi. Poruszyłam ten problem z doktorem Kirbym, mimo że uparcie podkreślał, iż nie chce o niczym wiedzieć. Co zrobimy z Francuzem w przypadku nagłego wyjazdu? Czyż nie było naszym obowiązkiem zabrać go z nami, skoro nam właśnie został powierzony?

– Francuz wróci do Indochin – odpowiedział Kirby. – Jeśli powinien być dokądś repatriowany, to do Sajgonu.

A potem, widząc, że spuszcza głowę i polykam łyzy, wybuchł, zrzucając gwałtownym ruchem ręki papiery leżące na stole:

– Jasna cholera! Czy kiedykolwiek bronilem pani postępować zgodnie z własnym widzimisię przez całą tę pieprzoną wojnę? Niech go pani uśpi albo przerobi na mumię, pokroi w plasterki i wrzuci do torby, może go pani przebrać za niedźwiedzia albo szympansa, może pani zrobić, co się pani żywnie podoba, kiedy będziemy wyjeżdżali, ale błagam na wszystko – niech mnie pani nie zmusza, żebym o tym wiedział!

Tego samego wieczora w „Carlyle” snułam dokładne plany przewiezienia Maurycego do Ameryki. Rany, które miał na torsie, nie wyglądały jak blizny po broni, ale nikt nie przyglądałby się im tak dokładnie. Nazywałby się MacKeena, jak ja – Jeremy MacKeena, tak żeby wszystkie dokumenty noszące tylko inicjał mego imienia mogły mu służyć. Byłby dzielnym amerykańskim pielęgniarzem, rannym podczas walk z Japończykami. Mogłam nawet założyć mu gips na lewą nogę i ozdobić go tyłoma życzeniami i podpisami, ile nosić musi prawdziwy gips.

– Nic nie dzieje się nigdy tak, jak przewidujemy – powtarzał Maurycy.
– Zostaw moją nogę w spokoju. Nie umiem biegać na jednej.

Przyszli po niego w pewną niedzielę pod wieczór, w połowie września.

Mimo upału włożyłam letni mundur, żeby spełnić jego kaprys. Myślę, że wszyscy mnie rozumieją. W torbie przeniosłam do namiotu swoje rzeczy. Stał odwrócony tyłem, kiedy się przebierałam. Po raz pierwszy od roku założyłam jedwabne pończochy i przypięłam je do paska. I włożyłam piekielny mundurowy kapelusik. Nie oszczędziłam sobie nawet krawata.

Obmacał mnie oczyma, potem rękami, potem całował, pieścił i gniótł, wreszcie rozebrał z białego fartucha i pozbawił godności. Chciał mnie wziąć na stojąco, opartą o stolik, przypadkowo tego dnia zastawiony flakonikami leków, które to flakoniki podzwaniały w rytm moich westchnień. Zamknęłam oczy i czułam właśnie, że ciałem i duszą lecę w przepaść, gdy nagle Maurycy przerwał nasze harce. To było po prostu bestialstwo i nie wiem już, do jakich uciekałam się błagań, ale on tylko zatkał mi usta. Wtedy tak jak on usłyszałam, że przez obóz jedzie z dużą prędkością samochód.

Nie wiem, jak to zrobiłam, ale opuściłam spódnicę na kolana i podchodziłam do drzwi w chwili, gdy samochód stawał przed namiotem z piskiem opon. W popłochu zapinałam bluzkę, by móc otworzyć drzwi.

Zobaczyłam jeepa z Krzyżem Lotaryńskim na drzwiach, potem wyskakującego z wozu pułkownika. Było z nim dwóch ludzi – kierowca i kapral. Wszyscy trzej mieli na sobie mundury polowe.

Pułkownik odrzucił hełm do jeepa i podszedł do mnie. Miał siwe włosy, toporne rysy twarzy. Jego ruchy przypominałyby Johna Wayne'a, gdyby ten urodził się złym człowiekiem. Z oczu przybysza wyczytałam, że nie uszło jego uwagi, iż oderwał mnie od innych niż służbowe zajęć.

Byłam zziębnięta, miałam przekrzywiony krawat i rozpalone policzki.

– Pułkownik Malignaud – przedstawił się.

Jego głos był równie brutalny jak sposób wtargnięcia w życie innych ludzi.

– Proszę wybaczyć, pułkowniku, ale przysnęłam na chwilę.

Mocno uderzył ręką w policzek, żeby zabić komara. To, jak spędzałam dnie, interesowało go dokładnie tak samo, jak los nieszczęsnego stworzenia.

– Przyjechałem aresztować człowieka, który przebywa w tym namiocie.

– Aresztować? – wykrzyknęłam. – Ależ to wykłuczone!

W oszołomieniu rozłożyłam ramiona, blokując mu wejście. Na szczęście drzwi z płótna i plastyku zamknęły się za mną. Przybrałam ton bardziej stosowny wobec wyższego stopniem:

– To absolutnie wykłuczone, pułkowniku. Jest w sypialni.

– Cóż z tego?

Odsunął moją rękę, żeby jednak wejść. Stałam przed nim i nie ustępowałam.

– Pułkowniku! Bardzo proszę! Nie mamy nadziei, że uda się go ocalić! Słabnie z każdym dniem! Proszę pozwolić mu spokojnie umrzeć!

Znów podnosiłam głos, ale po to, żeby usłyszał mnie Maurycy. Dwaj żołnierze wysiedli z jeepa i stali o parę kroków dalej z głupkowatymi minami.

– Chcę go zobaczyć – powiedział spokojnie pułkownik. – Niech się pani odsunie. To rozkaz.

– Wypełniam tylko rozkazy lekarza dowodzącego, doktora Kirby! Musi pan jego tu sprowadzić!

Ale zostałam bez ceregieli odepchnięta i pułkownik wszedł.

Maurycy leżał w łóżku, pod moskitierą, zupełnie nieruchomy i z prześcieradłem podciągniętym pod brodę. Miał zamknięte oczy i wyglądał, jakby dawno już otrzymał ostatnie namaszczenie. Jego oddech był raczej rozdzierającym powietrze charczeniem. Rurka od butli zawieszona nad jego głową zniknęła pod prześcieradłem.

Znowu zastawiłam pułkownikowi drogę.

– Sam pan widzi! – szeptałam. – Czy nie ma pan odrobiny litości? Proszę, żeby pan wyszedł.

Jeszcze przez długie sekundy wpatrywał się w twarz konającego z nieważnością, pomieszaną, jak odgadywałam, z wielką radością, a potem odwrócił się. Ruszyłam za nim na zewnątrz i czym prędzej zamknęłam namiot.

Pułkownik zabił na policzku drugiego komara-pechowca. Głuchym głosem, nie patrząc na mnie, może tylko do siebie samego powiedział:

– To ten potwór! W końcu go mam! Przebyłem tysiące kilometrów i strawiłem pięć lat życia, żeby go odnaleźć. Z jego powodu ja, który przysięgałem Marszałkowi, stałem się gaullistą. Teraz mi się nie wymknie!

Zwracając na mnie spojrzenie dodał:

– Wrócimy po niego jutro o świcie. Gdybym nawet miał zawlec go nieprzytomnego przed pluton egzekucyjny, dopilnuję, żeby został rozstrzelany!

Odszedł w stronę jeepa. Kiedy tylko wróciła mi władza w nogach, dogoniłam go. Byłam przerażona, rozwiane włosy zasłaniały mi twarz.

Powiedziałam:

– Ale dlaczego? Skąd ta zaciekłość, pułkowniku!?

Dał znak żołnierzom, by zajęli miejsca. Mnie odpowiedział ledwie słyszalnym, ale drżącym od gniewu głosem.

– Chce pani wiedzieć? We Francji, w pewien świąteczny dzień, ten łotr zgwałcił i zamordował młodą dziewczynę!

Otarł twarz dłońmi, jakby chciał pokonać zdenerwowanie.

– Miała osiemnaście lat... Była czysta... I... poprzedniego dnia wieczorem... poprzedniego dnia... zgodziła się wyjść za mnie!...

Nie mógł dłużej mówić. Nawet John Wayne wie, co to lzy, a ja ujrzałam, jak jedna spływa mu po policzku.

Wtedy dobiegł mnie łagodny i współczujący głos młodego żołnierza, który siedział za kierownicą:

– No, pułkowniku – mówił – nie może pan doprowadzać się do takiego stanu!

Pułkownik Malignaud otarł twarz przedramieniem. Czyniąc nadludzki wprost wysiłek odzyskał ton dowódcy i podkreślając słowa surowym skiniem podbródka, rzucił pod moim adresem:

– Niech się pani zapnie. Nie znoszę widoku rozchełstanych oficerów.

Potem wsiadł do jeepa i odjechali.

Zapinając bluzkę pomyliłam guzik. Teraz rozpięłam wszystkie. Wyszłam do namiotu i zamknęłam go jakby we śnie. Jeszcze pod wrażeniem tego, co usłyszałam, przeszedłam obok Maurycego, nie widząc go. Doszedłszy do stołu bezwiednie podniosłam spódnice i przybrałam pozę, w jakiej stałam, gdy ten okropny człowiek zakłócił nasz spokój.

Maurycy stanął za mną, pocałował mnie w szyję, zaczął pieścić piersi, ale również on robił to automatycznie.

– Słuchałeś? – zapytałam.

– Łże. Dobrze wiesz, że nigdy nikogo nie zgwałciłem ani nie zamordowałem. To potworna pomyłka sądowa.

– Nie o tym mówię. Nie możesz zostać tu ani jednej nocy dłużej.

Poczułam, że wchodzi we mnie. Jęk wyrwał mi się z ust.

– Na zewnątrz stoi ambulans. Możesz zdobyć kluczyki? – zapytał.

– Tak, oczywiście.

Flakoniki ustawione na stole zaczynały coraz głośniejsze dzwonić. Szepnął:

– Byłabyś gotowa uciec ze mną? Natychmiast?

– Nigdy nie pozwoliłabym ci uciec samemu.

– Nawet nie wiem, dokąd iść!

Już chciałam powiedzieć, że możemy dojechać do drogi do Mandalay i próbować przedostać się do Chin, że znam pewnego sprytnego Amerykanina w Czong-King, ale powstrzymałam się. Szeptałam tylko:

– Ale ja wiem.

– Zgoda.

Kiedy znów zaczęłam odczuwać przyjemność, musiał trzymać mnie w ramionach, bym nie upadła. Ponieważ i on był w podobnym stanie, a nie miał go kto przytrzymać, upadliśmy oboje, a flakoniki razem z nami, bo przewrócił się stolik. Droga do raju wiodła przez niezłe śmietnisko. Leżałam na dole, on na mnie i nikt nigdy nie dowie się, jak patrzyliśmy na siebie. Spódnicę miałam podartą, bluzkę do wyrzucenia – nie, za nic na świecie nie pozwoliłabym mu odejść.

Rozebrałam się więc do naga, kiedy już przestaliśmy się kochać, nie przedtem. Byłam cała mokra. Zwijałam w kłębek podarte pończochy, żeby wsadzić je do opakowania, z którego je wyjęłam. Wtedy zobaczył znak firmowy. *Queen of the Hearts*. Rozbawiło go to, bo wygrał w karty z Czujangiem dzięki królowej kier, a wcześniej spędzał wakacje w willi, która właśnie tak się nazywała.

Leżeliśmy na łóżku, stojącym najbliżej miejsca naszych akrobatycznych igraszek. Zapytał:

– Czy to marynarka dostarcza wam pończochy?

– Boże drogi, skąd. Na ogół nie.

Wskazałam brodą pięć czy sześć stert drewnianych skrzynek, które zawsze stały w rogu namiotu.

– Te skrzynie są ich pełne – powiedziałam. – Miało w nich być mleko w proszku.

Wyprostował się, żeby lepiej je zobaczyć. Potem poszedł dotknąć. Wreszcie zaczął grzebać w tej, którą otworzyłam, żeby zaspokoić jego instynkt fetyszysty.

Znając go, jak ja zdołałam poznać, to znaczy będąc z nim w czulszych stosunkach niż z kimkolwiek innym dokąd, zrozumiałam, ledwie spojrzawszy mu w oczy, gdy oderwał je od skrzynek i zwrócił na mnie, że raz jeszcze powinnam była trzymać język za zębami.

Powiedział:

– Cholera! Wiesz, że to warte masę szmalu!

O zmroku wróciłam z naszego baraku z torbą. Miałam tam bieliznę dla siebie i dla niego i dwadzieścia wszelkiego rodzaju przepustek ze stemplem naszej jednostki.

Kiedy raz się ukradnie, drugi przychodzi sam. Przeprowadziłam ambulans sprzed „Delmonico” pod „Carlyle”. Załadowaliśmy skrzynie z nylonowymi pończochami na tył. Maurycy przeniósł ich sporo, ale i ja też. Byliśmy w mundurach i wprost gotowałam się w parnym powietrzu.

Siadłam za kierownicą. Zatrzymałam się przy kuchni. Wielkiemu Henry'emu, naszemu czarnemu szefowi kuchni, powiedziałam, że potrzebuję prowiantu na jeden czy dwa dni, że jadę do Arakanu po chorego. Pokazał mi, gdzie stoją puszkami z racjami dziennymi, mówiąc: „Niech pani bierze, ile pani chce, miss Śliczna Toledo, nikt ich już teraz nie potrzebuje”. Kiedy załadowałam puszki do ambulansu, poszłam do przybudówki, która służyła nam za garaż, a Maurycy pomógł mi znaleźć w ciemnościach parę kanistrów z benzyną i wsadzić je do wozu. Potem wrócił do kryjówki za pełnymi pończochami skrzyniami z napisem *Milk*.

Stojący na straży przy bramie obozu NP, Barry Nolan, był rudzielcem irlandzkiego pochodzenia jak ja. Wszyscy myślą, że jestem z pochodzenia Szkotką, ale to nieprawda. Mój ojciec jako dwunastolatek wałęsał się jeszcze po ulicach Limerick.

Barry zapalił latarkę tylko na moment i zgasił, rozpoznając mnie. Powiedział:

– Wyjeżdża pani? Straci pani niezłą imprezę dziś wieczorem! I nie chciałbym pani urazić, ale i tak nie mamy teraz za wielu dziewcząt!

Powtórzyłam, że jadę do Arakanu po chorego i że wrócę najpóźniej pojutrze. Wiedziałam, że komendant Kirby po przesłuchaniu go nie zdecyduje się na wcześniejsze złożenie meldunku o moim zniknięciu. Pomyśli pewnie, że odwiozę Francuza w jakieś bezpieczne miejsce, ale zaraz potem wrócę.

Minąwszy bramę obozu, jechałam przez chwilę wąską drogą wzdłuż oceanu. Zatrzymałam się, żeby Maurycy mógł usiąść obok mnie. W marynarskiej czapce na głowie, z naszywką J. Mackeena na rękawie wyglądał jak pierwszy lepszy emigrancki syn rodem z Brooklynu.

Dotarliśmy do drogi z Mandalay do Pegu, na północ od Rangunu. Często musieliśmy zwalniać, jadąc za długimi angielskimi konwojami, ale tylko raz nas zatrzymano. Pokazałam rozkaz, który wcześniej wystawiłam. W ostatniej chwili Maurycy o mało wszystkiego nie zaprzepaścił. Kiedy żołnierze z regimentu hinduskiego pozwolili nam odjechać, nie zdołał się powstrzymać od powiedzenia „Sęk ju”, przy tym zaś zgodnie ze swym przyzwyczajeniem, rozcapierzając palce wyciągnął dłoń, żeby upewnić się, czy został dobrze zrozumiany.

Jechaliśmy przez całą noc, zmieniając się za kierownicą, a w świetle reflektorów widzieliśmy tylko długą wstęgę porytej lejami, błotnistej drogi i ścianę deszczu.

Od Mandalay, już w blasku słonecznego dnia, jakiego nie przeżyłam podczas dotychczasowego pobytu w Birmie, posuwaliśmy się dalej w stronę Lashio i granicy chińskiej. Dżungla zniknęła. Wędrowaliśmy przez coraz wyższe góry. Zatrzymywaliśmy się tylko po to, żeby zjeść i dolać benzyny do baku.

U schyłku dnia dotarliśmy do Kutkai, dużej wsi, znajdującej się, jak informowała specjalna tablica, dokładnie na Zwrotniku Raka, poza tym zaś o niecałe sto kilometrów od Chin. Był tu obóz dla japońskich jeńców, których grupa pracowała przy naprawie mostu. Maurycy jechał powoli, pytając raz po raz kiepską angielszczyzną, czy ktoś z nich pochodzi z Jokohamy. Wskazali na młodzieńca w opasce na czole i obszarpanym ubraniu, który zbliżył się do drzwiczek samochodu. Kiedy szedł obok nas, Maurycy podał mu puszkę z żywnością i poprosił, by po powrocie do ojczyzny odszukał niejaką Joko, córkę dyrektora portu.

– Myślę, że w tym mieście żyje wiele Joko, ale daje mi pan jedzenie, więc jej szukam – odrzekł Japończyk. – A co mówię, kiedy ją znajduję?

– Proszę jej powiedzieć, że widział pan człowieka, który ocalił Joannę d'Arc, zrozumie.

Japończyk wiedział, kim była Joanna d'Arc, ja również, a jednak nic nie rozumiałam. Podczas dalszej drogi Maurycy opowiedział mi więc na swój sposób historię Joanny d'Arc, a także pewnej tak samo wyglądającej nastolatki, którą widział na huśtawce. Irlandzka drobiazgowość zdominowała chyba moje zachowanie (a może zresztą kierowała mną niska zazdrość):

– Dobrze wiesz, że nie ma na świecie dwóch osób, które wyglądają tak samo.

– Właśnie. To dowodzi, że mam rację i że to ta sama osoba żyjąca w dwóch różnych epokach.

Oparłam się o drzwiczki i milczałam przez co najmniej pięć minut. Potem Maurycy pozwolił sobie wsadzić łapę, gdzie nie należało, zupełnie jakby chciał rzucić amerykański ambulans w przepaść i skończyć z tym raz na zawsze.

Na równinie zobaczyliśmy nagle sosny, całe sosnowe lasy, a w dali dostrzegaliśmy już chińskie góry – pokryte śniegiem szczyty. Trochę później zjechaliśmy w dolinę, gdzie rosła winorośl, a w głębi znajdowało się jezioro i wieś zwana Kolegaw. Stacjonował tam trzydziestoosobowy australijski

garnizon, zatrzymaliśmy się więc, żeby poprosić o benzynę. Mieliśmy jeszcze zapas na kilkaset kilometrów, ale droga do Czong-King jest długa, a nie byliśmy pewni, czy uda nam się kupić paliwo od Chińczyków.

Powietrze było czyste, spacer po suchej ziemi, wśród winnic, stanowił prawdziwą przyjemność. W końcu spędziliśmy w tym miejscu ponad godzinę. Żołnierze w większości przyjechali w ostatnich dniach wojny i na szczęście nie musieli walczyć. Zrobili boisko do siatkówki, zbudowali prysznic, znacznie zresztą ładniejsze od naszych. Oboje z Maurycym skorzystaliśmy z okazji, żeby się odświeżyć. Był bardzo nieufny, przez cały czas nie rozstawał się z woreczkiem z perłami, zawieszał go sobie na szyi. Potem pił z gospodarzami wyrabiane w tym regionie wino. Oczywiście nie potrafił się powstrzymać od poinformowania ich, że jest Francuzem, człowiekiem inteligentniejszym od reszty świata i wielkim koneserem win i wszystkiego. Plaskał francuskim językiem i powtarzał: „Nieźle, nieźle. Trochę zielone i z lekka oszukane, ale da się wypić”. A ja tłumaczyłam jego autorytatywne opinie.

Kiedy odjechaliśmy z napełnionymi na nowo pięcioma kanistrami, słońce zniknęło już za górami. Prowadził Maurycy. Zrobiliśmy może ze dwa kilometry. Zatrzymał ambulans na skraju winnicy. Powiedział, że lepiej się tu przespać i przejechać przez granicę za dnia, bo wtedy, gdyby robiono nam jakieś trudności, będziemy przynajmniej mogli wezwać naszych australijskich przyjaciół.

Zjedliśmy w tyle ambulansu, siedząc na podłodze i patrząc, jak w dole rozświetlają się okna wioski. Wiem, że birmańskie wino bardziej niż inne napawa melancholią, ale tego wieczora zamartwiał się o żonę, która pozostała na drugim końcu świata, i córeczkę, która rosła z dala od niego. Nieco zaskoczona, powiedziałam:

– Nigdy nie wspominałeś, że masz córeczkę.

– A po co – westchnął – skoro nigdy już nie zobaczę żadnej z nich?

– Ile ma lat?

– Jedenaście. Siedziałem już w więzieniu, kiedy się urodziła... Wybacz, Toledo. Nie powinienem tego mówić. To zwykła chandra, przejdzie mi.

Faktycznie, przeszło mu. Po tym wyznaniu szansa, że zatrzymam go przy sobie na dłużej, wydała mi się słaba, ale raz na zawsze zabroniłam sobie myśleć o tym, co przydarzy się nam jutro. Nie jestem masochistką, a wojna uczy między innymi przeżywać każdą chwilę, którą daje nam Bóg, bez zbędnego martwienia się na zapas.

Później rozłożyliśmy płócienne łóżko w ambulansie. Pocałował mnie, a ja zdjęłam mundur i kochaliśmy się z dala od całego świata.

Jeszcze później Maurycy otworzył drzwi i stanął w nich, nabierając w płuca wieczornego powietrza. Powiedział:

– Śmieszne te wszystkie winnice. Byłem już kiedyś wśród winorośli, w takim samym ambulansie, tyle że jeszcze z czasów tamtej wojny... Była tam dziewczyna, która tańczyła przy dźwiękach gramofonu. Miała na imię... miała na imię... Zapomniałem. Uciekłem, wziąłem pannę młodą za zakładniczkę... Słowo daję, prawdziwą pannę młodą w sukni i tak dalej!

Zaśmiał się sztucznie. Wrócił i usiadł przy mnie. Widziałam jego sylwetkę w blasku księżyca. Zamilkł na długą chwilę, potem rzekł:

– Nigdy i nigdzie nie będziemy mogli zatrzymać się na dobre, Toledo. Będę tak uciekał i uciekał, aż wreszcie mnie złapią. Nie miałem prawa cię w to wciągać. Jestem zwykłym łajdakiem.

Oparłam się o jego ramię i objęłam go z całych sił.

– Nie mów tak.

– W tej chwili pakowałabyś spokojnie rzeczy szykując się do powrotu do Ameryki.

– W tej chwili jestem dokładnie tu, gdzie chcę, i czuję się szczęśliwa.

Ujął mnie za ramiona.

– Toledo, proszę cię! I ty musisz powiedzieć, że wziąłem cię za zakładniczkę, że cię zmusiłem! Obiecuj mi!

– Żebyś mógł o mnie zapomnieć? O nie, dziękuję!

Nie widziałam wyrazu jego twarzy, ale zadrżałam z rozkoszy na dźwięk jego głosu, gdy mówił:

– Nie, Toledo, nigdy o tobie nie zapomnę. I ty także nie zapominaj, że cię kocham, to prawda! I że chciałbym mieć przed sobą następne życie, żeby przynajmniej jedno oddać tobie!

– Gdybyś miał więcej niż jedno życie – powiedziałam wesoło – chciałabym je wszystkie!

Może moja twarz była w tym momencie lepiej oświetlona niż jego, bo przywarł ustami dokładnie do moich warg i osunęliśmy się na płócienne łóżko. Całował mnie jeszcze długo, a ja leżałam naga w jego ramionach i oplatałam nogami jego ciało, i poruszałam się łagodnie, by skupić jego uwagę na ważniejszych problemach, ale odsunął się, zaciskając rękę poniżej prawego barku. Zdusił jęk. Zapytałam z niepokojem:

– Boli cię?

– To nic. Dawne rany...

Pomogłam mu ułożyć się na łóżku. Dwa czy trzy razy nabrał tchu, żeby pokonać ból. Odkąd przed pięcioma tygodniami ocknął się w naszym namiocie, nigdy nie narzekał. Nie zabrałam żadnych leków, poza może aspiryną. Na ogół na dnie kosmetyczki plątało się jedno opakowanie.

Otworzyłam torbę, żeby odnaleźć lekarstwo, ale Maurycy przerwał:

– Nie, niczego mi nie trzeba. Odłóż to.

Usiadłam przy nim.

– Wiesz, na co mam ochotę? – odezwał się po chwili. – Na winogrona.

– Widziałeś gdzieś owoce?

– Nie wiem.

Wciągnęłam pierwszą koszulę, na jaką natrafiłam grzebiąc w torbie. Była męska, zabrałam ją dla niego. Poszłam z gołymi nogami i tyłkiem w stronę drzwi, mówiąc:

– Zaraz wrócę. Odpoczywaj.

Wyszłam.

– Jennifer – powiedział.

Na pół siedział na łóżku. Czule na mnie patrzył. W blasku księżycy zobaczyłam, że się do mnie uśmiecha.

Szłam przez winnicę. Czulałam się śmieszna, chociaż sama nie wiedziałam dlaczego. Winogron było mało, tylko drobne kiście przeważnie rozgniecione, które umknęły zbierającym. Zgięta wpół, szukałam ich pod liśćmi, kiedy warkot silnika ambulansu poderwał mnie na równe nogi. Reflektory rozbłyły w tej samej chwili, gdy koła ruszyły po ziemi, na której leżała teraz moja torba.

Wydaje mi się, że nawet nie drgnęłam, nie krzyknęłam. Patrzyłam, jak się oddala i znika wśród nocy. Łzy przesłaniały mi oczy, łzy niedowierzania, protestu wobec faktów. Nie zdałam sobie w pierwszej chwili sprawy, że Maurycy nazwał mnie moim prawdziwym imieniem. Jeszcze dłużej nie docierało do mnie, że porzucił mnie tam, między Birmą a Chinami, jak pierwszą lepszą żalostną kretynkę z Toledo w Ohio.

Marie-Martine

Piszę w blasku czerwonej lampy, która pali się przez całą noc pod sufitem mojego pokoju. Ileż musiałam stoczyć batalii, żeby zostawiono mi papier i ołówek! Utrzymują, że mój stan pogarsza się, gdy rozmyślam nad tą sprawą. Ale któż inny mógłby opowiedzieć jej zakończenie?

Udaję pogodną.

Udaję rozsądną.

Na początku myśleli, że tracę zmysły. Robili mi zastrzyki. Przestałam odróżniać dzień od nocy. Płakałam. Drżałam. Okładałam pięściami tego ichniego niby-to doktora. W ten sposób niczego się nie uzyska. Więc zaczęłam udawać.

Czasami trudno mi doprowadzić myśl do końca. To przez te zastrzyki. Aż w końcu poskarżyłam się. Nocą pielęgniarki, czasami we dwie, czasami we trzy, wchodziły do mojego pokoju i nie dawały mi spać. To było chyba w Mans, w pierwszym zakładzie, gdzie mnie umieszczono. Ale byłam podtruta narkotykami i w gruncie rzeczy nie wiem, gdzie to się działo. Oczywiście nikt mi nie uwierzył. Trzymają się razem.

Ewelina Andrei, moja dawna asystentka, odwiedza mnie w ostatnią sobotę miesiąca. Przechowuje siedem zeznań, które w zeszłym roku zebrałam i opatrzyłam uwagami w nadziei, że dzięki nim lepiej bronić będę człowieka, którego kocham. Chcę dorzucić do nich i moją opowieść. Nawet jeśli to nie ma już znaczenia, ponieważ dziś wszystko jest wiadome: to ja zostałam uwięziona, wykluczona z palestry, odrzucona przez wszystkich, a on stał się tylko cieniem, który towarzyszy mi w niedoli.

Są takie wieczory, gdy zapadając w koszmarny sen, wyobrażałam sobie, że doszło do rewizji tego procesu i wreszcie wszyscy przekonali się, że był niewinny. Mnie jednak nie rozgrzeszyli. Nikt nie dostrzegł moich zasług, ale mniejsza z tym, skoro ostatecznie zostały uwieńczone sukcesem.

W rzeczywistości miał na imię Krzysztof.

Poznałam go w Paryżu, w czasie studiów, na długo przed wojną. Pamiętacie dziewczynę ze strażackiej drabiny? Był moim pierwszym kochankiem. Miałam siedemnaście lat. On wstąpił właśnie na Sorbonę. Kochaliśmy się na stryszku, który wynajmował nie opodal Obserwatorium. Rozbierał mnie i pieścił przed dużym, owalnym lustrem. Nocą, w pokoiku, który zajmowałam w pensjonacie dla dziewcząt przy rue Grenelle, pisałam dziennik. W nazbyt intymnych sekwencjach posługiwałam się szyfrem. Stopniowo najbardziej nawet obojętne określenia wydawały mi się perwersyjne. Doszło do tego, że Dalloz* roznamiętniał mnie i sprawiał, że marzyłam, by znaleźć się w łóżku Krzysztofa.

* Wydawnictwo prawnicze (przyp. tłum.).

Spaliłam kajety wypełnione płomiennymi wyznaniem, gdy oświadczył mi, że wszystko skończone i że nie powinniśmy się więcej widywać. Poznał pod kasztanami na placu Dauphine młodą sekretarkę, chciał się z nią ożenić. Nasz związek trwał jedenaście miesięcy i dziewięć dni. Byłam tak wstrząśnięta, że wybiegłszy z jego pokoiku poślizgnęłam się na wywoskowanych schodach i złamałam nogę. Ponieważ szpital był naprzeciwko, po półgodzinie byłam już przykuta do łóżka, w gipsie, załamana. Chyba tylko mnie jednej ta cała historia nie ubawiła.

Potem już nic o nim nie słyszałam. Ani o służbie wojskowej, ani tym bardziej o wyroku za zbrodnię, której oczywiście nie mógłby popełnić. Czas uleczył moje cierpienia.

Miałam szczęście przyjść na świat w bogatej rodzinie. W wieku lat dwudziestu zostałam adwokatem, a me serce, podobnie jak ja cała, było wolne, tyle że Krzysztof przyzwyczaił mnie do rozkoszy, toteż – pod warunkiem zachowania dyskrecji i nieangażowania uczuć – pozwalałam sobie na miłostki, postępując jak młody mężczyzna, a nie panna na wydaniu. Kiedy uczucie było mdławie, odchodziłam.

W biurach adwokackich, gdzie odbywałam staż, potem w moim własnym, uchodziłam pewnie zawsze za zimny typ kierowniczką, niezmordowanej w pracy. Własna matka raz tylko przyłapała mnie w towarzystwie absztyfikanta. A i to działo się za okupacji, gdy niespodziewanie przyjechała do domu na wsi, i może pomyślała, że to jakieś tajemne spotkanie żołnierzy bez mundurów, bo chyba tylko ten termin, rozumiany dosłownie,

usprawiedliwiałyby mój skąpy przyrodziewek.

Owego ranka, gdy Krzysztof ponownie wtargnął w me życie, miałam na sobie przynajmniej majtki od kostiumu kąpielowego. Szkarłatne. To było przed rokiem. Urodziłam się w lipcu jak on. Parę godzin dzieliło mnie od trzydziestki.

Powiedziałam, że to było przed rokiem, ale może się myłę. Zresztą nawet jeśli zdarzyło się to rok albo dwa wcześniej, jakie ma to znaczenie? Dopiero od września zaczęłam myśleć dnie, noce i miejsca, w które mnie przewożono. Co do reszty, wbrew temu, co myślą ci grabarze mózgów, zachowałam drobiazgowo wspomnienia. Wiem, że działo się to rankiem w dzień mych trzydziestych urodzin. Na krótko przedtem zgubiłam gdzieś Śrubkę przytrzymującą oprawkę okularów słonecznych i złamałam paznokieć u palca wskazującego lewej ręki, usiłując naprawić je przy użyciu spinki do włosów.

Od dwóch tygodni uczestniczyłam w ogłupiającej kuracji w pobliżu Biscarosse, w ekskluzywnym klubie dla pań z palestry. Nie znałam tam nikogo. Spędzałam dnie, przewracając się z pleców na brzuch na materacu, tuż nad brzegiem trudnego do opisanego, ogromnego basenu w kształcie ósemki, ozdobionego mostkami, skałami, kaskadami. Nie pływałam, nie czytałam gazet, nie paliłam, nie piłam, ledwie uchylałam ust, by rzucić przelotne „dzień dobry”. Czułam, że wegetuję jak roślina.

Nagle jakiś cień znieruchomiał nade mną. Odruchowo otworzyłam jedno oko. W pierwszej chwili dostrzegłam w słońcu długą, kobiecą sylwetkę, przysłoniętą przezroczytymi fataląszkami. Usłyszałam, jak zjawia mówi:

– Jestem Konstancja, żona Krzysztofa.

Kiedy sięgałam po prześcieradło kąpielowe, by osłonić piersi, przesunęła się i stanęła, lepiej widoczna, obok mnie. Wtedy zobaczyłam, że była w moim wieku i, wbrew przypuszczeniom, które snułam niegdyś, by się pocieszyć, okazała się piękną kobietą o jasnych, kręconych włosach, czystych rysach, wzruszająco łagodnym spojrzeniu. Jeśli można istotę ludzką określić słowem anioł, to stworzone ono zostało właśnie dla Konstancji.

Uklękałam. Z zaskoczenia zaniemówiłam. Przyszłe i niedosłze sławy sądowe dochodziły teraz na słonecznym rożnie lub pluskały się radośnie w turkusowej wodzie, ale przez zmieszanie, jakie mnie ogarnęło, krzyki i śmiechy o dziwo nie mogły się przebić.

– Przyszłam do pani – powiedziała Konstancja – bo Krzysztof potrzebuje pomocy adwokata, żeby ocalić życie, a ufa tylko pani.

Tak po prostu.

Wybełkotałam oszołomiona:

– Kto? Krzysztof? Ocalić życie?

W gardle rosła mi ogromna kula. Dostałam ataku kaszlu, aż do oczu napłynęły łzy. Ze wzrokiem wbitym w ziemię Konstancja wyglądała na kolanach jedwabną suknię. Kiedy byłam znów zdolna jej słuchać, wyjaśniła melancholijnym głosem:

– Tak, narobił głupstw, dużo głupstw, kierując się namiętnością do kobiet... Ale został niesłusznie oskarżony.

Znowu na mnie patrzyła, a jej oczy były jasne, uważne i spokojne. Otworzyła dużą białą torebkę stojącą obok i wyciągnęła szarą kopertę, którą mi podała.

– Proszę to przeczytać. Sądzę, że wszystko, co mogłabym pani powiedzieć, jest w liście.

– A on? Gdzie on się podziewa?

– W cytadeli, z której raz już uciekł. Teraz jest jej jedynym więźniem. Nikt poza obrońcą nie może go widywać, a aż do tej pory odmawiał nawet zgody na obronę. Przynajmniej tak mi mówiono.

– Nie widziała się z nim pani?

– Nie. Ani ja, ani nasza córeczka, która ma dwanaście lat i zna go wyłącznie z moich opowiadań. W zeszłym roku uciekła z domu na przeszło miesiąc w szaleńczej nadziei, że go odnajdzie.

Z wyraźnym trudem odpędziła to wspomnienie. Już wstawała, sięgała po torebkę. Nasze spotkanie nie trwało nawet pięciu minut.

– Bardzo proszę – powiedziałam – niech pani jeszcze nie odchodzi.

Uśmiechnęła się, by mnie nie zranić. Pokręciła głową.

– Taksówka na mnie czeka. Muszę zdążyć na pociąg.

Stojąc nade mną, przyglądała mi się pełnymi spokoju oczyma.

– Kiedy się pani z nim zobaczy, proszę mu tylko powiedzieć, że wciąż na niego czekamy.

Nie pamiętam, czy podała mi rękę. Oddalała się w słońcu, jakaś nierzezywista i tajemnicza, taka jak przyszła, a ja klęczałam wciąż w tym samym miejscu, niezdolna się poruszyć. Potrzebowałam dobrej chwili, by odnaleźć się w realnym świecie, który mnie otaczał.

Pobiegłam do pokoju. Nie tracąc czasu na ubieranie, rozdarłam kopertę. Było w niej około dwudziestu stron maszynopisu, zawierającego wszystko, co Krzysztof zechciał wyjawić na temat swych wędrówek od czasu pewnego świątecznego popołudnia na prowincji, w regionie Arles, przed wielu laty. Były tam też adresy oraz notatki dotyczące obłąkańczej procedury, z jaką spotkać się można jedynie w sądach wyjątkowych.

Zadzwoiłam do Saint-Julien de l'Océan, by zarezerwować dwa pokoje w świeżo wybudowanym hotelu, potem zaś do Eweliny Andrei, mojej asystentki, by przyjechała tam do mnie.

Po cóż zanudzać ludzi mymi duchowymi rozterkami? Ledwie odłożyłam słuchawkę, a już kończyłam się pakować. A przecież jak zwykle ciągnęłam ze sobą dość bambetli, by spędzić w podróży resztę życia przygotowana na każdą porę roku i sytuację, na klimat Afryki i Alaski bez różnicy.

Nazajutrz, o jedenastej rano.

Urzędnikiem posiadającym pełnię uprawnień, lub prawie pełnię, w tej sprawie jest prezes Pommery, którego widzę po raz pierwszy.

Wysoki, korpulentny, o dużych, dobrodusznym oczach i imponującym nosie, nie przestając do mnie mówić krąży po gabinecie w prywatnym mieszkaniu, ozdobionym śliwkowym aksamitem i ciemnym drewnem, gabinecie, którego okna wychodzą na bezludną okolicę kanału w Rochefort.

Postanowił skończyć z paleniem. Na stole stoi duże, otwarte pudełko cukierków, a za stołem, na ścianie, zaczep na strzelbę. Wybór jest oczywisty; kilogramy albo samobójstwo.

– Krótko mówiąc – ciągnie – doszliśmy do chwili, gdy pani klient porzuca pielęgniarkę amerykańskiej marynarki wojennej, w samej tylko koszuli, pośród birmańskich winnic. Już samo to jest paskudne, paskudne!

Głos ma mocny, o dużej skali. Głos aktora. Odpowiadam, siedząc sztywno w fotelu w stylu II Cesarstwa, a serce me pod nową, błękitną suknią rozpięta duma:

– Uczynił to dla jej dobra! Nie chciał wciągać niewinnej dziewczyny w swe zwariowane życie!

– Jakże! – zakrzyknął najbardziej powściągliwy od czasu wyzwolenia urzędnik. – I zabrał ze sobą osiemnaście tysięcy par pończoch!? Z czystego jedwabiu w najlepszym gatunku!

Zamilkłam, patrząc przed siebie.

– Nikt nie wie, co się z nim działo przez ostatnie pięć miesięcy – ciągnął. – Informacje, których udzielił, są wrywkowe i wykrętne. Wydaje się jednak, że spotkał w Kunming w Chinach młodą Azjatkę, którą ponoć miał wygrać w karty.

– Skoro tak mówi, to prawda. Krzysztof nigdy nie kłamie.

– Ale mówi tylko prawdę, jaka mu wygodna – dopełnił sędzia. – Ojcowie dobrze go wyedukowali.

– Nie będziemy mu chyba czynić wyrzutu, że skończył tę szkołę – obruszyłam się.

Zaśmiał się, sięgając po cukierka. Rozwijał papierek tak starannie, jak zapewne kiedyś rozwijał papier osłaniający cygara.

– Bardzo panią proszę, drogie dziecko – westchnął – niech pani nie stara się mnie przekonywać, że jest pani głupia. I proszę nie podważać każdego mojego słowa.

Już wcześniej częstował mnie tym przekleństwem dla figury, ale podziękowałam, więc nie nalegał. Przez chwilę ssał i żuł, przechadzając się wzdłuż i wszerz pokoju. Nagle stanął przede mną i wysunął mi pod nos gruby, niemal obsceniczny palec wskazujący:

– Ale gdzie go odnajdujemy w lutym tego roku?

Nie mam pojęcia. Zgodnie z zapiskiem Konstancji Krzysztof podążył od Chin wodą, lądem i powietrzem, linią z grubsza odpowiadającą linii Zwrotnika Raka. Przez prawie cały czas trwania wyprawy towarzyszyła mu oddana przyjaciółka, którą nazywa Czeri-Czen. Ale gdy dociera do Arabii, i dalej do Kairu, jest już sam.

– W Wiedniu, w Austrii! – triumfalnie zakrzyknął sędzia. – W centrum wszelkiego przemytu powojennej Europy!

Przed paroma miesiącami byłam w Wiedniu. Teraz widzę te zaśniewane ruiny, Ringi, Wohllebengasse 16, gdzie mieszka moja przyjaciółka Reya, słyszę dźwięk cytry.

– Cwaniaczek sprzedaje za bajońskie sumy jedwabne pończochy, zbija fortunę! Poszukuje go cała europejska policja!

Pommery, który pochylił się ku mnie i stara się przeniknąć mnie spojrzeniem swych wielkich oczu, wpatrzonych w moje, dramatycznie zniża głos, dochodząc do istoty rzeczy:

– Pewnej nocy Brytyjczykom udaje się wreszcie zwabić go do pułapki w ich sektorze i dopaść go w kanałach. Ucieka przez podziemne tunele, otoczony ze wszystkich stron... A w chwili gdy już mają go pojmać, wie pani, kto się pojawia?

Z zaskoczeniem potrząsam głową i patrzę na niego z rozdziawionymi ustami, wciąż czując w sercu słodycz, jaką napełnił je dźwięk cytry.

Natęży głos:

– Jego babka! Jego własna rozwrzeszczana babka, która rozpęda wrogów ciosami parasola! Nim ją uspokojono, on znów zdołał uciec!

Tu nie wytrzymuję i uderzając pięściami w oparcie fotela wołam:

– Cóż za bzdury! To szaleństwo! Babka Krzysztofa nie żyje od wielu lat.

Wzdycha, przechadza się. Potrząsając ręką mówi:

– Zgadzam się z panią, że ta wiedeńska historia jest niejasna. Pewne elementy są nieprawdopodobne!... Ale!... – Jego tłusty palec znów wyładował pomiędzy moimi oczyma: – W półtora miesiąca później dzięki doniesieniu policja znów natrafia na jego ślad. Niech pani zgadnie, gdzie tym razem?

To cud, ale wiem. W notatkach Konstancji natrafiłam na pewne aluzje w tej sprawie. Różowe, jakby wypalone przez słońce dachy w Starym Porcie, dolina Notre-Dame-de-la-Garde. Odpowiadam półgębkiem:

– W Marsylii, tam gdzie się urodził.

Bezlitosny palec opada. Wciąż spacerując sędzia przetyka porażkę:

– Teraz para się zupełnie czym innym. Wynajmuje rodzaj składu, gdzie kobiety jak u dentysty czekają na swą kolej. Kolejno wdrapują się na stół i podnoszą spódnice. A wtedy ten pani Krzysztof pędzelkiem i specjalną miksturą własnego pomysłu maluje im na nogach pończochy do pół uda, precyzyjnie zaznaczając szwy, prawdziwsze niż w najprawdziwszych jedwabiach!

Zanosi się śmiechem. Ja również. Siada za biurkiem, ocierając oczy palcami, a jego potężne cielsko wciąż jeszcze drga rytmicznie.

– Boże! – mówi. – Prosty szew i koronka na górze! Tak stoi czarno na białym w policyjnym raporcie!

W tym momencie do gabinetu wchodzi sekretarka, co zmusza go, by spoważniał. Sama jest chodzącą powagą, bardzo młoda, z bardzo bujnym biustem, który napręża białą, zapiętą pod szyję bluzkę. Podaje sędziemu do podpisania listy, on zaś przez czas gdy składa podpisy, nie zważając na moją obecność obejmuje ją ramieniem. Widać, że to bezwiedny gest, przyzwyczajenie.

Wychodząc rzuca na mnie okiem i uśmiecha się świętoszkowato. Dałabym jej nie więcej niż siedemnaście lat. Potem dowiaduję się, że ma dziewiętnaście.

– Izabelo! – mówi sędzia do wychodzącej. – Przygotuj, proszę, pozwolenie na odwiedziny dla pani mecenas Lepage... Marie-Martine, tak?

Przytakuję. Gdy zostajemy sami, mówi, że podczas okupacji widział film pod tytułem *Marie-Martine* z René Saint-Cyr w roli głównej.

– Jakaż to piękna i wzruszająca kobieta! Cóż za melodia głosu! Co za klasa!

Marzy tak przez długie chwile, potem, z tym samym wyrazem twarzy, zapatrzony przed siebie mówi:

– Tym razem znowu pani klient uciekł z regularnego oblężenia, zniknął... Wie pani, co podświadomie wciąż w nim podziwiam?

Patrzy na mnie z powagą:

– Ten upór, odwagę, z jaką wciąż ucieka, trzyma się życia i wolności.

Westchnienie.

– Ale dokąd chce dotrzeć? Wie pani, gdzie go złapaliśmy? W jednym z domów, gdzie schronił się przedtem, a które Marta Richard kazała zamknąć. Tak że można by powiedzieć, że przez prosty przypadek zgubiła go kobieta!

Grzebie w otwartej teczce z dokumentami, wyciąga jedną z kartek.

Przegląda ją, a potem mówi:

– Ponura, dla niego bardziej niż dla kogokolwiek innego, niedziela. To było w „Królowej Serc”...

Jego spojrzenie, wbite w moje kolana, robi się melancholijne, a wkrótce staję się świadkiem żenujących zwierzeń – o studenckich wypadach do nocnych lokali, o pierwszych bohaterskich wyczynach, ale nie jestem w nastroju. Sędzia szepcze:

– Cóż za fenomen z tego pani Krzysztofa!... Żołnierze, którzy wysiedlali dziewczęta z walizkami i ptakami w klatkach, znaleźli na piętrze schowek ukryty za płóciennym malowidłem, a wewnątrz zamkniętego chłopaka. Proszę posłuchać, to słowa kaprała, który go znalazł: *Siedział skulony w kąciku, jak przerażone dziecko...*

Po kolejnym westchnieniu sędzia wstał i ciężkim krokiem przeszedł przez pokój.

– Moja droga – powiedział – późno się pani pojawia. Pojmany w kwietniu, skazany na rozstrzelanie w maju przez sąd wojskowy, w ostatniej chwili ocalony przez dekret rządowy, przejęty przez władze cywilne dzięki zabiegom żony, ale nie wypuszczony ostatecznie z rąk przez władze wojskowe, pani klient stanowi istny prawny węzeł gordyjski.

– Właśnie. Dziwi mnie...

Potrząsa ze znużeniem ręką.

– Błagam, niech mi pani nie przerywa. I tak już trudno mi się w tym połapać... Kompetentny trybunał zbierze się za pięć tygodni w Saint-Julien de l'Océan pod moim przewodnictwem, przy drzwiach zamkniętych, w obecności siedmiu losowo wybranych spośród mieszkańców półwyspu przysięgłych. Jego werdykt nie podlega apelacji.

– Ależ jak to możliwe, by...

– Możliwe! – uciał sucho Pommery. – To postanowione!

Mimo woli uderza dłoń w blat biurka.

– Proszę wybaczyć – mówi. – Wolałbym stracić oko, niż podporządkować się procedurze, która tak dalece lekceważy wszystko, czego się uczyłem. Chwilami myślę, że śnię.

Zamilkł zmieszany, odsłaniając firankę w jednym z okien, by dojść do siebie.

– Zapewne czasy tego wymagają – powiedział w końcu – ale znam precedensy: Georges-Marie Dumet, skazany w 1919 roku przez trybunał nadzwyczajny w Martigues w Bouche-du-Rhône i rozstrzelany. W 1908 roku marynarz, sądzony za zabójstwo młodocianej, uciekł z więzienia i został pojmany w jedenaście lat po dokonaniu zbrodni. Pani klient, jeśli przysłoby mi wygłaszać mowę żałobną, ma wybór pomiędzy plutonem egzekucyjnym a gilotyną.

Przybita, czując, jak pałają mi policzki, zdołałam tylko szepnąć:

– Ale Krzysztof jest niewinny!

– Brednie, moje dziecko! Niewinny czego? W czasie, który pani pozostała, nie zdoła pani rozwikłać nawet jednej szóstej oskarżeń, jakie na nim ciąży! Sama tylko lista przestępstw, o które jest oskarżony, liczy dwadzieścia trzy strony! Najłżejsze to dezercja, branie zakładników, usiłowanie morderstwa, gwałt, tortury, przemyt broni, współpraca z wrogiem, szpiegostwo...

– Co takiego?!

– Szpiegostwo! Wojskowi chcą jego głowy! A na nieszczęście dla pani jej najzagorzalszym przeciwnikiem będzie bohater wojenny, aż po pępek obwieszony medalami generał brygady Malignaud! Komu uwierzy ława przysięgłych?

Odchodzę czując, jak po przelknięciu tych wszystkich zarzutów piecze mnie gardło, a do piersi tulę akta sprawy, które naszykował dla mnie – trzy opasłe, ściśnięte gumami tomiska. Rozstając się ze mną sędzia jakby z żalem gładzi mnie po policzku. Mówię:

– Odnajdę wszystkie dziewczęta, z którymi był Krzysztof. Im sąd uwierzy.

Nie odpowiada. Zamyka się w biurze ze swym sceptycyzmem i cukierkami.

W przedpokoju natykam się na Izabelę, sekretarkę. Wręcza mi zgodę na widzenie z Krzysztofem w więzieniu. Godzina w każdy wtorek i piątek aż do procesu, pomiędzy trzecią a szóstą po południu.

Jest wtorek.

– Widziałam panią w pewnym procesie, w Paryżu – mówi dziewczyna.
– Przykleiłam na ścianie sypialni pani zdjęcia. Wycięłam je z czasopism.
Jest pani najpiękniejsza i najlepsza. Jestem pewna, że pani wygra.

Na pewno jest nieco naiwna, ale o mało nie doprowadza mnie do łez.

Idę po chodniku wyniosła niczym współczesna Matylda, tuląca do piersi głowę kochanka. Rzucam akta na tył samochodu, lekkiej jedenastki w kolorze mych myśli. Na próżno powtarzam sobie, że za parę godzin zobaczę, ucałuję, dotknę go żywego, jego – tego, który wciąż zajmuje me myśli, i płacząc wsparłszy głowę na kierownicy.

W rok po wojnie na Cyplu Amerykańskim ożywienie wciąż jeszcze było mniejsze niż dawniej. Tutaj Niemcy poddali się dopiero w dzień po kapitulacji, 9 maja 1945 roku, tak samo jak w Dunkierce. Pociski spadały na wszystko. Są jeszcze takie, które nie wybuchły, drżemią wciśnięte w wydmy.

Opowiada mi o tym gderliwy rybak, którego wynajęłam, by dostać się do cytadeli. Dowcipny chochlik podszeptał mi, bym na to pierwsze widzenie elegancko się ubrała – w dopasowany kostiumik, wysokie szpilki – idealny strój do podróży łodzią motorową, która przecieka i cuchnie rybami. Na szczęście podróż trwa dziesięć minut, morze jest spokojne, a niebo błękitne.

Więzienie, w którym przetrzymują Krzysztofa, jest jedną z budowli wzniesionych za Richelieugo i udoskonalonych w epoce Wehrmachtu. Dobijamy do wysokich, sterczących prostopadle do morza murów, tuż przy przerdzewiałym żelaznym mostku. Czekają na mnie żołnierze, którzy dostrzegł mnie z daleka. Bardzo mi przykro, ale nie mogę dotknąć stopą ziemi na wypie, póki nie wybije trzecia.

Czekam więc w łodzi jeszcze cztery minuty, muskana chłodną bryzą. Rybak mówi do żołnierza:

– Wojsko nigdy się nie zmieni. Wciąż jest tak samo dumne.

– Nie byłbym taki pewien – odpowiada żołnierz. – Ale kiedy ty służyłeś, musiało faktycznie być dumne.

Wreszcie ten z góry i ten z dołu oferują mi pomoc przy wdrapywaniu się na mostek, co, jak łatwo sobie wyobrazić, wygląda dość komicznie w wąziutkiej spódniczce, która unosi się powyżej podwiązek. W dodatku gubię pantofel, na szczęście rybak chwyta go tuż nad taflą wody.

Uprzedzony czy nie o moim przyjeździe, żołnierz chce zobaczyć przepustkę. Pokazuje mu ją. Krzyczy: „Hej!” I ciężkie drzwi w murze otwierają

się ze zgrzytem. Teraz przejmuje mnie drugi żołnierz. Jak mi powiedziano, jest ich w sumie trzydziestu, a pilnują jedyne go więźnia. Trzech zajmuje się kuchnią, dwaj to pielęgniarze.

Przechodzę przez niegdyś brukowany dziedziniec. Teraz jest pełen dziur, zarasta trawą. Wartownicy przemierzający swą drogę śledzą mnie wzrokiem, kpiarscy, ale milczący.

Przed budynkiem, który delikatnie mówiąc wygląda na porzucony, mój strażnik woła: „Hej!” Otwiera mi podoficer, sprawdza przepustkę. Zakłada okulary i poruszając wargami czyta każde słowo po dwa razy. Potem czyta się na pamięć treści mojego dowodu osobistego. Patrzy na zegarek:

– Musi pani wyjść o czwartej – mówi.

Idę korytarzem, który cuchnie środkami do dezynfekcji. Sierżant idzie przede mną aż do drzwi z grubych prętów. Przekręca w zamku klucz uwieszony u pasa, zamyka, gdy znajdujemy się po drugiej stronie. Schodzimy po kręconych schodach o żelaznych stopniach, czyniąc więcej hałasu niż batalion żołnierzy.

Na dole znów krata, taka sama jak poprzednia, a za nią kolejny strażnik. Tym razem prosty żołnierz. Tylko stare spodnie, obcięte zresztą nad kolanami, i bezbarwna, sprana koszula bez rękawów są od munduru. Jedyne insygnia wojskowe udaje krasnoludek z bajki o królowie Śnieżce, przypięty pod klapą kieszeni na piersiach. Dwadzieścia pięć lat, zadowolona z widoku gości twarz. Chłopak chodzi bosy, na głowie ma opaskę jak Japończyk.

Podoficer odchodzi bez słowa, a ja zapuszczam się w bebecchy twierdzy za dziwną postacią. Stuk obcasów odbija się echem w długich korytarzach. Tracę nadzieję, że kiedykolwiek dokądś dotrę, ale właśnie wtedy otwierają się następne drzwi ze zbrojonej stali, zaopatrzone w więcej zamków niż drzwi banku, i kapral w letnim mundurze i krawacie koloru khaki wprowadza mnie do izby, która wydaje się przedsiönkiem cel.

– Uszanowanie, piękna pani – odzywa się.

A do tego, który mnie przyprowadził:

– W porządku, Jitsu, zwijaj się.

Gdy zatrzasnęły się zasuwki, zwraca się w moją stronę z uśmiechem od ucha do ucha, ale – jakby to powiedzieć – wyraźnie krzywym. Jest niski, około czterdziestki, łysiejący, a małe, wylupiaste oczka ma osadzone jedno wyżej, drugie niżej.

– Nazywają mnie Pięknolicy – mówi. – Zobacz pani, można się przyzwyczaić...

Nie pyta o przepustkę, ale o skórzaną teczkę, którą trzymam w ręku. Obruszam się. Odkąd to członek palestry miałby podlegać...

– Nie wiem odkąd – przerywa – ja dostałem rozkaz dziś rano. Mam się upewnić, czy bez mojej wiedzy nie wnosi pani żadnych przedmiotów dla więźnia.

Wzruszam ramionami i daję mu teczkę. RzUCA okiem do środka, zamyka i odkłada ją na stół z surowego drewna, który obok dwóch krzeseł i niskiej szafki stanowi jedyne umeblowanie izby.

– Bardzo mi przykro – mówi po chwili – ale muszę przeprowadzić również rewizję osobistą.

– Co takiego?!

– Każdy myślał o adwokacie, mężczyźnie, a nie kobiecie, to nie moja wina.

– W takim razie proszę sprowadzić strażniczkę!

– Chętnie – mówi pośpiesznie – ale to zajęłoby kilka dni.

Powstrzymuję się od wywrzeszczenia mu w twarz paru wulgarnych słów. Sam niech się obmacuje, i tak dalej.

– Dobrze – mówię bezbarwnym głosem – ale proszę się pospieszyć.

– Proszę unieść ręce.

I maca mnie od góry do dołu i od dołu do góry z przodu, bez zbytniego pośpiechu, potem tak samo z tyłu, obracając mnie jak placek na patelni. Wiele razy poddawano mnie rewizji, kiedy podczas wojny przekraczałam linię demarkacyjną, ale żaden strażnik nie wkładał w to tyle zapału.

Podnosząc się nagradza mnie ohydny grymasem:

– Widzi pani, można to jakoś przeżyć. Proszę pokazać, czy nie chowa pani nic w pończochach.

Czerwona bardziej z poniżenia niż ze wstydu, powstrzymuję się od spoliczkowania go. Ale on ma dużo czasu, ja nie, więc podporządkowuję się. Następnie czym prędzej obciążam spódnicę i pytam:

– Gdzie mój klient?

W głębi pomieszczenia widzę trzy pary stalowych drzwi. Drobnym krokiem, kołyszając się, idzie ku środkowym. Gdy poprawiam ubranie i sięgam po teczkę, przekręca kolejne zasuwki.

– Zobacz pani, wszystko jest świeżo odnowione – mówi. – Krzysztof jest dobrze traktowany. Ma we mnie brata.

Otwiera. Pośrodku izby, ubrany w wojskowe spodnie i koszulę, stoi nieco postarzały młodzieniec, trochę tęższy niż niegdyś, ale spoglądający i uśmiechający się jak przed laty.

Ułożyłam sobie te słowa, wyobraziłam gesty, które zatrzeć miały zakłopotanie, w jakie wprawia spotkanie po latach. Myślałam o Konstancji. Wyśniłam sen, w którym pozostaję wierną i lojalną przyjaciółką, a z Krzysztofem wymieniam tylko zdania związane z procesem. Sen. Ledwie przestąpiłam próg, znalazłam się w jego ramionach, me usta przywarły do jego ust i zaczęłam w tym pocałunku odnajdywać smak i rozkosz tej jedynej prawdziwej miłości, jaką przeżyłam.

Pięknolicy stał patrząc na nas. Ponieważ Krzysztof odsunął się lekko i rzucił mu ponad moim ramieniem lodowate spojrzenie, zakaszłał i powiedział okazując czarującą delikatność:

– Wychodzę na paluszkach...

Ciężkie drzwi rzeczywiście się zatrząskują. Krzysztof całuje mnie przez długą chwilę. A potem, potem...

Po cóż opowiadać, każdy odgadnie, że nie rozmawialiśmy za wiele w czasie trzech kwadransów, które pozostały nam tego dnia. Dopiero w ciągu ostatnich minut, kiedy się ubierałam i doprowadzałam do porządku twarz w małym lusterku puderniczki, zajęliśmy się problemami obrony. W tym samym czasie zauważyłam judasza w drzwiach celi, uświadomiłam sobie, że wyżej albo niżej osadzone oko tego łajdaka kaprała może swobodnie nas obserwować, i to kompletnie wytrąciło mnie z równowagi.

Drżąc z przerażenia na myśl o tym, podbiegłam w samej białiznie do drzwi, by zasłonić tego piekielnego judasza dłonią:

– To niewiarygodne! Przez cały czas nas szpiclował?

Krzysztof też nie potrafi odpowiedzieć na to pytanie.

– Jeśli tak – mówi – to kto z nas trojga ma największe powody do narzekania?... Ale w przyszłości przynosić gumę do żucia.

Zakładam kostium. Znów w jego ramionach, na skraju wąskiej pryczy, nie mam sumienia pytać, co go tu doprowadziło. Zresztą uprzedza:

– Jeżeli poprosiłem, żebyś mnie broniła, to wyłącznie dlatego, że chciałem cię zobaczyć. Po tym procesie niczego nie można się spodziewać, będzie tak samo lipny jak poprzednie. Nie mam zresztą najmniejszej chęci usprawiedliwiać się przed tym stadem niegodziwców.

Błagam, by nie tracił nadziei. Pomogę mu ze wszystkich sił, poświęcę jego obronie cały swój czas. Uchodzę za zręcznego adwokata. W jego sprawie zdobędę się na więcej niż zwykle.

Kładzie palec na moich ustach.

– Nie tracę nadziei – mówi. – Jestem pewien, że się z tego wywinę.

Dostrzegam ożywione jak dawniej oczy, tę samą twarz, z której przezięra dziecko, jakim był.

Pytam:

– Jak?

– No, jak zwykle. W dodatku raz już stąd zwałem, to dla mnie nie no-wina.

Mimo woli śmieję się, widząc go tak pogodnym, on wtóruje mi, bo cie-szy go, że jestem zadowolona.

Chciałabym, żeby już był piątek. Co mogę przynieść poza gumą do żu-cia? Niczego mu nie trzeba. Dostarczają mu tyle jedzenia i papierosów, ile chce. Pochłania masę czasopism poświęconych kinematografii. Pięknolicy i Jitsu przywożą mu je z łądu. Obaj są zbirami generała Malignaud, który kazałby ich zastrzelić, gdyby się o tym dowiedział, ale nie wie, a im wy-starczy smarować łapę. Krzysztof kupuje ich zresztą za ich własne pienią-dze, które wygrywa w belotkę i warcaby.

Ściany celi są pomalowane na niebrzydki, perłowoszary kolor, a na wprost łóżka wiszą przypięte pinezkami zdjęcia aktorek, Normy Shearer, Giselle Pascal kilku innych, których nie znam, i oczywiście Fru-Fru roz-chylającej wydatne usta w *Lips*, odsłaniającej wspaniałe uda w *Legs*. Tym dwóm filmom zawdzięczała dwa swe Oskary.

– Wyciąłem to byle jak – mówi Krzysztof. – Nie dają mi ani noża, ani nożyczek.

– Czy to prawda, że to Fru-Fru ukryła cię na jachcie na początku woj-ny?

Posępnije:

– Nie mam ochoty o tym mówić.

Tym razem nie nalegam. Tak czy inaczej drzwi się otwierają. Pięknolicy oznajmia kołyszając się:

– Przepraszam, ale jest czwarta. Jeśli pani nie wyjdzie, oberwę.

– Wracaj szybko – mówi Krzysztof.

Tego dnia po powrocie z La Ratière zastaję siedzącą w moim samocho-dzie zaparkowanym w porcie Saint-Julien asystentkę, Ewelinę Andrei.

Przyjechała poprzedniego dnia. Pracowałyśmy przez część nocy nad za-piskami Konstancji i długo dyskutowałyśmy.

Jest to czterdziestoletnia kobieta o bujnych kształtach i bogatej duszy, okazująca zbyt wiele słabości wobec mocnych papierosów i jasnego piwa,

za to przebiegła, co widać już po blasku w oczach, i bardziej pracowita niż mrówka.

Kiedy byłam u Krzysztofa, objechała cały półwysep, zbierając informacje. Opowiada mi o tym w drodze do hotelu.

Madame, dawna szefowa „Królowej Serc”, prowadzi obecnie biuro matrymonialne w Bourges. Rozmawiała przez telefon. Mimo błagań nieustępliwe: „Tajemnica zawodowa jest w moim fachu tak samo ceniona jak przez adwokatów. Bardzo mi przykro”.

Pewien doktor Lauzey, który długo leczył pensjonariuszki tego domu, śpi na cmentarzu w rodzinnej wiosce w Dordogne. Jego służąca, chociaż głucha i niemrawa, pamięta, „jakby to było wczoraj”, pewnego Tony'ego czy Francisa, wysokiego, długonogiego młodzieńca. Żył z bliźniaczkami – mówi – które sprzedawały lody na plaży. Doktor dwa razy wyciągał mu ołów z ciała – raz przed mobilizacją, raz po. Trzeba iść tym tropem.

Pani Bonnifay, fryzjerka, straciła podczas okupacji męża, a po kapitulacji Niemców włosy. Wyemigrowała do Niemiec, by poślubić tego z żołnierzy, z którym najintensywniej kolaborowała.

Seweryn, pechowy małżonek Emmy, również nie żyje, rozwiódł się; podczas wojny był w milicji; wychylił się z okna w stanie upojenia alkoholowego. Ostatnie słowa, jakie wypowiedział, nim wyzionął ducha, raz jeszcze dały wyraz jego nienawiści do brata i przeświadczeniu o swej racji w pewnej zamierchłej i bardzo ponurej kłótni o konia.

Dawna kucharka z pensjonatu Saint-Augustin pracuje dziś w przytułku na wyspie Oléron, gdzie jej osiemdziesięcioletnia matka spokojnie dożywa swych dni w słońcu. Jeżeli uznam to za celowe, Ewelina pojedzie porozmawiać z nią.

Myślę, że to już i tak niezły plan godziny, przez którą pozostawiłam ją samą, zwłaszcza że jest upał i że trzeba uwzględnić chwilę oddechu na portowych bulwarach, tymczasem moja kochana mróweczka najciekawsze zachowała na koniec. Najbardziej zdumiewa mnie informacja, którą przekazuje mi przy wjeździe do hotelowego parku. Okazuje się, że osobiście zetknęłam się z dwoma świadkami burzliwego życia mego Krzysztofa, ludźmi z krwi i kości – straszliwym Pięknolicym i młodym, ekscentrycznym żołnierzem zwanym Jitsu. Jeśli wierzyć szyprowi z Saint-Julien, który przy szklaneczce nie tai, że bywał częstym gościem w „Królowej Serc” i poznał wszystkie zmieniające się pensjonariuszki tego lokalu, to pierwszy z owych świadków był sutenerem Belindy, a drugi chłopakiem do wszystkiego w tym domu.

Siedziałam za kierownicą. Z wrażenia o mało nie wpakowałam się na palnę.

Tej nocy, jak i poprzedniej, prawie nie zmrużyłyśmy oka. Na dywanach naszych połączonych ze sobą pokoi leżały rozrzucone bezładnie kartki z przekazanych mi przez sędziego akt. Obok pełne niedopałków popielniczki, puste butelki po piwie, resztki posiłku, który kazałyśmy podać sobie do pokoju. Obie w negliżu, klęcząc, odtwarzamy drogę, jaką Krzysztof odbył od czasu ucieczki, w sierpniu 1939 roku. Dokonując mniej lub bardziej dokładnych rekonstrukcji tej trasy, staramy się ustalić, gdzie mogą mieszkać dziś kobiety, które wówczas opiekowały się nim, kochały, nienawidziły i zabijały.

Wbrew temu, co można by myśleć, nawiązanie kontaktu z mieszkającymi najdalej nie jest najtrudniejsze. W aktach znajdujemy niespodziewanie adresy Joko, Esmeraldy, Orła-czy-Reszki. Paryski impresario podaje nam przez telefon adres Fru-Fru w Los Angeles. Potem ustalamy miejsca pobytu prawie całej reszty. Nim pierwsze promyki słońca wśliznęły się przez otwarte okna, Ewelina napisała, zaadresowała, a nawet opatrzyła znaczkami „SOS” do tych, które wymieniłam, a także do Emmy, Zozo i Toledo. Potem, w ciągu dnia przyjdzie kolej na Belinę, a nazajutrz, dzięki pomocy dawnej kucharki – na Karolinę.

Prawdopodobnie nigdy nie dowiem się – ja ani nikt inny – co stało się z Vanessą i Savenną, bliźniaczkami z „Królowej Serc.” Bardzo żałuję, bo akta potwierdzają poniekąd plotki powtarzane przez dawną gospodynię doktora Lauzey. Ponoć zarzuciwszy uprawianie prostytutki, ukrywały Krzysztofa przez cały rok, od chwili gdy postrzelony uciekł z obłąconego internatu Świętego Augustyna, do czasu kiedy w równie opłakanym stanie schronił się na „Pandorze”. Ponieważ nie rozróżniał ich, podobnie zresztą jak rodzona matka, nie potrafił powiedzieć, która strzeliła do której, gdy pokłóciły się w baraczkach na plaży, gdzie robiły lody waniliowe i pistacjowe; strzeliła – niestety dokładnie w tej samej chwili, kiedy zdecydował je rozdzielić.

Nie poznam też nigdy losów Salome, Czeri-Czen, Jasminy, niejakiej Gertrudy, którą spotkał w Wiedniu, a która wydała go Anglikom i na której temat uparcie odmawiał rozmowy, powtarzając co najwyżej: „Kobiety też nas zdradzają, jeśli zbyt długo żyły wśród mężczyzn...”

Pamiętam ten lipiec i sierpień jako czas brutalnych kontrastów, czas słońca i cienia.

Dobroczynnym cieniem był cień Krzysztofa. Prycza i zielony koc. Przyśrubowany do muru stół, którego całą powierzchnię zajmowała makieta „Pandory”. Kleił ją zwykłym, szkolnym klejem z zapalek, żeby pokonać nudę. Dawno zapomniana woń tego kleju... Zakratowane okienko, bardzo wysoko, wychodziło na dziedziniec, po którym więzień spacerował. Jedno jedyne krzesło, ale wspaniałe, tu rażące, jakby wyjęte z burdelu szalonych lat. Pochodziło zresztą z „Królowej Serc”, a do cytadeli przywiózł je sentymentalny niemiecki artylerzysta, który wymienił je za skrzynkę margaryny.

Przypięte do ścian zdjęcia zmieniały się prawie równie często jak republiki, ale Krzysztof dawał dowód niesłychanej wierności – zawsze przedstawiały te same aktorki: Normę Shearer, Giselle Pascal, Gene Tierney, Fru-Fru, i jeszcze wzbijającą się na firmament gwiazdeczkę, Martine Carol.

Słońcem była mi noc, samotność, walka z czasem. Ewelina Andrei wróciła do Paryża. Wynajmowałam motorówkę, którą kierowało się jak samochodem, i nią docierałam do La Ratière. Teraz ja, jak niegdyś Belinda dla Pięknolicego, wspinałam się na szczyt latarni morskiej i wpatrywałam w szare mury, które więziły mego kochanka.

Pięknolicy. Tego chętnie bym zabiła, obiecywałam sobie, że uczynię to, skoro sprawa będzie zakończona, a Krzysztof wolny. Jeśli będę mogła, usmażę go na wolnym ogniu, jak Apacze w westernach. Będę się napawała widokiem jego długich cierpień. Sądzę, że nigdy nikogo tak bardzo nie nienawidziłam, ale wzięwszy pod uwagę, jakim był człowiekiem, nie popełniłam grzechu.

Po pierwszych odwiedzinach i poniżeniach, na jakie mnie naraził, chciałam początkowo złożyć skargę u sędziego Pommery. Ale po namyśle porzuciłam ten zamiar. Cóż bym wygrała, oskarżając samą siebie, że dałam memu klientowi w celi rozkosze, których był pozbawiony? W najlepszym razie ustawiono by rozmównicę i widywalibyśmy się przy uzbrojonym po zęby wartowniku. A poza tym wszechwładny wobec Krzysztofa Pięknolicy miał w naszych oczach pewną zaletę, której mogłoby zabraknąć innemu klawiszowi: był przekupny. A nikt nie wie, do czego skłonni są posunąć się ludzie sprzedajni, byle usłużyć opłacającym ich.

Krótko mówiąc, zrezygnowałam – przynajmniej do czasu rozprawy – z odgrywania roli sióstr Papin, a także ośmieszania się w oczach urzędników. Co do Judasza, przez który ów Judasz nas szpiegował, postąpiłam zgodnie z radą Krzysztofa. Przychodząc po raz drugi i kolejne, zaopatrywałam się w amerykańską gumę do żucia, Dentyne, o której mówi się zresztą, że zapobiega

tworzeniu kamienia na zębach. Wystarczało przeżuć kawałek po drodze, by zatkać dziurę w drzwiach i sytuacja się odwracała: Pięknolicy nie mógłby na nas donieść, nie oskarżając samego siebie o naruszenie tajemnicy, do której ma prawo obrońca. Wyroki zapadały za drobniejsze przestępstwa.

Wzięłam na siebie zjednanie nam życzliwości tej odrażającej kreatury. Nawet kiedy nie zakładałam pończoch pod lekkie suknie w upalne dni, idąc do cytadeli naciągałam zawsze na udo podwiązkę, a za nią wsuwałam nowy starannie złożony banknot. Nim jeszcze wyraził życzenie, gdy zostawaliśmy w więziennym przedsiönku sam na sam, unosiłam ze zrozumieniem spódnicę, zatrzymując się na skraju tego, co nie było już przeznaczone dla jego oczu i tak, by musiał się pochylić sięgając po nagrodę za milczenie. Za pierwszym razem był, jeśli nie zaszokowany, to na pewno bardzo zaskoczony. Ale przywykł.

Pewnego dnia stał się tak beczelny, że obdarzył mnie komplementem w swoim stylu:

– Wie pani, jeśli by nie wyszło i chciałaby pani przerzucić się na fach z przyszłością, to proszę się do mnie zwrócić! Moglibyśmy być niezłą parką.

Zauważyłam, że nie mam już nawet ochoty spoliczkować go za to. Wzruszyłam ramionami i powiedziałam, że zobaczymy.

Świat, w którym żyliśmy, oszalał. Nic dziwnego, że i ja oszalałam.

Jedyna w- miarę sensowna rzecz, jaka mi została, to wspomnienie su- chego trzasku zasuw na wyspie pośród oceanu i zgrzytu drzwi otwierają- cych przede mną najlepsze godziny mego życia, drzwi, za którymi czeka ta twarz, głos, skóra i to, co zwykło się nazywać – nie wiedzieć czemu – wła- śnie szaleństwem.

Wbrew wszelkim oczekiwaniom jako pierwsza odpowiedziała na me wezwanie Esmeralda. Przysłała mi z Nowego Jorku napisany po francusku telegram:

Jeśli Fryderyk jest rzeczywiście Krzysztofem, to uważam go za zdol- nego do popełnienia wszystkich zbrodni, o jakie go oskarżają, poza – rzecz jasna – pierwszą. Przysięgam na mój honor, że przez czystą dba- łość o równowagę psychiczną utrzymywałam z nim stosunki seksualne i żadne z nas nie może twierdzić, że zostało zgwałcone. Jeżeli on to uczy- ni, pod pozorem, że początkowo trzymałam go przywiązanego za ręce i nogi, niechaj zetną mu głowę. Zobowiązuję się otworzyć specjalne konto

w *First National Bank*, by na jego grobie dwa razy w tygodniu składano świeże kwiaty. Łączę wyrazy niepokoju i szacunku.

Esmeralda

Kiedy pokazałam tę wiadomość zainteresowanemu, wybuchnął śmiechem. Na moje późniejsze pytania odpowiadał tak, jak czynił to często:

– Proszę cię, to było dawno, nie chcę o tym mówić.

Jako drugi nadszedł telegram od Joko. Zapowiadał długi list, a także informował, że Joko zaręczyła się z „*młodym inżynierem, bardzo podobającym się, od agronomii*”, którego Fryderyk-Krzysztof znał, bo przez niego przesłał list do Joko, kiedy tamten był „*jeniec w Birmie, żołnierz japoński, a dzielny Francuz i dzielna pielęgniarka dają mu żywność*”.

W związku z tą sprawą Krzysztof był nieco bardziej gadatliwy niż zwykle, ale musiałam poczekać na relację Toledo, żeby dokładniej się zorientować.

Potem do mojego biura nadszedł list Orła-czy-Reszki – chorobliwa relacja, którą Ewelina Andrei przetłumaczyła mi przez telefon, ponieważ zna angielski znacznie lepiej ode mnie. Z grubsza biorąc – bo tak właśnie należy to nazwać – strach, jakiego doznała, gdy tonęła „*Pandora*”, kompletnie rozstroił procesy metaboliczne w organizmie biedaczki, która ważyła w tej chwili przeszło dwieście funtów, to zaś już dawało jej podstawy zrobienia kariery w żeńskiej wolnej amerykance, bardzo popularnej w Stanach, ale pozbawiło ją uczuć obu mężów, przeciwko którym wytoczyła proces. Jednemu (Stockammerowi), bo rzeczywiście był jej mężem wobec prawa, a okazał wynaturzone okrucieństwo, drugiemu zaś (aktorowi, Mathieu), bo uciekł z domu w Beverly Hills z kolorową służącą i płótnem mistrza Rousseau, które należało do niego tylko w jednej trzeciej. Zarzucała im między innymi (obu), że doprowadzili ją do nadużywania alkoholu i deprawowali, nakłaniając do takich praktyk seksualnych, jak sadystyczne bicowanie, stosunki analne, seks grupowy i masturbacje, za co zażądała jako słusznego zadośćuczynienia sumy miliona dolarów, zwrotu równowartości jednej trzeciej obrazu oraz służącej w całości, a poza tym paru innych drobiazgów, jak wymiana filtru w basenie, zwrot czapki myśliwskiej, którą dał jej Patton, a także uregulowania rachunków za cotygodniowe wizyty u psychiatry, który leczył jej zaniki pamięci. Ofiarą jednego z tych zaników padł Fryderyk-Krzysztof, podobnie jak cała reszta pasażerów „*Pandory*” i sama

„Pandora”. W każdym razie oczekiwała ode mnie, że zrozumie, iż jeśli któregoś dnia natknie się na coś lub kogoś, kto miał związek z tą katastrofą, poczuje się uprawniona, by rozważyć, jakie korzyści może jej przynieść przywołanie wspomnień. Dotąd pozostawała ich wyłączną właścicielką i na wypadek gdybym posłużyła się jej nazwiskiem, zagroziła mi wytoczeniem procesu.

Powiedziałam Ewelinie, żeby cisnęła radosną twórczość tej wariatki do kosza na śmieci.

Kiedy przytaczałam Krzysztofowi całe ustępy jej listu, zmarszczył brwi. Przyznaję, że przez chwilę sądziłam, iż to jego męska pycha nie pozwala mu ścierpieć faktu, że dawna kochanka, choćby w następstwie tak poważnego wypadku, zapomniała o nim, lecz wyjaśnił:

– Widziałem na jachcie ten obraz, o którym pisze. To było wesele na wsi – masa zieleni i małe, żółte kwiatki. Namalował go na zamówienie malarz zatrudniony na planie, specjalnie do filmu Fru-Fru, do *Eyes*, opowieści o głuchoniemej. Biedaczka musi być niezłe stuknięta, no chyba że jakiś inny Rousseau pracował kiedykolwiek w Hollywoodzie!

Potem, wrywając się z rozmarzenia, powiedział z chichotem:

– Babka, co lubi uprawiać wolną amerykanke! Nigdy nie potrafiłem inaczej o niej myśleć, kiedy zamykała się ze mną w kajucie!

Dałam mu kuksańca, ale wagowo nie jestem nawet jak pół Orła-czy-Reszki, więc łatwo sobie ze mną poradził.

Na początku sierpnia zaczęłam otrzymywać zeznania, które zostałyby przytoczone przed moją relacją, gdyby mi się powiodło.

Najpierw zapoznałam się z epizodem Karoliny. Długi, pisany odręcznie na papierze podaniowym list, charakter wyrobiony, ale litery nieco kanciaste, cienkie i pogrubione linie, świadczące o długotrwałym użyciu pióra Sergent-Major. Nie było wiele skreśleń – najwyraźniej nauczycielka postąpiła tak, jak zalecała uczniom – sporządziła plan, następnie brudnopis. Nie powiem słowa o stylu, sama bowiem nie najlepiej radzę sobie z zawłościami języka, zwłaszcza z zależnością czasów, ale jak wówczas napisałam, hipokryzja tego anioła cnoty często mną wstrząsała.

Jakkolwiek by było, uprawiała obecnie szlachetny i zupełnie nowy zawód stewardesy, a list nadała ze Sztokholmu. Tak to wojna burzy ustalony porządek życia ludzkiego.

Belindę, dawno już nie mieszkającą pod adresem, na jaki skierowałam swój list, moja mróweczka odnalazła w paryskim kabarecie „Les Quatre-Drapeaux” przy ulicy Gaîté, gdzie pomiędzy dwiema piosenkami studenckiego kwintetu przedstawiała numer, który w ostatnich dniach istnienia „Królowej Serc” przyniósł jej niemały sukces.

Pewnego piątkowego wieczoru, po widzeniu z Krzysztofem, wsiadłam do pociągu w Rochefort, by się z nią spotkać. Ubrana w czarny smoking, z muchą pod szyją i w meloniku, śpiewała rzewnym, przeciągłym i zaskakująco dziecinnyim głosem wiązankę szlagierów Dietrich po francusku. Była mniej więcej w moim wieku, a mieszkała samotnie w małym mieszkanku przy ulicy Delambre.

Nie uprawiała już prostytucji, powiedziała mi o tym, a po cóż miałyby kłamać? Promieniował od niej pogodny spokój osoby, która zamknęła pewien etap życia. Nie była Marleną Dietrich, ale w swoim, zupełnie innym typie była naprawdę piękna, o wiele piękniejsza, niż sobie wyobrażałam. Nigdy nie odzyskała zarobionych pieniędzy, bo kiedy Madame podliczyła kasę, nic jej nie zostało, ale nie myślała już o tym. Mimo wszystko zdołała zamknąć za sobą tamte drzwi. Teraz, w blasku reflektorów, co wieczór, a także w niedzielne poranki stawała się tą, którą tak bardzo chciała być, gdy miała lat siedemnaście.

Wzięłam ze sobą dyktafon. Przez trzy dni Belinda poświęcała mi niemal cały czas, którego nie spędzała na scenie. Spisałam wiernie wszystko, co powiedziała, starając się, o ile zdołałam, uszanować jej język, podobnie jak w przypadku pozostałych. Muszę tylko zaznaczyć, że nie okazała szczególnego zdziwienia na wieść, iż ten, którego znała jako Toniego, jest wciąż przy życiu.

Kiedy się z nią rozstawałam po ostatniej rozmowie, siedziałyśmy w opustoszałej sali kabaretu, przy świetle jednej jedynej lampy. Miała na sobie nadal smoking. Trochę wypila. Łzy zmęczenia przesłaniały jej oczy. Chciała przesłać za moim pośrednictwem jakąś wiadomość dla więźnia, lecz nie wiedziała, co powiedzieć. W końcu wzruszyła ramionami i machnęła ręką, co miało chyba znaczyć: „Do diabła z tym”. Ucałowała mnie i odeszła.

Po powrocie do Saint-Julien, nazajutrz, zastałam grubą kopertę od Joko. Czterdzieści pięć stron, zapisanych przy minimalnym odstępnie francuszczyzną, której nie miałam sumienia korygować, bo Japonka zadała sobie z pewnością wiele trudu, poza tym zaś – brakło mi na to czasu. W dodatku, gdyby nawet sędzia tylko rzucił okiem na ten list, jej słowa lepiej przekonałyby go o szczerości niż najpiękniejsze zdania i nie mógłby nie włączyć zeznania do akt sprawy.

Po kilku następnym dniach nadeszło zadanie wakacyjne Emmy. Wyszła ponownie za mąż za lekarza z Draguignan, została matką dwóch małych chłopców. Pisała drobnym, ale dokładnym pismem rysowniczką. Miała nadzieję, że nie zażadam, by zeznawała przed sądem.

Tu muszę przyznać się do błędu w ocenie, popełnionego owej nocy, gdy zwracałam się o pomoc do tych kobiet. W akcie oskarżenia, prócz innych bredni, zarzucano Krzysztofowi zebranie bajecznych pieniędzy, które pochodzić miały z najpodlejszego handlu, a które zdeponował za granicą. Wydało mi się sprawą zasadniczą, a nawet, żeby użyć właściwego w tym miejscu słowa – kapitałnej wręcz wagi – zwrócenie uwagi na spadek, jaki otrzymał po babce. On sam podpisał w lutym, u notariusza w Marsylii, akt darowizny. Nie chciał na ten temat mówić. Nietrudno było odgadnąć, że w razie nieszczęścia pieniądze staną się własnością Konstancji, postanowiłam jednak chytrze zapytać moje respondentki o tę sprawę, po pierwsze, żeby dowiedzieć się czegoś więcej, ale po trosze także – muszę wyznać – by znieść te, które wahałyby się odpisać.

Kończąc list Emma uznała me pytanie za „uwłaczające” i nie omieszkała mnie skarcić. Co do Krzysztofa, to kiedy się o tym dowiedział, nazwał mnie głupim babsztylem.

Potem, już w sierpniu, napisała do mnie Jennifer MacKeena zwana Toledo. List, napisany po angielsku, nadszedł z Nowego Meksyku, a wiernie przetłumaczyła go Ewelina Andrei. Po trzymiesięcznym pobycie w więzieniu tego stanu, za „poważne zaniedbanie obowiązków” w Marynarce Wojennej USA, dawna pielęgniarka poślubiła właściciela motelu „Twin Oaks”, gdzie pracowała jako kelnerka. Upłynął niespełna rok od czasu, gdy Krzysztof porzucił ją w winnicy na północy Birmy, niezbyt daleko od brytyjskiego garnizonu, lecz mówiła o tym jak o zdarzeniu sprzed wielu lat. Cóż, czas nie dla wszystkich ma ten sam wymiar, tak już jest.

I w końcu Ewelina Andrei zdołała odnaleźć Zozo, nieznaną pod adresem, a nawet w mieście wymienionym w aktach. Ten kolonialny kwiat obracał się teraz wśród wyższych sfer w Deauville. Cwańsza od Belindy, opuściła „Królową Serc”, zanim Madame na swój sposób rozliczyła się z dziewczętami, i poświęciła dziesięcioletnie oszczędności, by wykupić się z rąk tego, do którego dotąd należała, jemu pozostawiając wydobycie pieniędzy od Madame i z czystą hipoteką przystąpiła pod koniec okupacji i w czasie wyzwolenia Normandii do odrabiania strat z wyższymi oficerami niemieckimi i amerykańskimi – bez różnicy, jednym i drugim zapewniając

luksus zaspokajania ich ciągót do kolorowych dziewcząt i nie odczuwając przy tym najłżejszych wyrzutów sumienia.

Ewelina wskoczyła do pociągu i odbyła z nią trzygodzinną rozmowę pod wielkim parasolem na plaży hotelowej, w strumieniach deszczu. Az trudno wyrazić jej zaskoczenie, gdy stanęła twarzą w twarz z łanią o cerze białej jak lilia. Potem, przez telefon, przygotowywała mnie na tę wiadomość tak, że lękałam się najgorszego, nie wyłączając śmierci mej rodzonej matki. Zdarzające się częściej, niż można by sądzić niedbalstwo sprawiło, że w opasłych aktach sprawy ani słowem nie wspomniano, iż Zozo jest biała. Oczywiście jej rola była zdecydowanie drugoplanowa, ale przecież i Karolina, i Belinda wielokrotnie wspominały o niej w swych listach.

Ewelina Andrei, być może nie zdoławszy jeszcze otrząsnąć się z wrażeń, zrelacjonowała jej wersję dawnej koleżanki po fachu, nim nagrała zozo-zeznanie, i był to chyba błąd, ale nigdy nie dowiemy się tego z całą pewnością. Ich wersje wydarzeń były do tego stopnia sprzeczne, że musiałśmy uznać, iż jedna z prostytutek zmyśliła całą historię. Ale która?!

Nie widziałam Zozo. Widziałam Belinę. Wiem, że Belinda, przynajmniej w najistotniejszych sprawach, była szczerą. Poza tym codzienne przemalowywanie się na czarno, od stóp do głów, nie wydaje mi się świadczyć o prawdomówności. Ale Ewelina spotkała się z Zozo. I jest pewna, że to ona właśnie była szczerą. A muszę przyznać, że pomimo irytującego pluśku deszczu o parasol głos niby-Murzynki brzmiał tak szczerze, a nawet ożywił się chwilami tak bardzo, że sama już nie wiem, komu wierzyć.

Można by powiedzieć, że robię z igły widły, że, psiakrew, mam przecież Krzysztofa, który może rozsądzić sprawę. Pomijając już fakt, że to określenie nie wydało mu się najstosowniejsze w jego sytuacji, powiedział:

– Zozo powiedziała, co miała do powiedzenia, Belinda też. Jeżeli jedna albo druga, albo nawet obie, zadały sobie trud i popuściły wodze fantazji, to na pewno nie po to, żeby mi zaszkodzić, więc nie mam prawa nikogo potępiać. Tak samo jak nie potępię Nózki ani Toledo, ani żadnej innej, jeśli ci o to chodzi! Wszystkie były mi pomocne, gdy najbardziej tego potrzebowałem. I to najbardziej się liczy!

Pamiętam, że siedziałam na pryczy, a on stał pośrodku celi. Zauważył, że łzy napływają mi do oczu. Wziął mnie w ramiona. Powiedział łagodnie:

– Nienawidzę cię, wiesz o tym.

I tak bardzo nienawidziliśmy się przez czas, jaki nam jeszcze pozostał

tamtego dnia, że do tej pory nie mogę rozwikłać problemu Zozo i Belindy.

Innym razem, wychodząc, podałam rękę Pićknolicemu, a ten stanął jak wryty. Pozostawiłam dłoń w jego łapsku aż do obrzydzenia.

Zapytałam grzeczniutko:

- Czy to prawda, że i pan był więźniem w tej cytadeli?
- Nigdy w życiu!
- Opowiedziała mi o tym pańska dawna przyjaciółka, Belinda.
- Nie znam tej kobiety.
- Ależ wszyscy wiedzą, że był pan jej kochankiem.
- Wszyscy łżą.

Wytarłam rękę o suknię i odeszłam.

Doszedłszy do strzeżonej przez Jitsu kraty, znów spróbowałam szczęścia. Ten chłopak nie wydawał mi się zły. Sprawiał raczej wrażenie usłużnego.

– Często widywał pan Krzysztofa – powiedziałam – kiedy pracował pan w „Królowej Serc”, prawda? Z którą był bliżej związany – z Belindą czy z Zozo?

Miał spojrzenie zbitego psa. Przesząpił z nogi na nogę. Ze strachu przed generałem Malignoble? Może otrzymał jakieś rozkazy? Ani słowa.

– Proszę pana... Jitsu – nalegałam. – Muszę wiedzieć, to bardzo ważne.

Dotknęłam palcem jego podbródka, chcąc, żeby na mnie spojrzał. Odskoczył, jakbym była zadżumiona. Zrezygnowałam. Jednak musiałam budzić litość, bo otwarłszy mi kratę ogromnym kluczem, powiedział współczująco, jakby na pożegnanie:

– No, pani mecenas, nie trzeba się tak denerwować!

Ale to było wszystko, co od niego usłyszałam.

Mam oczywiście własne poglądy na temat prawdziwości wyznań, które czytałam tyle razy, analizowałam pod każdym względem, których najdrobniejsze fragmenty znam niemal na pamięć, których najdziwniejsze zawiłości rozplatałam. Oceniam tę prawdziwość jak należy. W sumie żadna z moich respondentek nie zadowolila się rolą świadka ani nie troszczyła się o to, że inne mogą podważyć jej słowa. Staraly się jak jeden mąż wprowadzić zamęt, by ocalić twarz mężczyzny, który w różnym stopniu wstrząsnął życiem każdej z nich, a przed którego pokochaniem nie mogły – nawet Karolina – się uchować. Serce kobiety jest jak ocean. Bóg jeden wie, kiedy ogarną je najstraszliwsze burze, kiedy przemówi uporcezywa chęć przetrwania, kiedy górę weźmie wytrwałość Raka, kryjącego się w głębiach oceanu.

Jakkolwiek by było, na dwa tygodnie przed procesem pozostawała jedna, od której nie otrzymałam odpowiedzi: Fru-Fru. Otaczał ją tak szczelny mur, że Ewelina i ja nie wierzyliśmy już, iż dotrzemy do niej na czas. Była teraz nie tylko gwiazdą filmową, ale i wdową po magnacie przemysłu kosmetycznego, właścicielu sieci salonów kosmetycznych, i nigdy nie było wiadomo, w jakim kraju czy w którym samolocie jej szukać.

W końcu informację uzyskałam od samego Krzysztofa. Jeden z magazynów, które przynosiłam mu co tydzień, „Ekran francuski”, wspominał o obecności aktorki na jakiejś dobroczynnej gali w Monte Carlo.

Jeżeli Fru-Fru rzeczywiście była na Lazurowym Wybrzeżu, to razem z obstawą. Początkowo mojej mróweczce nie udało się nawet zmiękczyć serca przyjaciela asystentki sekretarki trzeciego kierowcy gwiazdy. Ale niełatwo się poddaje, tej wady nie mogę jej przypisać. Ponieważ nie zdołała dotrzeć do aktorki, zaatakowała kobietę interesu. Powinnam była na to paść – atutem w jej ręku stał się mój własny ojciec.

Lucien Devereaux-Lepage, ostatni tego nazwiska, jest jedynym przede mną, i oby trwało to jak najdłużej, spadkobiercą fortuny uporczywie gromadzonej przez dziesięć pokoleń wytwórców kosmetyków z Grasse. Tak się składa, że fabryki gałęzi Devereaux z Devereaux-Lepage produkują w Vierzon, Romorantin i paru innych zakątkach Sologne kremy i kosmetyki, których sama zawsze bardzo chętnie używałam. Smarkuła z Montrouge, która jeszcze jako manikiurzystka często widywała dwa splecione ze sobą „L” rodzinnego znaku, poczuła się zaszczycona, gdy zadzwonił do niej mój ojciec. Ten zaś oddał słuchawkę Ewelinie, by poinformowała ją, co przytrafiło się pewnemu drągalowi, którego aktorka uważała za zmarłego w czterdziestym drugim, żywego w czterdziestym piątym, a potem znów za zmarłego.

I otwały się bramy niebios – spokojnie można to tak wyrazić, Fru-Fru bowiem nigdy i niczego nie robiła połowicznie. Wojskowy helikopter przyleciał po mnie na półwysep, zawiózł mnie na lotnisko w okolicach Périgueux, skąd prywatnym dwusilnikowcem udałam się do Nicei. Punkt pierwsza zasiadłam do obiadu w towarzystwie gwiazdy *Lips i Legs*, w przyczepie długości piętnastu metrów na terenie studia Victorine.

Kończyła tam film zatytułowany *Elbow*, gdzie odtwarza rolę mistrzyni gry w tenisa, która po kontuzji prawego łokcia stara się w tajemnicy nauczyć gry lewą ręką, by nie popaść w zapomnienie, alkoholizm i nie stoczyć się.

W końcu zwycięża. Nad kortami w Monte Carlo powiewa gwiazdzista flaga, a bohaterka może wreszcie pokazać się wraz z brzdącem (rzecz jasna bez tatusia) do tej pory ukrywanym z konieczności w szwajcarskiej szkole.

Krótko mówiąc – gównno, jak powiedziała Fru-Fru.

Za okularami myszki-bibliotekareczki, które były cudownym bibelocikiem sprzed lat, kryły się oczy barwy morskiej toni. Dla szerokiej publiczności aktorka miała dwadzieścia pięć lat, dla nielicznych wtajemniczonych – dwadzieścia osiem lub dziewięć, odpowiednio w parzyste i nieparzyste dni. Była równie ładna jak na ekranie, choć uśmiechała się rzadziej. Miała cięty dowcip, który jednak zwracał się najczęściej przeciw niej samej, choć nie oszczędzała nikogo i niczego. Zachowała akcent z paryskiego przedmieścia. Klęła jak dorożkarz.

Dopiero przed wieczorem wezwano ją na plan. Poszłam z nią.

Obserwowałam, jak gra scenę, w której zostaje spoliczkowana przez przeciwniczkę, Agnes Moorehead, w opustoszałej szatni. Od drugiego ujęcia policzki są markowane, ale aktorka grozi po angielsku: „Uprzedź tego skurwiela scenarzystę, żeby zaszył się gdzieś na Bikini. Jeżeli pojawi się w zasięgu ręki Fru-Fru, kiedy będzie miała na nosie binokle, może uznać się za trupa”.

Wieczorem układa mnie w salonie swego apartamentu w „Hôtel de Paris”. Rozmawia ze mną do późnej nocy, otulona w czarny płaszcz kąpielowy; buzię ma teraz naturalną, bez cienia makijażu, oczy bez okularów i szkielek kontaktowych. Jej złociste włosy lśnią w świetle lampy. Zasypiam, gdy płyniemy wzdłuż wybrzeża Mozambiku.

Nazajutrz była niedziela. Poszłam z Fru-Fru na kort tenisowy, gdzie ćwiczy codziennie dwie godziny – przed albo po pracy w studio. Patrzyłam, jak w skupieniu słucha rad wyglądającego na Indianina mistrza Stanów. Potem podszedł do niej i ucałował w policzek francuski zwycięzca Wimbledonu sprzed miesiąca. On właśnie powiedział mi, kiedy spływała potem i krwią, walcząc z zawodową tenisistką, że nie należy zbyt wierzyc w „tumiwizm” zawodowy, głoszony przez Fru-Fru. Sama zdołałam zauważyć, że nie tknąwszy nigdy wcześniej rakiety tenisowej, osiągnęła po paru miesiącach poziom dość wysoki, by nakręcić zbliżenia. Była szybka jak strzała, odbijała piłki z regularnością metronomu, całkiem zręcznie radziła sobie z wolejem. Na domiar szczęścia, jeśli trzeba było odwracać taśmę do środkowej części filmu, kiedy to miała cierpieć na kontuzję prawego łokcia, zbędna okazała się platynowowłosa dublerka do scen finalnych

– Fru-Fru była leworęczna. Trudno oczywiście sądzić, że naprawdę zna się kogoś, z kim spędziło się dwa dni, zwłaszcza gdy przez cały ten czas jest się szpiegowanym przez dyktafon, lecz spisując to, co aktorka mi powiedziała, miałam często ochotę wygładzać, poprawiać jej sformułowania. Raz jeszcze, jak w przypadku innych relacji, powstrzymałam się od ingerencji. Mam tylko nadzieję, że jej opowieść jeszcze bardziej niż tamte, dzięki ciągle obecnemu elementowi mimowolnego humoru, żartu z siebie samej, więcej ujawnia, niż zataja.

Fru-Fru towarzyszyła mi do Cypla Amerykańskiego, skąd przybyłam. Powierzyła mi list do Krzysztofa. Nie potrafię powiedzieć, czy to poczucie, że dopuszczę się zdrady wobec siebie samej, czy też wobec nich, powstrzymało mnie od otwarcia koperty podczas lotu. Mimo warkotu silników w uszach wciąż jeszcze brzmiały mi słowa, które wypowiedziała, wręczając mi list: „Mam pewne braki w wykształceniu, wciąż się ze mnie śmiał”.

Krzysztof przeczytał list, schował go do kieszeni koszuli i zamyślił się na długą chwilę. Potem odetchnął i powiedział:

– Cholera, napiłbym się czegoś.

Mieliśmy już swoje nawyki. Wezwałam naszego anioła stróża z rogami, a on przyniósł butelkę „wody życia”, którą przechowywał w szafce. Ta butelka, którą przywiozłam z miasta, kosztowała nas coraz drożej, ale za to Krzysztof dostawał gratis czysty kubeczek.

Makieta „Pandory” była gotowa. Na przyśrubowanym do muru stole powstawała następna. Jej twórca zapragnął zbudować wierną kopię bambusowej tratwy z Pacyfiku. Tego popołudnia zapytałam go:

– Co zbudujesz potem?

– Jeżeli będę miał czas, to może sampan, na którym mieszkałem z Cze-ri-Czen. Właściwie powinienem zrobić rekonstrukcję pewnej rzeczy, ale to nie byłby wyrób artystyczny, a poza tym wszyscy odgadliby, jak uciekłem stąd za pierwszym razem.

– Nie chcesz mi powiedzieć, co to takiego?

– Nie chcę, żeby mogli cię oskarżyć o współudział w czymkolwiek.

– Wiesz, że umiem dotrzymać tajemnicy.

– Tajemnice tym mniej ciąży i nękają, im mniej się ich zna.

Nigdy nie pisał ani słowa na ten temat. Tak samo jak o planie ucieczki. Żeby zrobić mi przyjemność, a także dla przyjemności widywania się ze mną przez dwie godziny w tygodniu, postanowił czekać do ogłoszenia wyroku, i to wszystko.

– Nawet jeśli ograniczą mą karę do trzech lat, ucieknę.

Jego pocałunki miały smak wódki i przygody.

Z przyczyn technicznych, nie pamiętam już jakich, proces został opóźniony o dziesięć dni. Przewodniczący Pommery przez telefon przekazał mi tę dobrą wiadomość tuż przed inną, złą: przeczytał „historie z życia wzięte”, które mu dostarczyłam, i nawet nieźle się uśmieł przy niektórych ustępach opowieści fru-fruskowych czy jokinych, ale zarówno w mym własnym, jak i mych respondentek interesie uznał, że nie mogą zostać wykorzystane.

– Chyba że – powiedział – pani pupil kontrasygnuje stronę po stronie i zażąda na piśmie dołączenia ich do akt. To nie wpłynie w istotny sposób na jego sprawę, a najmniej cztery z tych kobiet zostaną oskarżone o krzywoprzysięstwo, pomijając przypadek Jennifer MacKeena, interesujący przede wszystkim amerykański wymiar sprawiedliwości.

Załamalam się. Był poniedziałek wieczorem. Nie zmrużyłam oka przez całą noc. Krzysztof nigdy nie przejawiał zbytniego zapału do wertowania wyznań swych dawnych kochanek. Z różnych przyczyn, wśród których niebagatelną rolę grał fakt, że wołał czas mych wizyt wykorzystać w przyjemniejszy sposób. Przyznaję, że i ja byłam tego zdania.

Nazajutrz zaniosałam mu około stu pięćdziesięciu stron zeznań. Wręczyłam je przy Pięknolicym, obiecując rozerwać tego ostatniego na strzępy, gdyby spróbował rzucić na nie okiem przez te dni, gdy zostaną u więźnia. Poza tym dałam temu chytremu szczurowi pięćset franków, ale oznajmił, że jak wszyscy ludzie ma dwoje oczu i muszę dorzucić jeszcze pięćset.

– Ślepy, głuchy i niemy: oto moja dewiza! – oznajmił wsuwając pieniądze do kieszeni.

Kiedy zostałam z Krzysztofem sama, wyciągnął się na pryczy, tonąc w opowieści Emmy. Nawet nie zauważył, że się rozbieram. Przez pół godziny siedziałam obok niego. Śmiał się raz po raz. Oparł głowę na mych udach, by wygodnie czytać. Bezwiednie pieścił palcami miejsca, których nazw przyzwoitość nie pozwala mi wymienić. Potem zasępił się nagle, zebrał kartki i oznajmił:

– Nie możesz nikomu udostępnić tych zeznań, zabraniam ci! Dość zła wyrządziłem tej kobiecie.

Ale jeszcze były zeznania sześciu innych, które pozostawiłam wychodząc.

Wsiadłam do motorówki. Płynęłam do Saint-Julien. Choć nie leżało to w moim zwyczaju, byłam bliska opuszczenia rąk. Nie miałam już nawet dość sił, by jak niegdyś Belinda zapalić świeczkę w tutejszym kościółku,

nie wierzyłam w cud. A wydarzył się właśnie tego wieczoru, i to nie było jakie.

Wchodząc do nowiutkiego hallu „Le Grand Richelieu” z jednym jedynym pragnieniem – by się wykąpać i iść spać, ujrzałam idącego w moją stronę kelnera. Wydawało się, że doznał wielkiej ulgi.

– Och, proszę pani! Jakaś pani od kilku godzin czeka na panią w barze. Pije już chyba dwunasty koniak.

Wakacyjni goście byli jeszcze na plaży. W kącie małej, opustoszałej sali, za storą, siedziała kobieta w nieokreślonym wieku. Włosy miała przereźdzone, głowę smętnie spuszczoną. Wydaje mi się, że mówiła do siebie i że nie przerwała nawet, gdy zbliżyłam się do stolika. Nie sięgająca kolan zielona sukienka ze sztucznego jedwabiu wyglądała jak smętne wspomnienie lat okupacji i rozchyłała się na wątpliwej czystości biustonoszu. Nigdy przedtem jej nie widziałam, ale gdy wzniosła na mnie mgliste oczy, gdy ujrzałam jej zamazane rysy, krostowate policzki, poczułam wbrew faktom, że ją rozpoznaję. Nie wiem czemu, ale domyśliłam się, że jest jedną z dziewcząt z „Królowej Serc”, i me serce zabiło żywiej. Pewność, że mam przed sobą Salome, oszołomiła mnie.

– To ty jesteś adwokatką? – odezwała się pijackim głosem, opędzając dym z papierosa. – Jestem Michou, Ninoczka, jeśli wolisz. Kumpelka Georgette – Wielkiej Żyrafy. Siadaj, przyprawiasz mnie o zawrót głowy.

Usiadłam na wprost niej.

– Zawołaj tego fagasa, bo nie chce mi już nalewać.

Zamówiłam dla niej następny koniak. Przechylała się przez stół, przyglądając mi się. Pewnie zresztą i tak nie widziała mojej twarzy.

– Ta przekłeta buda bardzo się zmieniła – powiedziała. – Aż trudno uwierzyć, że przez całą młodość nadstawiałam tu dupy.

Nie rozumiałam. Dopiero od niej dowiedziałam się o tym, co ukrywało całe miasto: mieszkałam w dawnym burdelu. Tej wiosny, w ciągu dziesięciu tygodni „Królowa Serc” przeobraziła się w „Le Grand Richelieu”. Odnowiono fasadę, dobudowano ścianki, a także dwa nowoczesne skrzydła, powiększono park, urządzono korty tenisowe, basen, a wszystko pokryto białą farbą, różowym asfaltem i szkłem z Saint-Gobain. Bar, w którym wysłuchiwałam Michou, stanowił część sali recepcyjnej, tę, gdzie stały kanapy. Mój pokój był zgodnie z opowieścią Michou bombonierką Esteli lub jaskinią zła Salome.

A więc mogłabym tak szukać, przez całe samotne popołudnia w pobliżu Korony Morza! „Królowa Serc” była tu, przed sosnowym lasem, który rósł

nad oceanem, tuż przy wyjściu z Saint-Julien. I w przeciwieństwie do tej ostatecznej postaci, wyobrażenie o jej wspaniałości w miarę opowieści kolejnych pensjonariuszek coraz bardziej się rozwiewało. Jakże daleko było do kryształowych żyrandoli i luster, do pięknych sukien, szampana i fortepianu Belindy! I daleko do gościnnego dla notariusza i aptekarza domu, do win musujących i zdezelowanego pianina Zozo! Przypalając papierosa od poprzedniego Michou mówiła:

– To była najnędniejsza speluna, jaką kiedykolwiek widziałam, i poza paroma rybakami, których nie odrażały brudy, przekłeta buda dla żołądca. Chlało się tu najtańsze czerwone wino, a słuchało starego, skrzeczącego gramofonu, który czasem przez całą noc blokował się na *Chłopaki, hej, chłopaki, zabierzcie mnie do gwiazd... mamuśka... mamuśka... mamuśka...* Cholera, na starą można było wrzeszczeć i wrzeszczeć!

Znalazła mnie dzięki ogłoszeniu w gazecie. Mieszkała teraz w Saintes, przyjechała autobusem. Jeśli dobrze zrozumiałam, schronienia udzielili jej cyganie koczujący przy wysypisku, gdzie znajdowała zawsze coś do czytania. Bo chociaż na poły ślepa, lubiła czytać, zwłaszcza wydarzenia różne, nekrologi i czasami drobne ogłoszenia. Była pierwszą i zresztą jedyną, która odpowiedziała na kilka zdań, jakie Ewelina Andrei zamieściła w „Gazecie Południowo-Zachodniej” w lipcu.

Obiecałam zwrócić jej za autokar, kupić okulary i wynagrodzić za informację, która miała jej zdaniem bardzo mnie zainteresować.

Jednym haustem wypiła koniak. Dzielnie zniósłszy dreszcz, który wstrząsnął jej ciałem, opowiedziała mi przerażającą historię.

Nie zawsze wyglądałam tak jak osoba, która przed tobą siedzi. W tamtych czasach, może przed dwunastu laty, które dla mnie były jak dwanaście wieków, byłam rozkwitającym pączuszkciem, kurczątkiem, które właśnie opuściło skorupkę, a mówiąc inaczej – wiochę pod Saint-Flour, gdzie pasalam krowy, i zawinęło do Paryża tylko na moment – żeby przejrzeć na oczy i dać się nabrać specjaliście od opieki nad panienkami z dobrych domów na odwyrtkę.

A oczy miałam duże i tylko trochę ciemniejsze niż szarość mych dni. Ciało jędrne, dobrze zbudowane, włosy o, dotąd; rozjaśniałam je trzydziestoprocentową wodą utlenioną, a przy nich moja buzia przypominała rosyjską lalkę. W żartach opowiadałam, że wiem, jakie to wichury obaliły moją przyszłą matkę, i że wiele wspólnego miał z tym pewien książę przybyły ze stepów. To dlatego zwali mnie Ninoczka.

Pewnej nocy byłam więc z koleżankami w zadymionej przez naszych żołdaków sali, a wszystkie miałyśmy na sobie bawełniane koszule i pończochy z podwiązkami ze sznurka, i dla szybkości gołe tyłki, a do tego gęby, co mogłyby uradować grabarzy. No więc zabieram na górę błękitny otok, z którym byłam już ze dwadzieścia razy, odkąd pracuję w tej budzie, kaprała nazwiskiem Kowalski, pijanego jak Polak, którym zresztą jest.

Pomijam detale i to, że trzeba się namordować, żeby wciągnąć gościa po schodach. Krótko mówiąc, docieramy do pokoju, a facet nie chce mnie pod sobą ani na stojąco, ani w żadnej innej pozycji. Siedzi na brzegu łóżka pod lampą ozdobioną perełkami, które dzwonią, ledwie drgnąć, i jęczy, i jęczy, zapatrzony w dal, a wszystko bez jednego słowa. Więc pochylam się nad nim, żeby zająć się jego ptakiem, ale nie daje mi nawet go uwolnić. Nie chce. Wszystko, czego chce za swoje pieniądze, to wypluć całą tę boleść, siąkając nosem jak chory pies.

Nie martwię się, że mam chwilę wytchnienia, siadłam za nim i wyciągnęłam lakier do paznokci, żeby zamalować oczko w białej pończosze, i powiedziałam:

– No, psiaczku, gnębi nas wielki, wielki smutek? Opowiedz swojej myszce, to przynosi ulgę.

A on wtedy zaczyna jeszcze głośniej jęczeć i szlochając wyrzuca z siebie:

– Jestem kupą gówna, jestem kupą gówna!... Nigdy nikomu nie opowiadałem o tej straszliwej sprawie, ale już dłużej nie mogę! Nie mogę!

A ponieważ potem znowu zamknął gębę i wysłuchiwanie jego zwierzeń, kiedy sam zechce mówić, mogło potrwać długo, zachęcam, zajmując się pończochą:

– Słucham cię, misiaczku.

Wtedy ociera twarz palcami i mówi, dławiąc szloch:

– To było w zeszłym roku, w regionie Arles, na święto 14 lipca... Żołnierz z naszej kompanii poderwał na balu taką ślicznotkę... Córkę mera miasteczka, w którym kwaterowaliśmy...

Miała osiemnaście lat, a na imię było jej Paulina – mówił Kowalski. – Była świeża jak wiosenny poranek.

On, wielki dzieciak o czarnych oczach, miał na imię Krzysztof, ale czasem wołaliśmy na niego Marsylczyk, bo był z Marsylii, albo Bajarz, bo chętnie słuchaliśmy, jak opowiadał filmy, które widział. Zresztą, jestem tego pewien, zmyślał i takie, które wcale nie istniały, zwłaszcza historyjki

o zaginionych dzieciach, ojcach, którzy odeszli, a zawsze ze szczegółami, jakie widuje się w kinie. Słuchaliśmy i czuliśmy się coraz bardziej jak w labiryncie, i trzeba było piekielnie uważać, żeby się nie pogubić, ale on nie gubił się nigdy.

To było w słoneczny dzień – ciągnął Kowalski – i do dziś widzę ich oboje, jak biegną przez winnicę, gdzie wpadłem najeść się winogron i zdrzemnąć. Oboje byli z gołymi głowami, a ona trzymała w ręku koronkowy czepek i biegli śmiejąc się głośno, radośnie, zatrzymując się raz po raz i migdaląc, coraz dalej od balujących ludzi.

Szybko domyśliłem się, że prowadzi go na fermę, gdzie mieszka. Cała rodzina była na zabawie. Mimo woli ruszyłem za nimi.

Psiakość, nie mam do siebie o to żalu – mówił Kowalski. – Wypiliśmy już sporo wina, z nieba lał się żar, a ja tak niewiele miałem z życia! Ot, czasem dziewczynę dla każdego, kurwę taką jak ty!

– Oj, przepraszam cię – szepnął do Michou, która bynajmniej nie zamierzała się obrażać – ale musisz mnie zrozumieć, musisz zrozumieć.

Na fermie weszli najpierw do dużej izby, ale tylko po dobrą butelczynę, i zaraz wyszli. Potem poszli do stodoły.

Odczekałem chwilę, wśliznąłem się za nimi, bezszelestnie wdrapałem się po drewnianej drabinie, bo słyszałem, że są na górze, na słomie, a stanowczo zbyt zajęci, żeby zauważyć moją obecność. Ukryłem się. Wstrzymałem dech. Zobaczyłem ich.

Byli nadzy jak pierwsze dzieci Boga. Całowali się i tulili, a Paulina odpowiadała na pieszczoty jego rąk takim cichym, cichutkim jękiem. Pierwszy raz kochała się z mężczyzną, i zdusiła krzyk, gdy w nią wszedł, ale potem było jej dobrze i coraz głośniej wyrażała swe szczęście, coraz śmielej, aż w końcu krzyknęła raz jeszcze, teraz już z rozkoszy.

A potem śmiali się i żartowali, Krzysztof popijał wino z butelki i całowali się w najlepsze, i znów kochali. A ja nie śmiałem odejść, bałem się, że mnie przyłapią, i patrzyłem na nich przez łyż, bo byli tacy piękni, tak piękni, że ich widok przyprawiał mnie aż o ból.

Nie wiem, jak długo tam siedziałem – ciągnął Kowalski ocierając łyż. – Może jeszcze godzinę, może dwie. Pijany winem i rozkoszą, Krzysztof usnął. Panna muskała jego ucho i szyję słomką i potrząsała nim łagodnie, ale to nie pomagało, odwracał się tylko, zatopiony w głębokim, ciężkim śnie. Włożyła więc wieśniaczą koszulę i podeszła do okna, przez które wciąga się siano, przeciągnęła się, a powiew wiatru doniósł do jej uszu dźwięki zabawy.

I wtedy się to stało, to szaleństwo, ta potworna zbrodnia, której wspomnienie mrozi mi krew w żyłach...

– Rzuciłeś się na nią i zgwałciłeś! – krzyknęła wzburzona Michou.

– Ależ skąd! – uniósł się Kowalski. – Poczekaj, aż opowiem, co było dalej.

...Nagle odwróciłem się. Klęczałem za snopkami słomy i patrzyłem przez dziurę wielkości dłoni. Ktoś wspinał się po drabinie, skradał tak cicho jak wcześniej ja. W półmroku ujrzałem groźną postać, wielkie, brutalne cielsko, buciory, które kopały nasze tyłki, buciory naszego dowódcy, wachmistrza Malignaud. Rzut oka starczył mu, by zorientować się, co zaszło pomiędzy dziewczyną a żołnierzem. Był wściekły, już kiedy się do niej zbliżał. Przeszedł o dwa metry ode mnie, nie zauważając, ale wydaje mi się, że wtedy nawet nie oddychałem.

Ledwie spojrział na mego śpiącego kolegę. Patrzył tylko na Pauline. Głuchym, kipiącym gniewem, złamanym przez cierpienie głosem powiedział:

– Paulino! Dlaczego mi to zrobiłaś?... Dlaczego?... Po tym, co ci wyznałem wczoraj wieczorem?!

I jednocześnie chwycił dziewczynę za nadgarstki, potrząsnął nią, sprawił jej ból, bo to silny chłop, ale ona rozgniewała się i patrząc mu prosto w twarz, odpowiadała tym samym tonem, tak samo krzyczała szeptem, jakby bali się obudzić Krzysztofa:

– No nie, zostaw mnie, stary durniu!... Kocham go!... Wolno mi!...

I uwolniwszy się, waliła piąstkami w tors sierżanta!

– Co ci wolno? – rzucił krzywiąc się w okropnym grymasie. – Łajdaczyć się?... Myślałem, że nie jesteś taka jak inne! Że nie jesteś jak wszystkie!... A ty jesteś taka sama!... Szmata!

Wtedy właśnie ją uderzył tymi wielkimi łapami. Z całych sił, zupełnie jakby oszalał.

Żeby mu uciec, biedaczka cofała się i zasłaniała rękami. Zataczała się, zalana krwią. A potem bez jednego krzyku runęła przez okno. Usłyszałem głuchy odgłos, ten straszliwszy od wszystkiego odgłos ciała uderzającego o ziemię.

Oblał mnie zimny pot. Drżałem.

Skamieniały Malignaud spojrział w dół. Opanował się w jednej chwili i słychać było tylko jego świszczący oddech. Popatrzył w dół, popatrzył na swe zbrukane krwią dłonie, popatrzył na upojonego winem i miłością Krzysztofa, który spokojnie spał w słomie, i bezszelestnie poszedł w stronę drabiny. Uciekł.

A ja siedziałem skulony w kryjówce, drżąc po tym, co zobaczyłem, i nie mogłem zebrać myśli. Odczekałem chwilę, aż odejdzie z fermy, i tak żeby nikt nie widział mnie wychodzącego, również uciekłem, nawet się nie odwracając, nie mając odwagi spojrzeć na leżące na podwórzu ciało biedaczki.

Oto co opowiedział mi ten sukinsyn Polak – mówiła Michou – a ja dawno już przestałam zajmować się oczkiem w bawełnianej pończosze.

A kiedy skończył mówić i siedział tak na skraju łóżka w brudnym szaroniebieskim mundurze, zalewając się łzami, dałam mu kuksańca w plecy i ponagliłam:

– No, do cholery! Co było potem? Wykrztusisz to z siebie, niedojdo?!

– A co miało być? – powiedział, ocierając policzki. – Wachmistrz Malignaud zatrzymał tego żołnierza, żeby postawić go przed sądem wojskowym, a teraz ten biedak siedzi w cytadeli, tu na wprost, i będzie tam gnił do końca życia! A kiedy Malignaud dostał awans i został przeniesiony do Saint-Julien, mnie zrobili kapralem i przyszedłem tu razem z nim...

Ponieważ zaczął znowu jęczeć, zaciskając usta jak świeżo wyłowiona ostryga skorupę, zeskoczyłam na równe nogi z łoża rozpusty, rąbnęłam go tym razem z przodu, prosto w czerwoną gębę, i wrzasnęłam:

– Niemożliwe! Nie pisnąłeś ani słowa?!

– A co miałem powiedzieć? – mruknął. – Bałem się. Zawsze się bałem. Na samą myśl, że pewnego dnia Malignaud mógłby się dowiedzieć, że tam byłem, robi mi się niedobrze!

Jęczał i stękał, że aż nie miałam sumienia na niego krzyżeć – w końcu nikt nie jest winien, że się boi. Jeszcze teraz słyszę, jak szepcze, lejąc ślōzy:

– A zresztą, komu by uwierzyli – podoficerowi czy mnie?

W ten sposób dowiedziałam się w hotelu „Le Grand Richelieu”, z ust dawnej pensjonariuszki „Królowej Serc”, gdy siedziałyśmy w kłębach dymu z papierosów, które dla niej kupiłam, a które odpalała jeden od drugiego, prawdy o dramacie, jaki rozegrał się przed trzynastu laty.

Zamilkła. Ja z wrażenia nie mogłam wykrztusić słowa. Przez długą chwilę siedziałyśmy w milczeniu. W tym zakątku opustoszałego baru, do którego przez zaciągnięte story docierały tylko marne smużki światła, wpaływałyśmy się bezwiednie w posplatane kręgi na dzielącym nas stoliku –

ślady po opróżnionych przez Michou kieliszkach. Potem nas obie przebiegł dreszcz, a ja zapytałam z niedowierzaniem:

– Ale pani? Czy pani też nic nie powiedziała?

Obojętnie wzruszając kościstymi ramionami odpowiedziała:

– A komu by uwierzyli?... Kurwie?

– Ale przecież młody chłopak został niewinnie skazany! I to na dożywocie!

Usta jej drżały, do oczu napłynęły łzy. Szepnęła smutnym, bolesnym głosem:

– Wiem o tym... Dlatego uważam się za łajdaczkę, dlatego stałam się tym, co tu dziś widzisz!

Pełnym odrazy ruchem ręki zmiotła ze stolika kieliszek i pełną niedopałków popielniczkę.

Zaraz po wsadzeniu jej do autobusu do Saintes, gdy już przyrzekła mi – słowo kobiety – że stawi się w sądzie, by złożyć zeznania, zadzwoniłam do sędziego Pommery.

Przyjął mnie już po zmierzchu.

Najpierw zamarł w fotelu jak rażony piorunem. Potem stopniowo dochodził do siebie, jego oczy traciły ów martwy wyraz i napełniały się sceptycyzmem.

– Generał Malignaud! – wykrzyknął. – Więc zatraciła pani resztę zdrowego rozsądku? Ile pani dała tej pijaczce za opowiadanie podobnych bredni?

– Istnieje bardzo prosta metoda weryfikacji jej słów! Bez względu na to, kim jest teraz Kowalski, można go odszukać! Proszę go wezwać!

– Zrobię, co do mnie należy! – zareplikował sędzia, uderzając dłonią w akta. – Nie do pani należy wydawanie mi poleceń!

Zaraz pożałował, że się uniósł. Sięgnął po strzelbę, przy której czyszczeniu go zastałam, wstał i umieścił ją na zaczepach w ścianie. Rzucając do szuflady ścierkę, której używał, powiedział tytułem przeprosin, a może dygresji:

– Zostałem zaproszony na polowanie w Sologne, w przyszłym tygodniu. To pani rodzinne strony, prawda?

– Spędziłam tam dzieciństwo.

– Zapewne będę miał przyjemność spotkać się z pani ojcem. Moi gospodarze utrzymują z nim bliskie kontakty. Nazywają się Delteil de Beauchamp.

– Ojciec nie poluje. A Delteilowie to plutokraci.

Uśmiechnął się na mój zjadliwy ton.

– Proszę już iść, moje dziecko – powiedział. – W końcu wyprowadzi mnie pani z równowagi.

Odprowadził mnie do drzwi pokoju i, jak przy pierwszym spotkaniu, pogładził po policzku.

– Miłość musi być uparta – odezwał się. – Jutro zadzwonię do Ministerstwa Wojny. Jeżeli tylko pani świadek jest wśród żywych, przysięgli wysłuchają go.

Nie mogłam przesłać Krzysztofowi informacji, która nie dotarłaby równocześnie do uszu samego Malignauda. Musiałam czekać do najbliższego wtorku, by powiedzieć mu o nieprawdopodobnym wyznaniu Michou.

Gdy minęło zdenerwowanie, wściekłość i nadzieja, której uległ w pierwszej chwili, on też okazał sceptycyzm, ale zupełnie innego rodzaju:

– Nawet jeśli ten żołnierz żyje, jest już martwy. I doskonale o tym wie. Nie powie ani słowa.

Siedząc na łóżku \ brodą wspartą na rękach, zamyślił się na chwilę.

– Kowalski... Kowalski... Nie mogę skojarzyć twarzy z nazwiskiem. Ale to prawda, że mówili do mnie czasami Marsylczyk. I to, że Paulina wzięła wino z szafy, zanim poprowadziła mnie do stodoły. Musiałem być nieźle wstawiony, skoro nie zauważyłem, że ktoś nas śledzi.

– Faktycznie, byłeś załany.

– Nie wtedy. To ta butelka mnie załatwiła.

– Przed sądem wojskowym zeznałeś, że nie spałeś od trzydziestu sześciu godzin, że zabawa zaczęła się w przeddzień.

– Kiedy zobaczę tego Kowalskiego na własne oczy, powiem ci, czy mogło być, jak on mówi. Dotąd nie wyobrażałem sobie, żeby Malignaud, jakkolwiek Niegodziwiec, mógł zalecać się do Pauliny, a zaraz potem mordować ją w napadzie zazdrości. Michou bajdurzy. Albo Kowalski, jeśli taki istnieje.

– A jeżeli mówią prawdę?

– Nigdy się tego nie dowiemy. Nie powtórzą tego po raz drugi.

Wystarczająco dobrze i długo znałam Krzysztofa. Kiedy mało mówił, szybko myślał. Potem rozmówca zostawał za nim w tyle i nie śmiał już nawet pytać. W każdym razie, wydymał policzki, a wtedy należało zmienić temat.

Kowalski istniał. Odnalazł się. Był dróżnikiem na północy, między Pont-de-la-Deûle a Dorignies. W 1940 stracił nogę, podczas ataku czołgowego Guderiana. Wiem, że to potworne, ale właśnie ta noga utracona w

obronie ojczyzny przez szarego kaprała z pochodzenia Polaka wydała mi się tym, co wyniesie go w oczach przysięgłych ponad wszystkie ordery generała, który bardzo późno stanął w szeregach gaullistów, i nie myliłam się.

Niestety, nędzną norę koronnego świadka odnaleziono dopiero w przeddzień procesu. Nim go przewieziono, rozprawa zaczęła się. Po raz pierwszy miałam usłyszeć jego zeznania na sali sądowej.

Saint-Julien miało swój pałac sprawiedliwości, ale zeszłoroczne walki nie oszczędziły go. Był zdewastowany, porzucony na pastwę wichrów i różnego rodzaju włóczęgów, którzy zamienili go w wychodek.

Sąd obradował więc w sali lekcyjnej szkoły gminnej. Owa szkoła, tyle że o siedem lat postarzała, wymazana paroma nowymi bazgrołami na murach, była dawnym internatem Karoliny. Zsunięto ławki i stoliki, ustawiono podium dla świadków – na tym koniec.

Na ławie sędziowskiej zasiadł przewodniczący składowi Pommery i asesorzy. Oskarżyciele, w połowie wojskowi, zajęli miejsca pod oknami. Ja samotnie usiadłam w pierwszym rzędzie po drugiej stronie. Za mną, pomiędzy dwoma strażnikami, siedział Krzysztof.

Ława przysięgłych znajdowała się w głębi klasy. Siedmiu przysięgłych – siedem kobiet. A ja zdołałam już w pierwszej chwili, gdy przedstawiono mi je w dawnej kuchni, zwrócić je przeciw nam.

– Czy to możliwe – zapytałam nierozważnie sędziego – żeby w skład ławy przysięgłych wchodziły wyłącznie kobiety?

– Droga pani mecenas, choć od 1903 roku ten półwysep pozostaje pod zarządem wojskowych, wciąż stanowi część Republiki, a jeśli się nie mylę, prawo Republiki przewiduje w tym zakresie losowanie. Przypominam pani, że zarówno pani, jak oskarżycielowi, przysługuje prawo wyłączenia przysięgłych, którzy pani nie odpowiadają; bez uzasadnienia.

Przysięgłymi zastępczymi były również kobiety, co dowodzi, jak wielka jest czasami ironia losu, nie pozostało mi więc nic innego, jak tylko wycofać się i zaaprobować skład ławy. Ale to już nie pomogło. Reprezentantki społeczności półwyspu patrzyły na mnie wilkiem przez dwa dni rozprawy. Panował piekielny upał. Kobiety wachlowały się pod ławkami brzegami spódnic, ale ponieważ robiły to najczęściej, gdy ja zabierałam głos, nie wydało mi się, aby ich głównym celem było ochłodzenie się.

Zadbałam, by Krzysztof był stosownie ubrany. Wystąpił w garniturze z granatowej alpaki, błękitnej koszuli i krawacie barwy pośredniej między tamtymi dwiema. Starannie uczesany, po jak najlepszym wykorzystaniu

słońca podczas codziennego godzinnego spaceru, był bardzo pociągający. Może za bardzo. Paniom przysięgłym mylił się uwodziciel ze stręczycielem. A poza tym, czyż nie było czymś niestosownym tak bardzo dbać o wygląd ciała, które wkrótce mogło rozstać się z głową? Kobiety nie były w stanie znieść jego widoku.

Samo odczytanie aktu oskarżenia zajęło całe godziny. Kiedy podniosłam rękę po raz pierwszy – nie pamiętam już, czy szło o gwałt, porwanie czy sutenerstwo – jeden z moich przeciwników pozwolił sobie na głośną uwagę:

– Obrona powinna była lepiej się zabezpieczyć!

Rozległ się tak gromki śmiech, że usiadłam na miejsce.

Przez cały czas spoczywało na mnie baczne spojrzenie czarnych oczu generała Malignaud, który siedział właściwie na wprost mnie, jako doradca oskarżycieli wojskowych. Był w letnim mundurze, bez odznaczeń. Od tego mężczyzny o surowych rysach twarzy i spleśzczonym nosie boksera biła brutalna siła, nieco tylko złagodzona siwizną włosów, przyznając jednak, że już od pierwszej chwili, gdy go ujrzałam, z trudem przyszłoby mi uwierzyć, że ten człowiek jest zabójcą młodej Pauliny. Nie mógł w to uwierzyć również Krzysztof.

Tak czy inaczej ani razu nie zabrał głosu. Nawet kiedy posuwałam się do osobistego wywoływania go, co automatycznie powodowało protesty jego przyjaciół i wzywanie mnie przez sędziego do większej powściągliwości, on siedział z kamienną twarzą. Przyglądał mi się czarnymi oczyma, to wszystko. Ani na moment nie spuścił wzroku.

Po cóż jednak poświęcać tu tyle uwagi procesowi? Byłam żałosna.

W pierwszym dniu robiłam wszystko na odwrót, a nazajutrz było jeszcze gorzej. Wpadłam w słowo przysięgłym, którzy prosili o wyjaśnienia. Podałam w wątpliwość obiektywizm sądu. Śmiałam się jak opętana z argumentów, których nie potrafiłam odeprzeć. Nie przestawałam powoływać się na zeznania, z którymi moi adwersarze nie zostali zapoznani, aż doprowadziłam do rozpaczyny sędziego Pommery, przychylnie skądinąd do mnie nastawionego. On przecież jako pierwszy uznał, że nie mogą zostać uwzględnione.

W rzeczywistości myślałam tylko o tym, by znokautować oskarżenie jednym ciosem, wzywając na podest służący za ławę świadków Michou i Kowalskiego. Nie czułam już ran, które mi zadawano, nie przejmowałam się faktem, że sam Krzysztof dawno już zrezygnował, skupiając całą uwagę na muchach, paznokciach i kolorze majtek pań przysięgłych, które wachlowały się spódnicami siedząc w pierwszym rzędzie. Kiedy na niego

spoglądałam, uśmiechał się ciepło i zamykał oczy, jakby chciał dodać mi otuchy: „Nie przejmuj się, mówiłem ci że to będzie farsa”.

Przyjechała Michou. Najwyraźniej znalazła lepsze zastosowanie dla pieniędzy, które jej dałam, żeby ubrała się po ludzku – na dwadzieścia kroków cuchnęła alkoholem i wysypiskiem śmieci. Powiedziała dokładnie:

– Byłam pijana, kiedy widziałam się z adwokatką. Nagadałam bzdur. Nic już nie pamiętam.

Następnie pojawił się Kowalski. Jego drewniana noga zrobiła duże wrażenie. Był potężnym rudzielcem w prążkowanym odświętnym garniturze, z beretem w jednej, a wezwaniem do sądu w drugiej ręce. Patetycznie zasalutował generałowi. Był przerażony.

Krzysztof oparł rękę na moim ramieniu i szepnął:

– Załatwione. Zwieję.

Salutując Kowalski upuścił wezwanie. Pochylając się przewrócił barierkę przed podestem dla świadków. Kiedy chciał ją podnieść, sam upadł. Nim się pozbierał, popłakał się jak dziecko. Powiedział dokładnie tak:

– Musicie mnie państwo zrozumieć, musicie zrozumieć. Byłem schlany jak świnia, kiedy poszedłem z tą dziewczyną. Plotłem, co ślina język przyniosła. Nic z tego nie pamiętam.

Zbliżało się południe drugiego dnia rozprawy. Przez otwartą bramę szkoły, jak za czasów Karoliny, cisnął się tłum mieszkańców, z których każdy miał nadzieję dojrzeć, co dzieje się wewnątrz. Przez okna dobiegały dźwięki akordeonu. Dzieci krzyczały. Sprzedawano frytki i lody.

Wygłosiłam ognistą mowę.

Krzysztof został po raz drugi skazany na śmierć.

Dyskusja trwała dziesięć minut. Kierowany poczuciem przyzwoitości albo sadyzmem, Pommery trzymał przysięgłe w zamkniętym pokoju na pierwszym piętrze przez bitą godzinę. Nikt nie opowiadał się za moim klientem.

Gdy ogłoszono wyrok, zalałam się łzami. Krzysztof pochylił się nade mną, pocałował moje włosy i szepnął:

– Kocham cię. Byłaś nadzwyczajna. Mam na ciebie piekielną ochotę, kiedy widzę cię w tej sukience.

Mówił o todze adwokackiej.

Nazajutrz, udając się do jego celi, by dostarczyć mu papiery do podpisu, wrzuciłam ją do teczki i przebrałam się na miejscu. Krzysztof pocieszał mnie, pieścił, wreszcie wziął mnie, nie zdejmując ze mnie togi.

Podpisał oczywiście wszystko, co mu podsunęłam, ale wyłącznie po to, by sprawić mi przyjemność. Drwił sobie z apelacji, z odwołania do sądu kasacyjnego, a tym bardziej z prawa łaski. Powiedział:

– Już w tamtych czasach Kowalski był głupi, nie zdołałby czegoś takiego wymyślić, a w dodatku tak mocno uwierzyć w swoje zmyślenia, żeby po latach rozpaczać z ich powodu. Jestem przekonany, że dwanaście lat temu powiedział Michou prawdę. Oboje zostali zastraszeni.

Potem, kiedy zastanawialiśmy się nad tym, co robić, odezwał się:

– Ty, ptaszyno, nie masz już nic do roboty. Jeśli zechcesz, możesz tylko załatwić z Pommerym, żeby przeniesiono mnie do dawnej celi, piętro wyżej, tam gdzie spędziłem sześć lat życia.

– Dlaczego?

– Powiedz mu, że chciałbym przez te ostatnie dni przed śmiercią wspominać młodość. Jestem bardzo sentymentalny.

Kiedy Pięknolicy, jak zwykle nie pukając, otworzył drzwi, trwaliśmy wciąż w uścisku. Ze smutkiem schowałam czarną togę do teczki i ubrałam się w obecności tej kreatury. Nie obchodziło mnie, że widzi mnie nagą. Muszę zresztą zaznaczyć, że skrępowany odwrócił oczy, jakby drgnęła w nim jakaś litościwa nuta.

Na progu zeszywniałymi wargami pocałowałam Krzysztofa po raz ostatni, jeszcze nie wiedząc, że nigdy już go nie ujrzę.

Zacumowałam wynajętą w porcie Saint-Julien motorówkę, wskoczyłam do samochodu i wyruszyłam do Rochefort spotkać się z sędzią.

Nie zastałam go. Izabela, jego sekretarka, powiedziała mi, że wstał bardzo wcześnie i wyjechał na polowanie w Sologne. Robiła, co mogła, żeby skontaktować się z nim telefonicznie. Przy okazji uświadomiłam sobie, że muszę mieć nie po kolei w głowie, żeby brać ją za kochankę sędziego. Była po prostu jego córką, nazywała się Izabela Pommery, miała dziewiętnaście lat i studiowała prawo, ale oblała tyle egzaminów, że w końcu zrezygnowała.

Nie wiedziała, co zrobić albo powiedzieć, żeby okazać mi swą sympatię. Poinformowałam ją, że mój nieszczęsny klient pragnie powrócić do dawnej celi. Odprowadziła mnie do samochodu, obiecując złapać ojca przed wieczorem. Potem szła obok mnie bez słowa, pochylając czoło jak dziecko, które bardzo intensywnie nad czymś rozmyśla. Długie, jasne włosy okalały zaróżowione policzki. Była wysoka, nawet w płaskich sandałach o kilka centymetrów wyższa ode mnie.

Kiedy usiadłam za kierownicą, przypatrywała mi się słodkimi, błękitnymi oczyma. Uniosłam się, żeby pocałować ją w policzek. Nachyliła się,

przysunęła twarz do okna i uciekła.

Wróciłam do „Le Grand Richelieu”. W recepcji czekał na mnie list od generała Malignaud. Zabójca Pauliny w wojskowym żargonie przypominał mi, że pozwolenie na odwiedziny wygasa po zakończeniu rozprawy. Co za tym idzie, moje podróże do cytadeli byłyby bezcelowe.

Ten cios mnie dobił. Wyobrażałam sobie, że Krzysztof jest ostatecznie zgubiony. Uświadomiłam sobie, że do tej pory to on trzymał mnie przy życiu. Zadzwoiłam do generała. Nie chciał ze mną rozmawiać. Zesłam do baru. Nie chciało mi się pić. Szłam po plaży. Obiecałam sobie, że jeśli mój kochanek będzie musiał umrzeć, utopię się.

A oto dowód, że wówczas nie płatałam jeszcze lat, dni i nocy: w gazecie, którą przeglądałam w hotelu, nie wiedząc, co ze sobą zrobić, pisano o tylko jednej katastrofie lotniczej, jaka zdarzyła się poprzedniego dnia na linii Kopenhaga-Paryż. Dwudziestu jeden zabitych. Tymczasem w tym dniu doszło do następnego wypadku. Samolot z Paryża do Londynu roztrzaskał się przy starcie. Tym razem zginęło dwadzieścia osób. Działo się to 3 i 4 września. Łatwo sprawdzić.

Wzięłam środek nasenny. Zapadłam w twarde, pusty sen. Był biały dzień, kiedy otworzyłam oczy. Czułam się lepiej, na pewno dość dobrze, żeby się bić. Znowu zadzwoiłam do Niegodziwca, ale kazał powiedzieć, że go nie ma. Wiedziałam, że mieszka w dużej willi po drugiej stronie półwyspu. Postanowiłam tam jechać.

Siedziałam w wannie, kiedy zadzwoił telefon. Byłam przekonana, że to generał. Usłyszałam głos Izabeli Pommery. Próbowwała dodzwonić się do mnie w nocy, ale nie odbierałam.

Jej głos przepełniony był tak wielkim smutkiem, że z łatwością odga-
dłam, co ma mi do powiedzenia:

– Ojciec nie chce.

– Rozmawiała pani z nim?

– Ponad dwadzieścia minut. Nie chce. Generał i tak już uskarżał się na pobłażliwość, z jaką ojciec panią traktuje. Ojciec uważa, że wchodzenie w kompetencje generała w cytadeli byłoby przesadą. Poza tym nie widzi istotnego powodu, by przenieść więźnia do innej celi.

– Kiedy wraca?

Wahała się długo. Słyszałam w słuchawce jej oddech. Potem powiedzia-
ła:

– Nie zmieni zdania, ale mam to w nosie.

– Nie rozumiem...

– Rozkaz jest już podpisany.

– Jaki rozkaz?

Kolejna chwila wahania i:

– Boję się, że ktoś podsłuchuje.

I tak zresztą zrozumiałam. Ktoś może się dziwić, że nie powiedziałam ani słowa, jednego słowa, by powstrzymać dziewczynę w tym wieku od zdrady wobec własnego ojca. Wielu na pewno oburzy się, że mogłam bez drżenia zachęcać ją za pomocą środka, na który, co instynktownie przeczulałam, była najbardziej podatna. Jak ona wówczas, gwiżdżę na to. Krzysztof musiał wrócić do dawnej celi, żeby uciec. Pozostawałam głucha na całą resztę, a jeśli byłam bezduszna, to dlatego, że miłość to złodziej, przed niczym się nie zawaha.

Powiedziałam do Izabeli:

– Przyjdź. Czekam na ciebie.

W godzinę później zobaczyłam z balkonu, jak nadjeżdża czarnym przedwojennym ffordem, zapewne należącym do sędziego. Wysiadła. Miała na sobie beżową, rozszerzaną spódnicę i biały sweterek. Włosy uczesała jak dama. Zaprosiłam ją do pokoju.

W gruncie rzeczy nie wiedziała, jak się zachować. Stała przede mną ze spuszczonej oczyma, milcząca i z lekka pobladła. Nigdy jeszcze nie całowałam żadnej kobiety poza koleżanką z filozofii, dawno temu, przy okazji jednej z tych gier, w których trzeba wykupywać fanty. Całowałam Izabelę, a jej wargi były delikatne i drżące. Powiedziałam jej, że nigdy jeszcze nie całowałam kobiety poza tą koleżanką z filozofii i tak dalej. Jej buzia odzyskała normalną barwę.

– Usiądź. Poprawię włosy i pójdziemy na obiad.

Była zbyt naiwna, by ukryć rozczarowanie.

– Do hotelowej restauracji. Tu na dole.

Zbliżało się dopiero południe. Sala była pusta. Posadziłam Izabelę na wprost siebie, przy stoliku, gdzie zwykłam jadać. Rozmawiałyśmy nad wielkim półmiskiem owoców morza. Wypiła kieliszek sauvignon. Powiedziała, że wysłała przez gońca list do Malignauda i że nie po raz pierwszy podrabiała podpis ojca. Oczywiście przedtem za jego wiedzą, dla zyskania na czasie, a także dlatego, że bawiło go to. W torebce, którą zostawiła u mnie w pokoju, miała też pozwolenie na widzenie.

Mogłam się założyć, że Malignaud nie zadowolony się listem. Zadzwoni do sędziego.

– Trafi na mnie – odpowiedziała. – A wie, że jestem o wszystkim poinformowana. Proszę się nie martwić. Zresztą uważam za świństwo, by odmawiać skazańcowi czegoś, co tak mało kosztuje. Kiedy ojciec dowie się, że działałam za jego plecami, przyzna mi w końcu rację.

Prawdę mówiąc, tych słów najczęściej było mi słuchać. Zwróciłam więc rozmowę na inne tory – pytałam o studia, o matkę, która wyszła ponownie za mąż za malarza, o młodzieńcze sympatie Izabeli.

– Nie mam żadnych sympatii. To znaczy, nie miałam – poprawiła się.

Jak mogła, pomagała mi rozprawić się z krabem, smarowała mi bułkę masłem. Kiedy pierwsi letnicy wrócili z plaży, nie bałam się już tak bardzo ponownie znaleźć się w pokoju. Tak czy inaczej, Izabela nie wiedziała, czemu tak pilno było mi go opuścić. Myślała, że jestem głodna, to wszystko.

W sączącym się przez zamknięte okiennice świetle rozbierałam ją, rozplatałam jej włosy, pociągnęłam na łóżko. Dałam jej to, czego nie otrzymała nigdy od mężczyzny ani od kobiety. Pieściłam ją i całowałam, jak nauczył mnie Krzysztof. Chyba zapomniała, gdzie jest, kim jest, a ja nie będąc pod koniec najśmielszą z nas dwóch i nie najmniej spragnioną, zapamiętałam się jak ona.

Cóż...

Później, o wiele później, kiedy już doprowadziłyśmy nasz wygląd do porządku, ubrałyśmy się, uczesały i całowałyśmy się oparte o drzwi pokoju, kazałam jej obiecać, że nigdy już nie będzie próbowała się ze mną spotkać. W milczeniu kiwała głową, nie była w stanie pożegnać mnie z uśmiechem. Popatrzyła na mnie i szepnęła:

– Kocham cię.

Potem, by nie zalać się łzami, otworzyła drzwi i wybiegła.

Zamknęłam. Nie postąpiłam trzech kroków, gdy znowu zapukała do drzwi.

Otworzyłam.

Zadyszana podała mi list, o którym zapomniała:

– Zupełnie straciłam głowę!

I odeszła tak samo pospiesznie jak za pierwszym razem.

Kiedy zostałam sama, pomyślałam, że jest piękna, miła, urocza i że z całego serca życzę jej szczęścia. Jakże miałam się domyślić, że przez całe popołudnie trzymałam w ramionach uosobione przeznaczenie mego kochanka?

Zima mija. Tyle tych dni i nocy, gdy piszę przy czerwonym świetle...

A oto koniec.

Wszystko działo się jak we śnie. Rozwścieczony generał zadzwonił do sędziego. Izabela potwierdziła, że przed wyjazdem, pragnąc złagodzić

okrucieństwo kary, wyraził zgodę na przeniesienie skazańca do dawnej celi i że jeśli przeniesienie nie zostanie dokonane natychmiast, to sędzia wpadnie w gniew.

Malignaud był zmuszony usłuchać. Powiadomił mnie o tym, dorzucając, że na wszelki wypadek podwoi strażę.

Miałam wielką ochotę powiedzieć mu przez telefon wszystkie okropne rzeczy, jakie o nim myślałam, ale ograniczyłam się do zdawkowego podziękowania. Nie próbowałam nawet uzyskać zgody na widzenie z Krzysztofem. Mogłabym prosić...

W dwa dni potem, w niedzielę 8 września, około szóstej rano, syreny cytadeli obudziły wszystkich i wszystkie, którzy mieszkali w Saint-Julien, a nie byli głusi i jeszcze spali.

Przez resztę poranka popadałam na przemian we wszelkiego typu stany lęku i podniecenia. W południe dowiedziałam się w porcie od żołnierza, którego ludzie wzięli na spytki, że Krzysztof nie został pojmany. Kiedy zauważono jego zniknięcie, miał już zapewne parę godzin przewagi. Żołnierz nie miał pojęcia, jakim cudem więzień wydostał się z celi. Właśnie rozbierano ją doszczętnie, szukając wyjaśnienia. Wartownicy nie zauważyli w nocy nic szczególnego poza starą beczką, która musiała przyplłynąć z Hiszpanii albo Portugalii i kołysała się na falach.

Ponieważ do dziś nie odnaleziono tej beczki ani żadnego śladu pozwalającego zrozumieć, w jaki sposób Krzysztof ulotnił się z więzienia, mam w tej sprawie własną opinię. Pamiętam tę tajemniczą łódź, której makiety nie chciał zbudować, „bo nie miała w sobie nic z arcyzmu”, a pozwoliłaby odgadnąć, jak uciekł za pierwszym razem. Znając jego sposób myślenia jestem pewna, że nie był skłonny tak łatwo odmówić uroku starej, choćby najzwyczajszej beczce. Miałam czas to przemyśleć we własnym więzieniu. Albo nie mówił o beczce, albo to, że nie miała w sobie nic z arcyzmu, pozwoliło ją wykorzystać. Może w cytadeli były jakieś beczki, chociaż ich nie zauważyłam. Widziałam za to, podobnie jak wiele innych osób, wielkie metalowe pojemniki, które po zapełnieniu śmieciami żołnierze przewozili statkiem do Saint-Julien. Śmietniki...

Kiedy stąd wyjdę, jeżeli wyjdę, sprawdzę, gdzie w La Ratière przetrzymuje się pojemniki. Logicznie rzecz biorąc, powinno to być w pobliżu kuchni. Okna kuchenne wychodziły na ocean. Wrócę jeszcze raz tam, gdzie nie ma już ani więźniów, ani strażników, gdzie pozostała jednak może pochylnia, która ułatwiała załadunek pojemników na statek. To po tej pochylni zejdem, by wypełnić obietnicę, którą złożyłam sobie samej przed rokiem,

a może przed dwoma albo trzema laty, mniejsza z tym – że się utopię.

Sędzia został powiadomiony o ucieczce mniej więcej w tym czasie, kiedy byłam w porcie. Natychmiast domyślił się, kto podpisał rozkaz przeniesienia skazańca do dawnej celi. Oczywiście wziął to na siebie, żeby ochronić Izabelę.

Wracałam do hotelu przeświadczona, że Krzysztof znajdzie jakiś sposób, żeby się ze mną skontaktować. Ale spodziewałam się, że nieprędko to nastąpi, a z pewnością nie na półwyspie. Pakowałam bagaże. Moje rzeczy leżały rozrzucone na łóżku, gdy przyszli mnie aresztować.

Odprowadzono mnie na posterunek żandarmerii w Rochefort. Powiedziałam, nie mając powodu kłamać, że nie mam pojęcia, gdzie może ukrywać się Krzysztof. Dano mi do zjedzenia kanapkę. Czekałam w zamkniętym pokoiku. Po południu ponownie byłam przesłuchiwana. Udzieliłam identycznej odpowiedzi.

Dowiedziałam się, choć nie dotarło to do mnie, że nie mogą skontaktować się od południa z generałem Malignaud, udano się w końcu do jego willi na półwyspie. Znalaziono go w piwnicy, siedzącego na krześle ze związanymi rękami i nogami, zakneblowanego, na pół uduszonego.

Z tą chwilą opuściła mnie nadzieja. Wydawało mi się, że Krzysztof zmarnował bezcenne godziny, że został gdzieś na półwyspie, otoczony, że nie wydobędzie się z tej pułapki.

Dano mi lemoniadę.

Za oknami bez zasłonek zapadła noc.

Pamiętam, że przyniesiono mi lemoniadę.

A potem do pokoju, w którym piłam tę lemoniadę, wszedł sędzia Pomery. Był bardzo blady. Płakał. Towarzyszyło mu dwóch żandarmów.

Krzysztof zmusił generała do napisania listu, w którym ten przyznał się do winy, oczyszczając tym samym skazanego z ciężącego na nim zarzutu zabójstwa Pauliny. Dzwonił do sędziego, ale natrafił na Izabelę.

Resztę opowiedziała już Izabela.

Rozmawiała z Krzysztofem przez telefon, w biurze ojca. Wyznaczyła mu spotkanie o zachodzie słońca, na plaży przy Koronie Morza, by odebrać od niego wyznanie generała. Odłożyła słuchawkę i wzięła strzelbę ze stojaka. Załadowała dwa naboje.

Krzysztof czekał w umówionym miejscu. Siedział na wydmie, na skraju opustoszałej plaży. Nad horyzontem unosiła się ogromna, czerwona kula. Wziął pewnie z garderoby Malignauda, który był jego wzrostu, białe spodnie, białą polo i mokasyny.

Wysiadła z matforda ze strzelbą. Nie rozumiał, wyciągał do niej rękę z papierem, który był dla niego nadzieją na rozwikłanie całej sprawy, przekreślenie przeszłości.

Pewnie krzyknęła:

– Mam gdzieś pana papierki! Wie pan, co pan zrobił? Marie-Martine miesiące, a może i lata spędzi w więzieniu! Wkrótce i ja tam trafię! A sędzia zostanie odwołany, całe jego życie legnie w gruzach! A to mój ojciec! Słyszysz pan!? Mój ojciec!...

I strzeliła, a było to, jakby kulą przebiła me własne ciało, a potem strzeliła znowu, i było to, jakby mój umysł zamarł nagle, zachowując tylko wizję Krzysztofa opadającego bez końca na piach głową do tyłu, ze skrwa-wionym torsem, jakby bezsensowne słowa sędziego niczym topór wbijały się w me serce.

Umarłam w zeszłym roku, a może dawno temu, w pewien wrześniowy wieczór.

Serce zaczęło bić z przyzwyczajenia.

Rozum, jak mówią, postradałam.

Godzina dwudziesta pierwsza dziesięć

Bezkresna, wyludniona plaża jest teraz spokojna i pusta, jak daleko sięga ludzkie oko i ucho, a młodzieniec, który uważał się za chronionego przez szczęśliwą gwiazdę, nie żyje już prawie od godziny.

Leży na piasku, na plecach, a fale, które unoszą wszystko – czerwone słońca i szaleństwo ludzi żywych – są już tylko ziarnkiem wobec pochłaniającej go wieczności. Morze wraz z odpływem uniesie go, jak sobie wyobrażał, diabli wiedzą dokąd – gdzieś pomiędzy Europę a obie Ameryki, i nikt nigdy nie znajdzie jego szczątków, chyba że te cholerne ryby porzucą go, znęcone smaczniejszym kąskiem.

Trzyma jeszcze dłoń zaciśniętą na czerwonej plamie, która pojawiła się na białej koszulce polo. Ostatni obraz, jaki przesunął mu się przed oczyma – owe spódnice wlatujące na huśtawce – wywołał na jego twarzy coś, co można by nazwać uśmiechem, nawet jeśli cierpienie trochę go zniekształca.

Z blasku dnia pozostaje już tylko błąd, różowa poświata na granicy nieba i oceanu. Wszedł księżyc, mewy umilkły.

A potem, daleko za wydmami i sosnowym lasem, rozdzwonił się znowu dzwon, i od kilku minut dzwoni coraz bardziej niecierpliwie, a ów niespokojny młodzieniec oczywiście nie poruszył się... ale jednak otworzył oko.

Cholera, pomyślał sobie, uciszą wreszcie ten piekielny dzwon?

I wtedy podrywa się jednym susem, trochę zdrętwiały po długim leżeniu, otrzepuje piasek przylepiony do tego paskudztwa na koszuli, dzwon dzwoni nadal jak szalony, a on rusza biegiem.

Jak na młodzieńca, który nie spostrzegł, że się starzeje – bo w rzeczywistości zbliża się do czterdziestki – biegnie całkiem sprężystym, długim

krokiem. Kiedyś jako dzieciak, w jezuickiej szkole, wygrał szaleńczy wyścig „Puchar Tysiąca”, a ta nazwa już sama mówi, jak duża była konkurencja. Było to tuż po wyzwoleniu, a teraz mężczyzna dochodzi w bladej poświacie towarzyszącego mu księżycy do baraku, do którego chowane są co wieczór parasole i leżaki, do baraku z desek i bambusów, ale nawet na niego nie zerka, zaambarasowany wspomnieniami z dzieciństwa.

Biegąc okrąża wał z dużych, żółtych kamieni, a potem podąża brzegiem zatoki, rzucając tym razem okiem na biały jacht, który w niej kotwiczony, zbyt jednak daleko na oceanie, by mógł odczytać nazwę wymalowaną na burcie lub choćby dojrzeć barwy flagi.

Powyżej wydm, nieco zziębnięty, przystaje, żeby wysypać piach z mokasyń, i zaraz rusza ścieżką poprzez sośninę, na obrzeżach spłaszczoną przez zachodni wiatr, miejscami gęstą jak dżungla.

O tej godzinie biegnąca nad oceanem droga jest pusta. Ani śladu przyczep kempingowych, hałaśliwych handlarzy, jadących wachlarzem na rowerach grup kolonijnych, przerażonych matek i wyczyniających akrobacje smyków, którym pilno przebiec na drugą stronę drogi, by znaleźć się wśród przyjaznych woni hotelowego parku.

To „Grand Hôtel Riviera”, choć wznosi się nad Atlantykiem i bardziej przypomina zwykły motel, bo wokół budynku głównego – dużej białej willi z lat trzydziestych z dwoma betonowymi, powojennymi skrzydłami, stanęły bungalowy.

Główna alejka, wysadzana drzewami palmowymi, pnie się po stromym zboczu, ale mężczyzna zwalnia dopiero za fasadą i pustymi kortami tenisowymi. W końcu zatrzymuje się przed małym, okrągłym placikiem wysypanym żwirem, na który wychodzi się z hallu.

Tak jak się spodziewał, jego miłość o promiennych oczach i łabędziej szyi jest na swym wieczornym miejscu – siedzi na huśtawce ustawionej na skraju trawnika. Jest w podartych dżinsach, koszuli, w którą zmieściłyby się dwie takie jak ona, i jego swetrze zarzuconym na ramiona. Ma obcięte krótko jak u chłopaka, jasne włosy, siedemnaście lat, a na imię Joanna.

Mężczyzna wzdycha, ociężałym krokiem podchodzi do huśtawki.

Dziewczyna mówi spokojnie:

– Znowu natrą ci uszu, tato!

– Taak!...

Skinieniem brody wskazuje czerwoną plamę na piersi.

– Co to takiego?

A młodzieniec o niebezpiecznej wyobraźni tym razem mówi najzwyczajszą prawdę, dając wyraz odrazie, na jaką w tym jak i wielu innych przypadkach zasługuje prawda:

– Pomidor, na plaży. Nie zauważyłem paskudztwa i położyłem się na nim.

– No, no, ale był soczysty!

– Był po prostu zgniły!

Odkąd pamięta, pomidory budzą jego wstręt. Nie sposób tego wyjaśnić. Wciągając na poło sweter, który podała mu Joanna, mówi, że pech na coś się jednak przydał, bo może wpadł na pomysł filmu, którego scenariusz obiecał napisać, a jeszcze się do niego nie zabrał.

– Pysnie! – mówi Joanna. – No, chodź. Opowiesz mi o tym.

Obejmuje go w pasie i razem znikają w oświetlonym hallu. Ten złośliwy goryl, szef hotelu, wystrojony w czarny smoking siwy facet o spłaszczonym nosie boksera, zajęty jest rozmową z małżonką, do której nikt nigdy nie zwraca się inaczej niż „Madame”. Na widok spóźnialskich wykrzykuje z sardonicznym szacunkiem:

– Ależ proszę się nie spieszyć, panie Pisarzu! Jeżeli pan sobie życzy, ustalimy dla pana indywidualne pory posiłków!

– Bardzo mi przykro!

– Co wieczór jest panu przykro! – odpowiada podlec. – Kazałem uderzyć w dzwon przynajmniej dziesięć razy.

– Cóż, przejdźmy przez to z godnością! – szepce Joanna, która obejrzała wczoraj, siedząc przed telewizorem w saloniku, *Joannę d'Arc* z Ingrid Bergmann.

Nie zważając na Malignaudów wkracza do jadalni. Skoro weszło dziecko, wejdzie i ojciec, powiada sobie skręcając się z głodu młody człowiek, i rusza jej śladem.

Pod ogromnymi, podobnymi do kiści winogron żyrandolami, wśród szmeru głosów i brzęku nakryć, pięćdziesiątka osób jest już przy deserze. Za córką kieruje się do stolika, przy którym oczekują na niego. Przechodząc rozpoznaje twarze, uśmiechy, które jego niebezpieczna wyobraźnia przeniosła o czterdzieści lat w przeszłość i aż po granice Chin. A przecież większość z nich widywał tylko przy wieczornych posiłkach lub przelotnie na plaży, korcie czy wśród białych uliczek miasteczka. Niektóre z tych kobiet, które tak bardzo kochał, są tu od dwóch tygodni, inne od dwóch dni, są i takie, które nie mieszkają nawet w hotelu i zaglądają tu tylko czasami, gdy ich współtowarzysze, wyczerpawszy możliwości półwyspu, nie wiedzą, dokąd zabrać je na kolację.

Ale ich widok, tu, siedzących przy stolikach, bardziej realnych i bardziej wzruszających, niż mogłyby wydać się przed godziną, gdy śmiertelnie raniony w pierś pomidorem zaczynał opowieść o ich życiu, przynosi mu zadziwiająca ulgę.

Karolina śmieje się uprzejmie ze szwedzkich dowcipów swych jasnowłosych wakacyjnych przyjaciół. Siedzi u boku męża, ponoć wykładowcy francuskiego w Sztokholmie.

Emma bez reszty pochłonięta jest swym spiczastonosym specjalistą od reklamy, którego poślubiła przed niespełna tygodniem.

Nieopisana Joko jest pewnie nie bardziej Japonką niż Chilijką, ale ma piękną, nieco azjatycką buzię i przez całe dni przechadza się w koszulce Japan Air Lines i kostiumie kąpielowym. Je kolację w towarzystwie wuja, doktora Lauzey, ciotki Pleciugi i kuzynki Pauliny.

Przy największym i najhałaśliwszym stoliku Fru-Fru, Esmeralda i Orzeł-czy-Reszka siedzą wystrojone jak w najpiękniejsze wieczory, a ich towarzyszami z „Pandory” są przemysłowcy z sektora rolno-spożywczego.

Toledo jest naprawdę Amerykanką i należy do trójki studentek, wśród których jest również jasnowłosa, wysoka Belinda i Czeri-Czen, brunetka w europejskim typie, „robiąca się” na Adjani. Tego wieczoru zostały zaproszone przez wąsatego samotnika, który ubrał się w bardzo szykowny granatowy blezer, nie mógł jednak pozbyć się psującego efekt kołnierza ortopedycznego.

Marie-Martine je z Pommerym i jego córką Izabelą. Ona jest attache prasowym, on dyrektorem banku, a mała ma duże, niebieskie oczy.

Obfita w kształtach Zozo, opalona niczym Mulatka, i Chińczyk-Który-Nas-Okrada tworzą rzucającą się w oczy parę zakochanych. Podobno on jest z Tuluzy, a posiada kilka restauracji w Paryżu.

Liza – Salome odnalazła swego męża kowala, a w rzeczywistości notariusza, jakich widuje się wielu. Tyle że ona już go nie widzi, może dlatego, że nigdy się do niej nie odzywa. Więc Liza rozgląda się po sali, ludziach, po otaczającym ją świecie ponurym, dumnym spojrzeniem Cyganki.

Vanessa i Savenna, dwie bliźniaczki, siedzą ze swymi szacownymi małżonkami. Aby uniknąć małżeńskich pomyłek, nie cheszą się nigdy ani nie ubierają jednakowo, ale tylko oni wiedzą – jeśli wiedzą – która ma na sobie tego wieczoru spodnie, a która jest w mini od Paco Rabanne'a.

Michou pracuje w recepcji.

Jitsu i Kowalski to kelnerzy w białych marynarkach.

Pięknolicy jest starszym kelnerem. Nasz młody człowiek o niebezpiecznej wyobraźni mija go w chwili, gdy dochodzi do stojącego przy przeszklonej ścianie przepuszczającej ostatnie blaski zachodzącego słońca stolika, przy którym jego córka zajmuje miejsce. Spotyka się tu ze swą drogą babką, niewrażliwą na upływ lat, i jasnowłosą matką, przybyłymi z Marsylii, by spędzić parę dni z nieocenionym, a rzadko widywanym synem i wnukiem, i ma się rozumieć, ze słodką Konstancją, bardziej niż kiedykolwiek olśniewającą. Pierwsza, ubrana jak zwykle na czarno, skubie rybę, druga kraba, trzecia, by nie zaczynać bez męża, przegląda rodzinne zdjęcia.

– Wybaczysz nam – mówi babka – ale nie mogliśmy już wytrzymać.

– Ale gdzieś ty znowu był? – pyta matka tym samym tonem, jakim karmiła go jako siedmiolatka.

Wzdycha, siadając wykonuje nad głową zamaszty gest – był daleko, za daleko.

Konstancja odgarnia uparty kosmyk włosów, który zasłania mu prawe oko, i mówi:

– Już zamówiłam dla ciebie, trzeba było się nie spóźnić.

Mężczyzna nalewa sobie kieliszek muscadet.

Kiedy odstawia butelkę, sięga po nią jego babka, zrywa ołowianą taśmę, która otacza szyjkę, zwija ją starannie i wrzuca do czarnego woreczka, wiszącego na poręczy krzesła.

A ponieważ on się uśmiecha wzruszony, ona uśmiecha się także, wokół jej błyszczących przebiegłością oczu pojawia się tysiąc zmarszczek, a trzy pozostałe kobiety na wszelki wypadek też się uśmiechają, zastanawiając się, cóż zabawnego mogło się wydarzyć.

Wtedy ten uparty młodzieniec obiecuje sobie, że zakończy scenariusz, który właśnie wymyślił, a jeśli trudności i zniechęcenie rzucą go twarzą w piach, dźwignie się, i że ostatnią sceną filmu, doskonale pasującą do tematu, będzie ta, którą ma przed oczyma: Cztery pokolenia kobiet przy wspólnym stole, a wszystkie wpatrzone w niego z uśmiechem.

Przelykając przystawki przesuwają oczy po twarzach swych bohaterek. Zna przeznaczenie każdej z nich. Wie też, że bohater, który w jego wyobraźni tak bardzo je absorbuje, nie jest w rzeczywistości nim samym. Oczywiście, że użycza mu własnych cech – od kosmyka opadającego na czoło, niedbałego stylu bycia, sentymentu do kina z lat dzieciństwa, którego reminiscencje przewijają się będą przez cały film – „żartowniś, ale z mgielką przesłaniającą pełne łez oczy”, powie Joanna – i jeszcze wiele innych rzeczy,

wspomnień, nadziei, żalu, niczego bowiem nie tworzy się nie dając wiele z siebie. Ale przecież to nie będzie prawdziwy on.

A zresztą zaczął się nad tym zastanawiać.

W tym momencie, w hotelowej jadalni nad Atlantykiem, przebiegł go dreszcz – poczuł się zagrożony. A jeśli zamiast pozostać na zewnątrz kończącej się opowieści utknie tam na dobre? Jeśli ktoś gdzieś właśnie był w trakcie wymyślania tego wszystkiego z nim w roli głównej, a jego życie wisiało już tylko na nitce wyobraźni równie groźnej jak jego fantazja?

Mówi sobie – cóż, oto problem, nad którym lepiej się nie zastanawiać zbyt długo, zwłaszcza że można wywołać wilka z lasu.

Wielu przed nim rozbiło sobie na tym głowę, wystarczy mieć nadzieję, że ten, dla którego jest zabawką, długo jeszcze nie napisze słowa:

KONIEC

i nie odeśle go w nicość.

Jak on niepewien istoty rzeczy, mam się na baczności.

Być może ktoś gdzieś śnił i śni jeszcze, że lubię snuć opowieści i że jestem dość uparty, by nie poddać się śmiertelnym wrogom: zwątpieniu, lękowi, samotności. Nie wiem. Wszystko, co mogę powiedzieć, to że pewnego lipcowego ranka zeszłego roku, cofnąwszy się po raz nie wiem który tuż przed osiągnięciem celu, pomyślałem nagle, że wreszcie jest dobrze, że muszę iść naprzód, i poszedłem.

*Oléron, lato 85
Paryż, wiosna 86*